

SERIA Z MERCEDES THOMPSON

PATRICIA BRIGGS

ZRODZONY
ZE SREBRA

BESTSELLER "NEW YORK TIMESA"



fabryka słów

Mercedes Thompson,
kojot nie całkiem pospolity.
Jedyna w swoim rodzaju.
Wyjątkowa i niepowtarzalna.

Briggs Patricia

Mercedes Thompson 05

Zrodzony ze srebra

Cała ona - Mercedes Thompson, kojot nie całkiem pospolity. Nie boi się złego wilka, ale pęka przed własną matką. Bohaterka pełną gębą. Nic dziwnego, że znowu wpada po uszy w niezłe bagno. Tym razem udaje jej się wsadzić nos całkiem głęboko w tajemnice nie ludzi, a ukochany wilkołak...

Los i wspomnienia nie dają Mercedes Thompson ani chwili na złapanie oddechu. Ledwie opadł pył, a znowu trzeba ruszać do boju.

Ech, ci faceci! Nawet na chwilę nie można ich zostawić samych. Zaraz jeden wpada w depresję i chce popełnić samobójstwo a drugi rzuca się w płomienie, żeby ratować ukochaną. Nic dziwnego, że Mercedes Thompson ma pełne ręce roboty. A to, że jej mężczyźni to wilkołaki, bynajmniej nie ułatwia sprawy.

Jakby było mało kłopotów, wilkołacze stado wciąż nie chce zaakceptować faktu, że Mercy jest partnerką Alfego, a pewna Królowa Wróżek uparła się odzyskać księgę, która przez przypadek znalazła się w posiadaniu naszego kojota. Żeby ocalić przyjaciół, Mercedes musi się tylko udać do magicznej krainy, przeprowadzić z wróżką delikatne negocjacje i wrócić. Najlepiej w całości i to w ciągu godziny.

Doprawdy - drobiazg.



ROZDZIAŁ 1

Rozrusznik zakaszłał, uruchamiając z mozołem potężny silnik starego buicka. Współczułam mu, wiedziałam bardzo dobrze, jak to jest zmagać się ze znacznie silniejszymi przeciwnikami. Jestem zmiennokształtnym kojotem żyjącym w świecie wilkołaków i wampirów - w tym przypadku dysproporcja to mało powiedziane.

-Jeszcze raz - poprosiłam Gabriela, mojego siedemnastoletniego pomocnika biurowego, aktualnie siedzącego za kierownicą matczynego samochodu. Siąknęłam i bez szkody dla roboczego kombinezonu otarłam nos o ramię. Katar jest nieodłączną częścią pracy w zimnie.

Ale uwielbiam swoją robotę, naprawianie samochodów, ciekący nos, upaprane smarem ręce i całą resztę.

Ta praca to głównie pokaleczone palce i frustracja przeplatana krótkimi momentami tryumfu, które

wynagradzają minusy. Na dodatek stała się dla mnie azylem od chaosu, który ostatnio zawładnął moim życiem - mało prawdopodobne, żeby właściciel zginął, jeśli nie uda mi się naprawić jego pojazdu.

Nawet jeśli to wóz jego matki.

Gabriel skończył wcześniej lekcje, a w wolnym czasie podjął próbę reanimacji samochodu mamy. W efekcie opornie działające auto ostatecznie odmówiło współpracy, więc przy pomocy kumpla przyholował rzęcha do mojego warsztatu.

Buick zakaszłał dychawicznie. Odsunęłam się od otwartej komory silnika. Silnik działa dzięki paliwu, powietrzu i iskrze - pod warunkiem że dany egzemplarz nie jest totalną ruiną.

- Nie zaskakuje - stwierdził Gabriel, w razie gdybym sama nie zauważyła.

Zacisnął smukłe, lecz spracowane dłonie na kierownicy. Na policzku miał smugę od smaru, a jedno oko przekrwione, bo przed wczłganiem się pod podwozie nie założył gogli roboczych. W nagrodę do oka wpadł mu przerdzewiały kawałek upapranej towotem blachy.

Mimo że wielkie dmuchawy utrzymywały powietrze wewnątrz tuż ponad granicą zimna, oboje mieliśmy na sobie kurtki. Trudno porządnie nagrzać warsztat, kiedy co chwilę otwiera się drzwi garażowe.

- Mamamma musi być za godzinę w pracy, Mercy.
- Dobra wiadomość jest taka, że raczej nie ty go wykończyłeś.
- Wychyliłam się zza podniesionej maski, spoglądając w rozgorączkowane oczy nastolatka. - Zła, że nie da rady ruszyć go w ciągu godzi-

ny. Ława przysięgłych jeszcze nie zdecydowała, czy w ogóle kiedyś pomknie asfaltem.

Gabriel wysiadł z samochodu i pochylił się nad Zaprzęgiem Mechanicznym swojej Zaczarowanej Dorożki, jakby wypatrywał zepsutego kabelka, który ewentualnie przeoczyłam, a dzięki któremu samochód mógłby cudownie ożyć. Zostawiłam go w tej rozpaczliwej zadumie i poszłam do biura.

Za kontuarem znajdowała się odrapana, niegdyś biała tablica z haczykami. Wisiały na nich kluczyki od samochodów, nad którymi pracowałam, plus kilka innych, tajemniczych. Te ostatnie zastałam tu już, przejmując warsztat. Wzięłam kluczyki z breloczkiem w kształcie tęczowej pacyfki, wróciłam do hali.

Załamany Gabriel siedział znów za kierownicą buicka. Podałam mu brelok przez okno.

- Masz, weź garbusa. Powiedz tylko mamie, że nie ma kierunkowskazów, więc będzie musiała sygnalizować ręcznie. I żeby nie szarpała za mocno kierownicy, bo odpadnie.

Szczęki chłopaka zacięły się w uporze.

- Posłuchaj - zaczęłam, zanim miał szansę odmówić - to dla mnie ani kłopot, ani koszty. Garbus nie pomieści co prawda wszystkich dzieciaków... -nie żeby buick był w stanie pomieścić cały ten liczny drobiazg - poza tym ogrzewanie ledwo działa, ale jeździ, a ja go na razie nie używam. Nad autem mamy będziemy pracować po godzinach, dopóki go nie uruchomimy, a oddasz mi pracę w swoim czasie.

Byłam prawie pewna, że silnik buicka odszedł na niebiańskie złomowisko, a wiedziałam, że Sylwii,

matki Gabriela, nie stać na kupno nowego, podobnie jak nie stać jej na kupno samochodu. Dlatego planowałam zadzwonić do Zee, mojego starego mentora, z prośbą, by trochę nad nim poczarował. I to nie w przenośni - jeśli chodzi o niego, w grę wchodziła prawdziwa magia. Zee, gremlin, należał do magicznych istot, a jego żywiołem był metal.

- Ale garbus to twój projekt - protestował słabo Gabriel.

Mój ostatni projekt, karmanna ghia, sprzedałam, a z zysków, po oddaniu udziału tapicerowi i blacharzowi cudotwórcy, kupiłam garbusa z siedemdziesiątego pierwszego roku i bulika z sześćdziesiątego piątego. I jeszcze zostały mi jakieś grosze. Bulik był piękny, ale nie na chodzie, garbus przeciwnie.

- Zacznę od bulika, weź kluczyki. Zrobił minę nad wiek poważną.

- Dobrze, ale pod warunkiem że dopóki będziemy go używać, dziewczynki będą przychodziły w soboty sprzątać.

Nie jestem idiotką, a jego siostry były bardzo pracowite. Dla mnie czysty zysk.

- Zgoda - powiedziałam natychmiast, żeby się nie rozmyślił, i zacisnęłam mu dłoń na kluczykach. -Leć, zawieź samochód matce, żeby się nie spóźniła.

- Wrócę niedługo.

-Już późno. Będę się zbierała. Przyjdź jutro o zwykłej porze.

Jutrem miała być sobota, oficjalnie warsztat powinien być nieczynny, ale ostatnie wycieczki i walka z wampirami nadszarpnęły mój budżet, więc pra-

cowalam po godzinach i w weekendy, żeby trochę nadrobić. Walka ze złem nie przynosi pieniędzy, a z mojego doświadczenia wynika, że przeciwnie, pochłania je. Na szczęście wszystko przemawiało za tym, że z wampirami mam już spokój. Ostatnia przygoda omal nie skończyła się dla mnie tragicznie, zaczynało mi już brakować fartu. Kobieta, której talentem jest zaledwie przemiana w kojota, powinna trzymać się z dala od ekstraligowych rozgrywek.

Odesławszy Gabriela do domu, zaczęłam zamykać warsztat. Zasunęłam drzwi, skręciłam ogrzewanie, pogasiłam światła. Szuflada kasy do sejfu, portmonetka do kieszeni. Właśnie miałam gasić ostatnią lampę, gdy zadzwoniła komórka.

- Mercy? - usłyszałam Tada, syna Zee, który dzięki pełnemu stypendium uczył się na jednej z uczelni należących do Ligi Bluszczowej. Pradawni byli zaliczani do mniejszości, więc jego oficjalny status członka mniejszości plus wyniki w nauce otworzyły mu drzwi na uczelnię, na której utrzymywał się teraz dzięki własnej ciężkiej pracy.

- Cześć, Tad, co słyhać?

- Dostałem wczoraj dziwną wiadomość na komórkę. Czy Fin ci coś dał?

-Jaki Fin?

- Fineasz Brewster, człowiek, do którego cię wysłałem, gdy policja aresztowała ojca pod zarzutem morderstwa i potrzebowałaś informacji o Pradawnych, żeby odkryć prawdziwego zabójcę.

Dopiero po chwili skojarzyłam, o czym mówi.

- Antykwariusz? Tak, pożyczył mi księgę. - Miałam ją już dawno zwrócić, ale... Jak często wpada w ręce księga o sekretach Pradawnych napisana przez jednego z nich? Był to rękopis, więc odcyfrowanie zajmowało sporo czasu, a antykwariusz nie zachowywał się, jakby zależało mu na jak najszybszym zwrocie, gdy mi ją wręczał. - Przepróś go w moim imieniu, oddam księgę jeszcze dzisiaj. Wieczorem mam randkę, ale zdążę przed spotkaniem.

- W zasadzie to nie wiem, czy chciał, żebyś mu oddała książkę, czy nie - odezwał się Tad po chwili wahania. - Wiadomość brzmiała: „Przekaż Mercy, żeby uważała na to, co ode mnie pożyczyła”. A teraz nie mogę się do niego dodzwonić, jakby miał wyłączony telefon. Dlatego przekręciłem do ciebie. - Westchnął z irytacją. - Widzisz, Mercy, rzecz w tym, że on przenigdy nie wyłącza tego przeklętego telefonu. Ze względu na babcię, żeby mogła w razie czego zawsze być z nim w kontakcie.

Babcię? Może Fineasz był jednak młodszy, niż mi się wydawało.

- Martwisz się o niego - powiedziałam.

- Ech, wiem, wiem. Jestem przewrażliwiony - przyznał.

- To nic. I tak miałam mu oddać tę książkę. Tyle że jeśli zamyka normalnie, nie zdążę zanieść do sklepu. Masz jego adres domowy?

Tad podał mi adres Fineasza. Zapisałam i pocieszyłam go, żeby się nie martwił na wyrost. Zamknęłam warsztat i włączając cichy alarm, spojrzałam w kamerę. Adam pewnie nie patrzył, bo dopó-

ki alarm nie został uruchomiony, monitoring działał bezobsługowo, rejestrując wszystko i zapisując. Mimo to, zanim ruszyłam do samochodu, posłałam w kamerę całusa i powiedziałam bezgłośnie: „Do zobaczenia”.

Mój ukochany też był przewrażliwiony. Martwił się, jak kojot poradzi sobie w stadzie wilków, a jako wilkołak Alfa przesadzał z troskliwością. Ponieważ na dodatek jego firma realizowała kontrakty na zabezpieczenia w różnych agencjach rządowych, miał dostęp do całej masy narzędzi, którymi mógł zaspokajać swoje instynkty opiekuńcze. Choć na początku wściekałam się, że zainstalował kamery, teraz się z nich cieszyłam. Kojoty posiadają ogromne zdolności adaptacyjne, to zapewnia im przetrwanie.

Fineasz Brewster mieszkał na drugim piętrze bloku nowego osiedla w West Pasco. Miejsce to nie pasowało do kolekcjonera starych ksiąg, ale może miał dość kurzu i stęchlizny w pracy, więc chciał uniknąć ich w domu.

W połowie drogi do bramy zauważyłam, że nie wzięłam książki z samochodu. Zawahałam się, lecz postanowiłam na razie jej nie ruszać. Została więc na tylnym siedzeniu Królika, owinięta w ręcznik. Miał on pierwotnie chronić folią przed resztkami smaru z moich rąk, ale krył go też dobrze przed ciekawskimi oczami ewentualnych złodziei. Których raczej tu nie było.

Wdrapałam się po schodach i zapukałam do drzwi z numerem 3B. Policzyłam do dziesięciu i zadzwoniłam. Nic. Kiedy zadzwoniłam ponownie, otworzyły się drzwi mieszkania 3A.

- Nie ma go - powiedział ktoś szorstko. Odwróciłam się. W progu stał kościsty staruszek.

Miał na sobie stare kowbojki, nowe dżinsy, kowbojską koszulę i krawat bolo. Brakowało mu tylko kapelusza. Coś - chyba te buty - pachniało trochę koniem. I nieczłowiekiem.

- Nie ma?

Oficjalnie cały magiczny lud od dawna żył jawnie. Jednak tak naprawdę Szarzy Panowie, władcy pradawnych istot, dzielili je na takie, które społeczeństwo mogło poznać, i takie, które pozostawały w ukryciu, ponieważ ich pojawienie mogłoby przerazić śmiertelników tudzież byli bardziej przydatni, udając ludzi. Na przykład troje zasiadających w senacie. W konstytucji nie ma słowa o tym, że nieczłowiek nie może zasiadać w Kongresie, i Szarzy Panowie woleliby, aby tak zostało.

Sąsiad Fina bardzo się starał, żeby brano go za człowieka, więc nie byłby zachwycony, gdybym wytknęła mu, że nim nie jest. Zatrzymałam swoje odkrycie dla siebie.

W wyblakłych oczach zamigotały iskierki, kiedy mówił:

- Nie i nie było go w domu przez cały dzień.

- Wie pan, gdzie może być?

- Fin? - Staruszek roześmiał się, ukazując zęby tak proste i białe, że wyglądały na sztuczne. A może

i były sztuczne? - Pomyślmy. Większość czasu spędza w antykwariacie. Bywa, że nawet siedzi tam przez całe noce.

- A wczorajszej? Był tutaj?

- Nie, nie było go. Może kupił jakąś rodową bibliotekę i został w antykwariacie, żeby skatalogować nabytki? Czasem tak robi.

- Nieczłowiek popatrzył w okno, oceniając godzinę. - O tej porze nie otworzy. Zamyka się w piwnicy i nawet nie słyszy dzwonka. Najlepiej niech pani idzie do antykwariatu jutro rano.

Zerknęłam na zegarek. Powinnam się już przygotowywać do randki z Adamem.

-Jeśli coś pani dla niego ma - odezwał się nagle nieczłowiek, spoglądając na mnie niewinnymi, niebieskimi oczyma - może pani zostawić to u mnie.

Magiczne istoty nie kłamią. Przywykłam tak myśleć, ale z pożyczonej książki dowiedziałam się, że to nie jest takie proste i oczywiste. Nieczłowiek nie powiedział, że Fin jest teraz w antykwariacie, tylko że to możliwe. Nie powiedział też, że wie, gdzie jest Fin. Instynkt szturchał mnie dość mocno, zatem musiałam się wysilić, żeby udać swobodę.

- Przyszłam sprawdzić, co u niego - wyjaśniłam zgodnie z prawdą. - Ma wyłączony telefon, więc się martwiłam. - Postanowiłam zaryzykować. - Nie wspominał o sąsiadach. Pan wprowadził się jakoś ostatnio?

-Jestem tu od niedawna - odparł i zmienił temat: - Może zostawił ładowarkę w domu? Próbowала pani dzwonić do antykwariatu?

- Mam tylko jeden jego numer. To chyba komórka.
- Przekażę, że pani była. Jak się pani nazywa? Uśmiechnęłam się przyjaźnie.

- Proszę sobie nie robić kłopotu, jakoś go złapię. Cieszę się, że ma takich troskliwych sąsiadów. -Nie podziękowałam. Podziękowanie nieczłowiekowi sugeruje, że czuje się wobec niego zobowiązany. A zobowiązanie wobec magicznego ludu to fatalna sprawa. Pomachałam mu wesoło na pożegnanie i zeszłam na parter.

Idąc do samochodu, czułam na sobie wzrok staruszka. Odjechałam kawałek i dopiero wtedy zatrzymałam się i zadzwoniłam do Tada.

- Cześć - odezwał się głos w słuchawce. - Tu moja poczta głosowa. Albo się uczę, albo wyszedłem na imprezę. Przedstaw się i zostaw wiadomość, to może oddzwonię.

- Cześć - przywitałam się z pocztą głosową Tada. - Tu Mercy. Fina nie ma w domu. - Zawahałam się. Bezpieczna, we własnym samochodzie, zaczęłam myśleć, że może przesadziłam z podejrzeniami wobec sąsiada. Im lepiej poznawałam Pradawnych, tym większy wzbudzali we mnie lęk. Możliwe, że ten był całkiem niegroźny. Albo bardzo groźny, ale nie miał nic wspólnego z Brewsterem. -Spotkałam sąsiada Fina - powiedziałam wreszcie. -Zasugerował, żebym zadzwoniła do antykwariatu. Masz tamten numer? Próbowałeś dzwonić? Będę jeszcze starała się namierzyć Fineasza.

Rozłączyłam się i zapuściłam silnik ze szczerym zamiarem pojechania do domu. Jednak tak się zło-

żyło, że po chwili znalazłam się na drodze do Richland, a nie do Finley.

Podejrzany telefon Brewstera i ten dziwny sąsiad sprawiły, że zaczęłam się niepokoić. W końcu antykwariat jest niedaleko, powiedziałam sobie. Nie zaszkodzi tam zajrzeć. Tad był na drugim końcu kraju i się martwił.

Uptown Mail to najstarsze centrum handlowe w Richland. W przeciwieństwie do tych nowoczesnych molochów Uptown wygląda jak kilkadziesiąt sklepów różnej wielkości i w różnych stylach skupionych razem i otoczonych parkingiem. W Uptown miejsce znalazły przedsiębiorstwa, które nie miałyby szans w ogromnym centrum handlowym w Kenne-wick - bary nienależące do żadnej sieci, sklepy ze starociami, komisje, ciucholandy, sklep muzyczny, cukiernia, ze dwa puby i kilka składów typu tysiąc i jeden drobiazgów.

Sklep Fina znajdował się prawie na końcu południowej części centrum. Posiadał dwie witryny, przyciemniane, żeby chronić książki przed światłem. Na większej umieszczono złoty napis: „Antykwariat Brewstera. Wypożyczalnia i sprzedaż książek używanych i kolekcjonerskich”.

W środku nie paliły się żadne światła, a drzwi zamknięto na cztery spusty. Przyłożyłam ucho do szyby.

Nawet w ludzkiej formie miałam świetny słuch, nie tak doskonały jak u kojota, ale wystarczył, by stwierdzić, że w sklepie nikt się nie rusza. Zapukałam, co pozostało bez odpowiedzi.

W witrynie przy drzwiach wisiała tabliczka z godzinami otwarcia: „wtorek - sobota od 10.00 do 18.00, niedziela - poniedziałek wyłącznie po wcześniejszym umówieniu”. Numer z tabliczki był tym, który już miałam. Szósta już minęła.

Zapukałam po raz ostatni i ponownie zerknęłam na zegarek. Zakładając, że przekroczę przepisy, zostanie mi jakieś dziesięć minut, zanim w progu stanie wilk.

Samochód mojego współlokatora stał na podjeździe. Wyglądał bardzo na miejscu przy domku z prefabrykatów. Kosztowne samochody, niczym dzieła sztuki, kształtują przestrzeń wokół siebie. Sama jego obecność uszlachetniała mój baraczek z lat siedemdziesiątych. Dzięki limuzynie dom, bez względu na stan, robił wrażenie przynajmniej o dwie klasy lepszego.

Samuel posiadał podobny dar. Zawsze na miejscu, zawsze potrafił się wpasować, a jednocześnie wzbudzał w ludziach poczucie, że są kimś szczególnym, ważnym. Z tego powodu był lubiany i obdarzany zaufaniem. Przydawało mu się to w pracy, ale, jak podejrzewałam, dużo bardziej w kontaktach z kobietami. Przywykł do stawiania na swoim. Jeśli nie wystarczał urok, włączał mózg, którego pozazdrościć mógł mu nawet tak wytrawny strateg jak Rommel.

I w ten sposób został moim współlokatorem.

Trochę zajęło mi rozgryzienie prawdziwego powodu, dla którego się do mnie wprowadził. Samuel potrzebował stada. Wilkołaki nie radzą sobie dobrze w pojedynkę, szczególnie te starsze, a Samuel był bardzo wiekowy. Wiekowy i dominujący. Byłby przywódcą w każdym stadzie z wyjątkiem gromady ojca. Jego ojcem był Bran, Marrok, najbardziej wilczy superwilk ze wszystkich wilków.

Samuel pracował jako lekarz, brał na siebie aż nadto odpowiedzialności. Nie chciał być wilkiem Alfa, nie chciał też zostać w gromadzie ojca.

Został samotnikiem. Zamieszkał ze mną na terytorium stada dorzecza Kolumbii, ale nie jako jego część. Ja z kolei nie byłam wilkołakiem, ale też nie bezbronnym człowiekiem. Zostałam wychowana przez stado Marroka, więc stanowiłam dla Sama prawie rodzinę. Jak do tej pory on i Adam, Alfa tutejszej gromady, jeszcze się nie pozabijali. I miałam nadzieję, że tak zostanie.

- Samuel! - zawołałam, wchodząc do środka. -Sam?

Nie odpowiedział, chociaż siedział w domu. Wyczuwałam go. Specyficzny zapach wilkołaka unosił się zbyt silny, jak na pozostałość. Przeszłam wąskim korytarzykiem i zastukałam w zamknięte drzwi.

Zawsze się pokazywał, kiedy wracałam.

Ostatnio martwiłam się o Samuela i może stąd mój nadmierny niepokój. Nie czuł się za dobrze. Załamany, starał się normalnie funkcjonować, choć utajona depresja przez ostatnie miesiące ani się chyba

nie pogarszała, ani nie mijała. Bran też podejrzewał, że nie jest najlepiej. Pewnie właśnie dlatego Samuel mieszkał ze mną, a nie w swoim domu w Mon-tanie - nie chciał, żeby ojciec zorientował się, w jak fatalnym jest stanie.

Wreszcie otworzył drzwi. Wyglądał jak zwykle - wysoki, przystojny, atrakcyjny jak większość wilkołaków, pomimo specyficznego kośćca. Perfekcyjne zdrowie, wieczna młodość i masa mięśni to pewna mieszanka urody.

- Pan wzywał? - zapytał, imitując kamienne oblicze Lurcha i zniżając głos tak bardzo, aż zdumiałam się, że to możliwe. Poprzedniego wieczoru oglądaliśmy w telewizji maraton „Rodziny Addamsów”. Jeśli chciał mnie rozbawić, udało mu się. Choć nie patrzył mi w oczy, jakby bał się, że zmartwi mnie to, co w nich ujrzę.

Na rękach trzymał rozmruczaną Medę, kotkę rasy Manx. Kocica mrużyła ślepią z zadowolenia i wyginała grzbiet, kiedy ręka głaszczącego ją Samuela przesuwała się po grzbiecie w stronę krótkiego ogonka. Rozanielona, ugniatała go łapami.

- Oj... - Usiłował ją postawić na ziemi, ale wbiła pazury we flanelową koszulę Sama, szczepiając się z nim mocniej niż rzep. I pewnie znacznie boleśniej.

- Uhm - mruknęłam, tłumiąc śmiech. - Wychodzę dzisiaj z Adamem, więc kolację jesz we własnym zakresie. Nie zrobiłam zakupów, zatem wybór masz mocno ograniczony.

Odwrócił się do mnie plecami i pochylił nad łóżkiem, żeby odrywana od koszuli Medea nie spadła na podłogę.

- Dobra. Au, kocie. Nie wiesz, że mógłbym cię pożreć jednym kłapnięciem? Nawet ogona, au, nie zdążyłbym wypluć.

Zostawiłam go z Medeą, żeby się przygotować. Nie dotarłam do sypialni, kiedy zadzwonił telefon.

- Cześć, Mercy, już wyszedł, więc dzwonię -usłyszałam w słuchawce nastoletnią córkę Adama.

- Cześć, Jesse, co słychać?

Wystarczyło, że pomyślałam o Adamie i od razu poczułam jego ekscytację, gładką skórę kierownicy pod dłońmi. To dlatego, że Adam Hauptman był nie tylko moim kochankiem, ale także partnerem.

Wśród wilkołaków partner czy towarzysz to nie to samo co wśród ludzi. Te słowa określają parę związaną nie tylko miłością, ale także magią. Dowiedziałam się, że nie we wszystkich związkach ta różnica jest bardzo wyraźna, ale są też takie, w których dwie osoby stają się jakby jednością. Okropność. Na szczęście ja i Adam byliśmy gdzieś pośrodku tej skali. Zazwyczaj.

Kiedy po raz pierwszy pieczętowaliśmy naszą więź, spowodowaliśmy przeładowanie magii i od tamtej pory nasze połączenie bywało kapryśne, czasem dokuczliwe. Przez kilka godzin intensywność więzi nasilała się i malała, a potem znów wszystko zniknęło na wiele dni. Normalnie, gdyby połączenie było stabilne, pewnie już bym do niego przywykła.

Adam zapewniał, że nie powinno to potrwać zbyt długo. Ale przy takich wahaniach pojawienie się więzi nadal mnie zaskakiwało.

Czułam wibracje kierownicy, kiedy Adam uruchomił samochód, i nagle wszystko zniknęło, a ja znów stałam w korytarzu, brudna, nieprzebrana, rozmawiając przez telefon.

- Kręgle - powiedziała Jesse.

- Dzięki, mała. Masz u mnie lody. To lecę pod prysznic.

- Mam u ciebie pięć dolców, ale lody też przyjmę - stwierdziła ze stanowczością wytrawnego handlowca, którą musiałam uznać. - Lepiej niech to będzie błyskawiczny prysznic.

Prowadziliśmy z Adamem pewną grę, tak dla rozrywki. A raczej bawił się ze mną jego wilk, jak podpowiadała mi intuicja. Bo to właśnie wilki uwielbiały grać z ukochanymi w takie małe gierki, w których nie było wygranych i przegranych. Rzadko robiły to w stadzie, ale w mniejszych grupach owszem.

Adam nie mówił, gdzie idziemy. Musiałam sama się tego dowiedzieć, a mogłam stosować wszelkie podstępny. Wyznaczał mi to zadanie, spodziewając się, że mu sprostam, i w ten sposób okazywał mi szacunek.

Dzisiaj przekupiłam jego córkę, żeby zadzwoniła, gdy się czegoś dowie, albo przynajmniej powiedziała, jak się ubrał. Dzięki temu miałam szansę odziać się równie stosownie, choć udawałam zaskoczona

naszą dopasowaną garderobą, skoro nie wiedziałam, gdzie idziemy.

To był nasz rodzaj flirtu, ale także pozwalał odwracać myśli od prawdziwego powodu, dla którego spotykaliśmy się, a nie mieszkaliśmy razem. Mianowicie stada nie podobało się, że partnerką Alfy jest zmiennokształtna kojocica. Wilki nie lubią dzielić terytorium z braćmi, a co dopiero innymi drapieżnikami. Ale miały dużo czasu, żeby do mnie przywyknąć, i większość nawet przestała już protestować. Dopóki Adam nie wprowadził mnie do stada jako partnerki. Coś takiego nie powinno być nawet możliwe. Nigdy nie słyszano o niewilkolączym partnerze przyjętym do gromady.

Przygotowałam sobie ciuchy i wskoczyłam pod prysznic. Ustawiłam słaby strumień, żeby nie zmoczyć warkoczy, i zabrałam się do szorowania rąk. Już je myłam, choć w moim przypadku opłacało się robić to przy każdej okazji. Część brudu stała się już niezmywalna i moje dłonie nigdy nie będą wyglądały jak z reklamy kremu.

Kiedy wyszłam spod prysznica owinięta ręcznikiem, dobiegły mnie głosy z saloniku. Samuel i Adam specjalnie mówili cicho, tak że nie rozróżniałam poszczególnych słów, lecz nie słyszałam też w ich głosach żadnego napięcia. Lubili się nawet, ale Adam był Alfą, a Samuel silniejszym od niego samotnikiem. Czasami mieli kłopoty z przebywaniem w tym samym pokoju, jednak najwyraźniej nie dzisiaj.

Podniosłam leżące na łóżku dzinsy. Kręgle.

Zawahałam się. Mało prawdopodobne. Nie chodziło o same kręgle, Adam uwielbiał w nie grać. Ciskać ciężką kulą w gromadkę bezbronnych pionków i patrzeć na pogrom. To coś, co wilkołaki kochały.

Mało prawdopodobne, żeby Adam powiedział Jesse, gdzie mnie zabiera. Nie w przypadku, kiedy usiłował to przede mną ukryć. Ostatnio mogła powiedzieć mi tylko, w co się ubrał.

Może znów tylko przesadzałam... Otworzyłam szafę i spojrzałam na marny wybór kreacji. Miałam teraz więcej sukienek niż rok temu. O trzy więcej.

Jesse zauważyłaby, gdyby się wystroił.

Zerknęłam na leżące na łóżku dzinsy i niebieską koszulkę. Kusiły wygodą. Hm. Przekupnego zawsze dało się przekupić, a Jesse spodobałaby się rola podwójnego agenta.

Wyciągnęłam szarą sukienkę, dość elegancką, choć nie wieczorową. Wystarczająco strojną do teatru czy restauracji, ale na tyle stonowaną, że na upartego mogłabym iść w niej na kręgle. Założyłam ją, rozplotłam warkocze i rozczesalam włosy.

- Mercy, jeszcze nie jesteś gotowa? - usłyszałam odrobinę rozbawiony głos Samuela. - Wydawało mi się, że wspominałaś o randce?

Otworzyłam drzwi i okazało się, że miałam rację. Adam był w smokingu.

Adam jest niższy od Samuela, zbudowany jak zapaśnik i ma twarz jak... Nie wiem co. Jak twarz

Adama. Jest wystarczająco piękna, by odwrócić uwagę od aury władzy, jaką wokół siebie roztacza. Ma ciemne włosy, bardzo krótko przycięte. Kiedyś powiedział mi, że dzięki temu wywiera lepsze wrażenie na wojskowych, z którymi głównie robi interesy. Ale teraz, gdy poznałam go lepiej, uważam, że strzyże się tak ze względu na swoją urodę, która wprawia go w zakłopotanie. Tak krótka fryzura wymazuje wszelkie myśli o próżności i mówi: „Hej, przejdźmy do interesów”.

Kochałabym Adama, nawet gdyby miał troje oczu i dwa zęby, ale czasem jego uroda porusza mnie do głębi. Zamrugalam, odetchnęłam i odsunęłam przemożną pokusę ogłoszenia go swoim, żeby powrócić do trybu konwersacji.

- Ach! - Strzeliłam palcami. - Wiedziałam, że o czymś zapomniałam. - Pobieglam do szafy i wyjęłam srebrzysty szal, który dodawał sukience odpowiedniej strojności.

Kiedy wróciłam, Samuel wręczał Adamowi pięć dolarów.

- Mówiłem ci, że się domyśli - powiedział Haupt-man dumnie.

- Świetnie - zwróciłam się do Adama. - Możesz zapłacić tym Jesse. Powiedziała mi, że idziemy na kręgle. Muszę się postarać o lepszego szpiega.

Rozpromienił się, a ja starałam się wysilić, żeby wyglądać na złą. Dziwne, lecz to nie uroda uśmiechniętego wilkołaka budziła we mnie ciepłe uczucia, choć przyznać trzeba, że uśmiech miał zabójczy. Chodziło o fakt, że to ja byłam powodem tego

uśmiechu. Adam nie przejawiał... figlarności. Zachowywał się tak tylko przy mnie.

- Pa, Mercy - pożegnał mnie Samuel, gdy Alfa otwierał drzwi. Odwróciłam się, a wtedy Sam pocałował mnie w czoło.

- Powodzenia. - Uderzyło mnie, że życzył mi dobrej zabawy w ten sposób, ale reszta już brzmiała normalnie. - Mam dzisiaj nocny dyżur, więc nie zobaczymy się, jak wrócisz. - Popatrzył w oczy Adamowi, którego źrenice na to jawne wyzwanie zwężyły się natychmiast. - Dbaj o nią. - A potem wypchnął nas, zanim Hauptman zdążył zirytować się, że ktoś wydaje mu rozkazy.

Po dłuższej chwili wybuchnął śmiechem i potrząsnął głową.

- Nie martw się - powiedział, wiedząc, że drugi wilk go słyszy. - Mercy świetnie umie zadbać o siebie. Ja jestem tylko od sprzątnięcia bajzlu, jakiego przy tym narobi. - Gdybym na niego nie patrzyła, nie zauważyłabym lekkiego skrzywienia ust, kiedy to mówił, i nie wiedziałabym, że wcale mu się to tak bardzo nie podoba.

Naraz uświadomiłam sobie pewne rzeczy z pełną wyrazistością. Lubię siebie, ale wielu mężczyzn nie przepada za takimi kobietami jak ja. Jestem mechanikiem. Pierwsza żona Adama była krągła, ja jestem jednym mięśniem. Nie ma we mnie wiele kobiecości, jak mawia moja mama. I do tego jeszcze przejawiam dziwne zachowania, pozostałość po gwałcie.

Adam wyciągnął rękę, podałam mu swoją. Umiał zachęcać mnie do dotykania go, nie robił tego pierwszy.

Schodząc po stopniach, popatrzyłam na nasze splecione dłonie. Myślałam, że jest ze mną coraz lepiej, że przestałam się wzdrygać na kontakt fizyczny, że lęk powoli zniknął. Ale przyszło mi do głowy, że może to on nauczył się radzić sobie z moimi lękami.

- Co jest? - zapytał, kiedy przystanęliśmy przy samochodzie.

Ford był tak nowy, że nawet nie miał jeszcze zdjętej folii z tylnych bocznych szyb. Zastąpił nim suv-a pokiereszowanego przez jednego z wilków walczących w mojej obronie, a potem jeszcze bardziej podczas incydentu ze śnieżnym elfem, wielgachnym Pradawnym, który ścigając mnie, zwałił na samochód pół budynku.

- Przestań, Mercy - zmarszczył brwi Adam. - Nie jesteś mi nic winna za ten przeklęty samochód.

Nadal trzymał mnie za rękę i nawet nie zauważyłam, kiedy nasza niestała więź dała mu wgląd w moje myśli. Nagle w moim mózgu pojawiła się wizja, której intensywność powaliła mnie na kolana.

Adam siedział po ciemku w swoim biurze w domu, pracując przy komputerze. Od wielogodzinnego siedzenia przed monitorem piekły go oczy, bolały ręce, a plecy zeszywniały.

Dom stał cichy. Za cichy. Nie było w nim żony, którą trzeba chronić. Tak długo ją kochał... Darzenie kogoś nieodwzajemnionym uczuciem jest bardzo niebezpieczne. A on był żołnierzem, człowiekiem, który nie naraża się świadomie na niebezpieczeństwo bez dobrego powodu. Ona kochała jego status, pieniądze, władzę. Kochałaby to wszystko jeszcze bardziej, gdyby należało do kogoś, kto jej się podporządkuje.

On jej nie kochał. Kochał się o nią troszczyć, kochał kupować jej drobiazgi, kochał wyobrażenie o niej.

Utrata jej była bolesna, ale utrata córki nie do zniesienia. Jesse wnosiła pełno śmiechu, zamieszania, radości... Jej nieobecność okazała się trudna. Jego wilk się niecierpliwił. Wilk, stworzenie żyjące dniem terażniejszym. Trudno mu wyjaśnić, że Jesse przyjedzie na wakacje. Zresztą jego samego też to niezbyt pocieszało. Dlatego usiłował zatracić się w pracy.

Ktoś zapukał do drzwi kuchennych.

Odepchnął fotel, lecz musiał zaczekać. Rozdrażniony wilk wściekł się, że ktoś narusza ich sanktuarium. Ostatnio nawet stado nie miało na tyle odwagi, by nachodzić go w domu.

Do czasu przejścia do kuchni zdołał się opanować. Szarpnął drzwi, spodziewając się ujrzeć któregoś ze swoich. Jednak na progu stała Mercy.

Nie wyglądała promiennie, ale z drugiej strony nigdy nie była zachwycona, gdy musiała przyjść i z nim porozmawiać. Twarda, samodzielna, nie zno-

siła, gdy ingerował w jej niezależność. Dawno nikt tak nie rozstawiał go po kątach jak ona - i nawet mu się to podobało. Bardziej, niż powinno wilkowi, który był Alfą od dwóch dekad.

Pachniała starym olejem samochodowym, jaśminem z szamponu, którego używała w tym miesiącu, oraz czekoladą. A może ostatni zapach to te ciastka, które trzymała przed sobą na tacy?

- Proszę - powiedziała sztywno. Uświadomił sobie, że w kąciku ust Mercy kryje się nieśmiałość.

- Czekolada pomaga mi odzyskać równowagę, kiedy życie daje kopa.

Nie czekała na odpowiedź. Wcisnęła mu tackę, odwróciła się na pięcie i ruszyła do swojego bungalowu.

Zabrał ciastka do biura. Kilka minut później zjadł pierwsze. Czekolada, gęsta i ciemna, rozlała mu się na języku. Gorycz złagodzona nieprzyzwoitą ilością brązowego cukru i wanilii. Nie zdawał sobie sprawy, że nie jadł.

Ale to nie smak czekolady czy jedzenie poprawiły mu nastrój, lecz przyjazny gest Mercy wobec kogoś, kogo postrzegała jako wroga. I w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę z czegoś ważnego. Ona nigdy nie kochałaby go za to, co mógł dla niej zrobić.

Zjadł jeszcze jedno ciastko, po czym wstał, żeby zrobić sobie kolację.

Adam urywał połączenie, aż stało się nieledwie pajęczą nitką.
- Przepraszam - wymruczał mi do ucha. - Tak mi przykro.
Kur... - Przełknął przekleństwo. Przytulił mnie mocniej, a ja uświadomiłam sobie, że siedzimy na żwirowym podjeździe, skuleni przy samochodzie. A żwir jest bardzo zimny.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Wiesz, co mi pokazałeś? - wychrypiałam.

- Myślałem, że przypomniało ci się coś... - powiedział niepewnie. Miewałam już podobne epizody w jego obecności.

- Nie mnie. To było twoje wspomnienie. Zesztywniał.

-Złe?

Walczył w Wietnamie. Był wilkołakiem już przed moim urodzeniem - pewnie widział wiele koszmarnych rzeczy.

- To było intymne wspomnienie, nieprzeznaczone dla mnie - przyznałam uczciwie. - Ale nie złe.

Widziałam moment, kiedy stałam się dla niego czymś więcej niż zadaniem od Marroka.

Pamiętałam, jak głupio czułam się, stojąc na tym ganku z tacką ciastek dla mężczyzny, którego życie właśnie legło w gruzach po paskudnym rozwodzie. Nie powiedział nic, otworzywszy drzwi, założyłam więc, że również uznał to za głupotę. Wróciłam do domu jak najprędzej, starając się nie biec.

Nie wiedziałam, że to pomogło. Nie wiedziałam też, że widział we mnie twardą, samodzielną ko-

bietę. Zabawne, zawsze myślałam, że wilkołaki postrzegają mnie jako słabeusza.

Co z tego, że wzdrygałam się, kiedy zapominał i kładł rękę na moim ramieniu? Czas leczy rany. Już przecież czułam się lepiej. Codzienne napady paniki na wspomnienie gwałtu należały teraz do przeszłości. Przepracowaliśmy to. Adam brał na wszystko poprawkę.

A więc działała czasem jak gumka, wskakiwała na miejsce i dawała mu wgląd w moje myśli.

- Zrobię wszystko, czego potrzebujesz - zapewnił, nieruchomiejąc jak wieczorne powietrze. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Odprężyłam się, wtulając twarz w jego kołnierzyk. Po chwili uspokoilałam się całkowicie.

- Kocham cię - powiedziałam. -1 musimy porozmawiać o rekompensacie za ten samochód.

- Nie zamierzam...

Uciszyłam Adama. Chciałam położyć mu delikatnie palec na wargach albo zrobić jakiś inny, równie czuły gest, ale kiedy poderwałam głowę, grzmotnęłam go ciemieniem w podbródek. Uciszyłam skuteczniej, niż zamierzałam, bo przy okazji przygryzł sobie język.

Ja mamrotałam przeprosiny, a on śmiał się, krwawiąc z ust. Odchylił głowę, łomocząc o drzwi samochodu.

- Zostaw, Mercy, zagoi się samo. Przysuwałam się, aż oparłam ramię o drzwiczki

obok niego. Sama zaczęłam się z siebie śmiać. Miał

rację, co prawda na pewno trochę go bolało, ale jak na wilkołaka, nie było to nic poważnego i zagoi się błyskawicznie.

- Masz przestać mówić o płaceniu za SUV-a - oświadczył.

- Ale to moja wina - upierałam się.

- Nie zrzuciłaś na niego ściany. Może nawet zgodziłbym się na zapłacenie za to wgniecenie...

- Nawet nie próbuj mnie okłamywać - prychnęłam urażona, a on znowu się roześmiał.

- No dobrze, nie zgodziłbym się. Jednak to bez znaczenia, bo po zasypaniu gruzem nie było sensu klepać tego wgniecenia. A amok śnieżnego elfa to wina wampirów...

Mogłam dalej się z Adamem sprzeczać - nawet lubiłam się z nim sprzeczać, ale jeszcze bardziej lubiłam robić z nim coś innego.

Pochyliłam się i pocałowałam go.

Smakował krwią i Adamem i nie miał najmniejszych problemów z płynnym przejściem od sprzeczki do namiętności. Po chwili - nie wiem, jak dłużej - spojrzał na swoją zakrwawioną koszulę.

- W sumie to możemy równie dobrze iść na te kręgle. - Zaśmiał się, pomagając mi wstać.

ROZDZIAŁ 2

Wcześniej zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Adam zdjął zaplamioną koszulę i przebrał się w niebieski T-shirt, który wyciągnął z torby leżącej na tylnym siedzeniu. Zapytał, czy nie wygląda głupio w T-shircie i spodniach od smokingu. Nie widział, jak cienka bawełna opina się na mięśniach barków i pleców. Zapewniłam go zgodnie z prawdą i całkiem poważnie, że nikt nie zwróci uwagi na te spodnie.

Jak zwykle w piątkowy wieczór restauracja była pełna. Na szczęście obsługa uwijała się niczym w ukropie.

Kiedy kelnerka, przyjąwszy zamówienie, oddaliła się, Adam zapytał odrobinę nazbyt swobodnie:

- Co widziałaś w tej wizji?
- Nic żenującego - uspokoiłam go. - To była ta chwila, kiedy przyniosłam ci ciastka.

Oczy mu pojaśniały.

- Ach - ucieszył się i odprężył, choć zarumienił lekko. - Myślałem o tym.

- Czyli okej? Przepraszam, że naruszyłam twoje prywatne myśli.

- Nie trzeba. - Potrząsnął głową. - Możesz oglądać wszystko, co do ciebie dotrze.

-To co...? - zaczęłam lekko. - Pod trybunami? Twój pierwszy raz... Poderwał głowę.

- Ha! Spokojnie, Warren mi powiedział. Uśmiechnął się.

- Zimno, mokro i niefajnie.

Kelnerka postawiła przed nami talerze i pofrunęła dalej. Adam dał mi do spróbowania trochę swojego fileta mignon, a ja jemu mojego łososia. Jedzenie było wyborne, towarzystwo jeszcze bardziej. Gdybym była kotem, zaczęłabym mrużyć.

- Zadowolona? - Adam wyciągnął nogi tak, że dotykał stopą mojej.

- Dzięki tobie.

- Mogłoby być tak zawsze - podjął, przetykając ostatni kawałek pieczonego ziemniaka. - Gdybyś ze mną zamieszkała.

Budzić się przy nim każdego ranka... ale...

- Nie, już wystarczająco kłopotów ci sprawiłam. Pomędzy mną a stadem musi zapanować... détente. Dopiero wtedy będę mogła się wprowadzić. Twój dom jest gniazdem, ostoją gromady. Potrzebują takiego azylu, miejsca, gdzie będą czuli się bezpiecznie.

- Przywykną.

- I tak są tolerancyjni, i szybko się przyzwyczajają. Najpierw był Warren. Wiesz, że kiedy dopuściłeś go do stada, inne gromady też przyjęły do siebie wilkołaków gejów? A teraz ja. Kojot w stadzie wilkołaków. Musisz przyznać, że to ogromna zmiana.

- Ani się obejrzymy, a kobiety dostaną prawo do głosowania, a Murzyn zostanie prezydentem - zażartował, choć minę miał poważną.

- Widzisz? - Wycelowałam w Adama widelcem. - Utknęli w osiemnastym wieku, a ty oczekujesz od nich nie wiadomo jakich zmian. Samuel mawia, że wilkołaki mają dość zmian na całe życie po Przeistoczeniu. Do każdej innej trzeba je wołami ciągnąć.

- Ale tylko Peter i Warren zostali wilkołakami w osiemnastym wieku. Większość jest młodsza ode mnie.

Kelnerka zamrugła, gdy Adam zamówił trzy desery. Wilkołaki potrzebują dużo kalorii, żeby mieć siłę. Kiedy spojrzała na mnie, potrząsnęłam odmownie głową.

Potem odeszła, a ja podjęłam wątek:

- Nic się nie stanie, jeśli poczekamy, aż sprawy się trochę ułożą.

Gdyby się ze mną nie zgadzał, już dawno mieszkałabym u niego, a nie wychodziłibyśmy na randki. Zdawał sobie sprawę na równi ze mną, że przyjęcie mnie do stada wzbudzi wiele niezadowolenia. Może gdyby przedtem stosunki w samej gromadzie były zdrowe, gdyby członkowie się dogadywali, wszystko odbywałoby się spokojniej.

Kilka lat wcześniej niektóre wilkołaki zaczęły się znęcać nade mną - nad kojotem mieszkającym po sąsiedzku. Wilkołaki, podobnie jak ich bracia wilki, są bardzo terytorialne i niechętnie dzielą swoje obszary łowne z innymi drapieżnikami. Żeby położyć temu kres, Adam ogłosił mnie swoją wybranką. Nie wiedziałam wtedy, dlaczego nieprzyjemności naraz ustały, a Adam nie spieszył się z wyjaśnieniami. Ale magia łącząca stado wymagała, by taka deklaracja została potwierdzona, i Adam ponosił niemałe koszty związane z niedopełnieniem procedury. Był słabszy, zręczliwy i nie mógł skutecznie pomagać gromadzie zachowywać spokój, zgodę i wspólnotę. Wprowadzając mnie jako członka do stada prawie jednocześnie, gdy nasza więź partnerska dopiero się ustalała, nie dał swoim wilkołakom czasu na odzyskanie równowagi po jednym wstrząsie i natychmiast zafundował im kolejny.

- Jeszcze miesiąc - oświadczył stanowczo. - A potem i stado, i Samuel będą musieli to przełknąć. - Pochylił się nad stołem, a jego oczy koloru gorzkiej czekolady stały się bardzo poważne. -1 wyjdiesz za mnie.

- A czy przypadkiem nie powinno to brzmieć: „Czy za mnie wyjdiesz?”?

To miał być żart, ale źrenice Adama pojaśniały od tańczących w nich złotych skierek.

- Miałaś szansę uciec, kojocie. Teraz już za późno. - Uśmiechnął się. - Twoja matka będzie zachwycona, że wreszcie uda jej się zrealizować wszystkie niedoszłe plany z wesela twojej siostry.

Serce zatrzepotało mi w panice.

- Mówisz poważnie...? - Już miałam wizję zatłoczonego kościoła, chmur białego tiulu i gołębi. Matka na własnym ślubie miała gołębie. Moja siostra uciekła, żeby wziąć ślub w tajemnicy przed nią i wykręcić się do tych wszystkich okropieństw. Matka jest jak taran. I nie słucha. Nikogo.

Wilczysko zniknęło z oczu Adama.

- Nie przejmujesz się poślubieniem wilkołaka, który ma nastoletnią córkę i rozpadające się stado, a przeraża cię własna matka?

- Widziałeś moją matkę. Ciebie też powinna przerażać.

Roześmiał się.

- Po prostu znasz ją jeszcze zbyt krótko, żeby się przestraszyć.

- Niech później nie mówi, że go nie ostrzegałam.

Mieliśmy szczęście, dostaliśmy własny stolik z tablicą wyników. Kobieta, która go zwalniała, pakowała się, kiedy przyszedliśmy z wybranymi kulami. Ja wzięłam zieloną w złote smugi, Adam czarną.

- Nie masz za grosz wyobraźni - połajałam go żartobliwie. - Mogłeś się raz wyłamać i wziąć różową.

- Różowe są małe, prawie ich nie czuć w ręku. Czarne są cięższe, bardziej swojskie.

Już otwierałam usta, ale zamknął mi je pocałunkiem.

- Nie przy dzieciach - szepnął. Rzeczywiście, gapili się na nas jakiś kilkulatek

i dwu-, może trzyletnia dziewczynka w różowej sukieneczce z falbankami. Zadarłam brodę.

- To ty masz skojarzenia - oburzyłam się. - Głodnemu chleb na myśli.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Zaśmiał się przekornie. - Bo ja o kulach.

Usiadłam i po zastanowieniu wypisałam pseudonimy, pod którymi mieliśmy grać.

- Fachowo Odwalony Rupieć Drogowy - odczytał oziębło ponad moim ramieniem.

- Pomyślałam, że weźmiemy nazwy od samochodów. Ty jeździsz teraz fordem.

- Valeczny Wojownik?

- Każdemu według zasług - przekomarzałam się.

Adam pochylił się i zmienił napis na „Von Wrak”, a potem szepnął mi do ucha: „Vystrzałowa Wariatka. Moja”.

- Może być.

Jego ciepły oddech owiał mi ucho, wzbudzając dreszcze.

Zanim związałam się z Adamem, czułam się jak jego czarna kula - nudna i użyteczna. Nie posiadam wyjątkowej urody, pomijając nieco egzotyki, którą odziedziczyłam po ojcu, Czarnej Stopie. Adam zaś... Kiedy przechodził, przyciągał spojrzenia. Nawet w kręgielni skupiał na sobie uwagę.

- No, rzucaj tę swoją nudną kulę - powiedziałam stanowczo. - Flirtowanie z sędzią ci nie pomoże, bo teraz komputer zapisuje wyniki.

- Heh, heh, tak jakbym potrzebował forów. - Uśmiechnął się zgryźliwie, cofnął kilka kroków, aż w końcu skupił całą uwagę na biednych, bezbronnych kręglach.

Zagrał z zabójczą sumiennością i z determinacją, czyli w stylu, w jakim podchodził do wszystkiego. Siła kontrolowana, cały Adam.

Jednak w oczach obserwujących nas - a raczej Adama - ludzi dostrzegłam coś więcej niż podziw. Hauptman nie był typem gwiazdy, wolał trzymać się w cieniu. Ale to właśnie on, między innymi, stał na świeczniku tej jawnej, wilkołaczej społeczności - rozsądny, odnoszący sukcesy biznesmen, którego firma chroniła amerykańską technologię atomową przed obcymi rękami, dobry człowiek, który przypadkowo stał się wilkołakiem. Gładki i układny, gdy przeczytać o nim w gazetach. Lecz tu, w kręgielni, ludzie patrzyli na niego inaczej. Wzbudzał w nich lęk.

Odbiór tych emocji był tak silny, jakby jakiś zwiastun nieszczęścia szeptał mi o tym wprost do ucha.

Spójrz na nich. Ujrzałam mężczyzn zasłaniających swoje kobiety, matki nerwowo zwołujące dzieci. Jeszcze chwila, a nastąpi masowy exodus - i to zakładając, że tych paru młodych mężczyzn, którzy wstawali z miejsc kilka alejek dalej, nie zrobi czegoś głupiego.

Adam nic jeszcze nie zauważył.

Uśmiechnął się przebiegle, zadowolony ze swojego rzutu - tym bardziej że obyło się bez strzaskanych kręgli i innych zniszczeń. Zbyt wiele siły może być tak samo minusem jak zbyt mało.

Popatrz w bok.

Podniosłam zieloną kulę i zerknęłam na graczy na sąsiednim torze. Podobnie jak Adam byli zbyt pochłonięci grą, żeby zauważyć poruszenie. Kilkuletni chłopiec czołgał się pod krzesłami, podczas gdy jego rodzice sprzeczali się nad tablicą wyników. Młodsza dziewczynka, chodząca słodycz w tych różowych falbankach i z nie mniej różowymi lewkami na kilkucentymetrowych, sterczących kucykach, wdrapała się na tor i bawiła przy suszarce do rąk w podajniku kul. Śmiejąc się, machała rączkami nad wylotem zimnego powietrza.

Adam poczuje się fatalnie, widząc, że ludzie wychodzą z jego powodu.

Poczułam występujący na czoło pot, choć w sali było chłodno. Zatrzymałam się w połowie drogi przed linią rzutu, czy jak tam się to nazywa, i naśladując Adama, podniosłam kulę do góry, przytrzymując ją przy piersi.

Może jest sposób, by ludzie zobaczyli w nim bohatera zamiast potwora?

Zerknęłam przez ramię, obserwując bawiącą się dziewczynkę. Jej braciszek wynurzył się spod krzesła i zaczął majstrować przy kulach na stojakach. Matka, dostrzegłszy, że chłopiec się oddalił, wstała, by go przyprowadzić.

Skupiłam wzrok na kręglach.

- Patrzysz? - zapytałam Adama. Pragnienie, by zrobić coś dla niego, było tak silne, że aż zeszywniały mi palce.

- Cały czas. A co, zamierzasz wykonać rzut wszech czasów?

Wykonałam niezgrabny gest, jakbym nigdy dotąd nie grała w kręgle. Kula wyskoczyła mi z ręki, przeturlała się przez tor i potoczyła prosto na dziewczynkę.

Stałam z pustymi dłońmi, nie mogąc uwierzyć, że to zrobiłam. Odwróciłam się, spocona, wstrząśnięta, drżąca, ale mimo że trwało to ułamek sekundy, nie dostrzegłam już całej akcji.

Adam złapał kulę dobre pół metra przed dzieckiem.

Mała popatrzyła na Adama, którego głośne lądowanie przerwało jej zabawę. Gdy ujrzała obcego mężczyznę, oczy zogromniały jej jak spodki, a usteczka wygięły się w podkówkę.

Adam nie jest wielbicielem obcych dzieci, dopóki nie staną się nastolatkami, jak mi powiedział, zdolnymi do sensownej konwersacji.

- Hej - powiedział łagodnie z zabawnie zakłopotaną miną.

Dziewczynka przyglądała mu się przez moment. Ale koniec końców była kobietką, a Adam... Adamem. Dlatego zasłoniła usta rączkami i zachichotała.

Urocze. Przesłodkie. Zawojowała go i wszyscy to widzieli.

Miniaturowa pogromczyni serc wilkołaczych pisnęła podnoszona przez ojca. Wraz z przejętą matką, do spódnicy której doczepił się chłopiec, mamrotali nieskładne podziękowania.

A ty jesteś antybohaterem tego dramatu. Biedna Mercy.

Jasne, że byłam tu czarnym charakterem. O mało nie zmiażdżyłam maleńkiego dziecka. Co ja sobie wyobrażałam? Gdyby mała cofnęła się albo gdyby Adam nie zdążył, mogła nawet zginąć.

Nie znajdowała się w niebezpieczeństwie. Nie rzuciłaś w nią, tylko obok. Nie uderzyłyby jej. Ocaliłaś go, a on nawet tego nie zauważył.

Adam popatrzył na mnie z namysłem, kiedy przenosiliśmy się tor dalej. Dla bezpieczeństwa wszystkich obecnych, choć kierownik nie powiedział tego wprost. Zaczęliśmy grę od początku, tym razem ja miałam rzucać pierwsza.

Umyślnie zepchnęłam kulę do rynny, gdzie nie mogła wyrządzić nikomu krzywdy. Nie wiem, czy zrobiłam to ze względu na obserwujących mnie ludzi, czy też dla własnego spokoju.

Pragnęłaś tylko szczęścia Adama. I patrz, jak ci za to dziękuje.

Nie oczekiwałam podziękowań za niemal sprasowanie dziecka. Potarłam czoło, jakby miało mi to pomóc rozjaśnić myśli.

Nie uderzyłyby w nią. Dopilnowałaś tego. Nawet gdyby Adam nie zdążył, przetoczyłyby się obok.

Adam obserwował mnie bacznie, ale nie mówił nic, kiedy traciłam kolejne punkty. Nie mogłam

przecież grać dobrze po tak spektakularnym wyczynie. Ktoś mógłby się zorientować, że zrobiłam to umyślnie.

Bo zrobiłam to umyślnie, prawda?

Nadal nie mogłam uwierzyć, że byłam do tego zdolna. Co się ze mną stało? Gdyby Adam wyglądał bardziej przystępnie, powiedziałabym mu o wszystkim.

On wcale nie chce słyszeć, co masz do powiedzenia na ten temat. Najlepiej siedź cicho. I tak by nie zrozumiał.

Nie przeszkadzało mi, nawet słowem o tym nie wspomniałam, że Adam ubezpieczał tor, w razie gdybym znów straciła kontrolę nad kulą. W końcu jego bohaterska akcja wyglądała lepiej, jeśli robił wrażenie świadomego, że towarzyszy mu kretynka, prawda?

Cztery kolejki później Adam zastąpił mi drogę i powiedział tak cicho, żeby nikt poza mną nie usłyszał:

- Zrobiłaś to celowo, prawda? Co ci, do diabła, strzeliło do głowy?!

Nie wiem dlaczego, bo generalnie uważałam, że ma rację, jego pytanie wywołało we mnie furję. Może to ten głos w mojej głowie?

Powinien zorientować się dużo wcześniej. Powinien rozumieć swoją partnerkę lepiej niż inni. Miałabyś się przed nim tłumaczyć? Lepiej w ogóle się nie odzywaj.

Uniosłam brwi i wyminęłam go sztywno, idąc po kulę. Czulałam się zraniona, a to podsycalo mój gniew. Byłam tak wściekła, że się zapomniałam i straciłam

wszystkie kręgle. Na tym zakończyłam swoją grę, bez słowa. Adam wygrał z ponad dwustoma punktami. Po skończonej rundzie odniósł kule na stojak, a ja zabrałam się do zmieniania butów.

Młodzi mężczyźni, już teraz pięć torów od nas, jak się okazało z bliska, nastoletni mężczyźni, zatrzymali go, prosząc o autografy. Zaniiosłam obuwie do wypożyczalni i zapłaciłam za grę.

- To naprawdę Alfa? - zaszcebiotała dziewczyna za kontuarem.

- Uhm - przytaknęłam z zaciśniętymi ustami. -Łał.

- Uhm.

Wyszłam z kręgielni, postanawiając poczekać na niego przy nowiutkim fordzie, zamkniętym zresztą. Słońce już zaszło i temperatura spadła odczuwalnie. Było chłodno dla kogoś w sukience i szpilkach. W każdym razie dla kogoś, kogo nie rozgrzewała złość.

W pierwszej chwili mnie nie zauważył, bo stałam przy drzwiach pasażera. Uniósł głowę i zaczął węszyć. Oparłam się o drzwiczki, a ruch przykuł jego uwagę. Zbliżając się, nie odrywał ode mnie wzroku.

Pomyślał, że naraziłaś dziecko tylko po to, żeby on dobrze wypadł. Nie rozumie, że nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego. Nie skrzywdziłabyś jej, rzuciłaś kulę tak, by nie trafiła w dziewczynkę. Powinien cię przeprosić.

Nie odezwałam się. Nie mogłam przecież powiedzieć, że kazał mi to zrobić głosik w głowie.

Zmrużył oczy, przyglądając mi się bacznie, ale także milczał. Odblokował drzwiczki. Otworzyłam sobie sama. Całą uwagę poświęciłam zapinaniu pasa, a potem oparłam się wygodnie i przymknęłam powieki. Zaciśnięte dłonie, leżące na kolanach, rozluźniłam, czując pod nimi znajomy kształt starego kostura.

Tak przywykłam, że pojawia się niespodziewanie, że nawet nie byłam zaskoczona. Choć po raz pierwszy czułam fizycznie, jak się materializuje. To chyba dlatego, że aktualnie bardziej przejmowałam się katastrofą, w jaką przerodziła się nasza randka.

Dotyk drewna i metalu pod palcami sprawił, że rozjaśniły mi się myśli. Nagle nie byłam już wściekła, tylko bardzo zmęczona. Marzyłam, żeby znaleźć się z powrotem w domu.

- Mercy.

Adam natomiast gniewem mógłby oddzielić nas dwoje. Słyszałam, jak zgrzyta zębami. Myślał, że rzuciłam kulą w dziecko.

Nie mogłam winić go za to wzburzenie. Zsunęłam kostur z kolan, żeby opierał się o podłogę, a kciukiem potarłam srebrne okucie. Nie wiedziałam, co mogę powiedzieć na swoją obronę, zresztą nie zamierzałam się bronić. Zachowałam się idiotycznie. A gdyby Adam nie zdążył? Zrobiło mi się niedobrze na tę myśl.

- Nie rozumiem kobiet! - wybuchnął, uruchamiając silnik i nieco zbyt gwałtownie naciskając pedał gazu.

Z całej siły zwarłam palce na kosturze Pradawnych, zacisnęłam bardziej powieki i jechałam tak aż do domu. Bolał mnie brzuch. Miał prawo się wściekać, miał prawo się denerwować.

Czułam, że coś jest bardzo, bardzo nie w porządku. Bałam się powiedzieć cokolwiek, żeby nie pogorszyć sprawy. Zanim zacznę mu tłumaczyć, musiałam najpierw sama zrozumieć, dlaczego tak postąpiłam.

W milczeniu zatrzymaliśmy się na moim podjeździe. Samochodu Samuela nie było, więc mój współ-lokator musiał wyjechać do pracy wcześniej, niż powinien. Chciałam z nim porozmawiać, bo miałam okropne podejrzenia co do dzisiejszego wieczoru. A nie mogłam gadać z Adamem, bo brzmiałoby to jak szukanie usprawiedliwienia. Potrzebowałam Samuela, a jego nie było.

Rozpięłam pas i pociągnęłam klamkę, ale Adam zablokował drzwiczki, żebym nie wysiadła.

- Musimy porozmawiać - powiedział. Bez gniewu.

Jednak znajdował się zbyt blisko. Z trudem oddychałam. I właśnie wtedy, w najgorszym z możliwych momentów ogarnął mnie kolejny atak paniki.

Z ust wyrwał mi się rozpaczliwy jęk, podkurczyłam nogi, oparłam się stopami o siedzenie i przeskoczyłam do tyłu. Szarpnęłam za drzwiczki. Też zablokowane, ale Adam szybko otworzył zamki.

Wypadłam z samochodu, roztrzęsiona, spocona, z kosturem uniesionym niczym pałka lub miecz, którym miałam się bronić przed... własną głupotą. Głupia ja. Głupia. Przeklęty Tim, przez to, co mi

zrobił, stałam teraz na środku mojego głupiego podjazdu, całkowicie bezpieczna, i głupio się trzęsłam.

Tak bardzo pragnęłam znów być dawną sobą, a nie tą kretynką, która boi się dotyku... I która słyszy w głowie głosy każące jej rzucać kulami kręgielnymi w małe dziewczynki.

- Mercy... - wyszeptał Adam. Wysiadł, obszedł samochód z tyłu. Mówił łagodnie, jakby... Nagle poczułam jego konfuzję i żal. Coś się stało, a on nie wiedział co, poza tym, że coś popsuł. Nie miał pojęcia, jak doszło do tej katastrofy.

Nie chciałam znać jego uczuć. Przez to czułam się jeszcze bardziej głupia. I bezbronna.

- Muszę wejść - poinformowałam kostur, bo na Adama nie śmiałam podnieść oczu. Gdybym na niego spojrzała, pewnie bym uciekła, a on pewnie zacząłby mnie gonić. Może kiedy indziej byłoby to miłe. Dzisiaj skończyłoby się tragedią. Zaczęłam iść bardzo powoli.

Nie poszedł za mną.

- Przyślę tu kogoś - powiedział głośno.

Bo jestem partnerką Alfy. Bo się o mnie martwi. Bo Tim zrobił mi to, co zrobił. Bo Adam czuje się odpowiedzialny.

- Nie - zaprzeczył i postąpił krok, dając mi do zrozumienia, że teraz silniejsza część więzi jest po jego stronie. - Bo cię kocham.

Delikatnie zamknęłam drzwi i oparłam się o nie czołem.

Miałam skurczony żołądek i gulę w gardle, miałam ochotę wrzeszczeć, uderzyć kogoś, ale ścisła-

łam tylko kostur w dłoniach, aż rozboleły mnie palce, i słuchałam, jak Adam odjeżdża spod domu.

Popatrzyłam na laskę. Niegdyś, możliwe, że teraz także, sprawiała, że owce należące do jej właściciela rodziły bliźniacze jagnięta. Lecz została stworzona bardzo dawno temu, a stara magia z czasem może się zmieniać w dziwacznych kierunkach. Kostur stał się czymś więcej niż tylko artefaktem o zastosowaniu hodowlanym. Ale czym? Tego nie wiedział nikt. Znany był tylko fakt, że wciąż pojawiał się przy mnie.

Może to przypadek, że po całym zamieszaniu w kręgielni poczułam się sobą dopiero w momencie, kiedy go dotknęłam. A może nie?

W ciągu tych kilku lat znajomości z Adamem nieraz się kłóciliśmy. Pewnie było to nie do uniknięcia, biorąc pod uwagę, kim byliśmy - on samcem Alfa, i dosłownie, i w przenośni, a ja... kobietą wychowaną wśród wielu takich jak on, kobietą, która nie chciała im się podporządkować bez względu na rodzaj i przyczyny kontroli, jaką chcieli nade mną sprawować. Jednak po żadnym ze spięć nie czułam się tak jak teraz. Zwykle sprzeczki dodawały mi animuszu, rozweselały. Ta zostawiła po sobie uczucie odrazy i przerażenia.

Oczywiście zazwyczaj to ja prowokowałam kłótnie, a nie ktoś ze stada, kto wykorzystywał więź, żeby mieszać mi w głowie.

Mogłam się mylić. Może to była jakaś nowa reakcja w walce ze wspomnieniami o martwym na całe szczęście Timie? Zupełnie jakby przebłyski przeszłości i ataki paniki nie wystarczały.

Ale teraz, kiedy zamieszanie minęło, zostawiło po sobie posmak związku ze stadem. Nie słyszałam, żeby gromada mogła w ten sposób wywierać na kogoś wpływ, jednak jeszcze wielu rzeczy związanych z magią stada nie wiedziałam albo ich nie rozumiałam.

Chwilowo nie czułam się dobrze w swojej skórze, pragnęłam się wyzwolić od gromady i więzi partnerskiej, która dawała dostęp do mnie nie tylko Adamowi. Na szczęście mogłam coś z tym zrobić. Może nie całkiem pozbyć się magii, ale zrzucić chwilowo ludzką skórę i popędzić przed siebie, oczyścić głowę i rozjaśnić myśli.

Musiałam wybadać dokładnie, co stało się dzisiejszego wieczoru. Odległość nie zapewniała mi odosobnienia, ale czasem osłabiała więź pomiędzy mną i Adamem, a co za tym idzie - pomiędzy mną a stadem. Musiałam się pospieszyć z realizacją planu, zanim pojawią się tu strażnicy przysłani przez Adama. Z pewnością nie pozwolą mi biegać w samotności.

Nie zawracając sobie głowy pójściem do sypialni, rozebrałam się tam, gdzie stałam. Odkładając kostur, czułam silną niechęć, a to oznaczało, że już przekonałam samą siebie do jego dobroczynnego wpływu, uwierzyłam, że broni mnie przed obcym oddziaływaniem.

Odczekałam chwilkę, gotowa w każdej chwili chwycić laskę ponownie, ale głosy w głowie nie odezwały się. Albo straciły zainteresowanie ze względu na nieobecność Adama, albo osiągnęły swój cel. Chyba że odległość rzeczywiście okazała się waż-

nym czynnikiem. Tak czy owak, musiałam zostawić kostur w domu, bo kojot biegający z wielkim kijem w zębach zwracałby zbyt wiele uwagi.

Z ulgą wśliznęłam się w kojocią formę. Na czterech łapach natychmiast poczułam się bezpieczniej, pewniejsza, zrównoważona. Głupio, bo nigdy nie zauważyłam, że zmiana kształtu wywiera jakiś skutek na więź czy to z Adamem, czy ze stadem. Ale teraz gotowa byłam chwycić się czegokolwiek, co poprawiało moje samopoczucie.

Wydostałam się przez psie drzwiczki, które Samuel zainstalował w tylnych drzwiach.

Noc pachniała inaczej niż wcześniej, wszystko stało się wyraźniejsze. Jako kojot odbierałam znacznie więcej informacji niż w ludzkiej formie. Docierał do mnie zapach świstaka, kryjącego się w norze nieopodal, i nietoperzy gnieźdzących się pod powalą garażu.

Księżyc znajdował się w kwadrze, szeroki sierp był pomarańczowy nawet dla oczu kojota, słabo reagujących na kolor. W powietrzu nadal unosił się pył po ostatnich żniwach.

Z oddali nadchodził wilkołak w wilczej formie.

Ben. Ucieszyłam się, że to on. Darryl wyczułby mnie, ale Ben wychował się w Londynie i mieszkał tam jeszcze półtora roku temu, więc łatwiej go oszukać.

Zamarłam, opierając się pokusie przypadnięcia do ziemi. Ruch na pewno zwróciłby uwagę, a barwa mojej sierści pozwala wtopić się w pustynne otoczenie.

Ben nawet nie spojrzał w moją stronę i kiedy tylko zniknął za rogami, kierując się na mój ganek, śmignęłam w wysokie, suche trawy.

Zmierzałam w stronę rzeki, na kamienistą plażę, na której mogłabym pobyć sama, kiedy z naprzeciwka wyskoczył zając. Jego widok uświadomił mi, jaka jestem głodna.

Zjadłam bardzo sutą kolację, nie powinnam być głodna. A już na pewno nie tak bardzo. Wprost umierałam z głodu. Coś było nie tak.

Odsunęłam tę myśl, rzucając się w pogoń. Nie udało mi się pochwycić tego zająca, ale innego, owszem. Obgryzłam go do gołych kości. I nadal czułam głód. Polowałam jeszcze z pół godziny, aż natknęłam się na przepiorą.

Nie lubię zabijać przepiórów. Widok ich sterczących zabawnie czubów zawsze wywołuje u mnie uśmiech. Poza tym to głupie ptaki, nie mają szans z kojotem, w każdym razie nie ze mną. Choć z drugiej strony nie mogą być aż tak bezbronne, skoro nie jestem jedynym kojotem w okolicy, a przepiórów jest cała masa. W każdym razie mam wyrzuty sumienia, gdy je zabijam.

Po drugim posiłku zajęłam się obmyśleniem, co zrobię sprawcy tak wielkiego głodu, który zmusił mnie do zjedzenia ptaka.

Stado może czerpać energię od poszczególnych członków, pożyczając ją. Nie byłam pewna, jak to działa, ale widziałam efekty na własne oczy. To dzięki temu między innymi Alfa po objęciu przy-

wództwa dysponował o wiele większą siłą niż wcześniej.

Przed przystąpieniem do gromady niczego takiego nie doświadczyłam, więc się tym nie przejmowałam. Nikt nie mógł włamać się do mojego umysłu i przekonać, że rzucenie kulą kręgielną w dziecko to taki świetny pomysł. Ani sprawić, że wyładowałam frustrację na Adamie.

Po posiłku syta kontynuowałam wędrówkę już bez przygód.

Nie wiem, czy ten kawałek rzeki stanowił czyjąś własność. Najbliższe ogrodzenie znajdowało się jakieś sto metrów od kamienistej plaży, a dom jeszcze dalej. Wokół leżało kilka puszek po piwie i gdyby było cieplej, pewnie natknęłabym się tu na ludzi.

Wdrapałam się na wielki głaz i skupiłam, usiłując wyczuć stado bądź Adama. Byłam sama. Tylko ja, rzeka, a w oddali na wzgórzach Horse Heaven światełka z farm wiatrowych.

Dzięki opatrzości.

Dopiero upewniwszy się, że Alfa nie usłyszy moich myśli, pozwoliłam sobie na rozważania na temat tego, że taka obecność innej osoby w głowie jest naprawdę straszna. Nawet jeśli to Adam, ukochany. Nie chciałam, żeby wiedział, jakie uczucia to we mnie wywołuje.

Trochę to pokręcone, bo przecież bezproblemowo zaakceptowałam naturę Adama, natomiast on, choć był wilkołakiem już na długo przed moim urodzeniem, miał z tym kłopot. W przeciwieństwie do mnie nie zdziwi go, że jestem przerażona najwięk-

szym darem, jaki jeden wilk mógł ofiarować drugiemu, ale zrani na pewno, i to bardzo. A ja za jakiś czas przywyknę - nie mam wyjścia, jeśli chcę z nim być.

Łatwiej byłoby, gdybym musiała się zmagać z więzią dotyczącą tylko mnie i Adama. Jednak on włączył mnie również do stada, więc kiedy połączenie działało prawidłowo, czułam wszystkich członków gromady. I najwyraźniej za pomocą tegoż połączenia członkowie stada mogli wysysać ze mnie energię i sprawiać, bym kłóciła się z Alfą.

Teraz, w spokoju i samotności, potrafiłam racjonalniej ocenić, jak do tego doszło - tu zygnięcie, tam popchnięcie... Zrobiłabym wiele, by chronić Adama przed zranieniem, ale na pewno nie naraziłabym niewinnej osoby. A zacięte milczenie nigdy w życiu nie było moją odpowiedzią na zarzuty. Każdy, kto nadeptnie mi na odcisk, bardzo wyraźnie słyszy, że to zrobił. Chyba że nie zwraca na mnie uwagi, wtedy podstępnie udaję uległość, by ukąsić znieńacka. Milczenie, ciche dni były bronią byłej żony Adama.

Ktoś usiłował nas poróżnić.

Ale kto? Stado? Jego część? Czy to celowe działanie, czy raczej gromada tak mnie nienawidziła, że wszelkimi sposobami starała się pozbyć? Ale najważniejsze, w każdym razie dla mnie, jak mogę zapobiec czemuś takiemu w przyszłości?

Musi istnieć jakiś sposób. Pewnie gdybym była wilkołakiem, mogłabym wpływać na stado tak samo jak ono na mnie. Alfy miały większą kontrolę nad grupą niż jej członkowie. Stado działało bardziej

jak sekta, a mniej jak banda naładowanych testosteronem bestii, trzymany w ryzach lękiem przed śmiercią od kłów przywódcy. Inaczej wilkołaki szybko by się pozabijały.

Potrzebowałam Samuela, chciałam zapytać go, jak te sprawy naprawdę się mają. Adam pewnie wiedział, ale potrzebowałam wprowadzenia, żeby odpowiednio przedstawić mu problem.

Gdyby Adam dowiedział się, że ktoś należący do jego stada usiłuje pogrywać sobie z moim umysłem... Hm, nawet nie wiedziałam, jakie zasady panują w tym względzie. I właśnie o to chciałam wypytać Samuela. Bo jeśli ktoś ma za to ponieść śmierć, chcę wiedzieć, zanim pociągnę za sznurki. Jeśli ktoś ma za to zginąć, wolę trzymać buzię na kłódkę i wymyślić odpowiednią karę we własnym zakresie.

Czyli musiałam poczekać na Samuela, a tymczasem trzymać się kostura z nadzieją, że to pomoże.

Jeszcze przez chwilę siedziałam na głazie, patrząc na rzekę, lecz wiedziałam, że jeśli wkrótce nie wrócę, Ben zorientuje się, że mnie nie ma, i podniesie alarm. A nie miałam nastroju na spotkanie z całym stadem wilkołaków.

Podniosłam się, przeciągnęłam i pobiegłam do domu.

Kiedy dotarłam do bungalowu, Ben krążył niespokojnie przed tylnym wejściem. Na mój widok zamarł. Wyczuwał, że coś nie gra, ale dopóki mnie nie zoba-

czył, nie był pewien, czy jestem w środku, czy nie. Jego górna warga uniosła się, jednak z gardła nie dobył się warkot. Ben zawisł na chwilę pomiędzy samczym instynktem obronnym a świadomością, że przewyższam go w hierarchii.

Język ciała może być czasem bardziej wymowny niż głos.

Jego frustracja, jego problem. Ignorując Bena, prześliznęłam się przez drzwiczki dla psów - zbyt małe dla wielkiego wilka - i skierowałam wprost do sypialni.

Przemieniłam się, założyłam czystą koszulkę i bieliznę, po czym wskoczyłam do łóżka. Nie było jeszcze bardzo późno. Randka nie trwała długo, przebieżka też. Ale ranek i tak zbliżał się zbyt szybko, a ja musiałam być świeża i wypoczęta. Czekala mnie robota przy samochodzie, a co ważniejsze, rozmowa z Samuelem, którą musiałam przeprowadzić tak, żeby ten nie przekazał Adamowi, o co wypytywałam.

A może lepiej skonsultować się z Branem? Po chwili uznałam, że to świetny pomysł.

Obudziłam się ze słuchawką przy uchu. Z głośniczka wydobywał się głos przemawiający po walijsku. Przez moment myślałam, że zabrałam się do realizacji mojego planu przed zaśnięciem. Tyle że to nie miało sensu. Przecież Bran nie mówiłby do mnie po walijsku, a już na pewno nie przez telefon, przez który dużo trudniej zrozumieć obcy język.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie dzwonek telefonu. Musiałam odebrać jeszcze w półśnie... Tyle że to nie wyjaśniało języka...

Mrugając, zerknęłam na zegarek. Spałam niecałe dwie godziny. I nagle rozpoznałam głos w słuchawce.

- Samuel? Dlaczego mówisz do mnie po walijsku? Nie rozumiem. Mów wolniej. I używaj krótkich słów. - To taki żarcik. W walijskim nie ma chyba żadnych krótkich słów.

- Mercy - wydyszał.

Serce zabiło mi mocniej i szybciej, jakbym przeczuwała złe wieści. Usiadłam.

- Samuel? - powtórzyłam do ciszy po drugiej stronie.

- Przyjedź...

Mamrotał wyrazy, jakby ledwo co mówił po angielsku, a przecież znał ten język dużo dłużej niż ja z moimi trzydziestoma wiosnami życia.

-Już jadę. - Sięgnęłam po dzinsy. - Gdzie?

- W składziku przy rentgenie - ledwie wydukał. Domyśliłam się, że mówi o kanciapce przy izbie przyjęć w szpitalu Kennewick General, gdzie pracował.

- Zaraz będę. Rozłączył się bez słowa.

Działo się coś bardzo złego. Ale cokolwiek to było, dobrze, że czekał w składziku, z dala od oczu ludzi. Gdyby wiedzieli, że jest wilkołakiem, nie musiałyby się już ukrywać.

W przeciwieństwie do Adama Samuel nie przyznał się oficjalnie do wilkołactwa. Nikt nie pozwoliłby wilkołakowi praktykować w medycynie... Co zresztą miało swój głęboki sens. Mało który wilkołak jest w stanie znieść ciągłą woń krwi i strachu. Ale Samuel był lekarzem od bardzo dawna. I to bardzo dobrym lekarzem.

Wybiegając z domu, potknęłam się o siedzącego na ganku Bena. Zaskoczona straciłam równowagę i spadłam ze schodków, lądując na żwirze.

Wiedział, że wychodzę, nie starałam się tego ukryć. Mógł usunąć się z drogi, lecz tego nie uczynił. Może celowo ustawił się w ten sposób. Nie drgnął nawet, kiedy na niego spojrzałam.

Rozpoznałam tę minę, mimo że wcześniej jej nie widywałam. Byłam kojotem, wybranką jego Alfy, kimś tego niegodnym w jego mniemaniu.

- Słyszałeś na pewno o dzisiejszej sprzeczce? -zagadnęłam.

Położył uszy i oparł pysk na przednich łapach.

- W takim razie powinieneś też wiedzieć, że ktoś wykorzystuje więź, żeby mieszać mi w głowie. -Miałam trzymać to w tajemnicy, dopóki nie porozmawiam z Samuelem, ale upadek ze stopni wytrącił mnie z równowagi.

Zamarł, a jego postawa znamionowała nie tylko niedowierzanie, ale wręcz zgrozę.

A więc to możliwe. Szlag. Szlag. Szlag. A miałam nadzieję, że nie, że sobie to wymyśliłam. To ostatnie, czego mi było trzeba.

Czasami odnosiłam wrażenie, jakby obie więzi, i ta partnerska, i ta stadna, starały się jedna przez drugą zagarnąć moją duszę. A choć takie porównanie to tylko przenośnia, efekty były równie przerażające, jak gdyby działa się to naprawdę. Świadomość, że ktoś wykorzystuje ten bajzel, żeby mną manipulować, była jak cholerny lukier na torcie.

Na szczęście miałam coś do zrobienia, co pozwalało mi oderwać myśli od tego koszmaru. Podniosłam się i otrzepałam.

Zamierzałam porozmawiać o moim kłopotcie z Adamem bezpośrednio, ale taki scenariusz też miał plusy. Dobrze, żeby Adam dowiedział się, że część stada... aktywnie wyraża swoją niechęć do mnie. A jeśli Ben mu o tym powie, Adam nie wejdzie do mojego umysłu i nie odkryje, że problem tkwi nie tylko w przejmowaniu kontroli nad moimi myślami, ale też jakie uczucia budzą we mnie same więzi, i stadna, i partnerska.

- Przekaż Adamowi, co ci powiedziałam - kazałam Benowi.

Wiedziałam, że to zrobi. Ben był okropny i odpychający, ale był też prawie przyjacielem - podobne koszmarnie przeżycia łączą ludzi.

- Przepróż go w moim imieniu i powiedz, że zamierzam się chwilowo przycząić... - Adam zrozumie, że chodzi o trzymanie się z dala od gromady - dopóki nie wymyślę, co z tym zrobić. A teraz jadę po Samuela, więc kończysz swój dyżur.

ROZDZIAŁ 3

Podjechałam moim wiernym Królikiem pod szpital i zatrzymałam się na parkingu oddziału ratunkowego. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin.

Cały wic swobodnego poruszania się po szpitalu polega na zachowaniu pewnego kroku, kłanianiu się ludziom, których się zna, i ignorowaniu nieznajomych. Ukłony upewniają wszystkich, że nie jest się obcym, a rażny krok, że przyszło w konkretnej sprawie i nie ma czasu ani ochoty na pogaduszki. W moim wypadku pomagało jeszcze to, że znała mnie większość pracowników oddziału.

Przez podwójne drzwi wiodące do sali pierwszej pomocy dobiegł mnie płacz dziecka - przesycony żalem, smutkiem i zmęczeniem. Wchodząc, skrzywiłam się, przytłoczona szpitalnymi zapachami i ogłuszona hałasem.

Pisząca na tablicy pielęgniarka odwróciła ku mnie głowę, a jej oficjalna mina złagodniała w uśmiechu.

Znałam ją z widzenia, choć nie wiedziałam, jak jej na imię.

- Mercy! - Najwyraźniej ona świetnie znała moje. - Więc jednak doktor Cornick zadzwonił po ciebie? Nareszcie. Już kilka godzin temu mówiłam, że powinien wracać do domu, ale to okropnie uparty człowiek, a przecież nie mogę się kłócić z lekarzem. W końcu to oni tu rządzą - jej ton wyraźnie sugerował, że powinno być inaczej.

Bałam się cokolwiek mówić, żeby nie wyciągnąć jakieś istotnej cegiełki z opowieści zbudowanej przez Samuela w celu wyjaśnienia potrzeby wcześniejszego powrotu do domu. Zdecydowałam się poprzestać na czymś neutralnym.

-Jest lepszy w pomaganiu niż przyjmowaniu pomocy.

-Jak to facet - uśmiechnęła się pielęgniarka. -Pewnie nie chciał się przyznać do rozbicia samochodu. Kocha to cacko jak dziewczynę.

Chyba gapiłam się na nią bezmyślnie. Nie miałam bladego pojęcia, o czym mówi.

Rozbił samochód? To znaczy, że miał wypadek? Samuel? Krakę? Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Niektóre wilkołaki nie były najlepszymi kierowcami, bo łatwo je rozproszyć, ale Samuel z pewnością do nich nie należał.

Musiałam dostać się do Samuela, zanim chlapnę coś głupiego.

-To ja już lepiej...

-Miał szczęście, że skończyło się tak, jak się skończyło - podjęła i odwróciła się, żeby dalej pi-

sać na tablicy. Najwyraźniej nie przeszkadzało jej to kontynuować pogawędki. - Mówił pani, jak niewiele brakowało do tragedii? Policjant, który go przywiózł, twierdził, że doktor omal nie wpadł do wody. A to był most Vernita, wie pani, ten na trasie dwadzieścia cztery w Hanford Reach? Zginąłby, gdyby spadł, tam jest bardzo wysoko.

Co, do diabła, Samuel robił na moście, na starej autostradzie w Hanford? To po drugiej stronie Tri-Cities, całkiem nie po drodze do szpitala czy domu. Może też potrzebował się wybiegać, a w Reach jest mało ludzi, za to masa susłów. Przecież nie ma obowiązku opowiadać mi się za każdym razem, gdy ma ochotę zapolować. Nie jestem jego niańką.

- Nie wspomniał o żadnym zagrożeniu - powiedziałam ostrożnie i postanowiłam wykorzystać małe kłamstwo, by pociągnąć pielęgniarkę za język. - Myślałam, że chodziło tylko o samochód.

- Cały doktor Cornick! - prychnęła. - Strasznie się bronił, nie pozwolił się zbadać. Dał sobie powyjmować odłamki szkła, ale widziałam, jak się porusza. Jestem pewna, że uszkodził sobie żebra. I kuleje.

- Nie wspomniał, że jest aż tak źle. - Zrobiło mi się niedobrze z nerwów.

- Wydostał się przez przednią szybę i wisiał na masce. Jack, ten policjant, mówił, że doktor musiał być w szoku po wypadku, bo przemieszczał się nie w tę stronę, co trzeba. Gdyby nie Jack, spadłby do rzeki.

Wtedy zrozumiałam, co się wydarzyło.

- Kochaniutka? Kochaniutka, słabo ci? Spokojnie, usiądź tutaj.

Przysunęła krzesło. Po chwili siedziałam z głową pomiędzy kolanami, przytrzymywana przez pielęgniarkę. Dzwoniło mi w uszach.

Przez moment znów miałam czternaście lat. Słyszałam głos Brana, który mówił mi coś, o czym już wiedziałam. Bryan, mój opiekun, nie żył. Jego ciało wyłowiono z rzeki. Popełnił samobójstwo po śmierci swojej towarzyszki, a mojej matki zastępczej.

Wilkołaki nie umierają tak łatwo, więc mają niewielki wybór, jeśli chodzi o samobójstwo. Podczas rewolucji francuskiej gilotyny straciły na popularności, zatem samodekapitacja nie jest już taka prosta.

Srebrne kule również nastęrczają pewnych problemów. Srebro jest twardsze od ołowiu, czasem pociski przebijają tkanki na wylot, powodując ból, zniszczenia, ale nie śmierć. Zastrzyki ze srebra działają znacznie lepiej, ale trzeba je odpowiednio podać, inaczej agonia trwa długo. Jeśli w tym czasie jakiś samarytanin wyssie truciznę, cała męka idzie na marne.

Najpowszechniej stosowaną metodą jest śmierć z rąk innego wilkołaka. Z tym że to raczej nie wchodziło w grę w przypadku Samuela, bo mało kto mógł się z nim mierzyć, a ci, którzy mogli... Wystarczy rzec, że nie chciałabym oglądać walki pomiędzy Samuelem a Adamem. Samobójcy nie szukali szansy, a pewnej śmierci.

Po walce z silniejszym przeciwnikiem następnym w kolejności popularnym wyborem jest utopienie. Wilkołaki nie umieją pływać. Ich ciała są zbyt ciężkie, zbite, a nawet wilkołaki muszą oddychać.

Wiedziałam nawet, dlaczego wybrał to miejsce. Kolumbia to największa rzeka w okolicy, ma blisko dwa kilometry szerokości i jest bardzo głęboka. Trzy główne mosty, Blue Bridge, most podwieszany i most na trasie międzystanowej, posiadają podwójne bariery zabezpieczające. Poza tym panuje na nich spory ruch, nawet nocą, więc zawsze znajdzie się ktoś, kto podejmie próbę ratowania samobójcy, a utonięcie zajmuje parę minut.

Most, który wybrał Samuel, nie jest zbyt uczęszczany i został zbudowany, jeszcze zanim zaczęto projektować je tak, by nawet idioci mieli problem ze spadnięciem. W tym miejscu rzeka się zwęża, jest głębsza, a nurt bardziej wartki. Wysokość zaś zapiera dech.

Widziałam obraz oczyma wyobraźni. Samuel na masce samochodu, podbiegający policjant. Czysty przypadek, szczęśliwy, że jechał tamtędy akurat stróż prawa. Kto inny z obawy o własne życie mógłby zostawić tak Samuela, pozwolić mu utonąć, ale policjant rzucił się na ratunek. Ryzykował dla Samuela.

Nie, Samuel nie skoczyłby przy policjancie.

Choćby nie wiem jak bardzo tego pragnął.

Zawroty głowy i mdłości zaczęły ustępować.

„Powodzenia” - powiedział, kiedy wychodziłam na pechową randkę. Nie życzył mi dobrej zabawy na spotkaniu, ale szczęścia na całe życie.

Bałwan. Czułam, jak w gardle wibruje mi warkot, i musiałam się wysilić, by go zdławić.

- Nic mu nie jest - uspokajała mnie pielęgniarzka. Podniosłam głowę i dopiero wtedy zauważyłam pla-

kietkę z imieniem Jody. - Wyjęliśmy całe szkło, a nawet jeśli porusza się sztywno, to nie jest połamany, inaczej nie wytrzymałoby tak długo. Powinien iść do domu, ale nie chciał. Nie odmówił wprost, ale wie pani, jaki jest. Niby nie powiedział „nie”, ale odesłał mnie i nie powiedział też „tak”. Wiedziałam.

- Przepraszam. - Wstałam powoli, żeby się nie zachwiać. - Zaskoczyło mnie to. Znamy się tak długo, a on nawet się nie zająknął, że jest tak źle.

- Pewnie nie chciał pani przestraszyć.

- Tak, zawsze liczy się z innymi. - Już ja się z nim porachuję. Sama go zamorduję i wybawię z kłopotu odbierania sobie życia.

- Wspomniał, że znajdzie jakieś spokojne miejsce i chwilę odpocznie. - Jody potoczyła wzrokiem, jakby oczekując, że Samuel pojawi się nagle przy nas.

- Tak, mówił, że jest w magazynku przy rentgenie.

- Faktycznie, to spokojne miejsce. - Zachichotała. - Wie pani, jak tam trafić?

Uśmiechnęłam się, co jest prawdziwym wyzwaniem, gdy w wyobraźni właśnie obdziera się kogoś ze skóry.

- Tak, dziękuję. - Nie przestając się uśmiechać, ruszyłam dziarsko pomiędzy parawanami, zza których dobywał się zapach krwi i bólu, kłaniając się każdemu z personelu, kto wydał mi się znajomy. Przynajmniej dziecko przestało płakać, kwiliło już tylko.

Samuel usiłował popełnić samobójstwo.

Zapukałam do drzwi kanciapki i otworzyłam. Na półkach piętrzyły się białe tekturowe pudła z dokumentacją poukładane w złudnym porządku, jakby gdzieś istniał ktoś, kto potrafił tu coś znaleźć.

Samuel siedział na podłodze oparty o regał. Miał na sobie zielony strój chirurga, a na tym biały fartuch. Ręce miał złożone na kolanach, bezwładne, głowę zwieszoną. Nie podniósł jej nawet, kiedy weszłam, ani wtedy, gdy zamknęłam za sobą drzwi, i zaczął mówić.

Myślałam, że to ze wstydu lub dlatego, że wiedział, jaka jestem wściekła.

- On próbował nas zabić - usłyszałam. Serce mi stanęło, a potem zaczęło bić jak oszalałe. Myślałam się co do powodów, dla których nie patrzył na mnie. Bardzo się myliłam. Ten „on”, o którym mówił, odnosił się do Samuela. To oznaczało, że „on” już nie sprawował kontroli. Rozmawiałam z wilkiem Samuela. Runęłam na kolana, pilnując, by moja głowa znalazła się niżej niż głowa wilkołaka. Samuel człowiek ignorował naruszenia etykiety, których nie przegapiłby wilk. Zaś ten, jeśli spojrzałby na mnie z dołu, musiałby uznać moją wyższość lub wszcząć walkę.

Zamieniam się w kilkunastokilogramowego drapieźnika zdolnego polować na kurczaki i zające. I biedne, głupiutkie przepióry. Wilkołak potrafi pokonać niedźwiedzia brunatnego. Nie jestem żadnym wyzwaniem dla takiej bestii.

- Mercy - wyszeptał, unosząc głowę. Pierwsze, co dostrzegłam, to skaleczenia. Przypomniałam sobie, że Jody mówiła o wyciąganiu odłam-

ków szkła. Fakt, że ranki jeszcze się nie zasklepiły, oznaczał, iż odniósł o wiele poważniejsze obrażenia, na których jego ciało skupiło się w pierwszej kolejności. Świetnie - coś na osłodę jego nastroju.

Oczy wilka były lodowato błękitne, nieomal białe, dzikie.

Natychmiast odwróciłam wzrok i wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Sam, czy mogę coś dla ciebie zrobić? Może zadzwonię do Brana?

- Nie! - ryknął, podrywając się. W sekundzie stał na czworaka, z jednym kolaniem uniesionym jak przy kucaniu, z drugim wspartym na podłodze, jakby klęczał.

Pozycja tej drugiej nogi świadczyła, że nie był jeszcze całkiem gotów rzucić się na mnie.

- Ojciec nas zabije - rzekł powoli z wyraźnym walijskim akcentem. - Nie chcę... Nie chcemy, by to zrobił. - Odetchnął głęboko. - Nie chcę umierać.

- To dobrze. Bardzo dobrze - wychrypiałam, pojmując wreszcie, co oznaczały pierwsze słowa, które do mnie skierował. Samuel pragnął śmierci, a jego wilk go powstrzymał. To z jednej strony dobrze, ale z drugiej stanowiło pewien dość paskudny problem.

Nie bez przyczyny Marrok zabijał każdego wilkołaka, nad którym kontrolę przejmował wilk. Miał ku temu ważne powody, powód główny - zapobiec masowym mordom.

Jednak w tej sytuacji, kiedy to wilk powstrzymywał Samuela przed samobójstwem, to lepiej, że on

stał u steru. Szczególnie że na razie nie wykazywał morderczych zapędów wobec mnie. Samuel był bardzo stary. Nie wiedziałam, ile dokładnie miał lat, ale pochodził na pewno jeszcze sprzed czasów Mayflowera. Może to właśnie umożliwiło wilkowi panowanie bez udziału Samuela? Może.

- Dobrze, Sam, żadnych telefonów do Brana. Obserwowałam kątem oka, jak przekrzywia głowę i mierzy mnie wzrokiem.

- Mogę udawać człowieka, dopóki nie wsiądziemy do samochodu. Pomyślałem, że tak będzie lepiej, dlatego zachowałem tę formę.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Co zrobiłeś z Samuelem? Co z nim? Jasne oczy otaksowały mnie uważnie.

- Samuel? Myślę, że zapomniał, co potrafię. Dawno już nie walczyliśmy o kontrolę. Pozwalał mi być sobą, kiedy on tego chciał, a ja zostawiłem decyzję jemu. - Przez chwilę milczał, a potem powiedział prawie że nieśmiało: - Ty wiesz, kiedy tu jestem. Nazywasz mnie Samem.

Rzeczywiście. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki o tym nie wspomniał.

- Sam - starałam się nadać głosowi ton prośby, nie żądania - co zrobiłeś z Samuelem?

- Jest tu, ale nie mogę pozwolić mu wyjść. Jeśli oddam mu panowanie, nie pozwoli mi go ponownie przejąć, a wtedy... umrzemy.

„Nie mogę pozwolić” zabrzmiało jak „już nigdy nie pozwolę”, a „nigdy” ma groźny wydźwięk. „Nigdy” jest w sumie równoznaczne z samobójstwem...

I pewnie połączonym przy okazji ze śmiercią innych osób.

-Jeśli nie Bran, to może Anna? Towarzyszka Charlesa. Jest Omega, może ona będzie mogła pomóc?

Z tego, co wiedziałam, wilki Omegi działały na wilkołaki jak valium. Bratowa Samuela była jedyną Omega, jaką znałam. Wcześniej nawet nie wiedziałam o istnieniu takich wilków. Lubiłam ją, ale raczej nie miała na mnie takiego wpływu jak na wilki. Nie czułam nigdy ochoty lec u jej stóp i wystawiać brzuch do drapania.

W oczach wilka Samuela widniała tęsknota... A może tylko był głodny?

-Nie. Pomogłaby, gdybym szalał po okolicy, mordując, co popadnie. Ale nie kieruje mną impuls, desperacja. Samuel czuje się na tym świecie nie na miejscu, uważa, że nic już nie osiągnie, że jego życie nic nie zmieni. Nawet Omega temu nie zaradzi.

- Co w takim razie proponujesz? - zapytałam bezradnie.

Anna pewnie pomogłaby Samuelowi przejąć ster, ale podobnie jak wilk, obawiałam się, że to zły pomysł.

Roześmiał się niewesoło.

-Nie wiem. Jeśli nie chcesz wyprowadzać przez szpital wilka, to lepiej się pospieszmy.

Zaczął się podnosić, ale zamarł z jękiem.

-Jesteś ranny - powiedziałam, wstając, i wyciągnęłam rękę.

Zawahał się, lecz przyjął pomoc i wsparł się na moim ramieniu. Okazując przy mnie słabość, jednocześnie okazywał, że mi ufa. W normalnych okolicznościach to zaufanie oznaczałoby, że jestem przy nim bezpieczna.

- Obolały - poprawił mnie Sam. - Szybko się zagoi. Skorzystałem z twojej energii, żeby nikt się nie dowiedział, jak poważnie jestem ranny.

- Jak to zrobiłeś? - zdumiałam się, przypominając sobie nagły głód, którego efektem była zajęczo-przepiórowa przekąska po sutej kolacji z Adamem. A myślałam, że to sprawka kogoś ze stada. I miałam podstawy, by tak uważać, bo możliwość korzystania z siły innych członków gromady przychodzi właśnie wraz z więzią stadną. - Przecież nie jesteśmy stadem.

Spojrzał mi prosto w oczy, po czym odwrócił wzrok.

- Nie jesteśmy?

- No chyba że... Chyba że Samuel przeprowadził ceremonię krwi, kiedy spałam...

Poczułam wzbierającą falę paniki. Zrobiło mi się duszno. Już i tak Adam oraz jego stado mieszały mi w głowie, nie potrzebowałam tam kolejnych osób.

- Stado istniało, zanim wymyślono ceremonie - rzekł Sam rozbawiony. - Magia wiąże wyraźniej, owszem, na różnych płaszczyznach, ale nie silniej.

- To ty siedziałeś mi w głowie, gdy byłam na randce z Adamem? - nie udało mi się uniknąć oskarżycielskiej nuty w głosie.

- Nie. - Przyjrzał mi się uważnie i warknął. -Ktoś cię skrzywdził?

- Nie, nie. To nic.

- Kłamiesz.

- Owszem. Ale jeśli to nie ty, rozwiązanie tej sprawy należy do mnie i Adama.

Milczał przez moment.

- Do czasu - oświadczył wreszcie. Otworzyłam mu drzwi i trzymałam się blisko,

kiedy szliśmy przez oddział.

Przez cały ten czas Sam nie spuszczał ze mnie wzroku. Ciężko mi to, ale nie protestowałam. Zachowywał się tak, żeby nikt nie zauważył zmiany koloru jego tęczy, a nade wszystko dlatego, że jeśli kontrolę wilkołaka przejmuje wilk, w dodatku tak dominujący jak wilk Samuela, nawet ludzie gną przed nim karki, jeśli napotkają jego spojrzenie. Trudno byłoby wyjaśnić takie zachowanie obecnym. Na razie trzymaliśmy się nadziei, że Samuelowi zależałoby na tym, by tu wrócić i znów wykonywać praktykę.

Pomagając Samowi wsiąść na tylną kanapę, zauważyłam leżącą tam księgę, wciąż owiniętą w ręcznik. Liczyłam, że oddanie jej właścicielowi zakończy moje problemy. Wcisnęłam ją głębiej, żeby nic jej się nie stało, i wskoczyłam za kierownicę, aby jak najszybciej wyjechać z rzęsiście oświetlonego parkingu szpitala. Do świtu zostało jeszcze trochę, ale Samuel nie był ułomkiem i trudno byłoby nie dostrzec, że rozbiera się w moim małym samochodzie.

Błyskawicznie pozbył się fartucha i zaczął przemieniać. Nie patrzyłam, ale zorientowałam się po odgłosach - trzask rozrywanej tkaniny przeszedł w bolesne skamlenie. Przemiana to jeden z wielu powodów, dla których cieszę się, że jestem zmien-nokształtną, a nie wilkołakiem. Dla mnie zmiana formy w jedną czy drugą stronę jest natychmiastowa, a efekty uboczne nie wykraczają poza łaskotanie. Dla wilkołaków przemiana jest powolna i bolesna. Zatrzymując się na naszym podjeździe, ze stęknieniem wywnioskowałam, że jeszcze jej nie zakończył.

Bungalow nie był teraz dla niego najbezpieczniejszym miejscem. Każdy wilkołak, który go zobaczy, od razu się zorientuje, co się stało, a dom Adama -bez przerwy odwiedzany przez członków stada -znajdował się tuż za moim płotem. Nie umiałam jednak wymyślić niczego lepszego.

W końcu tak czy owak będziemy musieli powiadomić Brana. Podejrzywałam, że Samuel... Sam zdawał sobie z tego sprawę tak samo dobrze jak ja. Chciałam jednak dać mu tyle czasu, ile mogłam, licząc, że nie zacznie pustoszyć okolicy.

A to oznaczało ukrywanie go przed Adamem i stadem.

Moim stadem. Moim towarzyszem i moim własnym stadem.

Miałam wyrzuty sumienia, że tak postępuję, lecz znałam Adama i wiedziałam, jak ważne dla niego są honor i obowiązek. Dlatego właśnie darzyłam Hauptmana takim uczuciem - bo nie bał się podejmować

trudnych decyzji. Honor i obowiązek zmusiłyby go do powiadomienia Brana. Honor i obowiązek zmusiłyby Brana do odebrania życia Samuelowi. W efekcie Samuel by nie żył, a dwóch wspaniąłych ludzi cierpiało.

Na szczęście dla nich moje poczucie obowiązku i honorowość były bardziej elastyczne.

Wysiadłam z samochodu i powoli okręciłam się wokół własnej osi. Wychwyciłam zapach Bena, już zwietrzały. Poza tym tylko nietoperze, myszy i komary. Byliśmy tu najbardziej ludzkimi z nocnych istot. Światło w sypialni Adama zgasło, gdy wpatrywałam się w okna sąsiedniego budynku. Rano muszę wymyślić jakieś lepsze miejsce dla Sama.

Albo dobrą wymówkę, by unikać stada.

Otworzyłam drzwi Królika, trzymając je przed sobą niczym tarczę, na wypadek gdyby Sam był po przemianie w kiepskim humorze. Ból w trakcie transformacji źle wpływał na nastrój wilka, a Sam dodatkowo już wcześniej był obolały. Ale wyglądał całkiem nieźle, kiedy wyskoczył z samochodu. Zaczekał nawet grzecznie, aż pozamykam auto, a potem poszedł za mną do drzwi.

Zasnął w nogach mojego łóżka. Usiłowałam go przekonać, że wygodniej mu będzie we własnym, ale spojrzał na mnie wymownie błękitnawymi ślepiami.

Gdzie sypiają wilkołaki? Tam, gdzie im się podoba.

Myślałam, że będzie mi to przeszkadzało, że będę się bała. W zasadzie powinno przeszkadzać. Jednak nie potrafiłam wykrzesać z siebie energii

na przejmowanie się wielkim wilkiem zwiniętym w kłębek na moim łóżku. W końcu to Sam.

Pomimo nocnych przygód obudziłam się bardzo wcześnie.

A raczej obudziło mnie burczenie w brzuchu Sama. W tych okolicznościach karmienie go wysunęło się na wysokie miejsce listy priorytetów, wyskoczyłam więc natychmiast z łóżka i zrobiłam mu śniadanie.

Potem, ponieważ zwykle pichcę, kiedy jestem zdenerwowana lub przygnębiona - pomaga mi to myśleć, szczególnie gdy pichcę na słodko - zajęłam się pieczeniem. Na początek zrobiłam dwie blachy ciastek z masła orzechowego, a następnie, idąc za ciosem, porcję piegusków.

Sam siedział pod stołem, żeby nie przeszkadzać, i obserwował każdy mój ruch. Zjadł co prawda tonę jajecznicy z bekonem, ale i tak dałam mu parę łyżek ciasta. Podzielił się śniadaniem z Medeą, może więc był jeszcze głodny. Potem dostał na dokładkę kilka ciastek.

Właśnie pakowałam resztę wypieków do woreczków, kiedy zadzwonił Adam.

- Mercy - zaczął zmęczonym, płaskim tonem -widziałem światła. Ben przekazał mi wszystko. Mogę ci z tym pomóc.

Zwykle nadążam za Adamem, ale niecałe trzy godziny snu plus sprawa z Samem... O tym

Adam nie mógł wiedzieć. Podrapałam się po nosie. Ben. Ach. Chodzi o zepsutą przez stado randkę. No tak.

Musiałam trzymać Hauptmana z dala od siebie. Przynajmniej dopóki nie wymyślę, jak utrzymać Samuela przy życiu... A przede mną właśnie objawiła się najlepsza z możliwych wymówka.

- Dziękuję, ale chyba potrzebuję kilka dni luzu. Bez stada, bez... - Zawiesiłam głos. Nie mogłam powiedzieć, że chcę odpocząć od niego, skoro to nieprawda. Nawet przez telefon wyczułby kłamstwo. Żałowałam, że go tu nie ma. Potrafił sprawić, że rzeczy stawały się czarno-białe. Oczywiście to oznaczało, że Samuel zostałby zabity dla dobra reszty wilkołaków. Ja czasami utykałam w szarzyźnie.

- Potrzebujesz odpoczynku od stada i ode mnie -dokończył Adam. - Rozumiem. - Zamilkł na moment. - Nie zostawię cię bez ochrony.

Spojrzałam pod stół.

- Samuel ma kilka dni wolnego. - Musiałam jeszcze zadzwonić do szpitala i zawiadomić o nieobecności Samuela. Wypadek będzie świetnym usprawiedliwieniem. Tak czy owak, nie kłamałam, mówiąc, że Sam nie pójdzie do pracy przez parę dni. - Pobędzie ze mną.

- Dobrze. - Zapadła kłopotliwa cisza. - Przepraszam, Mercy - przerwał ją Adam. - Powinienem był zauważyć, że coś jest nie tak. - Przełknął nerwowo ślinę. - Kiedy moja była uznała, że zrobiłam coś nie po jej myśli, przestawała się do mnie odzywać. Wstrząsnęło mną, kiedy zachowałam się tak samo.

- Myślę, że o to dokładnie komuś chodziło -oświadczyłam sucho.

- Tak, zupełnie nie pomyślałem, że to do ciebie niepodobne. - Roześmiał się. - Partyzantka, zasadzka, ale nie milczenie.

- To nie twoja wina - wyrwało mi się, zanim ugryzłam się w język. Gdybym nie musiała trzymać Alfę z dala od Sama, powiedziałabym więcej, dużo więcej. Ale teraz musiałam poświęcić trochę czasu Samuelowi. - Sama domyśliłam się dopiero, jak wróciliśmy do domu.

- Gdybym zorientował się w trakcie, mógłbym przyłapać sprawcę - warknął Adam. Odetchnął, a kiedy podjął, brzmiał już spokojniej: - Samuel też potrafi ich powstrzymać. Skoro i tak ma cię pilnować, poproś, żeby nauczył cię, jak się bronić. Nawet jeśli to nie jest celowe działanie... - Znów musiał przerwać. - Potrzeby i pragnienia stada mogą mieć na ciebie niemały wpływ. Można je zablokować, to nie takie trudne. Samuel ci pokaże, jak to robić.

Spojrzałam na białego wilka rozciągniętego na kuchennej podłodze i poddającego się zabiegom higienicznym Medei. Popatrzył na mnie jasnymi ślepiami z czarną obwódką.

- Poproszę go - obiecałam.

- To do zobaczenia - pożegnał się Adam, ale szybko odezwał się znowu: - Co powiesz na wtorek?

Była sobota. Jeśli Samuel nie poczuje się lepiej do wtorku, zawsze mogę odwołać spotkanie.

- Wtorek może być, świetnie.

Kiedy się rozłączył, zwróciłam się do Sama:

- Możesz nauczyć mnie, jak trzymać stado z dala od mojej głowy?

Pisnął smutno.

- Nie bez możliwości mówienia - odpowiedziałam sobie za niego. - Cóż, obiecałam Adamowi, że cię zapytam.

Miałam więc trzy dni na odzyskanie Samuela. Czułam się, jakbym zdradziła... Ale przecież nie okłamałam Adama, prawda? Wychowując się wśród wilkołaków, które były żywymi wariografami, nauczyłam się posługiwać półprawdami prawie tak dobrze, jak Pradawni.

Może zdążę jeszcze upiec murzynki?

Kiedy komórka zadzwoniła ponownie, o mało nie odebrałam mechanicznie, przekonana, że to znowu Adam. W ostatniej chwili coś mnie tknęło i zerknęłam na wyświetlacz. Bran.

- To Marrok - powiedziałam do Sama. - Myślisz, że poczeka te trzy dni? Ja też. - Na razie mogłam grać na zwłokę, nie odbierając. - Chodź, popracujemy trochę przy samochodach.

Sam siedział na miejscu pasażera i łypał na mnie kwaśno. Był na mnie wściekły, bo założyłam mu obrożę. Ale obroża okazała się konieczna. Przypominał w niej psa. A w każdym razie udomowione zwierzę. Nie całkiem dziką bestię. Strach wyzwala w wilkach agresję, więc im mniej ludzi się go wystraszy, tym lepiej.

- Nie opuszczę szyby - wyjaśniłam. - Nie mają elektryki, a nie będę stawała, żeby pokręcić korbką. Poza tym jest zimno, ja nie mam takiego futra jak ty.

Uniósł wargę, udając, że warczy, i z łupnięciem opuścił łeb na deskę.

- Paćkasz szybę - zwróciłam mu uwagę. Popatrzył na mnie, po czym umyślnie przejechał

mokrym nosem po swojej części. Wywróciłam oczyma.

- Dzieciuch. Zachowujesz się jak moja siostra, gdy miała dwanaście lat.

Zaparkowałam obok samochodu Zee. Po wyjściu natychmiast usłyszałam specyficzny rytm salsy dobiegający z warsztatu. Miałam bardzo wyczulony słuch, więc muzyka nie była pewnie na tyle głośna, by przeszkadzać mieszkańcom nielicznych domków porzrzucanych pomiędzy okolicznymi magazynami i halami. Z okna machała do mnie mała postać. Całkiem zapomniałam.

Sylwia i jej dzieci przyszły dzisiaj sprzątać biuro. Normalnie nie byłoby problemu, Samuel nie skrzywdziłby dziecka, ale w tym wypadku nie mieliśmy do czynienia z Samuelem.

Zdałam sobie sprawę, że tak do niego przywykłam, iż myślałam o wilku jak o chorym Samuelu. A przecież chodziło o groźną bestię. Ale w sumie, z drugiej strony, jeszcze mnie nie zabił.

Może jeśli zabiorę go do warsztatu...

Nie, nie mogłam tak ryzykować.

- Sam - powiedziała do wilka, który także wysiadł - strasznie dużo tu dzisiaj ludzi. Czy...

Sama nie wiem, co chciałam zaproponować, może wycofanie się w jakieś ustronne miejsce? Cokolwiek chciałam zasugerować, było już na to za późno.

- Mercy! - zapiszczał cienki głosik niemal zagłuszony przez muzykę, która buchnęła z otwartych drzwi. Jedna z młodszych siostr Gabriela, Maja, wyskoczyła z biura i pędziła ku nam. - Mercy! Mercy! Zgadnij co! Jestem już całkiem duża. Idę do ślicznej szkoły i...

W tej chwili dojrzała Sama.

- Oooo - jęknęła z zachwytem, nie przestając biec.

Samuel w ludzkiej formie wygląda całkiem nieźle, ale jako wilk bije siebie na głowę. Jest śnieżnobiały i puszysty. Brakowało mu tylko rogu na czole, żeby stał się wcieleniem bajkowego zwierzątka dla małych dziewczynek.

- Ślicznej szkoły? - powtórzyłam, wstępując pomiędzy dziecko i wilkołaka. Maja zatrzymała się, żeby na mnie nie wpaść, ale nie spuszczała oka z wilka.

Nieco starsza od Mai Sissy, sześciolatka, wyłoniła się z biura kilka sekund za siostrą.

- Mama mówi, że nie możesz tak wybiegać, bo jakieś auto może cię nie zauważyć. Cześć, Mercy. Do zerówki, nie szkoły. Ja chodzę do pierwszej klasy, ona jeszcze jest za mała. To piesek? Skąd go masz?

- Ślicznej szkoły - upierała się Maja. - I nie jestem mała. -
Uścisnęła mnie i rzuciła się do Sama.

Złapałabym ją, gdyby on też nie skoczył naprzód.

- Konik! - ucieszyła się, przypadając do niego, jakby nie był przerażająco wielkim wilkiem. Złapała za futro i wspięła się na grzbiet. - Konik! Konik!

Wyciągnęłam ręce, chcąc ją ściągnąć, ale zamarłam na widok spojrzenia Sama.

- Mój konik - trajkotała Maja wesoło ku mej zgrozie. Grzmotnęła piętami w żebra wilka tak mocno, że aż zadudniło.

- Wio, koniku.

Siostra Mai pojmowała chyba niebezpieczeństwo.

- Mama! - wrzasnęła. - Mama! Bo Maja się wy-gupia!

Albo i nie.

Skrzywiła się do siostry i - podczas gdy ja stałam jak posąg, bojąc się drgnąć, żeby przypadkiem nie sprowokować Sama do jakiejś gwałtownej reakcji - zaczęła paplać:

- Była z nami na targu i widziała konie. Od tej pory włązi na każdego psa. Jeden ją prawie ugryzł.

Sam natomiast jęknął czwarty czy piąty raz, uderzony piętami Mai, i rzucił mi kolejne spojrzenie -chyba poirytowane - a potem ruszył w stronę biura, zupełnie jakby był konikiem, a nie wilkołakiem.

- Mercy? - zagadywała mnie Sissy.

Pewnie czekała, że coś powiem. Albo przynajmniej się poruszę. Choć nadal miałam zgrabiące palce, a serce waliło mi młotem, szok powoli ustępował innemu uczuciu.

Widywałam już wilkołaki kontrolowane przez wilki. Zwykle bestia przejmowała panowanie podczas walki. Wtedy pozostawało tylko przypaść najniżej, jak się dało, i czekać, aż człowiek odzyska władzę. Czasami zdarzało się to też nowym wilkołakom, wkrótce po Przeistoczeniu. Stawały się wtedy agresywne, nieprzewidywalne i niebezpieczne nawet dla bliskich. Sam nie był agresywny, ale czy nieprzewidywalny? Owszem, bo jak inaczej określić jego zachowanie, kiedy Maja zaczęła bawić się nim w „Mustanga z Dzikiej Doliny”.

Po raz pierwszy, od kiedy przekroczyłam próg tej cholernej kanciapy za rentgenem, poczułam prawdziwą nadzieję. Jeśli Sam zdoła się przyzwoicie zachowywać przez kilka dni, może uda mi się przekonać Brana, by dał nam więcej czasu.

Wilk przystanął pod drzwiami biura, czekając cierpliwie, aż wpuszczę go do środka. Tymczasem Maja głaskała go po łbie, chwając, jakim to jest dobrym konikiem.

- Mercy? Co ci jest? - zapytała Sissy, zaglądając jednocześnie do samochodu. Często przywoziłam ciastka. Przywiozłam też te, które upiekłam rano. Zwykle w napadach kulinarnego szału robię ich za dużo, więc zabieram część do warsztatu, żeby częstować nimi klientów. Dziewczynka nie powiedziała nic na widok leżących na zawiniątku z książką wypieków, ale jej buzia rozpromieniła się radośnie.

- Nic, Sissy, nic. Chcesz ciastko?

Kiedy otworzyłam drzwi w kolorze wyblakłego pomarańczowego rózu, ryk muzyki został zagłuszony przez okrzyki: „Mercy!” oraz „O! Piesek!”, a następnie rzucił się ku nam tabun małych postaci.

Sissy, imitując starszego brata, wsparła się pod boki.

- Dzikusy - prychnęła, po czym wgryzła się w ciastko.

- Ciastka! - rozległ się kolejny okrzyk. - Sissy ma ciastko!

Zapadła cisza, a wszystkie oczy wpiły się we mnie niczym ślepiec lwów polujących na gazelę.

- Widzisz? - odezwała się matka Gabriela, nie przerywając szorowania kontuaru. Sylwia była ode mnie starsza z dziesięć lat, ale świetnie wyglądała. Drobną, kruchą piękność. Mówią, że Napoleon też był niski. - Rozpuściłaś je - rzuciła z wyższością. - No, to teraz sama sobie z nimi radź. Musisz zapłacić za grzechy.

Wyjęłam z zapałki torebki z ciastkami.

- Proszę. - Wyciągnęłam rękę ponad głowami dzieciarni, podając ciastka Sylwii. - Bierz szybko, zanim te potwory je złapią. I broń własną pierś.

Sylwia wzięła torebki, usiłując ukryć uśmiech na widok rojącej się wokół mnie rozkrzyczanej, piskliwej chmary różowego drobiazgu. No dobrze, nie było ich aż tak wiele. Gabriel miał pięć młodszych sióstr. Ale robiły tyle hałasu, co pięćdziesiąt dziewczynek.

Tia, czyli Martina, najstarsza, potoczyła po nas surowym spojrzeniem. Sam, porzucony dla ciastek,

siedział przy niej. Wyglądał na rozbawionego, kiedy zerkiałam na niego nieufnie.

- Ej, nie ma tak, że tylko my pracujemy! - oburzyła się Rosalinda, druga w kolejności pod względem wieku. - Natychmiast do roboty, smarkule. Nie dostaniecie żadnych ciastek, dopóki mama wam nie da.

- Ale Sissy ma - jęknęła Maja.

-1 co z tego? Reszta dostanie, jak skończy - surowo poparła młodszą siostrę Tia.

- Ważniaczka! - fuknęła średnia siostra, Sofia.

- Właśnie - wykrzywiła się Maja. Chyba jednak nie przejęła się za bardzo, bo jednym susem przypadła znowu do Sama i wspięła się na niego, trzymając za obrożę. - Mój piesek chce ciastko.

- Masz psa? - Sylwia zmierzyła wzrokiem najpierw Sama, potem mnie.

- Nie do końca. Opiekuję się nim chwilowo. Przysługa dla przyjaciela. - Dla Samuela.

Wilk popatrzył na Sylwię i pomachał ogonem. Paszczę trzymał zamkniętą. Mądrze. Kobieta nie rozpląnęłaby się nad nim, widząc zębiska, jakich nie mógł mieć żaden, nawet największy pies.

- Co to za rasa? Nigdy nie widziałam takiego potwora.

Sam położył odrobinę uszy.

Jednak w tej samej chwili Maja pocałowała go w czubek łba.

-Jest śliiiczny, mamusiu. Założę się, że mogłabym pojechać na nim w wyścigu na targu i wygralibyśmy wstęgę. Powinniśmy kupić sobie psa. Albo kucyka. Moglibyśmy trzymać go na parkingu.

- Może jakiś mieszaniec pirenejczyka? - zastanawiałam się na głos. - W każdym razie coś dużego.

- Pies-yeti - zasugerowała Tia i podrapała Sama za uchem.

- Skoro jeszcze ich nie pożarł, to pewnie tego nie zrobi - westchnęła Sylwia.

- Raczej nie - zgodziłam się ostrożnie, spoglądając na Sama. Wilk wyglądał dobrze, był spokojny, w zasadzie nie widziałam go tak spokojnego, odkąd pojechałam po niego do szpitala.

Sylwia westchnęła teatralnie, jej melodramatycz-nie wielkie oczy rozbliły się rozbawieniem.

- Ech, szkoda. Mniej dzieci, mniej kłopotu, prawda?

- Mama! - rozległ się chórek oburzonych głosików.

- Nie ma ich tak wiele, jak by się mogło wydawać z hałasu, jaki robią - powiedziałam.

- Trudno nie zauważyć. Kiedy śpią, są takie słodkie. Ich szczęście, inaczej nie pożyłyby długo.

Rozejrzałam się wokół. Sprzątały już od jakiegoś czasu.

- Wiesz, zaczynam się bać, że klienci będą tu wchodzić i od razu wychodzić, myśląc, że pomylili miejsca. Gabriel i Zee są w warsztacie?

- *Si.* I dziękuję za pożyczenie samochodu.

- Żaden problem. Na razie go nie potrzebuję. Poza tym wyświadcysz mi przysługę, mówiąc, co zauważyłaś w nim nie tak.

- Poza odpadającą kierownicą?

- Uhm. - Skrzywiłam się.

- Dobrze. A teraz weź tego swojego... słonika i idźcie do warsztatu, muszę zagonić moje potworki do roboty.

Zdjęłam posłusznie Maję z grzbietu Sama.

- Bierzmy się do pracy - powiedziałam do wilka, ruszając w stronę warsztatu.

Sam zrobił kilka kroków, po czym legł ze stęk-nięciem na środku biura. Przewrócił się na bok, rozciągnął i zamknął oczy.

- Chodź, S... - Ugryzłam się w język. Czy na obroży było wypisane imię Samuela? Tak. - Chodź, Śnieżku.

Łypnął na mnie jednym okiem.

Zaparło mi dech w piersiach. Sprzeczenie się z dominującym wilkiem może mieć niemiłe konsekwencje.

- Popilnuję pieseczka - wyrwała się Maja. - Pobawimy się w kowbojkę i nauczę go przynosić patyk. A potem zrobimy przyjęcie. - Zmarszczyła nosek. - Przecież nie może się bawić z tymi brudnymi autami. On nie lubi być brudny.

Sam przymknął oczy, kiedy poklepała go po nosie.

Nie zamierzał jej skrzywdzić. Odetchnęłam głębiej.

- Chyba podoba mu się ta muzyka - rzuciłam do Sylwii.

- Chyba chcesz się go chwilowo pozbyć - prychnęła w odpowiedzi.

- Maja go popilnuje - zauważyłam. - Przynajmniej będzie miała zajęcie.

Sylwia zmierzyła Sama wzrokiem i pokręciła głową, ale nie protestowała, kiedy wyszłam, zostawiając go w biurze.

Zee zamknął drzwi pomiędzy biurem i warsztatem. Nie był wielbicielem latynoskich rytmów. Dlatego kiedy przeszłam do warsztatu, także zamknęłam drzwi.

ROZDZIAŁ 4

Pierwsze, co usłyszałam po przebraniu się w roboczy kombinezon i wyjściu z łazienki, to potok niemieckich przekleństw płynący z ust Zee. Rozumiałam jedno na cztery słowa, więc przeklinał w nowożytnym niemieckim. A to dobry znak.

Buick stał na pierwszym stanowisku roboczym. Zee nie było nigdzie widać, ale po kierunku, z którego dobywał się głos, domyśliłam się, że znajduje się pod samochodem. Gabriel stał z boku. Spojrzał na mnie, kiedy podchodziłam do nich, a na jego twarzy odbiła się wyraźna ulga.

Chłopak wiedział, że Zee jest... hm, może nie niebezpieczny, ale że nie zrobi mu krzywdy. Jednakże Gabriel był zbyt grzeczny, w rezultacie czego musiał znieść zdecydowanie bardziej zrzędlivego Zee niż ja.

- Cześć, Zee - przywitałam się. - Rozumiem, że da się to naprawić, choć będzie to droga przez mękę

i wolałbyś prędzej wywalić tego grata na złom i zbudować nowe auto od podstaw?

- Kawał złomu - burknął Zee. - Co nie przeżarte rdzą, to pogięte. Gdyby zebrać wszystkie dobre części, można by je pomieścić w kieszeni. - Krótka pauza. - W bardzo małej kieszeni.

Poklepałam buicka.

- Nie słuchaj go - szepnęłam. - Lada moment znów będziesz śmigał po szosach.

Zee wyjechał kawałek spod podwozia, tyle, że głowa pojawiła się obok moich stóp.

- Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać - warknął.

Uniosłam brwi.

-Jak to? - zaszczebiotałam. - Nie umiesz tego naprawić? Och, to okropne. Pamiętam, jak mówiłeś, że wszystko możesz naprawić. Pewnie coś mi się pomyliło, a ciebie ktoś udawał...

Zee warknął tak, że pozazdrościłby mu tego nawet Sam, po czym wsunął się z powrotem pod samochód, mamrocąc pod nosem.

- *Deine Mutter war ein Cola-Automat*

- Matka tego buicka była pewnie automatem do napojów - przełożyłam, zrozumiawszy z pozoru jedno długie słowo, które wyrzucił z siebie Zee. Fraza „twoja matka...” brzmi podobnie w wielu językach. -Ale swego czasu była piękna - dokończyłam, uśmiechając się do Gabriela. - My, kobiety, musimy trzymać się razem.

- Dlaczego mówimy o samochodach jak o kobietach? - zapytał chłopak.

- Bo są tak samo kapryśne i wymagające - mruknął Zee.
- Bo gdybyśmy zaczęli traktować auta jak facetów, stałyby tylko w miejscu, narzekając, zamiast wziąć się do roboty - poprawiłam.

Z ulgą zajęłam się czymś normalnym. W warsztacie to ja miałam wszystko pod kontrolą. Hm, chyba że przychodził Zee, wtedy on wszystko kontrolował. Mimo że odkupiłam od niego warsztat i teraz płaciłam mu dniówkę, oboje wiedzieliśmy, kto tu jest lepszym mechanikiem. Poza tym tak długo był moim szefem... A może przez to właśnie, myślałam, podając mu klucze, trzynastkę i dziesiątkę, czułam taką ulgę. Zajmowałam się tu czymś dobrze mi znanym, rozkazy wydawała osoba, której ufałam, a rezultatem było zwycięstwo dostatku i porządku. Naprawianie samochodów jest uporządkowane - w przeciwieństwie do pozostałej części mojego życia. Jeśli wykona się naprawę dobrze - samochód będzie działał. Jeśli zrobi się coś źle, działał nie będzie.

- *Verdammtte Karre* - wysyczał Zee. - *Gib mir mai...* Reszta słów utonęła w huku i brzęku czegoś ciężkiego.

- Co mam ci podać? - zapytałam. Cisza.

- Zee? Wszystko w porządku?

Nagle buick uniósł się kilkanaście centymetrów, roztrącając podnośniki i trzęsąc się jak epileptyk. Rozeszła się fala magii. Cofnęłam się, łapiąc Gabriela za koszulkę i pociągając za sobą. Sekundę później

wóz opadł na ziemię przy wtórze łupnięcia opon i żalosnego skrzeczenia amortyzatorów.

- Uff, od razu lepiej - zazgrzytał zębami Zee. -A poczułbym się jeszcze lepiej, gdybym powiesił mechanika, który ostatnio przy tym pracował.

Znałam to uczucie. Ach, ta koszmarna frustracja, walka z niedopasowanymi śrubkami, zerwanymi gwintami i błędnie umocowanymi przewodami układu paliwowego. Przez takie drobiazgi półgodzinna z założenia robótka zamieniała się w całodzienną grzebaninę.

Gabriel wyrywał się, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od samochodu. Oczy miał niczym spodki, widać było całe białka. Poniewczasie zdałam sobie sprawę, że chłopak nie widział jeszcze, jak naprawdę pracuje Zee.

- Wszystko w porządku. - Poklepałam Gabriela uspokajająco po ramieniu. - Już się wyżył. Wydaje mi się, Zee, że to ty ostatnio pracowałeś przy tym samochodzie. Pamiętasz? Wymieniałeś złączkę.

Zee wyjechał znów spod podwozia. Na twarzy miał smugę smaru, od czoła po policzek. Dodatkowo na skroni widniała plamka krwi, a na zuchwie siniec, jakby po twarzy Zee przetoczyła się jakaś część.

- Możesz się przymknąć, *Kindlein*. W sumie nawet od razu - zbeształ mnie ostro, po czym przyjrzał się uważnie. - Kiepsko wyglądasz. I czuję, że coś piekłaś. Co się dzieje?

- Piekłam ciastka. Ocaliłam jedną torebkę dla ciebie, weźmiesz sobie do domu. Leży u mnie w aucie. Resztę zachachmęciły różowe potwory.

- Dobrze. A czemu nie spałaś?

Zwykle zostawiał mnie w spokoju, ale po tym, jak Tim... Po tym, co przeżyłam, hołubił mnie na swój sposób.

- To nic. W każdym razie nic, w czym mógłbyś mi pomóc.

- Pieniądze? -Nie.

Zachmurzył się. Białe brwi znalazły się nisko nad szarymi oczyma.

- Wampiry? - wycedził. Zee nie przepadał za wampirami.

- Nie, proszę pana - odpowiedziałam żartobliwie. - Nic, w czym mógłbyś mi pomóc.

- Nie pyskuj mi tu, pannico. - Zrobił groźną minę. - Bo...

Przerwał nam krzyk jednej z dziewczynek w biurze. Natychmiast przed oczyma stanęła mi wizja Sama przezuwającego dziecko. Wystartowałam z miejsca.

Z ręką na kłamce usłyszałam głos Tii.

- *Mamá, mamá, una pistola! Tiene una pistola!* Biuro było pełne dziewczynek - jedne wisiały na regałach albo kucały na parapecie, inne siedziały na podłodze, tuląc Sama.

W drzwiach wejściowych natomiast stał wielki facet z automatem trzymanym pewnie w obu rękach. Skrzydło podpierał czarnym bucioem, zresztą cały odziany był na czarno, jedynie na ramieniu wojskowej kurtki miał jasnożółty znak. Jedynym odstępstwem od stylistyki żołnierza najemnika była ruda,

przetykana siwizną grzywa włosów spływająca do ramion kaskadą, jakiej nie powstydzilby się model z okładki harlequina.

Zaraz za nim stał inny mężczyzna, w koszuli i spodniach z materiału. Jednakże postawa tego na zewnątrz wskazywała, że tylko intruz z bronią stanowi zagrożenie. Ten drugi trzymał coś na ramieniu, ale nie mogąc ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, czy to broń, zignorowałam go, skupiając się na oczywistym niebezpieczeństwie.

Sylwia z miotłą w dłoniach zamarła przerażona, bo lufa pistoletu wycelowana była w najmłodszą Sandovalównę. Maja, wczepiona w Sama obiema rękami, wydierała się wniebogłosy po hiszpańsku tak dramatycznie, że scena mogłaby wydawać się zabawna, gdyby nie wymierzona w dziewczynkę broń.

Przypuszczałam, że to obawa o jej bezpieczeństwo utrzymywała wilka na miejscu, bo w zmrużonych oczach miał żądę mordy, a pysk zmarszczony w bezgłośnym warkocie.

Gdybym miała czas się bać, przeraziłby mnie widok Samuela. Sama. Mięśnie miał napięte do skoku i broń nie broń Maja, nie Maja, był o włos od zaatakowania.

Wszystko to ujrzałam w ułamku sekundy po otwarciu drzwi, gdy wbiegłam do środka. Śmignęłam przez biuro, wyrwałam Sylwii miotłę, dopadłam drzwi, grzmotnęłam styliskiem przeguby dłoni trzymających pistolet. Trzonek trzasnął, a broń upadła na ziemię, zanim ktokolwiek w jakiś sposób zareagował na moje działanie.

Poza umiejętnością zmiany w kojota w każdej chwili moje możliwości ograniczają się do kapryśnej odporności na magię i szybkości, odrobinę lepszej niż u normalnych ludzi. Od kiedy usłyszałam krzyk, poruszałam się na najwyższych obrotach.

Po raz kolejny zaatakowałam nieznajomego. Tym razem skupiłam się na torsie, używając miotły jak kija bejsbolowego, i jednocześnie wrzeszczałam: „Nie ruszaj się, Sam!”.

Treningi karate na coś się przydały, pomyślałam, kiedy mężczyzna chwycił za stylisko i szarpnął. Puściłam. Brak oporu sprawił, że facet zachwiał się, a kiedy zrobił krok w tył, żeby odzyskać równowagę, kopnęłam go w brzuch, strącając ze stopni. Mężczyzna zatoczył się, wpadł na towarzysza i wyładowali razem na ziemi.

Żeby tylko wilkołak posłuchał.

Chwyciłam automat, który upuścił, przytrzymałam drzwi nogą, tak jak on wcześniej, wycelowałam w zbója i czekałam na sygnał prawdziwej apokalipsy.

Ale z tyłu nie dobiegł żaden ryk, żadnych wrzasków na widok Sama zrzucającego maskę układności, dzięki której można go było na upartego nazwać zwierzakiem zamiast bestią.

Wykorzystałam własne zaskoczenie opanowaniem wilka na złapanie oddechu. Potrzebowałam chwili, żeby obmyślić, jak spożytkować tak szczęśliwy obrót sprawy, jakim nieoczekiwanie obdarował mnie los.

Zignorowałam dochodzące zza pleców hałasy. W budynku był Zee, więc nie musiałam się obawiać

ataku z tyłu. Szlochy i odgłosy przestachu uspokoiły się i ucichły. Sam nie warczał. Nie miałam pewności, czy to dobry znak, czy wprost przeciwnie, ale postanowiłam myśleć pozytywnie.

- Sylwia, dzwoń po gliny - powiedziałam głośno po chwili zastanowienia. Prawo było po naszej stronie. Dobrze, że Adam zainstalował system monitoringu, dzięki temu mamy dowód. A na dodatek nie trzeba będzie wyjaśniać żadnego ataku wilkołaka. Mogłam trzymać Sama od tego z daleka. - Powiedz im, co się stało i żeby się pospieszyli.

- Hej, panienko, nie mieszajmy w to policji - wystękał mężczyzna w cywilu, gramoląc się spod rudzielca, który taksował mnie chłodnym spojrzeniem. - Lepiej, jeśli załatwimy to po cichu.

Gdyby nie mówił z wyższością, pewnie nie pociągnęłabym za spust.

Strzeliłam w bok, tak żeby żadnego nawet nie drasnąć, ale na tyle blisko, że uderzyły w nich odpryski nawierzchni.

- Na waszym miejscu bym się nie ruszała - głos drżał mi od gwałtownego skoku adrenaliny. Na szczęście ręce, ważniejsze w tej sytuacji, były pewne.

- Dzwonię po Tony'ego - rzekła Sylwia cicho, żeby napastnicy nie słyszeli. - W razie czego nie będzie kłopotu - mówiła spokojnie, pewnie. Na pomoc przyszło jej doświadczenie na stanowisku dyspozytora w policji. Tony był moim i Sylwii przyjacielem. Obie mu ufałyśmy.

Uspokojona, że mam napastników pod kontrolą, naraz zdałam sobie sprawę z obecności innych ludzi

na parkingu. I nie byli to klienci. Stali przy sporym, czarnym wanie, pomalowanym tak, że o dziwo, wyglądał jednocześnie elegancko i z pazurem.

Troje: dwoje ubranych po wojskowemu jak rudzielec i z takimiz kaskadami włosów plus dziewczyna w szarym podkoszulku, ze słuchawkami na uszach. Na samochodzie dostrzegłam to samo logo co na kurtce zbira.

Teraz dopiero miałam okazję przeczytać napis: „Kelly Heart, łowca nagród”. A pod spodem mniejszymi literami: „Soboty, 8.00 rano czasu centralnego. Jeden zbir na odcinek”.

- Uśmiech! - powiedziałam do przyjaciół. - Jesteśmy w „Ukrytej kamerze”. - Zee i Sam musieli wiedzieć, że jesteśmy nagrywani.

- Spokojnie - odezwała się kobieta spod samochodu. Miała jasnożółte włosy i usta pomalowane czerwoną szminką. Ruszyła w naszą stronę. - Nie ma potrzeby machać bronią. To tylko program telewizyjny, proszę pani, nie ma się co unosić.

Nie przyjmuję rozkazów, a już na pewno nie od ludzi, którzy na mnie napadają. Strzeliłam kobiecie pod nogi.

-Tanya! Stój! - krzyknęła dziewczyna w słuchawkach. - Inaczej znowu strzeli, a sama wiesz, ile kosztują te srebrne kule!

- Lepiej jej posłuchaj i ani kroku dalej - poradziłam zimno. Srebrne kule są na wilkołaki. Chcieli zapolować na wilkołaki. - Wychowałam się wśród lasów Montany. Umiem trafić kaczce w skrzydło. -Możliwe. Niewykluczone. Nigdy nie strzelałam do

kaczek, wolę polować na czterech łapach. - Tam, skąd pochodzę, pistolet to broń, nie rekwizyt, a jeśli wszystkie zbiry będą martwe, do opowiadania zostanie tylko jedna historia. Nie drażnijcie mnie, bo to kusząco łatwe rozwiązanie.

Tanya zatrzymała się, a ja znów wzięłam na cel mężczyznę, którego twarz rzeczywiście zaczęła mi się wydawać znajoma z ekranu. Walczyłam z coraz bardziej przemożną chęcią naciśnięcia spustu i szybkiego zakończenia sprawy.

Kojoty, podobnie jak wilki, są stworzeniami terytorialnymi, a ten uzbrojony drań wparował do mojego warsztatu, jakby miał prawo tu być.

- I co z tą policją? - zapytałam Sylwię, która właśnie skończyła rozmawiać. Ręce nadal mi nie drżały, choć głos miałam napięty.

- Będą za pięć minut. Tony stwierdził, że bezpieczniej wziąć wsparcie, więc nie przyjedzie sam.

Uśmiechnęłam się, odsłaniając zęby, jak przystało na porządnego drapieżcę.

- Tony to policjant. Zna te dzieciaki od pieluch i nie będzie zachwycony tym, co zrobiłeś.

Tony był też beznadziejnie zakochany w Sylwii, o czym ona prawdopodobnie nie miała pojęcia.

Moją uwagę zwrócił jakiś ruch po prawej stronie. Zerknęłam. Z warsztatu wyszli Zee i Gabriel. Pewnie wrócili do hali po broń, bo Zee dzierżył, niczym miecz, łyżkę do opon, zaś Gabriel...

- Zee! - zawołałam ze zgrozą. - Powiedz, żeby odłożył ten klucz dynamometryczny i wziął coś, co nie kosztuje pięciu stów!

- Wcale tyle nie kosztuje - zaprotestował Zee, ale kiwnął na pobladłego chłopaka, który popatrzył na trzymane w ręku narzędzie, jakby widział je po raz pierwszy, po czym wrócił do warsztatu. - Poza tym się nie zniszczy, tylko co najwyżej rozkalibruje.

- W warsztacie jest cała masa łomów, łyżek do opon, nawet młot albo dwa. Chyba mógł wziąć coś innego niż mój klucz dynamometryczny.

- Niech pani posłucha - zaczął Kelly Heart łagodnie, przekonująco. - Uspokójmy się i porozmawiajmy. Nie chciałem nikogo przestraszyć. Ten wilkołak mało jej nie pożarł.

Prawda.

Nie zaskoczyło mnie to. Wymiana zdań z Zee pozwoliła mi odzyskać równowagę i pomyśleć.

Może i są gwiazdy telewizji zdolne mierzyć z broni do małych ślicznych dziewczynek, ale przecież nie przed kamerą. A ten mężczyzna z tyłu był kamerzystą. Sprzęt leżał na ziemi, gdzie wylądował, kiedy sto kilogramów mięśni łowcy nagród przewróciło i przygniotło operatora.

Jeśli Heart chciał zapolować na wilkołaka, z pewnością z miejsca rozpoznałby swój cel. Owszem, wilkołaki dysponują odrobiną magii, która przekonuje ludzi, że widzą psa, ale taka odrobina nie zmyli kogoś, kto patrzy uważnie.

Hm, i co teraz? I tak długo zwlekałam z przyznaniem, czym jest Sam.

- On lubi dzieci - stwierdziłam. - Jest łagodny jak psiak.

Sylwia, która mówiła coś do dzieci, urwała, słysząc moje słowa. Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległo się wycie Mai, wycie, którego nie powstydziałaby się syrena strażacka. O bardzo piskliwym dźwięku. Domyśliłam się, że Sylwia odciągnęła córkę od wielkiego, złego wilka.

- Mam na niego nakaz - podjął Heart, krzywiąc się lekko. Ciekawe, czy bardziej przeszkadzało mu natężenie, czy ton płaczu, który zbliżał się szybko do granicy ultradźwięków.

Uniosłam brwi, wskazując brodą trzymaną broń.

- Poszukiwany żywy lub martwy?

Samuel się nie ujawnił, a jedyna osoba, która mogłaby go ścigać, nigdy nie wynajęłaby łowców. W razie potrzeby Bran sam zakończyłby życie syna. Nakaz Hearta nie mógł dotyczyć Samuela. Nie trzeba geniusza, by domyślić się, którego wilkołaka ktoś mógłby szukać w moim warsztacie - Adama.

Jakim cudem łowca nagród zdobył na niego nakaz, skoro Adam był postrzegany jako praworządny obywatel? Nie orientowałam się za dobrze w pracy łowców nagród, ale z tego, co wiedziałam, ścigali oni podejrzanych zwolnionych za poręczeniem majątkowym, którzy uciekli, a zlecenia dawali im poręczyciele. Zarabiali na tym równowartość jakiegoś procentu kwoty, którą gwarant straciłby w razie niestawienia się delikwenta w sądzie.

Policja była tuż-tuż, ale jako pierwszy na parking wjechał inny samochód. Adam zatrzymał się, blokując wyjazd czarnemu vanowi.

- To jakaś pomyłka - rzekłam do Hearta, nie spuszczać z niego wzroku, mimo że nie pragnęłam niczego bardziej, niż spojrzeć na człowieka, który właśnie wysiadał ze swojego auta.

- Nie ma tu żadnego wilkołaka, który jest zbiegiem.

- To pani się myli - oświadczył Heart uprzejmie. Chcąc nie chcąc, byłam pod wrażeniem. Zachowywał spokój i opanowanie, posługując się białymi kłamstewkami, mimo że leżał na grzbiecie na swoim kamerzyście, przerażonym zresztą widokiem wycelowanego w jego stronę pistoletu.

Usłyszałam jeszcze jeden większy samochód wjeżdżający na parking. Adam nie przyjechał sam. Niestety, wiatr nie był dla mnie łaskawy, nie udało mi się więc rozpoznać jego towarzysza. A nie zamierzałam się wygłupiać i obracać. Choć uznałam, że łowca nie stanowi już zagrożenia. W każdym razie nie dla dzieci.

Kobieta w T-shircie rzuciła gorączkowo:

- Nie prowokuj jej, Kelly, żeby znów nie strzeliła. Pamiętaj, czterdzieści dolców. Czterdzieści dolców za sztukę.

- Nie martw się - zawołałam do niej. - Możesz je wykopać, będą jak nowe. Może nawet dasz radę ich użyć ponownie. - Srebro nie deformuje się tak łatwo jak ołów, dlatego właśnie kule z niego są kiepską amunicją. No, chyba że strzela się do wilkołaków. -Jakoś nie bardzo martwi się o pana - zwróciłam się do Hearta z udawanym współczuciem. - Pewnie srebrne kule są trudniej dostępne od łowcy, który wygląda dobrze w skórzanym mundurku.

- Pewnie tak właśnie uważa. - Uśmiechnął się. - Mogę już wstać? Obiecuję, że nic nie będę kombinował. Biedak Joe nie jest olbrzymem, jeszcze trochę na nim poleżę i się udusi.

- Możesz przestać do niego mierzyć, Mercy - odezwał się Adam. - I zabierz gdzieś broń, zanim pojawi się tu policja. Będzie prościej. Jest szansa, że uda nam się to zakończyć bez żadnego aresztowania.

Na dźwięk tego głosu moja determinacja załamała się, a głowa sama odwróciła ku mówiącemu, jak kwiat słonecznika ku słońcu.

Adam miał na sobie trzyczęściowy garnitur, a do tego krawat z Myszką Miki, prezent od córki. Nawet w tym stroju wyglądał dużo groźniej od siedzącego na ziemi najemnika. Wiedziałam, że Adam pojawi się tu pomimo naszej porannej rozmowy.

Zraniłam go, ale on przyszedł, dowiedziawszy się dzięki monitoringowi, że mam kłopoty. Nawet przez moment nie wątpiłam, że przyjdzie. Adam jest wierny i oddany niczym ołowiany żołnierz z baśni. Bardziej wierny i oddany niż ja, która odepchnęłam go, by pomóc Samuelowi.

- Sylwia zadzwoniła po Tony'ego. Niewykluczone, że policja wie już o broni.

Heart nie zamierzał spuszczać wzroku ze mnie i wycelowanego w siebie pistoletu, ale tak jak wszyscy poddał się urokowi roztaczanemu przez Adama. Kątem oka dostrzegłam, że odwraca głowę w stronę wilkołaka, który podszedł z boku i stanął tak, by nie znaleźć się na linii ognia, gdyby mój napastnik zaczął uciekać.

- Właśnie - powiedział Heart. - Proszę posłuchać tego dżentelmena i odłożyć broń, pani Thompson. - Może uznał, że Adam jest rozsądniejszy ode mnie. Kelly Heart nie wiedział, co oznaczają złote przebliski w jego oczach. - Przyszedłem pochwycić wilkołaka, na którego mam nakaz - zwrócił się do Adama. Wierzył w to, co mówił. - Zobaczyłem wilkołaka i dziecko, pomyślałem, że coś się dzieje.

Mówił prawdę, a więc i mnie nie okłamywał. Mocowałam się przez moment z bezpiecznikiem nieznanego pistoletu. Po co mi broń, skoro pojawił się Adam?

- Daj, pozbędę się go - rzekł Zee, podchodząc do mnie z wyciągniętą ręką.

Heart stoczył się z kamerzysty, trzymając ręce w górze. Nadal skupiał uwagę głównie na mnie, jakbym to ja ze wszystkich obecnych stanowiła największe zagrożenie. Odpowiednio skorygowałam ocenę jego poziomu inteligencji.

Adam założył okulary słoneczne, ale nie spuszczał oka z łowcy, gdy ten się podnosił. Cofnął się, kiedy Heart pomagał wstać operatorowi, i coś trzasnęło pod jego stopą. Przyklęknął z gracją, a kiedy się wyprostował, trzymał w ręku kamerę.

- Obawiam się, że nie przetrwała upadku. Operator jęknął, jakby ktoś go uderzył, zabrał kamerę i przytulił do siebie, jakby to mogło jej pomóc.

Adam spojrzał na niego, a potem na ludzi gorączkowo konferujących przy vanie. Popatrzył na Bena, a kiedy ten to zauważył, wskazał brodą samochód ekipy. Ben od razu wiedział, że ma przypilnować

trójki przy samochodzie. Adam niczego nie zostawia przypadkowi, nie zignorowałby ewentualnych przeciwników znajdujących się nieopodal.

- Przykro mi, że panią przestraszyłem - rzekł Heart z udawaną szczerością. - I za to zdenerwowanie dzieci. - Tym też się nie przejmował. Ciekawe, ilu ludzi się na to nabierało.

Na parking wjechały dwa radiowozy i samochód Tony'ego.

- Nie włączyli syren, więc pewnie Tony nie wspomniał o broni - skonstatował Adam.

Sam precyzyjnie się, spychając mnie na drzwi. Opuściłam rękę, wplatając palce w sierść na karku. Nie zgłupiałam, żeby chwycić za obrożę. Mój gest był prośbą, nie rozkazem, ale Sam z własnej woli zatrzymał się u mego boku. Zmierzył wzrokiem nadchodzących policjantów, z góry, bo stał na schodkach.

Heart zauważył wilka. Spojrzał tęsknie na Zee, bo sama broń zniknęła z pola widzenia, po czym cofnął się o krok.

- To nieporozumienie - rzekł głośno, adresując swoją wypowiedź do zbliżających się policjantów. - To moja wina.

Natychmiast dostrzegłam, że idący na przedzie funkcjonariusz rozpoznał łowcę. Jego oczy zrobiły się jak spodki i rzucił do towarzyszy z nutką podziwu w głosie:

- Wszystko w porządku, Holbrook. To Kelly Heart, ten łowca nagród z telewizji.

Tony nazywał się Montenegro, więc to do najstarszego z policjantów zwracał się ich kolega.

- Green - odpowiedział Holbrook niegłęboko, prawdopodobnie nie chcąc, byśmy go słyszeli - mam gdzieś, kto to jest, może być sobie nawet prezydentem. Nic nie jest w porządku, dopóki nie sprawdzisz, że tak jest. - Przyjrzał się nam wszystkim uważnie, a widząc, że stoimy swobodnie, jakbyśmy pięć minut wcześniej nie chcieli się pozabijać, i nie mamy niczego w trzymany na widoku rękach, uspokoił się. Wszyscy umieliśmy kłamać za pomocą mowy ciała. - Idź do radiowozu i zamelduj, że sytuacja jest pod kontrolą.

Green bez słowa zawrócił, zostawiając Holbrooka i Tony'ego z nami.

- Mercy? - W przeciwieństwie do pozostałych Tony był po cywilnemu. Miał na sobie ciemną kurtkę i czarne dżinsy, a w uszach kolczyki z diamentami. W sumie bardziej przypominał dilerów narkotyków niż glinę. - Co się stało?

- Przyszedł do biura i zobaczył mojego przyjaciela - wskazałam Sama, nie wymieniając jego imienia. Tony znał Samuela Cornika, wiedział, że to mój współlokator. Nie miałby problemu ze skojarzeniem go z wilkiem o imieniu Sam. Natomiast nazywanie Sama w tej sytuacji Śnieżkiem tylko uwypukliłoby fakt, że staram się ukryć jego tożsamość. -1 założył, że wszystkie wilkołaki są niebezpieczne.

- To wilkołak? - zapytał Holbrook naraz zaalarmowany, a jego ręka powędrowała ku kaburze.

- Owszem - potwierdziłam spokojnie. -1 jak pan widzi, pomimo wzmożonych działań pana Hearta

nie wdawałam się w szczegóły owych wzmożonych działań, ale Tony zacisnął usta, musiał więc wiedzieć o broni - mój przyjaciel zachował zimną krew. Gdyby nie był tak opanowany, nie obyłoby się bez trupów. - Spojrzałam na Hearta. - Niektórzy powinni się uczyć od niego zachowania samokontroli i rzeczowej oceny sytuacji.

- Jest niebezpieczny - stwierdził Kelly. - Zas... -Urwał, postanowił nie wspominać o broni i zmienił taktykę, nie kończąc poprzedniego zdania. - Mam nakaz pozwalający mi na zatrzymanie wilkołaka.

- Nie, nie masz - stwierdziłam z mocą. Z całą pewnością nie miał nakazu na Sama.

- Co? - zdziwił się Tony.

- Na wilkołaka? - zdumiał się Holbrook. - Nie przypominam sobie żadnego listu gończego za wilkołakiem.

Zagwizdał i zamachał do młodego funkcjonariusza, który szedł w naszą stronę.

- Green, słyszałeś coś o jakimś liście gończym za którymś z tutejszych wilkołaków?

Oczy młodego gliniarza rozszerzyły się. Popatrzył na mnie, na Sama i wyciągnął prawidłowe wnioski. Sam zamachał ogonem, a Green wyprostował się, jego twarz zmieniła się w bezosobową maskę zawodowca. Rozpoznałam tę reakcję, policjant wcześniej służył w siłach zbrojnych.

- Nie, nie słyszałem - odpowiedział. Nie bał się, ale uważnie obserwował Sama. - Na pewno zapamiętałbym coś takiego.

- Mam dowód - upierał się łowca. - Papier jest w vanie.

Tony uniósł brwi i zerknął na pozostałych policjantów.

-Ja wiem na pewno, że nie aresztowaliśmy żadnego wilkołaka i żadnego nie wypuściliśmy za kaucją. I nie pamiętam, żeby nasz wydział w ogóle przekazywał nakazy aresztowania łowcom nagród. To jakaś pomyłka.

Green i Tony wykazali się zdrowym rozsądkiem, nie wpatrując bezpośrednio w Sama, ale Holbrook nie przestawał się nań gapić.

- Oficerze Holbrook - zwróciłam się do policjanta - ułatwiłby pan życie mojemu przyjacielowi, unikając patrzenia mu prosto w oczy. On nic nie robi. - W każdym razie taką miałam nadzieję. - Ale instynkt podpowiada mu, że rzuca pan wyzwanie wilkowi.

Holbrook popatrzył na mnie.

- Dziękuję pani za tę informację.

- Papier jest w vanie - powtórzył Heart. - Każę asystentowi go przynieść.

Ja i Heart rozmawialiśmy z policją, a w tym czasie Adam, Zee i Gabriel starali się nie rzucać w oczy. Kątem oka dostrzegłam, jak Zee gestykułuje do Adama, a potem głową wskazuje magazyn po drugiej stronie ulicy.

Też spojrzałam w tym kierunku. Na dachu znajdowało się coś, choć prawie niewidoczne, tak dobrze stapiało się z czerwoną blachą. Nieludzie potrafią

stworzyć iluzję wyglądu żywej istoty, lecz przybranie postaci czegoś nieożywionego jest znacznie trudniejsze. Nie widziałam postaci, ale na pewno coś tam siedziało. Szybko odwróciłam wzrok, by tajemniczy obserwator nie domyślił się, że został zauważony.

- Ben - odezwał się Adam cicho.

- Co pan mówił? - zapytał Tony.

Ben opierał się o vana, gawędząc z Tanya - kobietą łowcy nagród, Facetem w Skórze - przystojnym pomagierem Hearta, oraz dziewczyną od dźwięku. Ludzie ci chyba byli całkiem pozbawieni instynktu samozachowawczego, bo uśmiechali się i rumienili. Ben usłyszał Adama i popatrzył na niego. Samochód zasłaniał wilkołaka przed nieczłowiekiem na dachu, ale skrywał również obserwatora przed nim.

- Nic, nic - wykręcił się Adam, jednocześnie gestykułując dyskretnie opuszczoną ręką. Ben odpowiedział podobnymi gestami, po czym Adam zacisnął pięść i rozwarł palce.

- A pan to kto, tak w ogóle? - zainteresował się Heart, patrząc na Adama.

- To co z tym nakazem? - zmienił temat Tony. Stojący przy samochodzie Ben uśmiechnął się,

pochylił głowę i powiedział coś do rozmówców, co sprawiło, że popatrzyli w naszą stronę. Ben tymczasem swobodnym krokiem obszedł vana i, choć tego nie widziałam, musiał przejść na drugą stronę ulicy, bo nieczłowiek, dostrzegłszy go, przebiegł po dachu i zeskoczył za magazyn.

- Przynieś go nam, kotku - powiedział Heart. Pewnie miał przy sobie jakiś mikrofon, który umożliwiał słuchanie wszystkiego w telewizyjnej furgonetce, a możliwe, że także nagrywanie. Uznałam, że to dobrze.

Ben jednym susem przeskoczył ponad wysokim ogrodzeniem, nawet go nie dotykając. Każdy, kto by to zobaczył, nie miałby wątpliwości, że Ben nie jest człowiekiem, jednak policjanci, łącznie z Tonym, skupiali się na rudowłosym gwiazdorzce telewizji.

Nikt prócz mnie, Adama i Zee nic chyba nie dostrzegł. Gabriel zniknął. Nie zauważyłam, kiedy pobiegł do sióstr i matki, ale słyszałam, jak kłóci się o coś z Sylwią. Podczas ostrej dyskusji padało moje imię.

Przestałam zwracać na nich uwagę, bo zbliżała się do nas dziewczyna w T-shircie, niosąc grubą teczkę, którą wręczyła Heartowi. Łowca nagród przejrzał papiery, wyjął jeden, który wyglądał na oficjalne pismo, i wręczył Tony'emu.

- To nakaz, rzeczywiście - orzekł Tony, starannie omijając wzrokiem Adama. - I miałaś rację, nie wystawiono go na tego wilkołaka. - Przekazał dokument Holbrookowi.

Starszy policjant rzucił nań okiem i odchrząknął.

- Jest fałszywy - stwierdził z całkowitą pewnością. - Wystarczyło podać nazwisko, od razu powiedziałbym wam, że to fałszywka. Nawet nie musiałbym patrzeć na ten elegancki podpis niby-sędziego Fiska. To już mój własny byłby bardziej podobny do

jego podpisu niż ten tu. Nie ma żadnego listu za Hauptmanem ani na posterunku, ani w ogóle.

- Tak właśnie myślałem - zgodził się Tony. - Podpis Fiska jest ledwie czytelny.

- Co? - Oburzenie Hearta nie mogło być udawane.

Tony, który obserwował uważnie reakcję łowcy nagród, doszedł chyba do podobnego wniosku. Zabrał papier od Holbrooka i podał Greenowi.

- Idź do radiowozu i sprawdź go jeszcze na wszelki wypadek. Żeby pan Heart nie miał żadnych wątpliwości.

Zupełnie jak Tony i Holbrook Green omijał wzrokiem Adama.

- Nie słyszałem o takim liście gończym, a na pewno bym zapamiętał. Znamy tutejszego Alfę. Daję głowę, że nie złamał warunków zwolnienia. - Popatrzył na Tony'ego. - Jasne, że sprawdzę. - Oddalił się szybko w stronę radiowozu.

- Mój producent twierdził, że policja nie chce się zajmować aresztowaniem wilkołaka i dlatego poprosiła nas o pomoc - wyjaśniał Heart, lecz raczej sam w to już nie wierzył.

Holbrook prychnął z oburzeniem.

- Gdybyśmy dostali nakaz aresztowania wilkołaka, sami byśmy go aresztowali. To nasza praca.

- A więc to wasz producent powiedział, że nie chcemy sami aresztować wilkołaka, tak? - rzekł Tony z namysłem. - I ten nakaz macie też od niego?

- Tak.

- A ten producent ma jakieś nazwisko? Chcielibyśmy się z nim skontaktować i wyjaśnić tę sprawę.

- Ma, to ona - sprostował Heart. - Dafne Rondo.

Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę, z jakim uczuciem wymawia to imię. Powoli sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, a z niego wizytówkę.

- Proszę. - Podsunął kartonik Tony'emu, ale nie wypuścił z palców. - Znacie tego gościa, na którego jest wystawiony nakaz, prawda? To stąd wiedzieliście, że to nie ten wilk. - Na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Puścił wizytówkę i popatrzył na Adama. - Adam Hauptman?

Adam przytaknął.

- Rzekłbym, że miło pana poznać, ale nie lubię kłamać. Proszę mi chociaż powiedzieć, jakież to prawo niby złamałem?

Green wracał z radiowozu, kręcąc głową. Heart popatrzył na niego i westchnął.

- Co za kanał. No to pewnie nie zabijał pan kobiet i nie porzucał ich na wpół zjedzonych ciał na pustyni?

Adam był wściekły. Nie miała co do tego wątpliwości, mimo że nadal wyglądał jak spokojny, opanowany biznesmen. To właśnie porywcze usposobienie Adama stało się przyczyną, że Bran nie uczynił go jednym ze swoich pokazowych wilkołaków. Rozzłoszczony Adam był impulsywny i robił rzeczy, do których normalnie by się nie posunął.

- Może pana rozczaruję - rzekł jedwabistym głosem - ale wolę króliki. Ludzie smakują jak wieprzo-

wina. - I uśmiechnął się szeroko. Heart cofnął się mimowolnie.

- Nie pogarszajmy sprawy, panowie - zainteresował ostro Tony. Wyciągnął komórkę i spoglądając na wizytówkę, wybrał numer. Czekał, dopóki nie włączyła się poczta głosowa. Nie zostawił wiadomości. - No, dobrze... - powiedział, wyłączając telefon. - Potrzebuję zeznań w sprawie tego nakazu. Fałszowanie nakazów to poważna sprawa. Możemy to zrobić tutaj lub na komisariacie.

Zostawiłam Tony'ego oraz resztę policjantów, żeby dokończyli sprawę, a sama wróciłam do biura, zamykając za sobą drzwi. Sama także zostawiłam na zewnątrz. Skoro do tej pory jeszcze nikogo nie zabił, już tego nie robi.

Ja zaś musiałam zająć się innym problemem.

Gabriel trzymał najmłodszą siostrę na rękach. Wtulała mu w ramię zapłakaną twarz. Reszta dziewczynek siedziała na krzesłach, Sylwia stała tyłem.

Tylko ona mówiła, po hiszpańsku, więc nic nie rozumiałam. Gabriel zerknął na mnie zrozpaczony, Sylwia odwróciła się błyskawicznie. Jej oczy błyszczały gniewem tak niesamowicie jak u wilkołaka.

- Ty! - zaczęła oskarżycielsko z wyraźnym akcentem. - Nie podoba mi się twoje towarzystwo, Mercedes Thompson.

Nie odezwałam się.

- Wracamy do domu. Moja rodzina nie chce mieć z tobą do czynienia. Przez ciebie, przez twojego wilkołaka, moja córka będzie miała koszmary. Będzie

jej się śniło, że ktoś mierzy do niej z broni. Mogła zginąć, ona albo inne z moich dzieci. Przyślę lawetę po mój samochód.

- Nie ma takiej potrzeby. Zee prawie skończył. -Założyłam, że tak właśnie jest. Nie zamierzałam wspominać, że pomagał sobie magią.

- Samochód jest na chodzie - potwierdził Zee. Nawet nie zauważyłam, kiedy wszedł do biura. Stał przy drzwiach warsztatu z ponurą miną.

- Powiesz mi, ile ci jestem winna ponad to, co zarobił mój syn. Gabriel zaczął protestować, ale matka uciszyła go ostrym spojrzeniem. Zamilkł, a oczy zaszklily mu się podejrzenie.

- Mój syn uważa, że skoro jest prawie mężczyzną, może sam podejmować decyzje. Jednak dopóki mieszka pod moim dachem, nie ma nic do powiedzenia.

W zasadzie Gabriel mógłby spokojnie wyprowadzić się z domu i żyć na własny rachunek, lecz bez jego dochodów Sylwii ciężko byłoby wyżywić rodzinę. Gabriel zdawał sobie z tego sprawę.

- Gabrielu - zwróciłam się do niego - twoja matka ma rację. Mój warsztat nie jest bezpiecznym miejscem. Nawet jeśli Sylwia nie zdecydowałaby za ciebie, i tak nie mógłbyś tu pracować. Prześlę ci ostatni czek, a jeśli będziesz szukał pracy, możesz podać mój numer, wystawię ci rekomendacje.

- Mercy - szepnął ze ściągniętą, pobielającą twarzą.

- Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś się stało tobie albo którejś z twoich sióstr.

- Och, biedna Mercy! - prychnęła Sylwia z udawanym współczuciem, coraz bardziej łamaną angielszczyzną. - Biedna Mercy, żyje tak niebezpiecznie i źle by czuła, jeśli mojemu synowi stałaby się krzywda. - Wytknęła mnie palcem. - To nie tylko to. Gdyby to był tylko facet z bronią, powiedziałabym: „Nie, Gabrielu, nie możesz tu pracować”. Ale nadal byłybyśmy przyjaciółkami. Ale ty mnie okłamałaś. Zapytałam, co to za wielki pies. A ty mówiłaś, że jakiś mieszaniec. Ty zdecydowałaś sama, że moja córka może się bawić z wilkołakiem. Nie mówiłaś mi, czym on jest. Sama zdecydowałaś o moim dziecku. Nie dzwoń do nas i nie rozmawiaj z moimi dziećmi, bo inaczej wezwę policję.

- Mama! - wtrącił Gabriel. - Przecholowałaś.

- Nie - westchnęłam. - Twoja mama znowu ma rację. Wiedziałam, że zrobiłam źle w momencie, gdy usłyszałam krzyk Mai. Krzyczała na widok broni, ale to mógł być Sam. Tak myślałam, dopóki nie zobaczyłam tu Hearta. I to powiedziało mi, że podjęłam złą decyzję. Naraziłam dzieci. Zee - zwróciłam się do przyjaciela - czy mógłbyś wyprowadzić samochód Sylwii z warsztatu? - Zee spuścił głowę i odwrócił się do wyjścia. Nie miałam pojęcia, czy też jest na mnie zły, czy nie. Raczej nie wiedział nawet, jakie ryzyko podejmowałam. Nie był wilkiem, nie wychował się wśród wilków, nie podejrzewał, czym naprawdę jest Sam.

- Mercy... - jęknął Gabriel z rozpaczą.

- Idź. - Objęłabym go, ale bałam się, że oboje się popłaczemy. Ja bym się nie przejęła, ale Gabriel

Wyszli. Gabriel pierwszy, za nim nieszczęśliwe dziewczynki i na końcu Sylwia.

 miał siedemnaście lat i był mężczyzną, opiekunem rodziny. -
Vaya eon Dios. - Proszę, znałam trochę hiszpański.

- Z Bogiem - odpowiedział sztywno. Maja znów się rozryczała.

-Ja chcę mojego pieseczka!

- Idziemy - rozkazała Sylwia.

ROZDZIAŁ 5

Sylwia z rodziną jeszcze byli w warsztacie, czekając, aż Zee wyprowadzi samochód, kiedy do biura wszedł Adam z depczącym mu po piętach Samem. Widząc minę Adama, domyśliłam się, że słyszał każde słowo matki Gabriela. Podeszedł, położył mi rękę na ramieniu i pocałował w czoło.

- Nie głaskaj mnie - powiedziałam. - Wiem, że zawałam.

- Nie twoja wina, że nadgorliwy chłoptaş wpadł tu z pukawką. Ktoś nakładł mu do głowy masę kłamstw. Tony stara się skontaktować z jego producentką, ale ta nie odbiera. Pewnie chciała mieć wielką scenę walki w programie, człowiek kontra wilkołak.

- Może... Może Heart to nie moja wina, ale jeśli nie on, to mógł pojawić się przecież wampir albo jakiś Pradawny. Żadna z tych istot nie zawahałaby się

przed zabiciem Gabriela czy którejś z dziewczynek, gdyby dzieciaki weszły im w drogę.

Dłoń zsunęła się z mojego ramienia. Adam przytulił mnie mocno. Przywarłam do niego z uczuciem, że nie zasługuję, żeby mnie pocieszał, bo sądząc z jego zachowania, nadal nie w pełni zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Raczej nie miał czasu ani okazji, by przyjrzeć się Samowi bliżej...

A Sam jakimś cudem nie zrobił jeszcze nic takiego, co mogłoby zwrócić uwagę Adama. Jeszcze. Dzień wciąż młody.

Wciągnęłam powietrze, wdychając zapach Adama, czerpiąc z niego ukojenie, które mi się nie należało. Sylwia miała rację. Użałam się nad sobą, a nie miałam do tego prawa.

Odsunęłam się i wskoczyłam na kontuar, siadając obok pistoletu. Nie chciałam wyznać mu wszystkiego, kiedy mnie dotykał. Nie zniosłabym utraty tej bliskości, kiedy stwierdzi, że nie chce mieć ze mną nic do czynienia. Tak jak Sylwia.

Czarna kleista plama po nalepce, którą przykleił tu ktoś w zamierzchłych czasach, zniknęła. Przesunęłam palcami po czystej powierzchni kontuaru.

Zostawiła ciastka.

- Mercy?

Zdradziłam Adama. Zrobiłam to ze szlachetnych pobudek, ale przecież byłam jego partnerką, a przedłożyłam Samuela nad niego. Pewnie mogłabym łudzić się, że nie zauważy, ale w świetle poranka wydawało mi się to nie w porządku. A co, gdyby Heart nie przyszedł najpierw tutaj? Co, gdyby zna-

laż Adama i go zabił? Gdyby poszedł do Adama pracy albo miał jego zdjęcie... Jak się zastanović, było to całkiem możliwe. Adam ujawnił się, był znany, często pokazywano go w mediach.

Ktoś nie chciał wiedzieć, kim naprawdę jest Adam.

- Mercy?

- Przepraszam. Jestem rozkojarzona. Musisz zerknąć na Samuela. - Wpatrywałam się w płamę na kombinezonie, bo nie mogłam spojrzeć Adamowi w oczy.

Jeśli Bran zechce zabić Samuela, najpierw będzie musiał zmierzyć się ze mną. A to dla niego pestka. Ale miałam już dość okłamywania Adama, nawet jeśli nie było to klasyczne kłamstwo, a przemilczenie. Nie chciałam oszukiwać ukochanego ze strachu, że Bran się dowie.

Sam wyminął nas i stanął w przejściu do warsztatu. Patrzył do środka, nasłuchując. Maja nadal płakała za swoim pieseczkiem.

- Pieseczek? - zdumiał się Adam z rozbawieniem. Sam odwrócił się i spojrzał na niego. Adam znieruchomiał.

Byłam na najlepszej drodze, by z głupiej sytuacji wpaść w idiotyczną. Widząc reakcję Adama, naraz pomyślałam, że może to nie najlepszy pomysł mówić Alfie dorzecza Kolumbii, że ma problem z Samem, i to na tak ograniczonej powierzchni, jaką miało moje biuro.

To Sam warknął pierwszy. Adamowi krew uderzyła do głowy. Sam był silniejszym, bardziej domi-

nującym wilkiem, ale nie Alfą, a Adam nie ustąpiłby przed nikim na własnym terenie bez walki.

Zeskoczyłam z kontuaru, wchodząc pomiędzy nich.

- Spokojnie, Sam - fuknęłam, zanim zorientowałam się, jakie popełniam kretyństwo.

Ciągle zapominałam... nie, że Samuel ma ze sobą kłopoty, z tym nie miałam problemu, zapominałam, że wilk to nie Samuel. To, że nie zamienił się w rozjuszoną bestię, jaką stawały się wilkołaki, utraciwszy kontrolę człowieczej części natury, nie znaczyło, że nie jest groźny. Miałam tę świadomość, a jednak zachowywałam się tak, jakby to był Samuel. To dlatego, że wilk zachowywał się jak Samuel. Mniej więcej.

Sam kichnął i odwrócił się do nas tyłem. A ja znów zaczęłam oddychać.

- Przepraszam - zwróciłam się do obu. - To było idiotyczne.

Nadal nie chciałam patrzeć na Adama. Nie chciałam zobaczyć, że jest na mnie zły albo zraniony. Miałam już wszystkiego serdecznie dość.

Stchórzyłam. Podniosłam głowę, zatrzymując wzrok na brodzie Adama - w ten sposób widziałam jego twarz, nie patrząc mu prosto w oczy.

- Zawałałaś na całej linii - oświadczył z namysłem.

- Przepraszam, że zachowałam się tak, jakbym... -Jakbyś co? Jakbyś potrzebowała odetchnąć od

stada, ode mnie, a tak naprawdę odsunęłaś się, żebyśmy nie dowiedzieli się o Samuelu?

Mówił pozornie spokojnie, ale widziałam, jak mocno zaciska szczęki i napina mięśnie szyi. -Tak.

Do biura wparował Ben. Z miejsca zorientował się w sytuacji i zamarł natychmiast. Adam popatrzył na niego przez ramię, a Ben wzdrygnął się i zwiesił głowę.

- Nie złapałem jej - powiedział. - Tej istoty. To była ona. Uzbrojona i kiedy uciekała, upuściła broń. - Spod przewieszanej przez rękę kurtki wyciągnął karabin, w większości zbudowany z plastikowych części. Gdyby był ładniejszy, powiedziałabym, że to zabawka.

- Karabin Kel-Tec - ocenił Adam fachowo, z wysiłkiem odzyskując zimną krew. - Magazynek na naboje do pistoletu.

Wziął broń od Bena, wyjął zasobnik i z syknięciem upuścił na kontuar.

- Dziewięć milimetrów. Srebrne pociski. - Zwrócił się do mnie: - Hearta trzymałaś na muszce dziewiątki czy trzydziestkiósemki?

Temat mojego grzechu został zawieszony na czas omawiania oficjalnych spraw. Żałowałam, że nie możemy go dokończyć.

- Dziewięć milimetrów - powiedziałam. - Gdyby kogoś zabiła, byłoby na łowcę. Jakie są szanse, że zrobiliby testy balistyczne, które wykazałyby, że pocisk pochodzi z innej broni?

- Moim zdaniem ktoś miał tutaj zginąć - stwierdził Ben.

- Zgadza się - poparł go Zee, stając w przejściu do warsztatu. Sam przesunął się, odrobinę sztywno, ale się przesunął, więc Zee mógł wejść do biura. -Balistyka i tak nic by nie wykazała. Nieczłowiek nie ma żadnego problemu, żeby podrobić srebrny pocisk. Nawet nieczłowiek dysponujący tylko niewielką magią. Prawie żaden z nas nie może dotykać żelaza, z ołowiem nie jest lepiej, ale srebro... Srebro łatwo nasiąka magią i ją utrzymuje.

Mój kostur miał srebrne okucie.

- Nabój wyglądałby tak samo, jak te z pistoletu Hearta - kontynuował Zee. - Trochę dodatkowej magii i nadmiarowy znika. I nie zrobił tego żaden pośledni nieczłowiek. Wyczuwam w tym Gon. Dziki Gon.

- Nie wiem, co to takiego. - Wiedziała tylko, że jakiś nieczłowiek zabójca zaczął się na wilkołaki. Chce zabić Adama. Postanowiłam zdobyć, ile się da informacji.

- W tym wypadku morderczy szal - wyjaśnił Zee. - Coś takiego, po czym człowiek patrzy na trupy i zastanawia się, dlaczego pociągnął za spust, skoro chciał tylko zwrócić uwagę. Gdyby nie było mnie tu, żeby to odeprzeć... - Wzruszył ramionami i popatrzył na Adama. - Ktoś chciał cię zabić i zwalić winę na osobę tak oczywistą, że nikt nie przyjrzałby się temu bliżej.

Adam odłożył karabin na kontuar obok magazynka, złapał kurtkę Bena i zakrył nią jedno i drugie.

- Nie wkurzyłem ostatnio żadnego nieczłowieka, prawda?
Zee pokręcił głową.

-Jeśli nawet, to sprawa osobista. - Zasepił się i dodał niechętnie: - Ktoś mógł ją wynająć.

- Nie widziałem nigdy nieczłowieka, który posługiwałby się nowoczesną bronią - rzekł Ben i odwrócił się do Adama. - Wiem, że to był nieczłowiek i tak dalej, ale czy to możliwe, że to jedna z łowców trofeów?

- Łowców trofeów? - wyprzedził mnie Zee.

- David schwytał dwóch i zabił jednego w tym roku. Polowali na niego - wyjaśnił Adam. - Jak się okazało, jeden z nich był zapalonym myśliwym, specjalizującym się w grubej zwierzynie, drugi seryjnym mordercą, któremu przestały wystarczać zabójstwa żołnierzy z tamtejszej bazy, a trzeci łowcą nagród, choć za Davidem, podobnie jak za mną, nie rozesłano żadnego listu gończego. Wyglądało na to, że po prostu chciał się sprawdzić, zmierzyć z wilkołakiem.

- David Christiansen? - upewniłam się. Christiansen był najemnikiem. Jego mały oddziałik specjalizował się w odbijaniu zakładników. Spotkałam go raz, zanim stał się sławny po uratowaniu dzieci z rąk terrorystów. Po udanej akcji w ich obozie w Ameryce Południowej pewien fotograf zrobił mu niesamowite zdjęcia. Christiansen wyglądał na nich bohatersko i słodko. Zdjęcia opublikowano w krajowych mediach i Marrok wybrał Davida na pierwsze-

go wilkołaka, który się ujawni. W ten sposób David stał się najbardziej znanym wilkołakiem Ameryki. -Tak.

- „Najniebezpieczniejsza gra” - mruknęłam. Ha! Moja edukacja nie poszła na marne wbrew temu, co twierdzi moja matka.

- Ale na to mi nie wygląda - rzekł Adam. - Heart nie polował na mnie dla dreszczyku, a przynajmniej nie był to jego główny powód. Ktoś go na mnie nasłał.

- I to nieudolnie - zauważyłam. - Nie wiedział nawet, kim jesteś, a przecież wystarczyło, żeby jego producentka poszukała twojego zdjęcia w Internecie. W końcu jeśli się kogoś wysyła na polowanie, to chyba daje się fotografię celu, żeby ustrzelić odpowiednią osobę.

- Przypomina to robotę zawodowca. - Adam postukał pięścią w blat kontuaru. - Dokładny plan i dużo zachodu, żeby zabić publicznie, bo już bardziej publicznie niż przed kamerami się nie da. I, co najwięcej mówi o sprawczyni, kiedy coś poszło niezgodnie z planem, natychmiast się wycofała.

- Zabić ciebie - przypomniałam. - Ty byłeś celem, a tak naprawdę to nie Heart miał cię zabić, tylko ona, własnoręcznie.

- Myliłem się co do tego łowcy trofeów - przyznał Ben. - Nie pasuje mi, żeby w grę wchodziły emocje. To nie była sprawa osobista. Kobieta, która pragnie krwi, zakładając, że kobiety nieładzi są takie, jak reszta su...

- Miarkuj się - warknął Adam. - Pamiętaj, że mówisz przy damie.

Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-Jasne. Zakładając więc, że damy-nieludzie są podobne do dam-innych istot, ta powinna być podekscytowana wizją zabójstwa i wściekła, kiedy popsułem jej oczekiwaną zabawę. A ona nie zawahała się nawet sekundy, gdy mnie zobaczyła. Natychmiast rzuciła broń i dała nogę. Nie zwlekała, nie przejmowała się.

- Świetnie wyszkolona - podsumował Adam. -Albo ma wyjątkowo chłodny umysł. - Spojrzał na mnie. - A choć rzeczywiście wygląda tak, jakbym to ja był celem, równie dobrze mógł nim być Zee albo ty. Heart miał srebrne kule, więc skrytobójczy-ni użyła takich samych. Nie oznacza to jednak, że polowała na wilkołaka. Heart polował, o tym wiemy, w jej przypadku nic nie jest przesądzone.

Drzwi wejściowe otworzył Tony.

- Wszystko w porządku, Mercy?

- Tak - skłamałam, choć i tak nie liczyłam, że ktokolwiek mi uwierzy.

Tony zmarszczył brwi, a potem odwrócił się do Adama.

- Masz jakichś wrogów? Wygląda na to, że producentka Hearta pragnęła tylko rozgłosu, ale musimy to jeszcze dokładnie zbadać. Heart miał ze sobą papiery, na pierwszy rzut oka wszystkie w porządku poza drobnym szczegółem, że nakaz został podrobiony. Zlecenie zawierało też zdjęcia ofiar. Jak uda

nam się skontaktować z tą Dafne Rondo, ustalimy, skąd je miała.

- Z Internetu - podsunął Ben. - Jest taka strona ze zdjęciami umarłaków. - Uśmiechnął się krzywo, widząc nasze miny. - Ej, co tak patrzycie? Taka praca. - Widząc, że Tony nie rozumie, dodał: - Technologie informatyczne, branża IT, komputery. Kiedy nam się nudzi w pracy, rzucamy sobie różne wyzwania, na przykład: kto znajdzie najwstrętniejszą witrynę, temu reszta stawia lunch. Ja dostałem darmowy lunch, a facet od stronki z trupami był drugi. Kiedy rozmawiałem z ludźmi łowcy, pokazali mi zdjęcia ze swojej dokumentacji. Tamta strona ze zwłokami ma część poświęconą truchłom zwierzęcym. Jedno z tych zdjęć rozpoznałem.

- Jesteś chory - stwierdziłam.

- Och, ależ dziękuję - odparł Ben, robiąc skromną minę.

- Ktoś chce cię zabić - zwrócił się Tony do Adama.

- Widzisz, Tony też uważa, że to o ciebie chodzi - podkreśliłam.

- Będę uważał - wzruszył ramionami Adam. Wilkołaki są twarde, Hauptman jest jednym

z najtwardszych, ale widziałam, jak i tacy giną.

- Uhm, jasne. Wklep mój numer w bezpośrednio wybieranie i staraj się nikogo nie zabić - poradził mu Tony i rzucił do mnie:

- Rozmawiałaś z Sylwią, Mercy? Była zdenerwowana, kiedy wychodziła. Wszystko u nich gra? - Przemawiało przez niego

serce. Tony był zainteresowany Sylwią, podrywał ją, ale powiedziała, że nie umawia się ze współpracownikami. I tyle, jeśli o nią chodzi.

- Zdenerwowała się, bo Heart mierzył do Mai -wyjaśniłam. - Ale jeszcze bardziej wściekła się na mnie, bo przyprowadziłam tu wilkołaka i pozwoliłam się z nim bawić jej dzieciom.

Na twarzy policjanta odbiło się niezrozumienie. -Co?

- No tak. Raczej już nie będzie naprawiała u mnie samochodu. Gabriel też nie będzie pracował.

- Co zrobiłaś?!

- Dosyć tego - warknął Adam i wskazał Sama. -Ten wilk nie skrzywdziłby dziecka i Mercy o tym wiedziała.

- To były szczególne okoliczności - przypomniałam Adamowi z naciskiem. Czyżby zapomniał, że mamy do czynienia nie z Samuelem, a z jego wilkiem? - Sylwia miała rację. Całkiem wypadło mi z głowy, że przyjdzie dzisiaj z dziewczynkami sprzątać biuro, inaczej bym go nie przyprowadziła.

- Rzeczywiście coś im groziło? - zapytał Tony.

- Nie - powiedział Adam z całkowitym przekonaniem.

- Mercy też tak sądziła?

- Oczywiście - Adam zagłuszył moje „nie”. -Czuje się winna, bo uważa, że powinna była powiedzieć Sylwii.

Tony popatrzył na mnie.

- Sylwia nie jest nierozsądna. - Zawiesił głos i uśmiechnął się.
- Może trochę popędliwa. Jeśli jej wyjaśnisz...

-Już pojechali - przerwałam mu. - Tak będzie lepiej. Ostatnio kręci się tu wiele wilkołaków, do tego nieładnie, wampiry... Tu nie jest bezpiecznie.

- Podobnie jak dla ciebie, prawda?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, drzwi otworzyły się ponownie i do biura wszedł Kelly Heart. Pomieszczenie jest niewielkie, już ja, Zee, Sam, Adam, Tony i Ben tłoczyliśmy się. Z Heartem zrobiło się o półtorej osoby za dużo. Sam warknął, ale żeby się przedostać do łowcy, musiałby wyminąć Zee, Adama i mnie albo przeskoczyć kontuar.

-Jak stoją sprawy, panie Heart? - zapytałam.

- Ludzie z ekipy powiedzieli mi, że ktoś uszkodził kamery w vanie. - Zerknął na Bena, a Sam zawarczał głośniej. Po chwili Heart wzruszył ramionami. - Niełatwo to zrobić. Zostaliśmy więc z nagraniem z kamery Joe, a ten zapis kończy się, kiedy pani mnie rozbija. Koszt sprzętu nie jest odliczany z mojej gaży. Cholernie szybko się pani porusza - podsumował.

- Nie jestem wilkołakiem - oświadczyłam znudzonym tonem, przepychając się obok Bena i stając przed kontuarem. Oczywiście Sam mógłby wskoczyć na blat, a potem przeskoczyć mi nad głową, ale liczyłam, że zwolnię go choć trochę.

- Przyszedłem tylko po broń. - Uśmiechnął się. -Ekipa się denerwuje, że możemy stracić srebrne naboje.

- Mercy - wtrącił się Tony - jeśli to nie problem, nie muszę wiedzieć o broni. Inaczej trzeba będzie umieścić w raporcie.

- W porządku. Adam tu jest, więc wszystko okej.

- No tak - rzucił Tony cierpko, zerknąwszy na Adama. - Rzeczywiście, chyba jesteś bezpieczna. To ja wracam do pracy.

- Otworzył drzwi. - Na pewno nie chcesz, żebym pogadał z Sylwią?

- Na pewno. Tak jest prościej. I lepiej.

- Trzymajcie się. - Tony się wycofał, a mimo to w biurze znajdowało się nadal zbyt wiele osób.

- No dobra, skoro glin już nie ma, to może powiecie, o co tu chodzi? - dopytywał się Heart. - Po co ktoś nas ciągnął aż z Kalifornii, bo chyba nie żeby zrobić kawał, przez który mogli zginąć ludzie?

- Nie, nie powiemy - odrzekł Adam.

Heart podszedł do niego, a że był wyższy, spojrzał z góry.

- Co twój chłopiec na posyłki gonił po drugiej stronie ulicy?

Zanim zdążyłam pouczyć Hearta, że grożenie wilkołakowi jest mało rozsądnym posunięciem, Adam przyparł łowcę do drzwi, zgniatając mu gardło przedramieniem. Heart był nie tylko wyższy, ale także większy i miał większą masę mięśniową, ale nie był wilkołakiem.

- Nie twój interes - warknął Adam nisko.

- On nie jest naszym wrogiem - przypomniałam Adamowi. - Nie zabijaj go. A pan, panie Heart, powinien porządnie odrobić lekcje, zanim zaczniesz po-

lować na wilkołaki. Nie grozi się Alfie. Wyjątkowo tego nie lubią.

Adam zwiększył nacisk na gardle najemnika; ten po kilku bezowocnych próbach uwolnienia się przestał się miotać.

Adam w końcu się odsunął, kilkakrotnie otwierając i zaciskając pięści, jakby chciał zwalczyć przemożną ochotę uderzenia łowcy. Kiedy odwrócił się do niego plecami, wszyscy odetchnęli z ulgą.

-Jestem tak samo zdenerwowany tą sytuacją, jak pan - rzekł Heart. - Dafne... Moja producentka... Zaginęła. To dobra osoba. Ktoś dał jej tę teczkę z dokumentami i nakłonił, żeby wysłała mnie za panem. Nie ma jej w biurze, nie odbiera telefonu, a gosposia nie widziała jej od trzech dni. A ja nawet nie wiem, gdzie zacząć szukać.

Adam westchnął i poruszył barkami, by rozluźnić napięte mięśnie.

- Nie wiem, gdzie jest pana producentka. Nie wiem, kto to wszystko zaplanował ani dlaczego, ani nawet, czy to ja miałem być celem. Proszę zostawić wizytówkę. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię.

- Czy pani Rondo jest nieczłowiekiem? - zapytałam. Adam położył mi rękę na ramieniu. Wyraźny znak, że powinnam się zamknąć. Nie chciał, żeby Heart się zainteresował. A ja myślałam raczej o tym, że Heart może wiedzieć coś ważnego, coś, co powie nam, czy to Adam miał być ofiarą zamachu.

- Nie. A czemu pani pyta? Czy nie ludzie mają z tym coś wspólnego?

- Nic nam o tym nie wiadomo - skwitował Adam.

- To skąd to pytanie?

- Wydaje się pan aż nazbyt pewien, że pana producentka nie jest nieczłowiekiem - zauważył Ben.

- Dafne należy do kilku ugrupowań zwalczających nie ludzi, a do tego trzeba mieć dzisiaj jaja w Hollywood, i uwielbia gadać, jak to kraj daje się nabrać na sztuczki krasnoludków.

- Kiedy dowiedział się pan, że ma tu jechać? - drążyłam dalej. Heart odwrócił się do mnie, zamyślony.

- Wczoraj rano. Tak, czyli wtedy już Dafne nie było od dwóch dni w domu. - Uśmiechnął się. - Powinna pani być lalunią Alfya. Adam wybuchnął śmiechem.

- No co? - Udałam urażoną. - Myślisz, że nie nadaję się na lalunię? - Popatrzyłam na swój poplamiony kombinezon, wybrudzone smarem dłonie. I kolejny złamany paznokieć.

- Honey jest lalunią - rzekł Ben przepraszająco. - Ty jesteś... sobą.

- Ty jesteś moja - powiedział Adam, wchodząc pomiędzy mnie i Hearta. - Ona jest moja.

Heart wyjął jeszcze jedną wizytówkę dla mnie.

- Gdyby pani miała więcej pytań, proszę dzwonić. Lub gdyby ktoś tu dowiedział się czegoś o Dafne. To porządna kobieta - powtórzył. - Nie zrobiłaby czegoś takiego dla żartu ani rozgłosu.

Skinął Adamowi głową i wyszedł. Ben podążył za nim. Samowi też udało się wysliznąć, zanim drzwi się zamknęły.

Zee spojrział na nas.

- Lepiej pójdę popilnować Samuela. Jeśli kogoś ukatrupi, będę miał przynajmniej udział w łupach.

-1 możesz przy okazji oddać pukawkę Heartowi - przypomniałam.

Zee uśmiechnął się wesoło, wyciągając skądś bryłę metalu, całkiem ładną zresztą - stalową, ze smugami srebra.

- Dopilnuję, żeby się z nią wyniósł. - Zamknął za sobą drzwi do warsztatu, zostawiając mnie sam na sam z Adamem.

- Mercy - zaczął Adam i w tej samej chwili zadzwoniła jego komórka. Wyszarpnął ją ze zniecierpliwieniem z kaburki przy pasku. Zerknął na wyświetlacz, odetchnął i odebrał. - Hauptman - mruknął.

- Adamie - powiedział Marrok spokojnie - musisz ustalić, gdzie są Mercy i mój syn.

- Wiem, gdzie są - odrzekł Adam, patrząc mi w oczy. W obecności wilków czy też mojej nie da się prowadzić prywatnej rozmowy. Adam mógł wyjść na zewnątrz, jeśli nie chciałby, żebym ich słyszała.

Sekunda milczenia po drugiej stronie.

- Ach, byłbyś tak miły i dał jedno z nich do telefonu?

- Myślę - Adam ostrożnie dobierał słowa - że to mogłoby być nieco pochopne.

Dłuższa cisza.

- Rozumiem. Musisz zachować daleko idący rozsądek i ostrożność, Adamie.

- Robię wszystko, co w mojej mocy.

- Mogę z nim porozmawiać - zaproponowałam, wiedząc, że Bran mnie słyszy.

Adam stawiał się w pozycji pomiędzy Samuelem a jego ojcem. Jeśli coś pójdzie nie tak, Bran pociągnie go do odpowiedzialności.

Kochałam Brana, wychowywał mnie na równi z przybranymi rodzicami. Ale nie była to ślepa miłość. Zawsze wiedziałam, że na pierwszym miejscu stawia bezpieczeństwo wilków. Jeśli zapewnienie go wymagać będzie zabicia własnego syna, zrobi to. A wcześniej zabije Adama.

- Nie - sprzeciwił się Adam. - Moje terytorium, moja odpowiedzialność.

- Dobrze - zgodził się Marrok. - Jeśli mógłbym pomóc, ja lub moi, daj znać.

- Oczywiście. Zadzwoń w przyszłym tygodniu, powiem, co i jak.

- Mercy - Bran zwrócił się do mnie - mam nadzieję, że to najlepsze wyjście.

- Najlepsze dla Samuela - powiedziałam. - Dla mnie, dla ciebie. Może nie do końca dla Adama.

- Hauptman zawsze wykazywał tendencje do... heroizmu.

Dotknęłam ramienia Adama. - Jest moim bohaterem.

Kolejna pauza. W bezpośredniej rozmowie Bran nie zastanawia się tak długo, lecz wilkołakom trudniej rozmawiać przez telefon, bo komunikują się w dużej części za pomocą mowy ciała.

- To najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś - podsumował. - Uważaj, Alfo, bo zmienisz ją w prawdziwą dziewczynę.

- Podoba mi się taka, jaka jest. - Adam objął mnie spojrzeniem. I tak było, w tym poplamionym kombinezonie i z połamanymi paznokciami, i całą resztą.

Bran roześmiał się, jednak szybko spoważniał.

- Dbaj o mojego syna, a w razie czego nie zwlekaj z wezwaniem mnie.

- Dziękuję - zakończył Adam. - Nie zrobiłem tego dla ciebie - zastrzegł, kiedy się rozłączył. - Nawet jeśli to wilk przejął kontrolę, Samuel nie jest tak niebezpieczny, jak byłaby większość z nas. Tak zaawansowany wiek ma swoje plusy. Bran jednak musi postępować zgodnie z literą prawa. Gdyby wiedział dokładnie, co się dzieje, musiałby natychmiast wydać wyrok.

- A ty?

Adam wzruszył ramionami.

- Ja chyba nie traktuję prawa aż tak dosłownie. Postępuję bardziej z duchem niż literą.

Nigdy nie pomyślałam o nim w ten sposób. A powinnam pamiętać... Granica pomiędzy czarnym i białym jest tam, gdzie się ją zaznaczy.

Spuściłam oczy.

- W takim razie pewnie za późno na przeprosiny i pewnie to tak mało...

- A za co chciałabyś przeprosić? „Drogi Adamie, przepraszam, że usiłowałam ukryć przed tobą problem Samuela”? „Przepraszam, że wykorzystałam na-

sze problemy do odsunięcia cię, żebym mogła zająć się tym sama"? A może coś takiego: „Przepraszam, że nie powiedziałam ci, co się dzieje, bo nie wierzyłam, że załatwiłbyś to tak, jak ja bym tego chciała”? - zaczął z nutą rozbawienia, ale skończył ostro.

Siedziałam cicho. Umiem ugryźć się w język. Czasami. Kiedy wiem, że sknociłam.

Westchnął.

- Przeprosiny nie mają sensu, Mercy. Oznaczają bowiem, że drugi raz tak byś nie postąpiła. A zakładam, że w podobnych okolicznościach nie zrobisz inaczej, prawda?

-Tak.

- Poza tym nie trzeba przepraszać, gdy ma się rację. - Westchnął ponownie. - Choć bardzo chciałbym powiedzieć ci, że się myliłaś, to nie mogę.

Poderwałam głowę. Mówił całkiem poważnie.

- Gdybyś zadzwoniła do mnie z informacją, co się stało Samuelowi, przyszedłbym do ciebie i go zabił. Zastrzeliłbym Samuela, bo wiem, że nie zwyciężyłbym w walce. A widywałem przegranych, ty także.

Przełknęłam nerwowo ślinę i przytaknęłam.

- Wiem także, w przeciwieństwie do ciebie, jak mocno wilki tęsknią za polowaniem, za smakiem krwi na kłach. Za zabijaniem... - Odwrócił głowę. -Mój wilk sam z siebie nie pozwoliłby łowcy odejść po tym, kiedy ten mierzył do mnie z broni. Wątpię, czy pozwoliłby wspinać się po sobie dzieciom. -Przez twarz Adama przebiegł skurcz żalu. - Nawet przyjesse, własnej córce... Nie mógłbym mu ufać.

Ale wilk Samuela poradził sobie z tym wszystkim, dlatego uważam, że zasługuje na szansę. Tydzień. Po tygodniu porozmawiasz z Marrokiem, powiesz mu, że jego syn zachowywał przez te kilka dni spokój i zimną krew. Może uda się dzięki temu kupić Samuelowi więcej czasu.

- Przepraszam, że zagrałam na twoim poczuciu winy, by trzymać cię z dala od tego - powiedziałam cicho.

Oparł się o kontuar i skrzyżował ramiona na piersi.

- Ale to nie było kłamstwo, prawda? Masz problemy ze stadem, jesteś zmęczona więzią ze mną, tak?

- Potrzebuję czasu, żeby przywyknąć. Popatrzył na mnie, a ja skurczyłam się w sobie

pod tym spojrzeniem, tak jak robiła to jego córka.

- Nie okłamuj mnie, Mercy. Nie mnie. Żadnych kłamstw między nami, pamiętaj.

Potarłam oczy. Nie, nie płakałam. Naprawdę. To wina spadku adrenaliny po tym, jak musiałam poradzić sobie z facetem z bronią, mając za plecami wilka samotnika.

Adam odwrócił się. Myślałam, że nie chce, bym widziała wyraz jego twarzy. Naraz jednak zacisnął palce na kontuarze i złamał blat na pół. Kasa runęła na podłogę, a wraz z nią sterta rachunków i faktur.

Dziwne, lecz pierwsze, co przyszło mi do głowy po tym przejawie agresji, to że bez Gabriela będę musiała sama poukładać te papiery, żeby nie przyczepiła się do mnie skarbówka.

A potem Adam zawył. Z ludzkiego gardła dobył się niesamowity dźwięk. Słyszałam coś podobnego tylko raz, i to z wilczej gardzieli. Mój przybrany ojciec, Bryan, zareagował tak na śmierć swojej towarzyszki, żony.

Postąpiłam krok ku Adamowi, ale drogę zagroził mi Sam. Ustawił się pomiędzy nami, zniżając głowę, gotów do obrony.

Drzwi między biurem a warsztatem są osadzone w stalowych framugach. Po przejściu Sama wisiały na jednym zawiasie, wygięte i strzaskane. Przez Adama nawet nie usłyszałam rumoru.

Zdałam sobie jednak sprawę, że to nie Adam wył. Dźwięk miał źródło w innym miejscu, w tym, skąd brała się nasza więź.

- Nie bój się mnie - szepnął Adam, nie odwracając się. - Nie zostawiaj mnie.

Żadnych kłamstw pomiędzy nami.

Odetchnęłam głęboko, cofnęłam się kilka kroków i usiadłam na jednym z rozklekotanych krzeseł stojących pod ścianą. Chciałam swoją zwykłą postawą rozładować sytuację.

- Adam, nie mam na tyle rozumu, żeby bać się Sama w jego obecnym stanie. Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy, że mogłabym się bać ciebie. - Rozsądniej byłoby bać się wilkołaka, który właśnie rozwalił zbudowany przez Zee kontuar, niż układania papierów i urzędu skarbowego.

- Poproś Samuela, żeby nas zostawił.

- Sam? - Odwróciłam się do wilka. Słyszał prośbę Adama.

Warknął. Adam odpowiedział tym samym. Z nawiązką.

- Sam - zaczęłam się denerwować - to mój towarzysz. Nie skrzywdzi mnie. Zostaw nas.

Wilk spojrzał na mnie, a potem znów na plecy Adama. Grzbiet Alfę napiął się pod tym czujnym wzrokiem.

- Idź, zobacz, co robi Zee - poprosiłam. - Nie polepszasz tu sytuacji.

Sam zaskomlał i postąpił pół kroku w stronę Adama.

- Sam, proszę. - Nie zniosłabym, gdyby rzucili się na siebie. Któryś by zginął.

Wielki biały wilk odwrócił się niechętnie i odszedł sztywno, przystając co chwilę, żeby sprawdzić, czy Adam się ruszył. Wreszcie przeskoczył przez resztki drzwi i zniknął w warsztacie.

- Adam?

Nie odpowiedział. Gdyby był człowiekiem, sprzedałabym mu kuksańca, rozżłościła, żeby mieć to już za sobą. Zraniłam go i teraz czekałam na swoją karę. Jeszcze zanim na uczelni przeczytałam Immanuela Kanta, wiedziałam, że należy podejmować własne decyzje, a potem ponosić ich konsekwencje.

Jednak Adam nie był człowiekiem. A właśnie w tym momencie, o ile dobrze oceniłam, zmagał się ze swoim wilkiem. To, że był Alfą, nie ułatwiało niczego, możliwe, że przeciwnie. Pomagał upór, a w tym Adam był świetny.

Nieobecność Sama też poprawiała sytuację. Ja natomiast mogłam tylko siedzieć cicho i czekać.

Dla Adama, więzi nie więzi, mogłabym czekać bez końca.

- Naprawdę? - zapytał tonem, którego nigdy jeszcze u niego nie słyszałam. Miękkim. Bezbronnym. Adam nie był bezbronny.

- Naprawdę co?

- Nadal chcesz być ze mną? Pomimo więzi, która cię przeraża? Pomimo tego, że ktoś ze stada pogrywa sobie z tobą? Słuchał moich myśli. Tym razem jednak mi to nie przeszkadzało.

- Dla ciebie przeszłabym po rozżarzonych węglach.

- Nie wykorzystałaś tej sprawy z Samuelem, żeby się ode mnie zdystansować - stwierdził.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Naraz zobaczyłam, że rzeczywiście mógł odebrać to w ten sposób.

- Wiesz, w Biblii jest przypowieść, w której Jezus mówi Piotrowi, że ten zaprze się trzykrotnie, zanim wzejdzie słońce. Pamiętasz? Piotr mówi, że to niemożliwe, ale wkrótce zapytany, czy należy do uczniów Jezusa, zaprzecza. Po trzecim razie słyszy panie koguta i uświadamia sobie, co uczynił. Ja w tej chwili czuję się jak ten Piotr.

Adam zaczął się śmiać. Kiedy się odwrócił, ujrzałam, że z jego jasnozłotych oczu wyglądał wilk. Patrzył przenikliwie, tak jak zwykle wilki. Co więcej, Adam zaczął się nawet trochę zmieniać - jego szczeka wydłużyła się, kości policzkowe odrobinę przesunęły.

- Porównujesz mnie do Jezusa? W tym stanie? -Wskazał swoją twarz. - Nie uważasz, że to profanacja? - w głosie pobrzmiwała gorycz.

- Nie większa niż porównanie siebie do świętego Piotra. Ale naprawdę miałam kaca moralnego, tylko u świętego Piotra trwał on o wiele krócej niż u mnie. Moje „co ja zrobiłam?!” zaczęło się, kiedy usłyszałam krzyk Mai, i trwało aż do końca twojej rozmowy z Branem, kiedy udało ci się kupić Samuelowi trochę czasu. Dziwne, jak decyzje, które wydawały się właściwe... - Pokręciłam głową. - Piotr pewnie uważał, że postępuje sprytnie, okłamując ludzi, że nie jest uczniem Jezusa. A na pewno, że ocali mu to życie. Myślałam, że ocalenie Samuela, skoro nie pustoszy i nie morduje, to dobry pomysł. Myślałam, że poproszenie cię o trochę przestrzeni to dobry pomysł. O trochę czasu na przywyknięcie do myśli, że ma się w głowie innych ludzi, bo przeraża mnie to, a nie chciałam cię zranić.

- Co?! - zdumiał się Adam. Zwiesiłam głowę.

- Bo mnie to przeraża.

- Nie, nie o to chodzi... Że mnie ranisz?

- Nie lubisz być wilkołakiem - przypomniałam mu. - Jasne, radzisz sobie nieźle, ale nienawidzisz tego. Myślisz, że jesteś dziwadłem. Nie chciałam, żebyś wiedział, że też mam pewne problemy z wilko-łactwem. - Przełknęłam nerwowo ślinę. - No dobra, więcej niż te klasyczne z tym waszym „należysz do mnie, więc muszę cię kontrolować”, jakie ma większość wilkołaków.

Gapił się na mnie żółtymi ślepiami jaśniejącymi w wydłużonej twarzy. Rozchylił usta, bo szczęka i żuchwa już do siebie nie pasowały, widziałam więc koniuszki zębów, ostrzejsze i bardziej nierówne niż zazwyczaj.

-Jestem dziwadłem, Mercy - powiedział.

Skwitowałam jego słowa prychnięciem.

-Jasne, strasznym dziwadłem. Dlatego śliniłam się do ciebie tyle lat, choć przysięgłam sobie po Samuelu, że nie będę zadawała się już z żadnymi wilkołakami. Wiedziałam, że jeśli powiem ci, że przynależność do twojego stada i te więzi w jakiś sposób mi dokuczają, to cię zrani. A ty i tak już musisz sobie radzić z... - Nie byłam w stanie zmusić ust do ułożenia się w słowo „gwałt”, więc obeszłam okrężną drogą, jak zwykle. - Z tą całą sprawą z Timem. Myślałam, że w końcu znajdę sposób, by powstrzymać stado przed zmienianiem mnie w twoją eks, a przy okazji kupię Samuelowi trochę czasu...

Adam oparł się o ścianę przy drzwiach, o ten fragment, który dotychczas blokował kontuar, i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Chcę powiedzieć, że jest mi naprawdę przykro. Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem. I nie, nie wykorzystuję tego, by się od ciebie zdystansować.

- Zrobiłaś to, żeby mnie nie zranić - powiedział nadal tym dziwnym tonem.

-Tak.

Powoli potrząsnął głową, a ja zauważyłam, że podczas mojej przemowy wytracił wilcze cechy i jego twarz stała się znów całkiem ludzka. W cie-

płych brązowych oczach odbijało się światło wpadające do biura przez okno, a kącik ust unosił się.

- Masz pojęcie, jak bardzo cię kocham? - zapytał.

- Wystarczająco, żeby przyjąć moje przeprosiny? - wyszeptałam.

- Do licha, nie! - oświadczył, odepchnął się od ściany i ruszył stanowczym krokiem.

Staął przede mną i dotknął opuszkami mojej szyi jak czegoś niezwykle kruchego.

- Żadnych przeprosin - powiedział tak miękko, że ugięły się pode mną nogi, a cała reszta roz płynęła. - Po pierwsze, jak już wspomniałem, drugi raz zrobiłabyś to samo, więc przeprosiny nie mają sensu. Po drugie, jesteś, jaka jesteś, i dlatego nie postąpiłabyś inaczej. A skoro kocham cię właśnie taką, jaka jesteś, idiotyzmem byłoby wkurzać się dlatego, że jesteś sobą. Prawda?

- Nie zawsze widzi się to w ten sposób - powiedziałam, podchodząc do niego, aż nasze biodra się zetknęły.

Roześmiał się, a mnie przeszył dreszcz szczęścia aż po koniuszki palców u stóp.

- Cóż, nie obiecuję, że zawsze będę się kierował tą logiką. - Z żalem potoczył wzrokiem po zniszczonym kontuarze i leżących na ziemi przedmiotach. - Szczególnie nie w pierwszej chwili. - Spoważniał. - Myślałem, że chcesz mnie zostawić.

- Może i jestem głupia - powiedziałam i potarłam nosem o jego jedwabny krawat - ale nie aż tak. Mam cię i nie wymkniesz mi się tak łatwo.

Objął mnie tak mocno, że prawie zaboląło.

- Dlaczego nie powiedziałeś Branowi o Samuelu? -
zaciekawiałam się. - Byłam przekonana, że powinieneś. Nie
jesteś zmuszony do tego w wyniku złożenia przysięgi krwi?

- Gdybyś zadzwoniła wczoraj i opowiedziała, co dzieje się z
Samuelem, natychmiast powiadomiłbym Brana i sam
wpakował Samowi kulkę. Ale biorąc pod uwagę wydarzenia
dzisiejszego ranka, wydaje się trzymać całkiem dobrze.
Zasłużył na szansę. -Rozluźnił nieco uścisk, ale zaraz znów
przygarnął mnie mocniej. - Jeśli coś mi się stanie, masz natych-
miast zadzwonić do Brana i trzymać się z dala ode mnie. Mój
wilk to nie to samo co wilk Samuela. -Znów rzucił okiem na
złamany blat. - Jeśli stracę kontrolę... Masz się do mnie nie
zbliżać, ma cię nie być obok, póki nie będę martwy.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy w końcu wszystko sobie wyjaśniliśmy, Adam wrzucił do auta broń Pradawnej.

- Zobaczę, czy nie dowiem się czegoś po numerach seryjnych. Porzuciła karabin, więc nie sędzę, żeby cokolwiek to dało, ale głupotą byłoby nie zrobić tak podstawowej rzeczy.

- Tylko bądź ostrożny.

-Ależ, kochanie! - Pochylił się i pocałował mnie. - Zawsze jestem ostrożny.

- Co mi dasz, jak go dla ciebie przypilnuję? - Nie chodziło o słowa, ale sposób, w jaki Ben je wypowiedział. Nie wiem, jakim cudem udało mu się zabrzmieć tak aluzyjnie, ale aż otworzyłam usta ze zdziwienia.

Adam zbeształ go wzrokiem. Ben uśmiechnął się nieskruszony i zanurkował do swojego samochodu.

-Jechałem do pracy, kiedy dostałem telefon, że coś się dzieje - wyjaśnił Adam. - Muszę wracać.

- Spokojnie. Chyba zamknę na dzisiaj interes. Nie sądzę, żebym coś jeszcze dzisiaj zrobiła.

Otworzył drzwiczki pikapa, zatrzymał się jednak na chwilę.

- Przepraszam za tę ladę - powiedział, nie odwracając się do mnie.

Przysunęłam się, aż mój nos oparł się o jego plecy. Otoczyłam go ramionami.

-Ja też przepraszam. Za wiele różnych rzeczy. I cieszę się, że jesteś.

Przytulił moje ręce.

-Ja też się cieszę, że cię mam.

- Och, wynajmijcie sobie pokój - prychnął Ben z wnętrza swojego samochodu.

- Wypchaj się - odburknął Adam, odwrócił głowę, pocałował mnie, po czym wskoczył za kierownicę forda.

Obserwowaliśmy z Samem, jak odjeżdża.

Zatrzymałam się po drodze i kupiłam dziesięć kanapek z podwójną wędliną i serem. Zjechałam do parku na brzegu rzeki po stronie Kennewick, żebyśmy mogli spokojnie zjeść. Śnieg jeszcze nie padał, ale dzień był pochmurny i mroźny, więc nie licząc paru biegaczy w oddali i jednego rowerzysty, mieliśmy miejsce dla siebie. Zjadłam pół kanapki, wypiłam wodę, a Sam rozprawił się z resztą.

-To co? - zagałam, kiedy skończyliśmy posiłek. - Co masz ochotę dzisiaj robić?

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem. Niezbyt pomocne.

- Moglibyśmy pobiegać - ciągnęłam, wrzucając opakowania do kosza nieopodal zaparkowanego Królika.

Zdecydowanie potrząsnął łbem.

- Nie? A myślałam, że polowanie cię uspokoi.

Odsłonił zęby, a potem kłapnął kilkakrotnie, coraz gwałtowniej, coraz wścieklej. Kiedy przestał, był całkiem spokojny, tylko oddychał szybciej, a w jego oczach pojawił się głód, mimo że właśnie pożarł dziewięć i pół ogromnych buł napchanych wszelakim dobrem.

- No dobrze - podjęłam po chwili, upewniwszy się, że mój głos nie będzie drżał. - Polowanie to zły pomysł. Coś spokojniejszego.

Otworzyłam drzwi pasażera, wpuszczając Sama do samochodu. Przy okazji wpadło mi w oko leżące z tyłu zawiniątko.

- Może w takim razie pomożesz mi zwrócić książkę?

W centrum tłoczyli się sobotni zakupowicze, musiałam więc zaparkować dobry kawałek drogi od antykwariatu. Otworzyłam Samowi. Wyskoczył i zamarł. Po chwili przytknął nos do ziemi, ale nie znalazł tam szukanego zapachu, bo zatrzymał się i wciągnął powietrze.

Mam dużo lepszy węch niż przeciętny człowiek, prawie tak dobry, jak w formie kojota. Też zaczęłam niuchać, lecz wokół było zbyt wiele osób i zbyt wiele samochodów, by wyłowić woń, która zainteresowała Sama.

Wilk otrząsnął się, spojrzał na mnie tajemniczo i wskoczył z powrotem do samochodu. Położył się, rozciągając na oba siedzenia.

- Zostajesz, tak? - Zapach nie mógł zwiastować nic niebezpiecznego, inaczej nie puściłby mnie samej. Sam w wilczej formie był jeszcze bardziej opiekuńczy niż Samuel człowiek.

Może jakiś wilkołak kręcił się nieopodal? To zrozumiałe, że Sam wolał unikać spotkania z pobratymcami. Jeszcze raz spróbowałam coś wyczuć, bez powodzenia. Nos Sama był lepszy niż mój.

Przesunęłam ogon wilka, żeby mu go nie przyciąć drzwiami. Otworzywszy tylne drzwi, zawahałam się, czy wyjąć zawiniętą w ręcznik księgę. Sąsiad Fina może i nieczłowiek, a do tego dziwny, ale nie znaczyło to, że dzieje się coś niedobrego. Z drugiej strony mogło tak być, a z Samem księga będzie całkiem bezpieczna. Jeśli zastanę Fina w antykwariacie, mogę przecież w każdej chwili po nią wrócić. A znowu, jeżeli natknę się na tego sąsiada albo kogoś innego zamiast Fina, wtedy spokojnie zastanowię się, co dalej.

- Zostawiam na razie książkę - poinformowałam Sama. - Zaraz wracam.

Z parku nie jechaliśmy długo, lecz przez ten czas zrobiło się znacznie zimniej i zaczął wiać wiatr. Moja

kurtka nie nadawała się na taką pogodę. Popatrzyłam w szare niebo - jeśli zacznie padać i temperatura spadnie jeszcze trochę, gołoledź murowana. Może i w Montanie są strone, wietrzne drogi, które stają się koszmarem w zimie, ale to nic w porównaniu z Tri-Cities, kiedy na nawierzchni robi się szklanka.

Przebiegłam parking, po drodze o włos unikając rozjechania przez samochód, którego kierowca cofał bez patrzenia we wsteczne lusterko. Skupiłam się na rozglądaniu, żeby w razie czego uskoczyć przed kolejnym idiotą, więc dopiero na chodniku popatrzyłam w witrynę antykwariatu. Odetchnęłam z ulgą, widząc przez szybę stojącą za ladą siwowłosą kobietę. Nie miałam ochoty na ponowne spotkanie z dziwnym sąsiadem.

Wyciągając rękę do klamki, dostrzegłam wywieszkę: „Zamknięte”, a poniżej przyklejoną kartkę z wydrukowaną tłustą czcionką informacją: „Do odwołania”.

Zawahałam się, a tymczasem kobieta uśmiechnęła się szeroko, podeszła do drzwi i otworzyła. Poruszała się zaskakująco dziarsko i żwawo, jak na osobę w jej wieku.

- Witaj, dziecko - odezwała się od progu. -Niestety, dzisiaj zamknięte. W jakiej sprawie przyszedłś?

Należała do Pradawnych. Zapach uderzył mnie w nos - ziemia, las, magia, z nutą spalenizny, a do tego świeże powietrze i słona woda. Byłam zaskoczona - poznałam dwóch nie ludzi należących do Szarych Panów, włodarzy Pradawnych, ale żaden nie pachniał tak jak ta kobieta.

Większość tych istot otaczały wonie żywiołów, które według starożytnych alchemików tworzyły świat - ziemi, ognia, powietrza i wody - ale każdy nieczłowiek pachniał tylko jedną z nich. Ta kobieta emanowała wszystkimi naraz.

Spojrzała na mnie wyblakłymi, orzechowymi oczyma.

- Czy zastałam Fina? - zapytałam grzecznie. - Kim pani jest? Nie widziałam tu pani wcześniej. - Nie byłam co prawda stałym klientem, więc równie dobrze mogła tu pracować na stałe, ale mogłam się założyć, że tak nie jest. Gdyby spędzała w antykwariacie dużo czasu, wyczułabym ją przy pierwszej wizycie. I na pewno zapamiętała.

Wiele istot budzi we mnie przerażenie, na przykład wampiry. A odkąd poznałam je bliżej, przerażają mnie jeszcze bardziej. Wiem, że mogą mnie zabić. Ale sama zabiłam jednego i pomagałam w zgładzeniu dwóch innych.

Pradawni natomiast...

W najstraszniejszych horrorach nie widać nigdy, co zabija ludzi. To dlatego, że nieznanne wzbudza większy lęk niż ucharakteryzowany aktor czy efekty specjalne. Takie właśnie są pradawne istoty - ich prawdziwe oblicze kryje się pod inną postacią, stworzoną tak, by upodobnić się do ludzi, wtopić w tłum. Dlatego nigdy nie wiadomo, czym są naprawdę.

Ta z pozoru dobrodusza kobiecina o miłej twarzy mogła należeć do istot pożerających zagubione w lesie dzieci albo topiących młodzieńców, którzy zabłądzili na ich terytorium. Oczywiście mogła być też jednym z tych nieszkodliwych lub poczciwych nie ludzi, podobnym do postaci, za którą się kryła. Jednak raczej w to nie wierzyłam.

Jestem mądrzejsza od Królowy Śnieżki - nie tknęłabym jabłka, którym by mnie poczęstowała.

Zignorowała moje pytania - Pradawni nie wyjawiają swoich prawdziwych imion.

-Jesteś jego znajomą? Drżysz z zimna, może wejdiesz. Ogrzejesz się trochę? Pomagam tu podczas nieobecności Fina.

- Nieobecności? - Nie zamierzałam przekraczać progu antykwariatu, nie chciałam siedzieć z nią sam na sam w sklepie. Zamiast tego weszłam w rolę zwykłej... no dobrze, wścibskiej klientki i zarzuciłam ją pytaniami: - Wyjechał? A gdzie? Mogę się z nim jakoś skontaktować? Czemu antykwariat jest zamknięty?

Uśmiechnęła się.

- Nie wiem dokładnie, gdzie aktualnie się znajduje. - Kolejny unik. Mogła wiedzieć, że siedzi w piwnicy, ale nie w którym konkretnie miejscu. -Pewnie zadzwoni do mnie, jeśli tylko będzie mógł. Przekażę, że pani o niego pytała. Jakie nazwisko mam mu podać?

Spojrzałam w jej szczere oczy i nabrałam przekonania, że Tad miał rację, martwiąc się o przyjaciela.

Co prawda mieliśmy tylko głuchy telefon, dziwnego sąsiada i zamknięty sklep, ale mój instynkt krzyczał, że coś jest nie tak. Finowi przytrafiło się coś złego. Coś bardzo złego.

Nie znałam antykwariusza zbyt blisko, ale polubiłam od pierwszego wejrzenia. A biorąc pod uwagę ten telefon do Tada, cokolwiek się z nim stało, było powiązane z książką, którą mi pożyczył. Czyli to moja wina. Może gdybym nie trzymała jej tak długo, Fin nadal stałby codziennie za ladą swojego sklepu.

Uśmiechnęłam się do kobiety uprzejmie.

- Proszę się nie kłopotać, zajrzę kiedy indziej. Pstryknęła palcami, jakby nagle sobie coś przypomniała.

- Chwileczkę. Wnuk wspominał, że pożyczył jedną z książek pewnej młodej kobiecie. To bardzo cenna pozycja. Mówił, że pewnie przyjdzie ją zwrócić...

Uniosłam brwi.

- Hm, w tej chwili interesuje mnie pierwsze brytyjskie wydanie „Harry'ego Pottera i Kamienia Filozoficznego”. - Nie do końca kłamstwo. To ciekawy temat i wcale nie twierdziłam, że zamierzam kupić taką książkę. Nie wiedziałam, czy nie ludzie potrafią wyczuć kłamstwo tak jak wilkołaki, ale istoty, które mają tak restrykcyjny zakaz kłamania, prawdopodobnie znalazły jakieś sposoby, by je wykryć.

- Nie, o tym nic nie słyszałam - powiedziała kobieta podejrzliwie, jakby normalnie wiedziała o takich rzeczach.

Jednakże szansę na przekonanie mnie, że tu pracuje, straciła, nie reagując na moją uwagę, że nigdy jej tu nie widziałam.

- Pewnie zajmie mu to trochę - zbyłam ją lekko. - Wpadłam tylko przy okazji, żeby na wszelki wypadek zapytać. Przyjdę kiedy indziej. - Ugryzłam się w język, zanim dodałam „dziękuję”. - To do widzenia - dokończyłam.

Klucząc pomiędzy samochodami, czułam na plecach wzrok Pradawnej i cieszyłam się, że zaparkowałam tak daleko od pawilonu. Sam zabrał łeb z mojego siedzenia, ale nie usiadł. Trzymał się nisko, żeby nikt z zewnątrz go nie widział. Ukrywał się.

Przyjrzałam się wilkowi, a potem, wyjeżdżając z parkingu, zerknęłam na antykwariat. Kobieta pochylała się nad ladą, na której leżała chyba księga rachunkowa.

W życiu zbiegi okoliczności zdarzają się dużo rzadziej niż w filmach.

- Sam? Czy ty ukrywasz się przed jakimś Pradawnym? Takim, który pachnie jak wszystkie żywioły jednocześnie?

Sam podniósł łeb, a potem opuścił.

- Czy ona należy do tych dobrych?

Tym razem gest mógł być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

- Kłopoty?

Fuknął potwierdzająco.

- Cholera.

Zjechałam na stację, zatrzymałam się i zadzwoniłam do Warrena, trzeciego wilka w hierarchii

Adamowego stada i jednocześnie mojego przyjaciela.

- Cześć, Warren - przywitałam się, kiedy odebrał. - Czy Kyle ma sejf w tym swoim dworzyszczu? - Mogłam schować księgę w sejfie Adama. I gdyby nie szukała jej jedna z pradawnych istot, nie mogłabym znaleźć bezpieczniejszego miejsca niż dom wilkołaków. Jednak w tym wypadku sejf człowieka partnera Warrena wydawał się mniej oczywisty i był prawie tak samo bezpieczny.

- Nawet nie jeden - rzekł Warren sucho. - Jestem pewien, że z radością użyczy ci któregoś. A co, potrzebujesz przechować materiały do szantażu? - W tle rozbrzmiewały głosy ludzi, które odbijały się echem, jakby Warren znajdował się w jakimś wielkim budynku.

- To by było coś. Jak myślisz, ile by Adam zapłacił, żeby seksfilmik z nim w roli głównej nie znalazł się w Internecie?

Warren zaśmiał się głośno.

- No cóż, tak właśnie myślałam... - Westchnęłam teatralnie. - A więc fortuna mi nie grozi. Nie ma pieniędzy, nie ma szantażu. Kiedy mogłabym wpaść z Samem do domu Kyle'a?

- Jestem teraz na służbie, ale Kyle powinien być w domu. Tylko nie zawsze odbiera telefon stacjonarny. Masz jego numer?

Warren pracował dla swojego faceta. Owszem, to trochę niewygodne, ale Warren nie zarabiał kokosów w całodobowym sklepiku, w którym pracował wcześniej. Kyle pociągnął kilka sznurków, prawdo-

podobnie przekupił paru urzędników, a może nawet paru zaszantażował, i zdobył Warrenowi licencję prywatnego detektywa. Od tej pory Warren chronił klientów i prowadził dyskretne śledztwa dla kancelarii prawnej Kyle'a.

- Jasne. Jesteś w Wal-Marcie?

- Nie, w supermarkecie. Wal-Mart obskoczyliśmy godzinę temu.

- Biedaku - skomentowałam ze współczuciem.

- Nie jest tak źle - rzekł niegłośnie. - Robię coś pożytecznego. Ta kobieta zasługuje, żeby czuć się bezpieczna. Choć niektórzy chyba sądzą, że to ja jestem odpowiedzialny za to jej podbite oko.

- Jesteś twardy - powiedziałam już bez sentymentu. - Poradzisz sobie z kilkoma oburzonymi spojrzeniami. - Kilkadziesiąt lat bycia jednocześnie wilkołakiem i gejem zahartowało Warrena tak, że teraz miał skórę grubą jak zbroja. Mało kto potrafił przebić się przez tę zbroję prócz Kyle'a.

- Mam nawet nadzieję, że jej eks in spe w końcu się pojawi - mruknął cicho. - Czekam na okazję, żeby mu się przedstawić.

Dom Kyle'a Brooksa znajdował się w zachodniej części Richland Hills, w dzielnicy bogaczy. Ogromny, a mimo to subtelny, wyglądał wśród sąsiadujących budynków niczym pełen gracji kot pomiędzy pudłami. Rozmiarami się nie różnił, ale był lżejszy, przytulniejszy i bardziej niż pozostałe pasował do

pustynnego światła. Zajmowanie się rozwodami popłacało, przynajmniej Kyle'owi.

Zaparkowałam, wypuściłam Sama, po czym wyciągnęłam księgę... oraz leżący obok niej kostur.

- O, cześć - powitałam go. Kij nie zrobił niczego magicznego, nie rozgrzał się w moich dłoniach, ale wydał się jakiś jakby zadowolony.

Zatrzasnęłam drzwiczki, popychając je biodrem, i potruchtalam pod wejście. Po tym, jak kobieta w antykwariacie o niej wspomniała, znaczenie księgi nabrało całkiem innego wymiaru. Dlatego kostur wsadziłam pod pachę, zaś foliał trzymałam ostrożnie w rękach. W ten sposób nie miałam jak nacisnąć dzwonka.

Sam, widząc moją bezradność, pacnął delikatnie guzik łapą. Kyle, jak obiecał we wcześniejszej naszej rozmowie telefonicznej, musiał stać przy drzwiach, bo naraz znalazł się twarzą w paszczę z wilkiem.

Nawet się nie wzdrygnął. Wprost przeciwnie, cmoknął powietrze i zrobił uwodzicielską minę, która zmieniła jego dzinsy i podkoszulek bez rękawów w burdelowe wdzianko.

- Cześć, słodziaku - zaszczębiotał. - Pewnie jesteś zabójczy w ludzkiej postaci, hm?

- To Sam - zaznaczyłam bez wstępów. I mimo że zdawałam sobie sprawę, że może to tylko zaostrzyć reakcję Kyle'a, musiałam go uprzedzić. Naprawdę faceta lubiłam. - Uważaj, kiedy flirtujesz z wilkami, bo możesz dostać więcej, niż prosisz.

Kyle bywał przewrażliwiony na punkcie swojej orientacji. Geje wychowujący się w konserwatyw-

nych społecznościach, odrzuceni przez bliskich, często reagowali w ten sposób. Kyle sztukę podgrzewania atmosfery do białości opanował do perfekcji i wykorzystywał to za każdym razem, kiedy uważał, że dzięki temu rozdrażni kogoś, kto go nie akceptuje. Na szczęście tym razem przyjął moją przestrożę w duchu, w jakim ją dałam.

-Ja ciebie też uwielbiam, Mercy - powiedział całkiem już innym tonem, wychodząc z roli flirciarza z szybkością i płynnością, których mogłoby pozazdrościć mu wielu zdobywców Oscarów. - Cześć, Samuel. Wybacz, nie poznałem cię przez to futro. -Popatrzył na moje brzemię. - Chcesz schować w sejfie ręcznik?

-To bardzo wyjątkowy ręcznik - zaczęłam, wślizgując się do środka. - Elvis suszył nim włosy w dniu swojego ostatniego koncertu.

- Ooo... - jęknął gospodarz i odsunął się, przepuszczając Sama. Zatrzasnął drzwi i po krótkim namyśle przekręcił zamek. - W takim razie potrzebujesz go dobrze schować. Wolisz wielki sejf naszpikowany elektroniką czy coś dyskretniejszego?

- Dyskretniejszego. - Elektronika raczej nie powstrzymałaby niełudzi.

Poprowadził nas przez dom i na piętro. Minęliśmy bibliotekę - jedną jej ścianę zajmowały piękne, oprawne w skórę książki prawnicze, przeciwległą czytała w papierowych okładkach, łącznie z pełną bibliografią Nory Roberts. Zrobiłam jeszcze dwa kroki, zatrzymałam się i cofnęłam, żeby zajrzeć ponownie do biblioteki.

Gdyby nie ludziom zależało na księdze i mieliby jakiś sposób, by ją wyśledzić, już by ją mieli. A przecież przeleżała dobry kawał czasu na tylnym siedzeniu Królika.

Kyle podszedł do mnie i też zerknął do biblioteki.

- To książka, tak? Myślisz, żeby ukryć ją na widoku? - Pokręcił głową. - Nie ma sprawy, ale wiesz, jeśli ktoś będzie szukał książki, najpierw sprawdzi w bibliotece. To znaczy po przeszukaniu wielkiego sejfu. Mam lepszy pomysł.

Poszłam za nim do jednej z sypialni. Pokój został pomalowany na ciemnoniebiesko z czarnymi rozbryzgami, a na wielkim, dwupiętrowym łóżku leżały pościele z parowozem Tomkiem - czegoś podobnego nie spodziewałam się zobaczyć w domu Kyle'a. Wiedziałam, że rodzina go nie odwiedza, nie mógł więc to być pokój gościnny dla jakiegoś bratanka. Kyle wszedł do łazienki, podążyłam za nim. Pazury Sama skrobały o śliską posadzkę.

W łazience także królował motyw Tomka. Przy umywalce stał kubek w kształcie lokomotywy, a na wieszakach przypominających tory kolejowe wisiały kolorowe ręczniki z Tomkiem i jego przyjaciółmi.

Kyle otworzył szafkę, w której jedną z trzech półek zajmowały różnokolorowe ręczniki.

- Daj mi to - poprosił.

Kiedy wręczyłam mu książkę, ukląkł na podłodze, rozłożył zawiniątko, wyprostował wolumen i złożył razem z ręcznikiem na wzór tych w szafce. Kiedy wsadziłam go na półkę, pod pozostałe, niczym się nie wyróżniał.

Kyle ocenił moją pracę i jeszcze wyrównał całą stertę.
Jeden przedmiot udający inny.

Nagle przypomniały mi się wydarzenia dzisiejszego poranka. Łowca nagród i pradawna istota wyposażona w broń z tworzywa i srebrne kule, takie same jak te Kelly'ego Hearta, który polował na wilkołaki.

A może niedoszła zabójczyni nie polowała na wilkołaki? Adam zasugerował, że srebrna amunicja miała tylko być kopią tej łowcy, jednak celem wcale nie musiał być wilkołak. Myślałam, że usiłuje odwrócić uwagę od siebie, żeby mnie uspokoić, ale co, jeśli miał rację? Co, jeśli to ja miałam być ofiarą?

Pewnie przesadzałam. W końcu świat nie kręcił się wokół mnie. Fakt, że w zeszłym roku próbowały mnie zabić wampiry, nieładzie i wilkołaki, nie oznaczał od razu, że znów ktoś nastawał na moje życie. Kobieta w antykwariacie mnie nie rozpoznała. Gdyby pradawne istoty dybały na moje życie, na pewno skojarzyłyby twarz. A jeśli nieładzie gotowi byli zabić, żeby odzyskać książkę, którą właśnie ukryłam w domu przyjaciela? Przecież Warren nie siedział tu okrągłą dobę, a Kyle był tylko człowiekiem. Może nie powinnam jej tu zostawiać? A może paranoja kazała mi snuć teorie spiskowe i widzieć niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie było?

- Kyle?

Poderwał głowę.

- Nie warto ryzykować dla tej książki. Jeśli ktoś po nią przyjdzie i będzie ci groził, po prostu ją oddaj.

Uniósł wypielęgnowane brwi.

- To czemu sama jej nie oddasz temu komuś? Przewertowałam w myślach wiele możliwych odpowiedzi, w końcu powiedziałam:

- Komuś, właśnie. Widzisz, nie za bardzo nawet wiem, kto to jest ten ktoś i dlaczego tak jej chce. I czy w ogóle jej chce. - Pewnie przesadzałam i Fin zadzwoni do mnie niedługo z prośbą o zwrot książki. A sprawa z łowcą nagród prawdopodobnie była tym, czym się wszystkim wydawała - intrygą pragnącego sensacji producenta. A ta uzbrojona istota... Wyobraźnia mnie zawiodła. Jednak można było znaleźć wyjaśnienie niemające nic wspólnego ze mną czy księgą.

Trudno uwierzyć, że ktoś chce mnie ot tak zamordować z powodu książki. Przecież w pierwszej kolejności mogli próbować odzyskać ją w inny sposób. Na przykład poprosić. Albo powiedzieć, że jeśli jej nie oddam, Fin zginie.

Chyba że już go zabili.

- Wszystko w porządku, Mercy? - zatroskał się Kyle.

- Tak, tak, nic mi nie jest.

Schodziliśmy na parter, kiedy w końcu poddałam się pożerającej mnie ciekawości.

- No dobra, Kyle, który z was jest fanem parowozu Tomka, ty czy Warren?

Kyle zaśmiał się, odrzucając głowę.

- Może powinienem ukryć tę książkę w łazience królowej? Pewnie zapytałabyś, który z nas lubi sypiać na łożku z różowym zagłówkiem. - Spoważniał. - Miewam gości. Większość rozwodów to paskudne sprawy, bardzo bolesne. Bywa, że ten ból, emocje skrupiają się na najmniej odpowiednich członkach rodziny. Czasami ludzie potrzebują spokojnego miejsca, żeby przeczekać najgorsze, a jeśli mają do dyspozycji basen i jacuzzi w ogrodzie, tym lepiej dla nich.

A więc Kyle ukrywał w swoim domu ludzi, dzieci, którym coś groziło. Sam warknął.

Położyłam mu dłoń na łbie, ale Kyle nie zwrócił uwagi na tę niezwykle ostrą, nawet jak na wilka lubiącego dzieci, reakcję. Nikt tu nikomu teraz nie robi krzywdy.

- Tak, masz rację, Samuelu. Tych facetów szczególnie lubię niszczyć w sądach. - Zawiesił na chwilę głos. - Czasami także kobiety. Molestowanie i przemoc nie rozróżniają płci. Mówiłem wam kiedyś o klientce, która wyznaczyła nagrodę za głowę swojego męża?

- To znaczy wynajęła płatnego zabójcę? Przytaknął.

- Dla mnie to też było coś nowego. Kto by pomyślał, że coś takiego może zdarzyć się w naszej mieścinie? Zabójca zdjął go jednym strzałem. Byli małżeństwem kilkadziesiąt lat, a on związał się z dziewczyną wnuka. Najwyraźniej uznała, że rozwód i pokaźne zadośćuczynienie, jakie dla niej wy-

negocjowałem, to za mało. Tego samego dnia oddała się w ręce policji. I raczej nie żałowała niczego. - Zatrzymał się przy kuchni. - Zjecie coś?

- Raczej już pójdziemy. Lepiej, żeby nas tu nie widziano.

- Zaraz, nie miałaś ze sobą laski? Zostawiłaś ją w łazience?

Rzeczywiście, kostur zniknął. Niosłam go i nawet nie zauważyłam, kiedy wyparował.

- Nie przejmuj się, wróci, jak będzie chciał.

- No tak - uśmiechnął się Kyle zafascynowany. - Warren wspominał, że ta laska chodzi za tobą jak piesek.

Wzruszyłam ramionami.

- Fajnie.

Przy drzwiach objął mnie i ucałował w policzek. Sam z pełną powagą uniósł łapę niczym tresowany pies, a Kyle bez wahania potrząsnął ogromnym łapskiem.

- Pilnuj Mercy - powiedział. - Nie wiem, w co tym razem się wplątała, ale najwyraźniej ryzyko to jej nowe drugie imię.

- Ej! - obruszyłam się.

Kyle popatrzył na mnie z góry.

- Złamana ręka, wstrząśnienie mózgu, zwichnięta kostka, szwy, porwanie... - Zawiesił głos. - A to nie koniec, prawda? Lepiej trzymaj się Samuela lub kogoś innego, póki to wszystko się nie uspokoi. Nie chcę dostać zaproszenia na twój pogrzeb, skarbie.

- Jasne - powiedziałam, licząc, że jego wizja się nie sprawdzi. - Będę na siebie uważała.

- Daj znać, jeśli będziemy ci mogli jakoś jeszcze pomóc.

Podjechałam pod wielkie centrum handlowe w Kennewick, bo chciałam zadzwonić do Tada, a czułam silną niechęć do parkowania w odludnym miejscu. Miejsce znalazłam dopiero pod „Zewnętrzną Mongolią” - tylko tam dało się stanąć w sobotę. Tak czy owak trudno było o mniej odludną przestrzeń. Wykręciłam numer do Tada.

- Cześć, Mercy - usłyszałam w słuchawce. - Tata wspominał, że braliście udział w niedoszłej strzelaninie O.K. Corral, tyle że w Kennewick?

- No prawie, ale czekaj, opowiem ci wszystko po kolei, a potem powiesz, jak to widzisz.

Zrelacjonowałam Tadowi wypadki całego dnia ze szczegółami, pomijając tylko fragment z chowaniem wolumenu.

- A co w ogóle jest w tej książce? - zapytał po chwili, której najwyraźniej potrzebował, by wszystko sobie poukładać.

- To księga o nieлюдziach napisana przez nieczłowieka. Raczej nie jest magiczna, a jeśli, to tego nie wyczuwam, choć zwykle potrafię. Zawiera masę informacji i dużo legend opowiedzianych z tej drugiej perspektywy. - Musiałam się roześmiać. - Zyskałam całkiem nowe spojrzenie na „Rumpelstiltskina” i już nigdy w życiu nie przeczytam „Jasia i Małgosi”.

- Znalazłaś coś niesamowitego?

- W tym, co przeczytałam, nie. Większość i tak krąży jako legendy i należy do różnego rodzaju folkloru, choć w księdze wszystko jest bardziej poukładane. Szczególnie jeśli chodzi o gatunki nie ludzi i ich artefakty. Ale może jest coś w części, przez którą jeszcze nie przebrnęłam? Albo może coś jest ukryte za pomocą magii, albo zaszyfrowane... Może atrament sympatyczny? - Wyczerpały mi się pomysły.

- Wiesz co? Opowiem o tym wszystkim tacie. Takie zamieszanie nie pasuje mi do zwykłej starej księgi. Oczywiście jest na pewno cenna i rozumiem chęć trzymania jej z dala od rąk ludzkich. Ale nawet jeśli by w nie wpadła, to chyba nie stałoby się nic strasznego, skoro zawiera opowieści, które można znaleźć w innych źródłach... Ale czekaj... Może ta kobieta w antykwariacie to naprawdę babka Fina?

- Jego rodzona babka? Owszem, była stara, ale nie aż tak. Przecież Fin ma... - Z tego, co pamiętałam, trudno było określić wiek antykwariusza. Ale musiał mieć koło czterdziestki, może był świetnie zakonserwowanym prawie pięćdziesięciolatkiem.

- W każdym razie ta kobieta wyglądała na po sześćdziesiątce, choć niedużo.

Tad odchrząknął.

- Wiesz, Mercy, skoro należy do Pradawnych, nie ma znaczenia, na ile wygląda.

- Fin nie ma wiele z nieczłowieka - stwierdziłam z pełnym przekonaniem. - A ta kobieta robiła wrażenie pradawnej Pradawnej, takiej w stylu Szarych Panów.

Tad zaśmiał się.

- Kobieta, którą Fin nazywa babką, jest raczej jego praprapra - i jeszcze mnóstwo pra - babką. Raz mi opowiadał, że kiedy był dzieckiem, rozpędziła na cztery wiatry bandę nie ludzi, którym się nie podobało, że jest taki ludzki... Albo raczej, że tak ludzki człowiek ma w sobie ślad pradawnej krwi. Po tym wydarzeniu wpadała do niego raz na jakiś czas, aż w końcu zaczęli utrzymywać kontakt tylko telefoniczny.

- Więc ona jest z tych dobrych? Myślisz, że mogę z nią porozmawiać? Opowiedzieć o książce i zapytać, gdzie jest Fin?

- Nie wiem, czy w tym wypadku można w ogóle mówić o tych dobrych i tych złych, Mercy. A już na pewno nie wiem, czy spotkałaś babkę Fina, czy kogoś z Szarych Panów. A nawet jeśli to była jego babka... Nie mam pojęcia, czy nie stanowi jakiegoś zagrożenia. Pradawne istoty to nie ludzie, Mercy. Niektóre pożerały własne dzieci, i to nie w szale, i nie miały potem wyrzutów sumienia. Bardziej niż miłość, o ile w ogóle potrafią kochać, motywuje je moc. Niektóre z nich są całkiem samotne... Nawet sobie tego nie wyobrażasz. Zadzwoń do taty, a potem odezwę się do ciebie.

Rozłączył się.

- To co? - zwróciłam się do Sama. - Może wystarczy tych wrażeń, jak na jeden dzień? Wracamy do domu?

Sam zadarł łeb. Też był zmęczony. I to bardziej niż powinien, biorąc pod uwagę, że przez cały dzień

głównie siedział w samochodzie. Jest smutny, uświadomiłam sobie.

- Nie martw się. - Pochyliłam się, opierając czoło o jego kark.
- Nie martw się, znajdziemy jakiś sposób, żeby twoje problemy też rozwiązać.

Westchnął głośno i ułożył się z pyskiem na moim kolanie. W ten sposób dojechaliśmy do domu.

Miałam w lodówce klopsa, zrobionego według przepisu Samuela. Spora ilość jalapeño i kilka rodzajów innych papryczek sprawiała, że na drugi dzień, nawet na zimno, klops palił żywym ogniem.

Zadzwoił mój telefon. Popatrzyłam na wyświetlacz, nastawiłam czasomierz w piekarniku, ale telefon nie przestawał dzwonić.

Odebrałam.

-Tak?

- Igrasz z ogniem - stwierdził Bran znużonym głosem.

- Skąd wiedziałaś, że robię samuelowego klopsa?

- Mercedes.

- Dałeś nam czas - przypomniałam, czując, jak ściska mnie w żołądku. Potrzebowałam go więcej, by udowodnić, że Sam potrafi nad sobą panować.

- Kocham syna, ale ciebie też.

Usłyszałam wszystko, czego nie dopowiedział. Raz już przedłożył swojego syna nade mnie, w każdym razie tak to postrzegał. Wtedy ja też mogłam widzieć to w ten sposób.

- Nie skrzywdzi mnie - powiedziałam, patrząc prosto w jasne oczy Sama. Zesztywniał, a ja odwróciłam wzrok, choć po wczorajszej nocy nie zmuszał mnie już do tego. Zwykle, skoro wilk już wie, że ktoś uznał jego wyższość, takie rzeczy wychodzą tylko, gdy jest podenerwowany.

- Tego nie wiesz.

- Owszem, tak się składa, że wiem. Dzisiaj miał miejsce napad na warsztat i ktoś mierzył do niego z broni. Nie zaatakował, kiedy go o to poprosiłam. Nie zrobił tego też dlatego, że w strzelaninie mogło zostać ranne dziecko.

Zapadła długa cisza.

- Chcę, żebyś mi dokładnie powiedziała, co się dzieje.

- Nie, nie chcesz - weszłam Branowi w słowo. -Gdybym powiedziała ci, że nad Samuelem przejął kontrolę jego wilk, musiałbyś go zabić.

Nie odezwał się.

- Może gdyby nie był twoim synem, mógłbyś pozwolić sobie na większą wyrozumiałość. Albo gdybyś nie wykorzystał swojej pozycji Marroka, aby zmusić niektórych opornych do ujawnienia się. To cię zgubiło, a jeszcze nie odzyskałeś pełni poparcia. Jeśli teraz nagniesz trochę zasady... Cóż, pewnie nie stracisz pozycji, ale jej utrzymanie może kosztować parę trupów. Może nawet więcej, niż zdołałbyś wyjaśnić ludziom. - Wszystko to sobie przemyślałam wcześniej.

Pozwoliłam ostatnim słowom zawisnąć w powietrzu. Potrzebowaliśmy tego tygodnia, aby usankcjo-

nować jakoś przed innymi wilkołakami ułaskawienie Sama.

- Trzymaj telefon przy sobie - usłyszałam, po czym Bran się rozłączył.

Sam popatrzył na mnie, westchnął i położył się na podłodze, rozplaszczając tak, że przypominał futrzany dywanik.

Kiedy odebrałam kolejny telefon, w słuchawce odezwał się Charles, brat Samuela i egzekutor Marroka.

- Mercy? -Tak?

- Opowiedz mi, co się dzieje z Samuelem.

- Czy to bezpieczne?

- Nie dowiem się tego, dopóki mi nie powiesz. Żartował sobie? W wypadku Charlesa trudno

wyrokować. Młodszy syn Marroka był, przynajmniej dla mnie, najgroźniejszym ze wszystkich wilkołaków.

- Dla Samuela - sprecyzowałam.

- Mam rozkaz, aby zachować dla siebie wszystko, co od ciebie usłyszę - powiedział z nutą chłodnego uśmiechu w głosie.

- No dobrze. - Odchrząknęłam i opowiedziałam Charlesowi wszystko od próby samobójczej Samuela po sprawę Kelly'ego Hearta usiłującego pojmać Adama.

- Bawił się z dziećmi? - nie dowierzał Charles.

- No przecież ci mówiłam. Maja jeździła na nim jak na koniu. Na szczęście dla niego nie miała ostróg.

Samuel uderzył dwa razy ogonem o podłogę. Tylko dzięki temu wiedziałam, że nie śpi.

- To dobrze, prawda? To znaczy, że ma trochę czasu?

- Możliwe. Mercy, widzisz, jeśli chodzi o wilkołaki... Każdy z nas ma inną relację ze swoim wilkiem. - Charles nie mówił wiele, a kiedy już się odzywał, dobierał uważnie słowa, jakby przemyślał każde zdanie dwa razy, zanim je wypowiedział. Bran brzmiał podobnie przez telefon, ale Charles mówił tak zawsze, nawet w bezpośredniej rozmowie. - Wilkołaki to jakby bliźniaki syjamskie. Niektórzy z nas są słabo złączeni, mają niewiele wspólnego ze swoimi wilkami. Tak jakby dwa osobne byty w jednej skórze. Wszyscy zaczynamy w ten sposób. Jeśli ludzka część jest w stanie przejąć kontrolę, człowiek i wilk wypracowują swego rodzaju... rozejm. Choć to może złe słowo... Prędzej równowagę. I podobnie jak nasza ludzka dusza traci pierwiastki ludzkie, nasz wilk traci pierwiastki wilcze.

- Czyli wilk Samuela nie jest groźny?

- O nie, nie! - zaprzeczył Charles pospiesznie, a Sam przekręcił się, przyjmując bardziej sfinkso-watą pozycję. - Nigdy tak nie myśl. Wilk Samuela nie stanowi już całości, nie posiada zasobów, by stać u steru. Podobnie jak w przypadku bliźniąt syjamskich, dzieli z Samuelem serce i głowę. I jeśli wilkowi uda się wydrzeć Samuelowi pełną kontrolę lub jeśli Samuel mu ją odda, to serce przestanie bić.

Uklękłam i położyłam rękę na karku Sama, bo smutek w głosie Charlesa przejmował mnie do głębi.

- Wątpię, żeby udało mu się w ten sposób długo przeżyć. Słyszysz mnie, wilku?

Sam uniósł górną wargę, odsłaniając kły.

- Słyszysz - potwierdziłam.

- Będzie się szybciej męczył i czuł większy głód niż zazwyczaj. Powoli poluzuje łańcuchy, które Samuel stworzył, by go kontrolować. W końcu zamieni się w bestię, dziką i wygłodniałą. Kiedy panowanie przejmuje nowo narodzony wilk, taki, który jest jeszcze w pełni wilkiem, zabija dużo i szybko, ale zwykle ma ku temu powód, nawet jeśli to tylko nieodpowiedni zapach ofiary. To, co zostanie po Samuelu, będzie zabijać i niszczyć, póki nie padnie.

- Skąd wiesz? - Charles żył dopiero kilka stuleci, nigdy nie mieszkał z dala od Marroka, a Marrok zabijał wszystkie wilkołaki, nad którymi kontrolę przejmowały wilki. Mimo to w jego głosie brzmiała absolutna pewność.

- Powiedzmy, że podobnie jak ty, kiedyś miałem przyjaciela, któremu bardzo chciałem pomóc. Ukrywałem go przed ojcem w miejscu, gdzie nie mógł wyrządzić nikomu krzywdy. A lepiej dla niego było go zabić od razu.

Zacisnęłam palce na sierści Sama.

- Ile mamy czasu?

- Mój przyjaciel był stary, lecz nie tak jak Samuel. Stracił człowieczeństwo w ciągu kilku dni. Pod koniec był chory, niemrawy. Myślałem, że odchodzi, słabnie, ale nagle wpadł w szal. - Charles zamilkł na chwilę. - A potem umarł. Trwało to niecały tydzień. Nie wiem, ile ma Samuel.

- A co, gdyby utracił całkiem ludzką część w chwili, gdy wilk przejął kontrolę, tak jak dzieje się to u młodych wilkołaków? Miałby więcej czasu?

- Żyłby, póki ojciec by go nie znalazł, ale ty i inni ludzie w szpitalu byłibyście już martwi. Tak jest lepiej, Mercedes. Jednak nie ufaj mu za bardzo.

- Jak mogę mu pomóc?

- Przede wszystkim przekonaj wilka, żeby dopuścił Samuela do steru, nawet jeśli jedynie na chwilę.

- On chce tylko przeżyć - powiedziałam do obu. - To dlatego w ogóle przejął kontrolę. Jeśli odsunięcie się może pomóc, zrobi to. - Choć mówiłam z pełnym przekonaniem, wcale nie byłam taka pewna. Jednak Sam westchnął i zaskuczał słabo.

- Potem musisz przekonać Samuela, że chce żyć.

- A jeśli mi się nie uda? Jeśli wilk pozwoli Samuelowi przejąć kontrolę, a ten nadal będzie chciał się zabić?

- Wtedy wilk znów będzie musiał walczyć o władzę, inaczej mój brat umrze. - Charles westchnął cicho. - Wszyscy kiedyś umierają, Mercedes. Jedni po prostu egzystują dłużej niż inni.

ROZDZIAŁ 7

Późnym wieczorem zabrałam Sama do antykwariatu. Niezbyt to wygodne, ale cóż było robić. Mogliśmy zostać oboje w domu, lecz chciałam jeszcze raz zajrzeć do sklepu Fina. Kobieta, którą tam spotkałam, czegoś szukała i liczyłam, że odkryję, co to takiego. Tliła się we mnie nadzieja, że zastanę tam Fina całego i zdrowego. Poza tym, siedząc w domu, zamartwiałabym się rzeczami, na które nie miałam wpływu.

Sama zostawić samego nie mogłam - nie po tym, czego dowiedziałam się od Charlesa. Z drugiej strony wilk nie jest najlepszym towarzystwem dla włamywacza.

Kobieta spacerująca po centrum handlowym, nawet po zamknięciu większości sklepów, nie jest niczym niezwykłym. W końcu pora była jeszcze niezbyt późna, raptem parę minut po dziewiątej. Wskaźnik przestępczości w Richland jest relatyw-

nie niski, a większość wykroczeń popełniają członkowie gangów lub nastolatki. Natomiast Sam...

Jadąc autostradą, wyobraziłam sobie hipotetyczną konwersację policjanta i świadka.

Policjant: „Czy danego wieczoru zauważył pan/ pani coś szczególnego?”

Świadek: „Był tam taki wielki, biały pies. Ogromny. Bardzo, bardzo biały. Widać go było w mroku, jakby świecił”.

Taa. Obecność Sama komplikowała sprawę. Pozostawało mi więc udawać, że wiem, co robię, i mieć nadzieję, że nikt nie zadzwoni po policję.

- W zasadzie to nawet nie wiem, co spodziewam się odkryć w sklepie - powiedziałam. - Przecież nie zastanę tam notki z informacją, gdzie jest Fin, prawda? Ale od czegoś trzeba zacząć. Jeśli nic tam nie znajdziemy, może włamiemy się do jego mieszkania? Lepiej to, niż siedzieć z założonymi rękami w domu, nie?

W dodatku u Adama odbywało się dzisiaj spotkanie stada. Wiedziałam, po co Adam zebrał swoje wilki. Chciał dowiedzieć się, kto sobie ze mną pogrywa. Dzwonił, żeby uprzedzić, co zamierza, i poprosić, abym trzymała się z daleka, bo nie zdążył nauczyć mnie, jak bronić gromadzie dostępu do głowy.

I tak powinnam tam iść i stawić czoła wrogom. Tyle że inaczej to wygląda, jeśli wrogowie mogą cię zabić.

- Nie chcę siedzieć w domu i dławić się własnym tchórzostwem. Powinnam iść do Adama zaraz, jak wszyscy przyjechali.

Sam sapnął w odpowiedzi.

- Ale na samą myśl, że mogą zmusić mnie do zrobienia czegoś wbrew woli...

To raczej nie brak czasu przeszkadzał Adamowi w nauczaniu mnie, jak się bronić. Twierdził, że gdybym powiedziała mu, co się dzieje w chwili, gdy ktoś wpływał na moje myśli, mógłby odkryć sprawcę. Podejrzywałam, że w razie niepowodzenia dzisiejszej próby wymuszenia przyznania się do występku zamierzał poczekać, aż winny zaatakuje ponownie. Jeśli o to właśnie mu chodziło, pochwalałam cel, choć jednocześnie nie uśmiechało mi się czekanie, aż ktoś znów będzie chciał nagiąć mnie do swej woli.

Zaparkowałam w części, gdzie znajdowały się całonocne restauracje. Nie było tam wielu samochodów, lecz wystarczyło, by Królik nie zwracał na siebie uwagi.

Kiedy otworzyłam drzwiczki pasażera, Sam najpierw uważnie poniuchał powietrze.

- Sprawdzasz, czy jest tu ta kobieta co wcześniej? Nie odpowiedział w żaden sposób, otrząsnął się

tylko i spojrzał na mnie wyczekująco, jakby naprawdę był psem, którego udawał. Był jakiś bardziej ospały? Trzymał ogon niżej niż zazwyczaj?

Czy może zaczynałam świrować pod wpływem rozmowy z Charlesem?

Popatrzyłam na Sama uważnie i dostrzegłam oba objawy. Obsesja nie oznacza, że nie ma się racji. Nie reagował też ze zwyczajną sobie bystrością, tak jakby potrzebował chwili, by moje słowa do niego dotarły.

Idąc przez parking, nie zauważyłam, by ktoś nas obserwował, ale oczywiście znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni, gdzie wiele osób mogło nas widzieć. Mogłam tylko zachowywać się tak, jakbym wcale nie zamierzała włamać się do sklepu. Dwie minuty zabrało mi rozpracowanie zamka, czyli o półtorej dłużej niż w miarę bezpieczny czas stania tyłem do parkingu i ruchliwej ulicy poza nim. Liczyłam, że nikt z oddali nie zauważy, że bawię się wytrychami, a nie kluczem. Trzy lokale dalej znajdował się otwarty jeszcze bar, ale nikt nie wyszedł z niego, gdy mocowałam się z zamkiem. Czysty fuks, czyli coś, na co zwykle liczyć nie mogłam. Jak tak dalej pójdzie, nabiorę niezłej praktyki we włamach.

Odblokowana gałka obróciła się i już zamierzałam przystąpić do manipulacji przy drugim zamku, lecz drzwi ustąpiły. Ktoś zapomniał ich zaryglować.

Wpuściłam Sama i wśliznęłam się za nim. Tylko ja mogłam zamknąć za nami, a gdyby w sklepie coś się czaiło, on miał większe szanse poradzić sobie z tym niż ja.

Zasunęłam rygiel i rozejrzałam się. Dobrze widzę w mroku, więc przynajmniej nie przyciągaliśmy dodatkowo uwagi, zapalając światło. W środku było ciemniej niż na zewnątrz, a przydymione szyby odbijały tylko światła latarni, chroniąc nas przed wzrokiem przypadkowych przechodniów.

W pierwszej chwili zobaczyłam jedynie uporządkowany, czysty sklep. Pachniało starymi książkami i kadzidłem. Papier łatwo wchłania i długo przecho-

wuje zapachy, więc w sklepach z używanymi książkami zwykle można wyczuć lekki aromat tytoniu, jedzenia i perfum. Wciągnęłam nosem powietrze, chcąc sprawdzić, czy nie wyczuję czegoś niezwykłego-

Krew, strach i gniew nie należą do zwykłych woni antykwariatu.

Przystanąłam, niuchając mocniej, a z każdą chwilą zapach stawał się coraz wyraźniejszy.

Postać nie ludzi, iluzja, którą na siebie nakładają, działała silnie na zmysł wzroku, słuchu, smaku i dotyku. W przypadku ludzi, podobno także węchu. Jednak ja mam dużo lepszy węch niż ludzie. Za trzecim wdechem wyczułam woń drewna, a także amoniaku. Ta ostatnia zostaje czasem jako echo magii pradawnych istot.

Przymknęłam powieki, spuściłam głowę i zdałam się na nos. Uszy nagle mi się odetkały, a otworzywszy oczy, ujrzałam, że regały pełne równo poustawianych książek zniknęły. Ich miejsce zajął bałagan.

- Sam - prawie wyszeptałam, choć raczej nikt z zewnątrz nie usłyszałby mnie, nawet gdybym krzyczała. To kwestia nastroju, czailiśmy się, więc należało zachować ciszę. - Czujesz to? Krew? Nałożono na to miejsce iluzję. Możesz ją przełamać jak ja? Widzisz ten bajzel, jaki nie ludzie zostawili, przeszukawszy to miejsce?

Sam nadstawił ucho w moją stronę, a potem się rozejrzał. Następnie ruchem szybszym niż myśl odwrócił się i zatopił kły w moim przedramieniu.

Może gdybym podejrzewała, że może mnie zaatakować, zrobiłabym unik albo jakoś się broniła, ale w tej sytuacji gapiłam się tylko, oszołomiona, jak jego zęby przebijają się przez moją skórę. Puścił mnie prawie natychmiast, zostawiając dwie dziurki, które poza rozmiarem przypominały te robione przez wampiry. Wampiry miały znacznie mniejsze kły.

Z jednej ranki trysnęła krew, zaraz potem z drugiej, a strużki czerwieni spłynęły aż do dłoni. Sam, ignorując mój okrzyk zaskoczenia, zlizął krew.

Potem rozejrzał się znowu. Przycisnęłam przedramię do ust. Nie chciałam zostawić po sobie krwi na terytorium wroga - wiemy potrafią wykorzystać ją, włosy lub inne części ciała do różnych paskudnych czarów. Nie sądziłam, by Nieludzie działali w ten sposób, lecz nie chciałam ryzykować.

Schyliłam się pod ladę w poszukiwaniu jakichś chusteczek, ale znalazłam coś znacznie lepszego - apteczkę. Nie była tak zaopatrzona, jak moja, znajdowały się w niej jednak gaziki i plaster.

Opatrzywszy ranę, wróciłam do wilka. Nie ruszył się z miejsca. Stał, wpatrując się w coś, czego nie widziałam.

Nie ugryzł mnie mocno, a ja nie chciałam poddać się panice i zacząć się go bać. SIG mojego ojca spoczywał w kaburze na szelkach, naładowany amunicją, która działała na Nieludzi, ale wilkołaki co najwyżej mogła rozżłościć. Wyłączyłam ostrzegawczy głos Charlesa i położyłam zdrową rękę na karku Sama. Za nic w świecie nie chciałam uwierzyć, że

zamienia się w oszalałego mordercę. Jedno ugryzienie nie czyni zabójcy.

- Do licha, Sam! Czemuś mnie użarł?! - skoro wrzeszczałam na wilka, nie mogłam się go bać. Dlatego wrzeszczałam.

Sam popatrzył na mnie, po czym pacnął łapą jedną z leżących na ziemi książek. Była to książka Feliksa Sałtena „Dzieci Bambi” w płóciennym oprawie. W iluzorycznej wersji antykwariatu na podłodze nic nie leżało. Czyli Sam ugryzł mnie celowo. W sumie sama pytałam, czy potrafi przełamać czar... Najwyraźniej była to jego odpowiedź. Potrafił dzięki mojej krwi, która musiała działać jak rodzaj wywoływacza sympatycznej magii albo coś w tym stylu.

- W porządku. - Odetchnęłam. - W porządku. - Wypychając z głowy myśl, że ani Samuel, ani Sam przyjaciel nie ugryźliby mnie tak bezpardonowo, skupiłam się na antykwariacie.

Mam dobrą pamięć do zapachów, dlatego z łatwością wyłowiłam woń Fina. Gdybym szukała ludzkiego napastnika, miałabym kłopot, bo przez sklep przewijało się mnóstwo ludzi. Pradawnych istot natomiast, poza Finem, nie było tu wiele. A jednak przynajmniej kilka odwiedziło to miejsce całkiem niedawno, bo ludzkie zapachy nie zdołały ich jeszcze przykryć.

- Wyczuwam Fina, tę starszą kobietę i troje innych nie ludzi - poinformowałam Sama.

Wilk wspiął się na jeden z przewróconych regałów i zaczął niuchać plecy szafki. Nie przestawał,

dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Odsunął się i popatrzył na mnie wyczekująco.

Nie dotykając drewna, pochyliłam się, nieomal przytykając nos do mebla. Też to wyczułam. Ktoś położył w tym miejscu dłoń, dłoń wydzielającą zapach magii, i popchnął regał.

- To jeden z nich. Jakaś leśna istota. Moim zdaniem to powietrze i coś, co rośnie.

Podążyłam za Samem. Wąchaliśmy, czołgaliśmy się i jeszcze wąchaliśmy, aż zyskaliśmy mniej więcej obraz tego, co się tu wydarzyło. Poszłoby mi łatwiej w formie kojota, ale w razie gdyby ktoś nas tu nakrył, musiałabym się wytłumaczyć, a przede wszystkim utrzymać spokój, a to mogłam zrobić tylko jako człowiek. Spokój był najważniejszy - nie chciałam, żeby Sam pożarł nieodpowiednią osobę.

Tak usprawiedliwiałam chęć zachowania ludzkiej formy i to naprawdę były dobre powody, jednakże istniał też inny, ważniejszy. Widząc biegającego kojota, Sam mógłby zapomnieć, że jesteśmy przyjaciółmi, a tak zawsze mogłam przypomnieć mu, co nas łączy.

- No, to wyglądało to tak... - powiedziałam, badając ślad krwi należącej do Fina. - Weszli do środka. Ostatni zamknął drzwi. Nazwijmy go panem Rybą, bo jest jakąś wodną istotą. Chyba kierował tym wszystkim, bo fizycznie bajzel zrobili tamci dwaj.

Lodowate spojrzenie Sama przeszło mnie na wylot. Spuściłam głowę i odwróciłam wzrok, jak-

bym pozdrawiała drugiego szermierza. Tym samym zaznaczyłam jego status złego, wielkiego wilka, jednocześnie nie okazując uległości. To wystarczyło, bo nie uczynił więcej agresywnych gestów.

I znów, normalnie Sam nie zrobiłby czegoś takiego, chyba że pod wpływem stresu albo w przypadku spotkania z obcym wilkiem. Kiedy tak długo jest się dominującym wilkiem, pewnie nie czuje się bez przerwy palącej potrzeby wykłuwania tym komuś oczu.

Gdyby mnie nie ugryzł, po prostu spuściłabym wzrok, ale teraz nie czułam się już na tyle bezpiecznie, żeby to zrobić. Musiałam przypomnieć mu, że jestem samicą Alfy, drapieżnikiem jak on, a nie ofiarą.

Tydzień, powiedział Charles, opierając się na doświadczeniu z wilkołakiem dużo młodszym od Samuela. Zaczynałam się martwić, że były to optymistyczne przewidywania - a optymizm nie jest czymś, co łączy się z Charlesem. Ile czasu mógł mieć Sam?

- Więc pan Ryba łapie Fina i mówi: „Wiemy, że to masz” - jak najlepiej potrafiłam, udałam głos Jim-miego Cagneya. - A potem kiwa na swoich pomagie-rów, pana Warzywo i panią Jarzynę. To dlatego, że pachną mi fasolką szparagową - wyjaśniłam. Nie zawsze mogę odróżnić płęć po zapachu, ale w tym wypadku miałam pewność, że jeden z pomocników był rodzaju żeńskiego. - Jarzyna popycha regał, który z kolei przewraca kilka innych. Warzywo jest silniejszy. Chwyta szafkę i ciska nią przez pół pomieszcze-

nia, rozbijając kolejne regały i demolując wszystko w brutalniej szy sposób.

Szafka, która służyła za pocisk, roztrzaskała się podczas uderzenia. W głowie widziałam wszystko, jakbym oglądała film. Do tego, co mówiły mi nos i oczy, wystarczyło dorzucić trochę wyobraźni. Wątpiłam, czy nawet wilkołak dałby radę podnieść regał z książkami. Może Warzywo był olbrzymem?

-Ale Fin nie chce nic powiedzieć. - Pomyślałam o Tadzcie, moim porannym gościu z bronią i wyschniętej krwi na podłodze. - No więc Ryba dalej zajmuje się Finem, a tymczasem wegebliźniaki robią kipisz. Chyba są przekonani, że poszukiwany przedmiot jest tutaj, bo sprawdzają wszystko. Te porozdzierane książki to raczej wyraz wściekłości, bo nie niszczyli metodycznie, ale niewykluczone, że szukali czegoś, co książką nie jest. - Rozejrzałam się dokoła. - Może było ukryte w jednej z nich albo za nimi. W każdym razie przestali, kiedy Fin zaczął mówić.

Sam kichnął, jakby na potwierdzenie. Choć mogła to być reakcja na kurz. Obawiałam się, że to drugie.

- Ciekawe, czy wiedział, że przyjdą, i dlatego zadzwonił do Tada, żeby ten mnie ostrzegł, czy może zmusili Fina do tego telefonu, a jemu udało się wpleść zaszyfrowane ostrzeżenie - zastanawiałam się. - Tak czy owak, najdziwniejsze jest to, że nie powiedział wprost, co konkretnie pożyczyłam. -Zabębniłam palcami o stojący regał. - Może więc na-

pastnicy nie wiedzą, że to książka, a Fin zaszyfrował wiadomość, bo mogli go usłyszeć albo bał się, że odsłuchają informację zostawioną dla Tada.

Sam kichnął ponownie. Zerknęłam na niego. Jego oczy błyszczały inteligencją - słuchał. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że kilka minut temu tego nie widziałam.

- Może w rzeczywistości szukają czegoś całkiem innego? Może Fin sprytnie zmylił ślad i skierował ich uwagę na mnie, wiedząc, że nie jestem tak bezbronna, jak pierwszy lepszy człowiek? - Zostawiłam w spokoju regał i zaczęłam krążyć po sklepie. -I w tym momencie, gdy dodaję jeden do jednego, wychodzi mi pięćdziesiąt... Ale spokojnie. - Okrążyłam sklep ze dwa razy, zatrzymując się w miejscu, skąd zaczęłam. - Załóżmy, że Fin złamał się wczoraj i powiedział, kim jestem, czyli z kim się spotykam i kto się wścieknie, jeśli coś mi się stanie. No i następny punkt tej historii jest moim zdaniem najslabszym, Sam, ale przeczucie podpowiada mi, nie, nawet podwrzaskuje, że wypadki, które miały miejsce dzisiejszego ranka w warsztacie, i zniknięcie Fina są ze sobą powiązane. Przekonuje mnie o tym obecność tej Pradawnej na dachu. Nie wiem tylko, dlaczego chcą mnie zabić.

Sam warknął.

- No pomyśl - ciągnęłam, jakbym była pewna, że warczał na wieść o grożącym mi niebezpieczeństwie. - To nie jest sprawka Szarych Panów. Gdyby chcieli mnie zabić, byłabym już trupem. Wiemy

o trzech zamieszanych w to nieludziach. Czterech, jeśli ta z dachu to nie Jarzyna. Pięciu, jeśli ta starsza kobieta, bez względu na to, czy jest, czy też nie babką Fina, też do nich należy. Ale nie sądzę, że to jakaś duża grupa, skoro boją się wilkołaków na tyle, by uknuć spisek, żeby moja śmierć wyglądała na wypadek. Zaangażowali nawet producentkę Kelly'ego, obojętne, czy skłonili ją do tego czarem, czy siłą, żeby nasłała łowcę na Adama. - Popatrzyłam poza parking na reflektory przejeżdżających samochodów. - Gdyby ich celem był Adam, istnieją łatwiejsze sposoby, żeby go dopaść, niż robienie tej szopki w moim warsztacie. Przecież nietrudno go znaleźć. Pracuje sześć dni w tygodniu, a jego domowy adres jest ogólnie znany. No, chyba że producentka Kelly'ego zaplanowała to w ten sposób dla dramatycznego efektu.

Przerwałam, żeby złapać oddech i ocenić reakcję Sama.

Sam, sądząc z postawy, uważnie słuchał i nadążał za moim tokiem rozumowania. Sam, czyli wilk. Ciekawe, jak inteligentny może być pół wilk, pół wilkołak.

- Tyle że sprawy potoczyły się nie po ich myśli. Z miejsca rozbroiłam Hearta, a przecież nie mogli zastrzelić mnie i zwalić na łowcę, skoro miałam jego broń w ręku, prawda? Jednak kiedy pojawił się Adam, a potem policja, stwierdzili, że spróbują wprowadzić trochę chaosu, zamieszania podsyczonego magią. Ale tu wkroczył Zee, dostrzegając ich strzelca. A potem musieli uciekać przed Benem. -

Otarłam wilgotne dłonie o spodnie. - Na pierwszy rzut oka zdaje się to naciągane, ale książka i telefon od Tada łączą mnie z nieлюдźmi, którzy tu przyszli i narobili bałaganu. Przemoc i nie ludzie, całkiem jak dzisiaj rano. Jedyńm czynnikiem, który łączy te dwie sprawy, jestem ja. Wiem, zbiegi okoliczności się zdarzają. Może takie myślenie, że chodzi o mnie, to tylko egocentryzm...

Zamilkłam i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że czekam na odpowiedź Samuela. A przecież jego tu nie było - był tylko Sam.

- Dobra, wystarczy tego fantazjowania. - Otrzepałam dzinsy. Miałam nadzieję, że się mylę, jednak patrząc, jakimi ścieżkami przez ostatni rok krążyło moje życie, to brzmiało nieomal nudnie. Żadnych wampirów, duchów... ani Szarych Panów, którzy budzili lęk nawet w innych pradawnych istotach. Jeśli się myliłam, obawiałam się raczej, że fakty wyglądają dużo gorzej. - Szukajmy dalej. Głupio by było, gdyby się okazało, że Fin siedzi w piwnicy.

Sam znalazł drzwi. Na szczęście otwierały się do wewnątrz, więc wystarczyło przedrzeć się przez trzy regały, żeby zyskać do nich dostęp. Na wprost znajdowała się ściana, po prawej wąskie schody ginące niżej w smolistej czerni - antykwariat posiadał piwnicę.

Postanowiłam włączyć światło. Uznałam, że to bezpieczne, bo nie zauważyłam z zewnątrz żadnych piwnicznych okien należących do lokalu.

Chwilę zajęło mi szukanie włącznika, a tymczasem Sam, niezrażony mrokiem, zaczął schodzić.

Wreszcie zapaliłam światło i zeszałam. Piwnicę zajmowały głównie sterty pudeł. Przypominało to schowek przy pracowni rentgena w szpitalu - i tu, i tam zmagazynowane rzeczy leżały w określonym porządku. Piwnica okazała się wyższa niż zazwyczaj te zlokalizowane tak blisko rzeki, ale nie zauważyłam śladu wilgoci. Część na prawo od schodów wykorzystywano jako biuro. Przestrzeń tę określał perski dywan, na którym stało stare dębowe biurko zaopatrzone w lampę. Na wprost wisiało oprawione, olejne malowidło ogrodu w stylu angielskim, tak że ktoś siedzący za biurkiem miał złudzenie, iż patrzy w okno.

Na biurku stał wcześniej monitor. Teraz leżał roztrzaskany obok, na betonowej podłodze. Znajdowało się tam więcej zniszczonych rzeczy - pozostałości szklanego świecznika, kubek, w którym mogły znajdować się rozrzucone w nieładzie długopisy, oraz fotel biurowy, tyle że bez kólek i oparcia.

- Uważaj - ostrzegłam Sama - żebyś sobie nie powbił szkła w łapy.

Jedynie pudła stojące najbliżej biurka wydawały się poruszone. Kilka z nich strącono, a zawartość wysypała się na ziemię.

- Żadnej krwi. - Usiłowałam ukryć ulgę. Nie chciałam znaleźć ciała Fina, szczególnie teraz, kiedy byłam tu sam na sam z wilkiem. - Szukali, ale niezbyt się przykładali. Może im przeszkadzono albo właśnie w tej chwili Fin zaczął mówić.

- Ene, due, rike, fake - rozległ się męski głos, uderzając w moje bębniaki niczym syrena okręto-

wa. - Czuję w dule dużo drakę. - Miał bardzo silny akcent cockney. - Ta dziewczeczka zginie, nim minuta minie, łeb doje, chopoki, że się nie wywinie.

Widziałam jedynie stopy na schodach. Nic nie wskazywało, że ktoś znajduje się w sklepie, a z reakcji Sama, który drgnął gwałtownie, wynikało, że on też niczego nie usłyszał ani nie wyczuł. Nie miałam pojęcia, że nieludzie potrafią się tak ukryć. Trudno powiedzieć, czy był tu przez cały czas, czy wszedł za nami.

Istota nosiła wielkie czarne buciory, którymi powinna głośno tupać. I wcale nie spieszyła się, żeby zejść na dół i nas zabić, a to oznaczało, że należy do wielbicieli polowania.

Nie był olbrzymem, bo te są bliższe zwierzętom, kieruje nimi instynkt, nie rozum. Nierozumne istoty, które przetrwały erę ludzi posługujących się żelazem, wyginęły z rąk Szarych Panów. Instynkt nie wystarczał, by ukryć prawdziwą naturę przed ludźmi, a pradawne istoty całymi wiekami udawały, że nie istnieją poza światem legend i folkloru. W każdym razie, nawet jeśli to nie olbrzym, sądząc po rozmiarze stóp, nieczłowiek i tak był spory.

Sam trącił mnie łbem, a kiedy na niego spojrzałam, ukrył się pod biurkiem. Zamierzał wziąć intruza z zaskoczenia. Dobrze wiedzieć, że nadal jest ze mną.

- To chyba najgorsza rymowanka, jaką słyszałam, odkąd w szkole kazali mi napisać jedną jako zadanie domowe - powiedziałam, przesuając się jednocześnie pod schody, skąd mogłabym zobaczyć istotę.

Nieczłowiek miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, choć jego stopiszcza były o kilkanaście centymetrów dłuższe od największych stóp, jakie kiedykolwiek widziałam u człowieka. Przyjemną, wesołą buzię otaczały rude kręcone włosy. Robił miłe wrażenie, pod warunkiem że nie przyjrzało się dokładniej jego oczom. Ubrany był w spodnie z materiału i czerwoną koszulę z niebieskim krawatem oraz czerwony płócienny fartuch z emblematem sklepu spożywczego.

W prawej ręce trzymał nóż rzeźnicki.

Pachniał żelazem ze słodkawą nutą krwi, czyli że był to pan Warzywo, ten cholernie silny, który rzucał pełnymi regałami.

- Ach! - odezwał się. - Włomywacz. Ucieszne. -Rozluźnił kark, przekrzywiając głowę w jedną stronę, potem w drugą. Mówił z tak silnym akcentem, że trudno go było zrozumieć. Włamywacz, pomyślałam. Nie włomywacz.

- Ucieszne? - powtórzyłam i pokręciłam głową. -Raczej brzemienne w skutki. Przynajmniej dla ciebie. - W razie wątpliwości staraj się brzmieć pewnie. To zbija z tropu napastnika, który gotuje się do ataku. Świadomość, że posiadam tajną broń, podniosła mnie na duchu. - Co zrobiłeś z Finem?

- Finem? - Nieczłowiek zszedł trzy stopnie, po czym zatrzymał się z uśmiechem. Chyba oczekiwał, że zacznę uciekać. Albo, niczym znudzony kot, bawił się przyszlą ofiarą. Wiele pradawnych istot należy do drapieżców, a ich przysmakami bywają między innymi ludzie.

- Fin jest właścicielem tego antykwariatu - mówiłam spokojnie. Nie dlatego, że byłam odważna. Po prostu po tych rzeczach, jakie mi się przytrafiły, strach stracił swoją wyjątkowość.

- Może go zjadłem? - Wyszczrzył zęby, znacznie ostrzejsze niż ludzkie. I w znacznie większej liczbie niż u ludzi.

- A może jesteś nieczłowiekiem i nie wolno ci kłamać? - powiedziałam. - Więc zamiast nadużywać mojej cierpliwości swoimi „możeniami”, lepiej trzymaj się faktów. Gdzie Fin?

Wyciągnął rękę i uczynił gest w moją stronę. Pomiedzy nami zawisły w powietrzu blade, zielone skierki. Jedna z nich dotknęła mnie, po czym wraz z resztą spadła na ziemię, gdzie zgasły.

- Czym jesteś? - Istota przekrzywiła głowę jak zaciekawiony wilk. - Ni widzimą. Czuję widzimy w głowie.

- Ani kroku dalej! - rozkazałam, dobywając sig-a.

- Grozisz mi czymś takim? - Zaśmiał się.

Strzeliłam. Trzy razy prosto w jego serce. Zatoczył się, ale nie upadł. Przypomniałam sobie, że jak wynikało z książki Fina, pradawne istoty mogą mieć organy w innych miejscach niż ludzie. Podniosłam broń, celując w głowę, i zdumiona patrzyłam, jak stwór niczym duch przenika przez schody, zostawiając na stopniach tylko nóż i fartuch.

Z posadzki obok moich stóp wynurzyły się kamienne ręce, które chwyciły mnie za kostki i szarpnęły.

Przewróciłam się zbyt szybko, nie zdążyłam zareagować.

Ocknęłam się w mroku, cała obolała, najbardziej dokuczało mi ciemność. Kostki również, jak się okazało, kiedy spróbowałam nimi ruszyć. Zamrugałam, lecz nic nie widziałam, co w moim przypadku było dziwne.

Czułam krew, a coś twardego uwierało mnie w ramię. Doświadczenia z długich nocy nauki na studiach podsunęły mi obraz długopisu. Czekałam, aż odezwie się świeższa pamięć - ostatnie, co zarejestrowałam, to ręce nieczłowieka łapiące mnie za stopy. Po chwili bezowocnego wyczekiwania na kolejne wspomnienia uznałam, że więcej ich nie ma. Musiałam uderzyć się w głowę o posadzkę i stracić przytomność.

Dziwne, że jeszcze żyłam, choć leżałam bezbronna przed napastnikiem.

Już miałam usiąść, kiedy dobiegł mnie osobliwy, mokry dźwięk, którego źródła nie umiałam ustalić. Nie było to kapanie, raczej brzmiało jak mlask, mlask, mlask. Oddzieranie. Mlask, mlask, mlask.

Coś jadło. Zidentyfikowawszy dźwięk, poczułam śmierć wraz ze wszystkimi jej wstrętnymi woniami. Długo wsłuchiwałam się w odgłosy pożywiającej się, zaopatrzonej w ostre zęby istoty, zanim odważyłam się poruszyć.

Tak naprawdę to bez znaczenia, kto zginął. Jeśli Sam, nie miałam szans w starciu z istotą, która zabiła wilkołaka, i to po potrójnym postrzale w pierś. Nieważne, czy miała tam serce, czy nie - i tak powinna być ranna.

Jeśli to nie Sam zginął... W takim razie albo mnie zabije, albo razem wyjdziemy z tej piwnicy. Rozważyłam wszystkie możliwości i dopiero wtedy wstałam sztywno.

Odgłosy nie zmieniły się, mimo że szurałam stopami po zasłanej szkłem posadzce, aż natrafiłam na brzeg dywanu. Dzięki temu odnalazłam biurko i zapaliłam lampkę. Nie dawała wiele światła, ale wystarczyło, żeby zobaczyć zwisające z sufitu kable z resztkami żarówek i ogólny bałagan. Równo ustawione wieże pudeł zastąpiły chaotyczne sterty porozdzieranej tektury i papieru. Wszędzie była krew. Dużo krwi.

Niektóre pradawne istoty miały krew różnych kolorów, jednak w tym wypadku, w miejscu gdzie przegrany zginął, ciemniała kałuża czerwieni. Śmierć musiała nastąpić całkiem niedawno, bo brzegi plamy jeszcze nie zaczęły krzepnąć. Zwycięzca odciągnął ciało do odległego kąta, za piramidy poszarpanych kartonów, gdzie słabe światło lampki nie docierało.

- Sam? - zawołałam. - Sam?

Mlaskania urwały się, a potem czarny kształt, ciemniejszy niż wszystko dookoła, wskoczył na stertę i rozpląszczył się na niej, żeby uniknąć zderzenia

z sufitem. W pierwszej chwili myślałam, że to nieczłowiek, lecz po chwili rozróżniłam zarysy wilka. Był cały skąpany we krwi, dlatego wydawał się prawie czarny. W jasnych ślepiach odbiło się światło lampki i Sam warknął.

- To jak? - zagadnęłam Sama w drodze powrotnej. - Co możemy zrobić, żeby twoja ludzka połówka odzyskała chęć do życia? Bo w ten sposób długo nie pociągniemy. Dobrze wiesz, że byłeś na granicy.

Sam pisnął cicho i złożył łeb na moich kolanach. Wymyłam nas na tyle, na ile się dało w łazience w sklepie, ale jego futro nadal miało różowawy odcień. A do tego było mokre. Dobrze, że miałam w Króliku porządne ogrzewanie.

- Cóż, skoro ty nie wiesz, skąd ja mam wiedzieć? - Westchnęłam.

Mocniej przycisnął łeb do mojego uda.

Mało brakowało, a mogłam zginąć w tej piwnicy. Widziałam dzikość w oczach wilka, kiedy spiął się do skoku i... roztrącił stertę, i tak już rozchwianą podczas walki z nieczłowiekiem.

Samuel nie popełniłby takiego błędu. I to mnie uratowało. Wylądował za blisko, na zdemolowanym fotelu biurowym. Łapa utknęła mu w szczelinie między siedzeniem a podłokietnikiem, a kiedy uwalniał się z pułapki, przypomniał sobie, że jesteśmy przyjaciółmi.

Ze zwieszzonego łba i podkulonego ogona wywnioskowałam, że siebie przeraził tak samo jak i mnie.

Wizyta w antykwariacie trwała jakiś czas, więc ruch na drodze zdążył trochę osłabnąć, choć nadal było dość tłoczno.

Zdjęłam rękę z kierownicy i podrapałam Sama za uszami. Rozluźnił się nieco.

- Damy radę - pocieszyłam go. - Nie martw się. Jestem bardziej uparta od Samuela. Jedźmy do domu, umyjmy się, wysuszmy, a potem... Czas chyba zadzwonić do Zee.

„Mercy!”

Krzyk Adama rozbrzmiał tak głośno, że na moment straciłam władzę w członkach. Eksplozja dźwięku w głowie narastała, by po chwili urwać się, zostawiając martwą ciszę i potworny ból, przy którym ten po uderzeniu w piwnicy Fina zdawał się bagatelką.

- Sam! - wydusiłam, chwytając kierownicę obiema rękami, jakby to coś mogło pomóc. Ledwie powstrzymałam się od gwałtownego hamowania, którym niewątpliwie spowodowałabym karambol na ruchliwej drodze. Z drugiej strony trudno było mi prowadzić dalej. - Sam! Sam! Nic nie widzę!

Poczułam delikatny uchwyt zębów na przegubie. Wilk pociągnął moją rękę w dół, a potem z powrotem. Kiedy nakierował mnie na wprost, zaczęłam ostrożnie hamować, a potem przystanęłam. Królik drżał od pędu mijających nas samochodów, ale nikt

w nas nie wjechał, więc założyłam, że stoimy na poboczu.

Wieki minęły, nim straszliwy ból zelżał. Trzęsłam się, pociałam i w ogóle czułam, jakby właśnie przejechała po mnie ciężarówka.

- Musimy wracać do domu - powiedziałam, zapalając silnik. Ręce mi się trzęsły, kiedy wrzuciłam bieg i ruszyłam prosto do Finley.

Zostawiłam Adama samego, żeby rozwiązał problemy ze stadem. Jeśli coś mu się stanie, nigdy nie wybaczę sobie tchórzostwa.

ROZDZIAŁ 8

Jechaliśmy Chemical Drive, drogą prowadzącą na tereny podmiejskie, kiedy z przeciwka minął nas ambulans z włączonym kogutem, ale nie na sygnale. Mało brakowało, a bym zawróciła.

Nie. Lepiej dowiedzieć się najpierw, o co chodzi. Sam nie jest w tej chwili lekarzem, a ja nie pomogę nikomu lepiej niż szpital. A może w ogóle nie chodzi o nikogo znajomego...

Zjechawszy na jezdnię do domu, zdjęłam nogę z hamulca, zapominając o wszelkich przepisach. Przed nami unosił się słup czarnego dymu i migały światła straży pożarnej, a mój bungalow był właśnie na dobrej drodze, by stać się kupką popiołu.

Adam mógł pomyśleć, że jestem w środku. Nie uprzedziłam, że wychodzę, bo na pewno wysłałby ze mną któregoś ze swoich zaufanych wilkołaków, a ja chciałam, żeby ci w tej sytuacji byli przy nim.

Naraz zrozumiałam, skąd ten krzyk Adama, ale przeraziła mnie myśl, co zrobił, gdy połączenie się zerwało. Mógł pomyśleć, że umarłam albo straciłam przytomność. Powinnam od razu zadzwonić do niego, a nie czekać, aż ból minie i będę mogła jechać.

Stado stało przed moim domem, starając się nie przeszkadzać strażakom. Pożar musiał wybuchnąć podczas spotkania albo krótko po nim... Stanowczo zdławiłam myśl, że ogień mogło podłożyć któreś z nich w ramach autodafe. Przesunęłam wzrokiem po twarzach obecnych - Darryl, Auriele, Paul, jacyś niezbyt znajomi, Henry i George. Adama nie dostrzegłam. Żołądek zwinął mi się w kulę.

Zatrzymałam się jak najbliżej się dało, zaraz za wozami strażackimi, czyli i tak kawałek od domu.

Runęłam biegiem ku grupce wilkołaków i złapałam za ramię pierwszego z brzegu. Auriele.

- Gdzie Adam?! - krzyknęłam.

- Mercy! - Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. - Adam myślał, że byłeś w środku podczas wybuchu.

Wybuchu? Rozejrzałam się, dopiero teraz uświadamiając sobie, że rzeczywiście, okolica wyglądała jak po eksplozji. W promieniu kilkunastu metrów walały się kawałki sidingu, szkła i elementy budynku, a pośrodku paliła się kupa czegoś, co niegdyś było moim domem. Miałam gazowe ogrzewanie, może to przez jakąś nieszczelność? Jak długo musi ulatniać się gaz, żeby doszło do wybuchu? Gdyby trwało to długo, wyczułabym gaz przed wyjściem.

Jutro nadejdzie czas zamartwiania się utratą domu, rzeczy osobistych, zdjęć... Biedna Medea. Zamknęłam ją w domu, jak zawsze na noc. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić, co jej się stało. Na razie musiałam myśleć o czymś innym.

- Auriele - powiedziałam, wyraźnie wymawiając każde słowo
- gdzie jest Adam?

- Mercy!

Czyjeś ramiona schwytały mnie w objęcia i przycisnęły mocno.

- Och, Mercy, Boże! Myślał, że tam jesteś, że się palisz żywcem. Wszedł do tej cholernejszej rudery, żeby cię ratować - gdyby nie wyraźny brytyjski akcent, nie rozpoznałabym w tych chrapliwych dźwiękach głosu Bena.

- Ben? - Z niejaką trudnością wyzwoliłam się z uścisku. Musiałam robić to ostrożnie, bo ręce wilkołaka pokrywały rany i bąble, ale nie miałam wyjścia, nie mogłam prawie oddychać. - Ben? Co z Adamem?

- W szpitalu - wyjaśnił Darryl, podchodząc do nas. Darryl był Drugim Adama i zarazem towarzyszem Auriele. - Mary Jo wykorzystwała swoje wejścia i z nim pojechała. - Mary Jo była wilkołaczycą pracującą jako strażak i ratownik.

-Jedziemy tam! - krzyknęłam do Bena.

Już biegłam z powrotem do Królika. Samowi udało się przecisnąć przodem, zanim wsiadłam, więc gdy otworzyłam drzwiczki pasażera, zdążył wskoczyć do tyłu, robiąc miejsce Benowi.

- Warren jest w drodze - wyszcząkał Ben. Był w szoku, dzwonił zębami, a jego oczy jaśniały wilczo. - Pracował, nie mógł stawić się na zebraniu, ale dzwoniłem do niego, że Adam jest w szpitalu.

- Dobrze. - Wystartowałam w fontannie żwiru. -Czemu ciebie też nie zabrali do szpitala?

Z dala od ognia zapach spalonego ciała był wyraźniejszy. Ben musiał bardzo cierpieć. Mały silnik samochodu ryczał z wysiłku, kiedy wduszałam pedał gazu na autostradzie. Ben przymknął powieki i wcisnął się w siedzenie.

- Byłem jeszcze w budynku. - Rozkaszłał się, opuścił szybę i wystawił głowę, krztusząc się i charcząc. Podałam mu na wpeł opróżnioną butelkę z wodą. Wyplukał gardło i splunął. Wreszcie zamknął okno i napił się. - Adam pobiegł do twojej sypialni, a ja do pokoju Samuela - jego głos brzmiał jeszcze bardziej chrapliwie niż wcześniej.

- Co z tobą?

- Będzie dobrze. Nawdychałem się dymu.

Wpadliśmy w pośpiechu do poczekalni oddziału ratunkowego. Nawet jak na to miejsce, musieliśmy przedstawiać sobą niezwykły widok. Zerknęłam na Sama. Nawet nie zauważyłam, kiedy wytarzał się w ziemi, pokrywając brudem plamy krwi. Wszyscy przypominaliśmy zmory, ale przynajmniej po mnie i Samie nie było widać walki z nieczłowiekiem. Co prawda nie przypominaliśmy też ofiar pożaru jak

Ben, ale postanowiłam w razie czego wymyślić historyjkę na poczekaniu.

Całkiem zapomniałam, że mamy większy problem niż trochę brudu, oparzeń i prawie doczyszczonych plam z krwi.

- Hej, wy tam, nie wolno tu wprowadzać psów! -Pielęgniarka zerwała się z miejsca i ruszyła ku nam, jednak kiedy spojrzała na mnie, stanęła jak wryta. -Pani Thompson? Czy to wilkołak?

- Gdzie jest Adam Hauptman? - zapytałam, ale ryk dochodzący z sali zabiegowej wystarczył mi za odpowiedź. - Co za mądrała w ogóle wpadł na pomysł, żeby go tu przywozić - wymamrotałam w biegu. Minęłam podwójne drzwi, wpadając do pomieszczenia prawie jednocześnie z Samem i Benem.

- Nie ja - zastrzegł się Ben. Poweselał trochę. Pewnie też się martwił, co zastaniemy. - Mam alibi. Kiedy go wsadzali do karetki, ja smażyłem się na chrupko.

W przejściu pomiędzy boksami dla pacjentów a recepcją stał szary wilkołak z ciemniejszym znaczeniem na pysku. Przemienił się dopiero co, mięśnie na plecach jeszcze nie do końca się dostosowały.

W wielu miejscach miał łyse placki, skóra tam była poczerniała i przypominała wykipiały воск. Na mocno poparzonych łapach zwęglona tkanka tworzyła makabryczną imitację jego charakterystycznego ubarwienia. Zasłona parawanu zadarła się, zaczepiając o ogon.

Zatrzymałam się zaraz za drzwiami, ogarniając sytuację spojrzeniem.

Jody, pielęgniarka, z którą rozmawiałam poprzedniego dnia po wypadku Samuela, stała bez ruchu. Ktoś musiał poinstruować ją, jak zachowywać się w obecności wilkołaków, bo wzrok trzymała wbity w ziemię. Ale nawet z takiej odległości czułam jej strach, zapach, który potęguje głód wilkołaków. Mary Jo klęczała na podłodze przed Adamem, podpierając się jedną ręką. Głowę spuściła w geście uległości. Jej wysportowane, atletyczne ciało, jedyne, co dzieliło Adama od grupki ludzi, wyglądało tak krucho w porównaniu do sylwetki Alfy.

Zerknęłam na Sama, który chyba najadł się porządnie nieczłowiekiem, bo był całkiem skupiony na Adamie, choć pozostał przy moim boku. Po drugiej stronie miałam Bena. Stał w całkowitym bezruchu, jakby nie chciał zwracać na siebie uwagi Hauptmana.

W innych okolicznościach nie martwiłabym się tym wszystkim tak bardzo. Ciężko ranne wilkołaki często traciły chwilowo swoją ludzką połówkę, ale partnerka lub bardziej dominujący wilk mógł ją na powrót przywołać. Samuel stał wyżej w hierarchii niż Adam, a ja byłam towarzyszką Alfy, więc któreś z nas powinno bez trudu go opanować.

Niestety, Samuel nie był akurat sobą, a naszą więź Adam przeładował, kiedy spanikował, myśląc, że jestem uwięziona w płonącym domu. Nie miałam pojęcia, co to oznacza ani jak zareaguje. Jednak czas na dywagacje mi się skończył, bo Adam właśnie zniżył groźnie łeb.

- Adam - zawołałam.

Zmartwiął.

- Adam? - Wsunęłam się przed moich towarzyszy. - Adam, już wszystko w porządku. To dobrzy ludzie. Chcą ci pomóc. Jesteś ranny.

Jestem szybka i mam świetny refleks, a jednak nie zarejestrowałam nawet jego ruchu. Nagle zostałam przyciśnięta do framugi, a Adam unosił mnie biednymi, poparzonymi łapami, póki nie znaleźliśmy się twarzą w pysk. Owiął mnie smród spalenizny, a policzek połaskotał gorący oddech. Wciągnął powietrze nosem, a jego ciało zaczęło się trząść.

Naprawdę myślał, że nie żyję.

- Nic mi nie jest - mruknęłam, przymykając oczy i unosząc brodę, żeby odsłonić gardło. - Nie było mnie w domu, kiedy nastąpił wybuch.

Przesunął nosem po mojej szczęce aż na obojczyk, po czym rozkaszał się dychawicznie. Wydawało się, że trwa to bez końca, a kiedy złapał wreszcie oddech, oparł łeb na moim ramieniu i rozpoczął przemianę.

Ludzka forma zapewniała bezpieczeństwo postronnym, dlatego pewnie się przemieniał, ale właśnie został ciężko ranny i już przeszedł jedną przemianę. Dwie w ciągu kilkunastu minut stanowiły ogromny wysiłek, a fakt, że się na to zdecydował, świadczył o jego naprawdę kiepskim stanie.

Poza tym w pełni świadomy nie zacząłby procesu, kiedy się dotykaliśmy. Przemiana sama w sobie jest bolesna, a kontakt fizyczny tylko pogarsza sprawę. Jeśli dodać do tego dziwaczną pozycję i cierpienie spowodowane oparzeniami, trudno było przewidzieć, co się stanie. Zsunęłam się na dół, trzymając

Adama przy sobie. Skóra zaczęła mu się rozciągać, kości poruszać - przemiana nie jest najpiękniejszym widokiem.

Oparłam dłonie na podłodze, w ten sposób nie kusilo mnie, żeby go dotykać. Co prawda choć rozum mówił, że dotyk to ostatnie, czego mu w tej chwili trzeba, ciałem kierowało przekonanie, że mogłabym mu ulżyć. Popatrzyłam na Bena i kiwnęłam brodą w kierunku pielęgniarki oraz lekarza, który wyłonił się zza zasłonki i dołączył do nas. Ben uraczył mnie cierpiętniczą miną „czemu ja?”, na co w odpowiedzi wskazałam oczami na pogrążonego w niemocy Adama i Samuela, aktualnie wilka.

Ben popatrzył w niebo, chyba błagając Boga o litość, po czym splótłszy ramiona na piersiach, powlókł się naprzód, by rozwiązać problemy, które rozwiązać był w stanie. Odprowadzając go wzrokiem, napotkałam spojrzenie wpatrzonej we mnie Mary Jo. Wyjątkowe spojrzenie. Kiedy tylko zorientowała się, że na nią patrzę, jej rysy się wygładziły. Nie umiałam zidentyfikować emocji odbitej na twarzy wilko-łaczycy, ale była niezwykle intensywna.

- Wszyscy cali? - zapytał Ben. W chwilach, kiedy wykraczał poza swoją wredną osobowość, wzbudzał w ludziach zaufanie. Pewnie dzięki temu szykownemu brytyjskiemu akcentowi i nienagannej aparycji. Nawet w popalonym, osmalonym ubraniu wyglądał porządniej niż reszta.

- Tak - odparł lekarz, Rex Fournier, jak głosił identyfikator na piersi mężczyzny po czterdziestce. -

Zaskoczyłem go, odsłaniając parawan. - A potem, oddając sprawiedliwość, rzecz rzadka u przestraszonych ludzi, dodał: - Uważał, żeby nikogo nie zranić. Tylko mnie odepchnął. Gdyby za mną nie stał stół, nie przewróciłbym się.

- Był nieprzytomny, kiedy go zostawiłam - wyjaśniała Mary Jo przepraszająco. - Czekaliśmy trochę, wyszłam, żeby kogoś zawołać. Nie wiedziałam, że nie było mnie na tyle długo, by zdążył się przemienić.

- To nie było długo - wtrąciłam. - W drodze minął nas wasz ambulans, więc nie mogliście być tu więcej jak pół godziny, a na przemianę trzeba Adamowi jakiś kwadrans. Czyj to w ogóle genialny pomysł, żeby sprowadzać go do szpitala w takim stanie?

Mina Mary Jo świadczyła, że jej.

- Trzeba mu usunąć martwą tkankę - tłumaczyła. Wyjątkowo bolesna procedura, a na wilkołaka

nie działają długo żadne środki przeciwbólowe. Pomysł był tak fatalny, że wszyscy gapiliśmy się na nią ze zdumieniem. Wszyscy, którzy wiedzieli, o co chodzi, czyli ja, Ben i Sam. Adam nadal był w trakcie przemiany.

- Nie zdawałam sobie sprawy, w jak poważnym jest stanie - broniła się. - Myślałam, że ma poranione tylko dłonie. Stopy zobaczyłam dopiero, gdy jechaliśmy już karetką. Gdyby to były tylko ręce, nic by się nie wydarzyło.

Może. Niewykluczone.

- Myślałam, że ty i Samuel nie żyjecie - ciągnęła. - Więc to ja zostałam z tym wszystkim, jako medyk stada. I jako medyk oraz członek gromady wierny Alfie uznałam, że szpital to najbezpieczniejsze wyjście.

Właśnie skłamała.

Nie w tym, że chodziło o bezpieczeństwo Adama. Rzeczywiście, biorąc pod uwagę ostatnie zawirowania, prawdopodobnie miała rację. Stado mogło stanowić zagrożenie dla Adama w tym stanie. Mogliby go rozszarpać i co z tego, że potem nawet by żalowali?

Ale w tym pierwszym stwierdzeniu? O naszej obecności w domu? Czyżby uważała, że w tym zamieszaniu kłamstwo ujdzie jej płazem? Ben rzeczywiście czasami nie wychwytywał pewnych subtelności w zachowaniu innych wilków i może Mary Jo nie wiedziała, że umiem rozpoznać fałsz tak samo dobrze, jak każdy wilkołak.

- Wiedziałaś, że nie ma nas w domu - powiedziałam powoli. I naraz oświeciło mnie, co to oznaczało. - Czy Adam przysłał cię, żebyś pilnowała mnie podczas spotkania? Widziałaś, jak wychodziliśmy?

Widziała. Nawet nie próbowała zaprzeczać. Mogła okłamać ludzi, ale nie nas.

- Czemu mu nie powiedziałaś? - zapytał Ben. - Czemu nie powstrzymałaś Adama przed skoczeniem w ogień?

- Odpowiedz mu - rozkazałam.

Popatrzyła mi w oczy. Doliczyłam powoli w myślach do trzech, nim odwróciła wzrok.

- Miałam iść za wami, jeśli wyjdziecie. Miałam pilnować, by nic ci się nie stało. Ale widzisz, uważam, że lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby zabił cię jakiś wampir.

- A więc nie wykonałaś rozkazu Adama, bo się z nim nie zgadzałaś? - upewnił się Ben. - Ciebie wyznaczył do pilnowania Mercy, bo ci ufał, bo wierzył, że zajmiesz się wszystkim, kiedy on będzie załatwiał sprawy ze stadem. A ty go zdradziłaś.

Byłam wdzięczna Benowi, że mówił.

Zawsze uważałam, że Mary Jo należy do tych członków stada, którzy są moimi przyjaciółmi. I nie dlatego, że wykorzystałam dług, jaki wobec mnie miał nieczłowiek, żeby wrócić jej życie. Podejrzewałam, że jak każdy dar pradawnych istot, i ten miał swoje wady oraz zalety. Po prostu spędziłyśmy ze sobą dużo czasu, bo Adam chętnie wybierał Mary Jo na mojego strażnika, kiedy uważał, że potrzebuję ochrony.

Nagle okazało się, że Mary Jo pragnie mojej śmierci. To wyrażała wtedy jej mina.

Byłam tak wstrząśnięta, że gdyby ton wilkołaczycy nie brzmiał tak defensywnie, nie zwróciłabym uwagi na jej odpowiedź na pytanie Bena.

- To nie tak. Myślałam, że jest bezpieczna. Przecież wyszła z Samuelem. Nikt przecież nie obroniłby jej lepiej od niego.

- Czemu wobec tego nie powstrzymałaś podpalaczy?

Podpalaczy? Byli jacyś podpalacze?

- Nie miałam chronić domu. A Mercy w środku nie było.

Dopiero z uśmiezku satysfakcji Bena wywnioskowałam, że zmyślił tych podpalaczy.

- Kto to był, Mary Jo?

- Nieczłowiek. Nieznajomy. Po prostu kolejny problem, który ściąga na głowę mojemu stadu. Skoro nie ludzie chcą spalić dom Mercy, co mnie to obchodzi? - Popatrzyła na mnie z nienawiścią. - Żałuję, że cię tam nie było.

- Ben!

Nie wiem, jak dał radę powstrzymać się przed spoliczkowaniem Mary Jo. Ale udało mu się. Stłukłaby Bena na kwaśne jabłko za coś takiego. Może oficjalnie stała niżej w hierarchii, ale to tylko dlatego, że nie miała partnera, a samotne wilczyce z góry zajmowały najniższą pozycję.

Z oczu Mary Jo biła chęć do walki.

Ja nie mogłam się ruszyć, Adam wciąż na mnie wpełlezał.

- Dostyc tego - powiedziałam cicho.

Ben ciężko dyszał. Ręce trzęsły mu się z gniewu... lub bólu. Odniósł przecież bardzo ciężkie rany.

- Mógł zginąć - wychrypiał Ben do mnie. W jego głosie słychać było wilka. - Mógł zginąć przez... - Powstrzymał się.

Agresja wyparowała z głosu i postawy Mary Jo jak kamfora. Jej oczy zaszczyły łzami.

- Myślisz, że nie wiem? Wybiegł z domu, wołając Mercy. Próbowałam mu powiedzieć, że jest za późno,

ale on wybił dziurę w ścianie i wskoczył do środka. Nawet mnie nie słyszał.

- Usłyszałby, gdybyś powiedziała, że Mercy tam nie ma - rzekł Ben niewzruszony jej łzami. - Biegłem tuż za nim. Nie wysiliłaś się. Wystarczyło powiedzieć, że ona żyje.

- Dosyć - przerwałam. Przemiana Adama dobiegała końca. - Adam zajmie się tym później. - Zwróciłam się do Sama: - Dwie przemiany przy takich ubytkach tkanki to fatalnie, prawda? Źle się goi. - Ludzkie ucho Adama było mocno poharatane, czerep wraz z czołem również. Pewnie osłaniał czymś twarz i głowę, może ręcznikiem, który się zsunął.

Sam westchnął.

Lekarz z zafascynowaniem słuchał Mary Jo. Pewnie był miłośnikiem mydlanych oper.

- Przykro mi - powiedział szczerze. - Jeśli nie ma pani jakichś skutecznych metod utrzymania pacjenta w ryzach, nie mogę go tu leczyć. Nie będę narażał personelu.

- Czy możemy dostać jedynekę?

Czas nie był naszym przyjacielem. Moglibyśmy zabrać Adama do domu i tam się nim zająć, ale Mary Jo miała rację, że tak ciężko ranny nie był bezpieczny w stadzie. Nie chciałam go narażać.

Sam podchwycił moje spojrzenie i powiódł wzrokiem po szeregu klitek za parawanami, zatrzymując się na tej, z której go niedawno wyprowadzałam.

- Tylko prawdziwą salę, nie taką. Może ten magazyn przy pracowni rentgena?

Doktor zmarszczył brwi, z pomocą przyszła mi Jody.

- To Mercy, od doktora Cornicka - wyjaśniła. - Spotyka się z Adamem Hauptmanem, Alfą stada.

- Który leży mi na kolanach - weszłam jej w słowo. - Przykro mi. Jeśli to byłby ktokolwiek inny, umielibyśmy zapewnić personelowi bezpieczeństwo, ale tylko Adam jest w stanie trzymać ich w ryzach. Ma pan rację, nie chcąc ryzykować. Ale są tu ze mną dwa wilki, a Mary Jo jest ratownikiem. Poradzimy sobie sami. Zabralibyśmy go do domu, ale w tym wypadku liczy się czas. Jeśli nie zrobimy czegoś natychmiast, bliźni pozostaną na zawsze.

Najgorzej było ze stopami. W całości ludzkie... Pomiędzy resztkami spalonej tkanki prześwitywały kości. Adam był nieprzytomny, bardzo blady i obficie się pocił.

- Czego potrzebujecie? - zapytał Fournier.

- Noszy - odparła Mary Jo. Popatrzyła na Sama, oczekując, że przejmie inicjatywę. Szybko zdała sobie sprawę, że w szpitalu nie może ujawnić, że jest wilkołakiem. Raczej nie rozumiała prawdziwej natury problemu Samuela. Zwróciła się ponownie do lekarza, operując żargonem medycznym.

Kiedy pojawiły się nosze, Ben przeniósł na nie Adama, a personel opróżnił schowek, wykazując całkowity brak szacunku dla porządku, w jakim rzeczy stały. Ktoś będzie zły. Doktor Fournier został wezwany na trzecie piętro, ruszył więc z taką samą energią, z jaką podchodził do wszystkiego, łącznie

ze swoimi wilkołaczymi pacjentami z oddziału ratunkowego. Po wyniesieniu wszystkiego zmieściliśmy się w schowku, choć ledwie, ledwie, razem z noszami i narzędziami, które przeniosła Jody.

-Jeśli sytuacja się skomplikuje, Fournier nie jest tak dobry, jak doktor Cornick. - Jody popatrzyła na mnie przenikliwie, kiedy Ben i Mary Jo ustawiali nosze z Adamem na środku klitki. Zaczęłam się zastanawiać, czy właśnie nie łączy faktów: moich szerokich znajomości z wilkołakami i tego, że Samuel jest moim współlokatorem. Jeśli nawet, to nie wydawała się przerażona obecnością tak wielu wilkołaków, więc liczyłam, że zachowa swoje domysły dla siebie.

- Fournier nie został ranny - powiedziałam. -I nie popsuł niczego. To wystarczy.

- Potrzebujecie pomocy? - zapytała mężnie.

- Nie, dzięki. - Uśmiechnęłam się do niej. - Mary Jo sobie poradzi. - Wolałabym, żeby Adamem zajęli się lekarz i pielęgniarka, ale sam Adam nie chciałby narażać ludzi. I podobnie jak Jody, brakowało mi w tej chwili Samuela... Którego nieobecność właśnie zauważyłam.

- Nie jest to sterylne środowisko, choć jak rozumiem, nie ma to znaczenia?

- Nie, nie - uspokoiliam ją nieobecny tonem. Gdzie ten Sam się podział? - Wilkołaki są dużo bardziej odporne na zarazki niż ludzie. Ach, chyba są już gotowi.

Zamknęłam za nią drzwi i zwróciłam się do Mary Jo:

- Na pewno wiesz, co robić? Muszę poszukać Sama.

-Jestem - odezwał się Samuel. Goły jak go Pan Bóg stworzył, pocił się od pospiesznej przemiany. Był brudny od pyłu i zaschniętej krwi - stan, któremu łatwo zaradzić z pomocą rzeczy z pewnością znajdujących się wśród tych przyniesionych przez Mary Jo. Jego szare oczy były trochę jaśniejsze niż zazwyczaj, ale pozostałe wilkołaki z łatwością mogły przypisać to przemianie. - Zajmę się tym.

- Samuel - wydukałam.

Odwrócił wzrok i wziął do ręki coś, co przypominało szczotkę ze sztywnym włosiem.

- Przytrzymasz go, Ben, przyciśnij całym ciężarem, tu na biodrach. Uważaj, Mary Jo, powiem ci, co masz robić. Najgorsze będą ręce, więc od nich zaczniemy.

- A jak ja mam pomóc?

- Mów do niego. Cały czas powtarzaj, że robimy to, aby ulżyć jego cierpieniom. Jeśli cię usłyszy i uwierzy, nie będzie się tak mocno rzucał. Dam mu morfinę. Niewiele to da i na krótko, więc musimy się spieszyć.

Kiedy więc Samuel usuwał szczotką martwą tkankę i ledwie zagojone strupy, ja mówiłam. I mówiłam. Po oczyszczeniu spalonych fragmentów rany zaleczą się czysto, nie pozostawiając blizn.

Adam co jakiś czas zanosił się kaszlem, a podczas każdego ataku wszyscy cofali się, odczekując,

aż skończy i wypluje podbarwioną krwią plwocinę z czymś czarnym. Ben także odkrztuszał gwałtownie, ale nie puszczał przy tym Adama.

Od czasu do czasu Samuel przerywał zabieg i podawał Adamowi kolejną dawkę morfiny. Najgorsze, że Adam nie wydawał żadnego dźwięku i nie wyrywał się. Zalewał go pot, jego ciałem wstrząsały drgawki, a on nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Myślałem, że nie żyjesz - wychrypiał sucho, gdy Samuel, skończywszy z rękami, przeszedł do oczyszczania stóp. Wydawało się, że procedura nie sprawia Adamowi bólu. Pewnie zniszczeniu uległa większość nerwów. Wskoczył w ogień na bosaka. Żeby mnie ratować.

- Głupol - mruknęłam, mrugając szybko. - Jakbym miała zamiar umrzeć bez ciebie.

Uśmiechnął się słabo.

- Czy to Mary Jo zdradziła nas w kręgielni? - zapytał, dowodząc, że nie był całkiem nieświadom, co dzieje się wokół w trakcie przemiany.

Oboje zignorowaliśmy jęk Mary Jo.

- Zapytam ją później. Kiwnął głową.

- Lepiej... - Urwał, a jego źrenice zareagowały na ból, mimo że dostał morfinę.

Wygiął się i przekręcił, wciskając twarz w mój brzuch przy wtórze dźwięków przypominających coś pomiędzy krzykiem a warczeniem. Przytrzymałam go, a Samuel ofuknął Bena i Mary Jo, każąc im zdwoić wysiłki.

Kolejny zastrzyk i zmiana miejsc. Samuel kazał Benowi przytrzymać Adama za nogi.

- Nie myśl, że nie widzę twoich rąk - dodał. - Jesteś następny w kolejce.

Mary Jo dostała miejsce przy jednym ramieniu, ja przy drugim.

- Dasz radę? - upewnił się Samuel. - Jeśli nie będzie tego chciał, to nie.

- Spokojnie - odezwał się Adam. - Nie zrobię jej krzywdy.

- Nie podejrzewam cię o to. - Samuel uśmiechnął się przelotnie i zaczął oczyszczać twarz Adama. Musiałam zamknąć oczy.

- Ciii... - uspokajał mnie Adam. - Zaraz będzie po wszystkim.

Warren zjawił się wkrótce potem. Za późno, żeby pomóc przy Adamie, ale akurat na czas zabiegu Bena. Ben nie przeszedł dwukrotnej przemiany i sa-moleczenie nie poszło w złą stronę, lecz i tak rany były poważne. Samuel musiał usunąć fragmenty spalonej skóry i bąble.

Adam przymknął oczy, powoli się rozluźniając. Cały czas trzymałam go za ramię, jedyną część, która nie ucierpiała w pożarze. Połączenie pomiędzy nami jeszcze się nie odnowiło, w ocenie jego samopoczucia musiałam więc polegać na własnych zmysłach. Zaskoczyło mnie, biorąc pod uwagę, jak dokuczliwa była dla mnie więź, że mi jej brakowało.

Wyczulony słuch podpowiedział mi, że Adam nie śpi, a tylko drzemie.

Ben podczas zabiegu nie zachowywał się tak spokojnie jak jego Alfa, ale usiłował tłumić krzyki. W końcu zatopił zęby w bicepsie Warrena.

- Spokojnie - wycedził Warren, nawet się nie skrzywiwszy. - Nie krępuj się, jeśli ci to pomoże. Za daleko serca, żeby mi poważnie zaszkodziło. Cholera, jak ja nienawidzę ognia. Noże, broń palna, kły, szpony, wszystko jest groźne, ale najgorszy jest ogień.

Dłonie Adama przypominały surowego hamburgera, lecz przynajmniej nie wyglądały już jak spalony hamburger. Adam podniósł jedną, a jej palce zamknęły się na moich. Chciałam go puścić, otworzył wtedy oczy i przytrzymał mnie.

- Dobra, to wszystko. - Samuel wreszcie odstąpił od Bena. - Posadźcie go na krzesło i zostawcie na chwilę samego, niech ochłonie.

- Przywiozłem lodówkę pełną steków - rzekł Warren. - Mam ją w samochodzie, możemy ich nakarmić.

Samuel poderwał głowę.

- Twój Alfa został ranny, a ty wstąpiłeś po drodze do sklepu?

Warren uśmiechnął się zimno. Z pogryzionej przez Bena ręki kapłała krew. -Nie.

Samuel popatrzył na niego, a Warren wbił spojrzenie w ścianę poza nim. Nie spuścił wzroku, nie cofnął się. Darzył Samuela sympatią, lecz Samuel

nie był jego Alfą. Nie mógł pozwolić, by wilk samotnik podważał jego działania.

- Warren - westchnęłam - czemu masz przy sobie lodówkę pełną mięsa?

Kowboj odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Taki żarcik Kyle'a. Nie pytaj. - Zarumienił się lekko. - U Kyle'a i lodówka, i zamrażarka są już pełne, więc wsadziliśmy część do przenośnej lodówki, żeby przewieźć do mojego mieszkania. U mnie zamrażarka stoi pusta. Jeszcze nie zdążyłem tam dotrzeć. - Popatrzył na Samuela. - Drażliwy coś jesteś, hm?

- Wie, że Mercy lada chwila na niego naskoczy - wyjaśnił Adam. Mówił bardzo cicho, ale w naszym supersłyszającym towarzystwie, po co głośniej? - A Mercy zastanawia się, czy powinna to zrobić przy nas, czy poczekać, aż będą sam na sam.

- A o co Mercy chce ci suszyć głowę? - zdziwił się Warren, a kiedy Samuel milczał, spojrzał na mnie.

Obserwowałam Samuela.

- Nie dam rady dłużej - odezwał się w końcu. - Lepiej odejdę teraz, zanim zrobię komuś krzywdę.

Byłam już zmęczona tymi bzdetami.

- No, jasne! „Nie odchodź potulnie w błogie objęcia nocy”, Samuelu. „Staw gniewny opór niknącej światła mocy”*. - Pomagał mi uczyć się tego wier-

sza, kiedy chodziłam jeszcze do szkoły. Wiedziałam, że będzie o tym pamiętał.

- „Życie jest tylko przechodnim półcieniem”, Mercy. „Nędznym aktorem, który swoją rolę przez parę godzin wygrawszy na scenie, w nicość przepada” - na mój cytat Dylana Thomasa odpowiedział wersami z Szekspira. Włożył w te słowa więcej po-sepności i znużenia niż najlepszy aktor. - „Powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą...”^{*} -ostatnią linię wyrecytował z goryczą.

- Ależ poruszające - zakpiłam. - I głupie. Makbet zamordował swojego króla, a żądza władzy przyniosła cierpienie oraz śmierć wielu ludziom. Twoje życie jest warte więcej niż jego. Dla mnie i dla każdego pacjenta, którego leczyłeś. Dzisiaj byli to Adam i Ben.

- Mnie też dolicz - wtrącił Warren. Nie znał okoliczności i przyczyn naszej rozmowy, ale każdy wilk potrafił wychwycić jej sens. - Pamiętasz tego demona nie tak dawno temu? Gdyby nie ty, już bym nie żył.

Reakcja Samuela była zaskakująca. Zniżył głowę i warknął do Warrena.

- Nie jestem odpowiedzialny za twoje życie.

- Ależ jesteś. - Adam otworzył oczy.

-Więc to cię gryzie? - zapytał Warren łagodnie i wzruszył ramionami. - Ludzie umierają. Ja to wiem, ty to wiesz. Nawet tacy jak my, też umiera-

*** William Szekspir, „Makbet” w tłumaczeniu J. Paszkowskiego (przyp. tłum.).**

ją. Dzięki tobie umiera ich mniej. Taka jest prawda. Może ci się ta prawda nie podobać, ale to nie zmienia faktu, że tak jest.

Samuel odsunął się od nas. Nie było na to wiele miejsca, więc stanął ze spuszczoną głową.

- Miałem nadzieję, że to będzie łatwiejsze, Mercy, ale zapomniałem, że ty niczego nie ułatwiasz. - Odwrócił się i spojrzał na mnie. Kiedy znów się odezwał, usłyszałam znajomy pouczający ton. A myślałam, że wyleczyłam Samuela z niego już dawno temu. - Nie ocalisz mnie, Mercy. Nie ocalisz mnie, bo nie chcę być ocalony.

- Samuelu! - głos Adama brzmiał władczo i silniej, niż można się było spodziewać. Uniósł się i podparłszy na łokciach, popatrzył Samuelowi prosto w oczy.

Samuel nie uciekł spojrzeniem i nagle... Ujrzałam na jego twarzy niesamowite zdziwienie. Sekundę później zaczął przemieniać się w wilka. To był podstęp, który Alfy - bardzo silne Alfy - mogą zastosować w celu wymuszenia przemiany. Podejrzywałam, że Adam wziął Samuela z zaskoczenia, inaczej by mu się nie udało. Adam nie spuszczał oczu z Samuela, a my czekaliśmy z zapartym tchem. Kwadrans to długo, jeśli stoi się bez ruchu. W końcu Samuel zniknął, a na jego miejscu pojawił się biały wilk. Sam rozciągnął wargi w wilczym uśmiechu w kierunku Adama.

- Może nie dam rady cię z tego wyciągnąć, staruszkule - powiedział Adam, kładąc się i zamykając oczy - ale przynajmniej kupię nam trochę czasu,

żeby cię kopnąć w zadek na tyle mocno, że przestaniesz marudzić ciągle o jutrze i zaczniesz myśleć, jak bardzo boli cię tyłek.

- Oj, czasami widać, że byłeś żołnierzem, szefie - podsumował Warren.

- Porządne kopniaki były nieodłączną częścią służby, a w procedurze brało się raz bierny, raz czynny udział - zgodził się Adam, nie otwierając oczu.

Mary Jo gapiała się na Sama ze zgrozą. -Jego wilk przejął kontrolę!

- Tak jest od paru dni i jak na razie żadnych trupów - powiedział Adam.

Nie wiedział o nieczłowieku zabitym w piwnicy antykwariatu... Chociaż to chyba się nie liczyło. Sam zabił w obronie własnej, a nie morderczym szale. Fakt, że mało brakowało, żeby później zrobił sobie ze mnie deser.

Sam patrzył na mnie z namysłem. Nagle zdałam sobie sprawę, że wydawał się... inny, jakby bardziej widać było po nim emocje niż wtedy, w sklepie Fina, jakbym przywykła do wilka Samuela. Myślałam, że robi się coraz bardziej agresywny, ale teraz przyszło mi do głowy, że staje się mniej Samuelem, a nawet mniej Samem. Nasza mała katastrofa mogła dać nam trochę więcej czasu.

- Ach, rozumiem, że Marrok nie wie o Samuelu? - zapytał Warren bardzo swobodnie i niedbale, co oznaczało, że czuje się wręcz odwrotnie.

- Uhm - przytaknęłam. - Powiedziałam mu, że nie chce wiedzieć, i mi uwierzył. Ale tylko pod warunkiem, że porozmawiam z Charlesem. A według

Charlesa dobra wiadomość jest taka, że gdyby wilk Samuela był bardziej niezależny, od razu zacząłby szaleć. Zła, że jeśli szybko Samuela z tego nie wyciągniemy, jego wilk też osłabnie. - Jak właśnie się to działo. - Tak czy owak, Samuel zginie, tyle że nie sam.

- Prawdziwy pogrzeb wikinga - skomentował Warren.

Mary Jo zbeształa go wzrokiem. Odpowiedział ostrym spojrzeniem.

- Ano umie czytać, jak jest dużo obrazków - dodał z wyraźniejszym niż zazwyczaj teksańskim akcentem.

- Ej, to mój tekst - oburzyłam się. - Ty złodziejaszku!

Ben zaśmiał się, lecz szybko spoważniał.

- To osłabienie to coś innego niż przejęcie kontroli przez wilka?

Wilki to bezpośrednie istoty, nie zawracają sobie głowy upiększaniem rzeczywistości, które ludzie uważają za uprzejmość.

- Chodzi chyba o to, że Sam zmieni się w bez-mózgą bestię, która w końcu padnie - wyjaśniłam. -Prawdopodobnie wyrządzi mniej szkód niż normalnie, gdy wilk przejmuje kontrolę. Szczególnie że wilk nie przestanie, póki się go nie powstrzyma. Ale nic w tym dobrego.

- Łatwiej go będzie zlikwidować w razie czego -zauważył pragmatycznie Warren. Samuel był stary, potężny i bystry. Nawet z w połowie tak inteligentnym wilkiem tylko Bran lub Charles mogliby sobie

poradzić. W tym przypadku wystarczy ktokolwiek z nas plus srebrna kula, żeby zakończyć życie Samuela.

Sam nie wydawał się stropiony rozmową. Spojrzał na Warrena spod przymkniętych powiek i kłapnął z udawaną wściekłością. Żartował, widać to było po postawionych uszach.

Serce mi się krajało, gdy patrzyłam, jak bezwzględnie akceptują rzeczywistość.

- Zbieramy się, dzieci - odezwał się Adam, nadal nie otwierając oczu. - Przenosimy tę imprezkę do domu.

Dom.

Zmartwiona, zerknęłam na Warrena. Dzięki niesamowitym zdolnościom wilkołaczej regeneracji Adam dojdzie do siebie za dzień czy dwa, lecz w stadzie panował chaos.

- Tak jest, szefie. - Warren skinął mi głową, jednak dalej mówił do Adama. - Ale trochę się przy tobie pokręcę, jeśli nie masz nic przeciwko. Darryl też zostanie.

Zapakowaliśmy Adama na pakę pikapa Warrena. Położyliśmy go na karimacie i przykryliśmy śpiworem. Wilkołaki nie są wrażliwe na zimno, szczególnie takie, jak o tej porze roku w Tri-Cities, lecz nie chcieliśmy ryzykować. Przyjął nasze zabiegi z władczym rozbawieniem, przez które przenikała wdzięczność, ale nie powiedział słowa.

- Kemping? - mruknąłam cicho do Warrena, kiedy już opatuliliśmy Adama. - Udało ci się na to namówić Kyle'a? - Kyle był typem ceniącym sobie wygody cywilizacji. Jakoś trudno mi było wyobrazić go sobie spędzającego z własnej woli weekend w lesie.

- Nie - odmruknął. - W każdym razie nie z nocowaniem. Choć mam nadzieję, że na wiosnę się uda.

- To po co wozisz w aucie karimaty i śpiwory? - Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. - Czy to ma coś wspólnego z tym mięsem?

Spuścił głowę, lecz uśmiechał się pod nosem.

- Nie pytaj o to, czego nie chcesz wiedzieć, Mercy.

Mary Jo pojechała na pace z Adamem. Ja z Benem i Samem wsiedliśmy do Królika. Ben co prawda zaproponował, że poprowadzi, żebym mogła być przy Adamie, ale miał zbyt poranione dłonie. Poza tym byłam pewna, że Mary Jo nie zrobi nic Adamowi. Nieważne, gardziła mną czy nienawidziła, nie wpływało to na pragnienie, by jej Alfa pozostał bezpieczny.

Ledwie ruszyłam, Ben zaczął mówić.

- Musisz dowiedzieć się, kto był drugim strażnikiem.

- Słucham?

- Komu oprócz Mary Jo Adam zlecił pilnowanie ciebie. Nie chciała powiedzieć, a ponieważ jest wyżej niż ja, nie mogę zapytać. Warren znowu... Wiesz,

ona należy do tych, którzy uważają, że Warren nie powinien należeć do stada.

- Co? - zdumiałam się. Myślałam, że homofobiczne zapędy mają tylko mężczyźni członkowie stada.

Ben przytaknął.

- Nie obnosi się z tym jak inni, ale jest bardziej zawzięta. Jeśli Warren wyda jej rozkaz, którego nie zechce wypełnić, jak na przykład doniesienie na kogoś, na kim jej zależy, prawdopodobnie mu się sprzeciwi. On musiałby ostro zareagować, a to zaboli go bardziej niż ją, bo darzy Mary Jo sympatią. Nie wie, że ona należy do tych głupków.

Zawsze myślałam, że Ben też należy do tych głupków. Pewnie odzwierciedliło się to na mojej twarzy, bo wilkołak się roześmiał.

- Byłem zgorzkniały, kiedy tu przyjechałem. Wschodni Waszyngton to spora degradacja po Londynie. - Przez chwilę milczał, odezwał się znowu, kiedy skręcałem na autostradę. - Warren jest w porządku. Zależy mu na stadzie, dba o nie, a to nie tak powszechne wśród członków wyższego szczebla, jak by się wydawało. Trochę minęło, nim to doceniłem, przyznaję.

Poklepałem go po ramieniu.

- Nam też trochę zajęło, żeby się do ciebie przekonać. To pewnie przez ten twój zabójczy urok.

Roześmiał się znowu, tym razem z prawdziwym rozbawieniem.

- No tak, bez wątpienia. Czasem jesteś prawdziwą suką, wiesz?

Odpowiedź nasunęła mi się automatycznie.

- Swój pozna swego. Mówisz, że ktoś jeszcze patrzył, jak Adam skacze w ogień, i nie powstrzymał go?

- Mówię, że Adam zawsze wysyła nas dwójkami. Jeden człowiek jako siła główna, drugi jako wsparcie. Zawsze. Mary Jo nie była sama, kiedy wyszliście z Samuelem. I nie patrzyła sama, jak ktoś podpala twój dom. - Zawiesił głos. - Chyba nawet wiem, kto z nią był, ale jestem uprzedzony, więc będę trzymał język za zębami. Ale zapamiętaj. Mary Jo... W głębi duszy to dobry człowiek. Pracuje w straży, odkąd dopuścili do służby kobiety. Może za tobą nie przepada, ale nie ma nic do Samuela. Nie sądzę, żeby przyglądała się beczynnemu działaniu podpalacza, gdyby ktoś jej do tego nie nakłonił. A nie ma w stadzie wielu, których posłucha wbrew zdrowemu rozsądkowi.

- Uważasz, że ktoś inny zdecydował o sprzeciwienu się rozkazom?

Ben kiwnął głową.

- Owszem. Tak uważam.

- Ktoś, komu Adam ufa na tyle, by zwolnić go z uczestniczenia w spotkaniu.

-Tak.

- Cholera.

ROZDZIAŁ 9

O trzeciej nad ranem siedzieliśmy z Jesse, Darrylem, Auriele i Mary Jo przy kuchennym stole w domu Adama. Przypadek zrządził, że piłam swoją gorącą czekoladę w bezpośrednim sąsiedztwie Mary Jo. Gdybym mogła wybierać, usiadłabym po drugiej stronie miasta, bo nie wierzę w uspokajanie wzburzonego morza oliwą, ale cóż, gdy skończyłam nalewać czekoladę, zostało tylko jedno wolne krzesło.

Tyle dobrze, że większość wilków wróciła do domów, więc Adamowi nic nie groziło. Straż w jego pokoju pełnili Warren i Sam, a reszta, czyli my, postanowiliśmy obmyślić plan działania na czas niedyspozycji Alfego. Wszystkie inne wilki, które się pojawiały, były odsyłane.

Chciałam iść do Adama zaraz, gdy skończymy, choć i tak wiedziałam, że już mu lepiej. Pochłonął prawie pięć kilogramów mięsa i zapadł w sen tak głęboki, że przypominający śpiączkę. Warren był

na tyle dominujący, żeby poradzić sobie z pozostałymi dwoma wilkami, pod warunkiem że nie będzie wśród nich Darryla, który przewyższał go rangą. Generalnie.

Sam był co prawda trochę nieprzewidywalny, ale w obecnych okolicznościach raczej stanie po naszej stronie. Ranny wilk to bezbronny wilk. W najlepszym wypadku rannego wilka bronią jego towarzyszki ze stada, ale jeśli w stadzie panuje zamęt, jak teraz w Adamowym, lepiej dać mu strażników spośród zaufanych członków.

Warren i Sam na pewno dadzą radę dopilnować, by Adamowi nic się nie stało.

Ben przytargał sobie krzesło z jadalni, ustawił pomiędzy Jesse i Auriele, syknął, odrywając palce od oparcia, i klapnął na siedzisko. Jesse podsunęła mu kubek z kakao, a potem sięgnęła po puszkę bez-mlecznej bitej śmietany i zrobiła na napoju sporego kleksa słodkiej, puszystej, białej i całkiem sztucznej masy. Ostatnio włosy Jesse urosły trochę i zafarbowała je na różowo.

- Dzięki, skarbie - zagruchał Ben zmysłowo. Jesse odsunęła od niego swoje krzesło, zaś żartow-nię odwrócił głowę, ukrywając przed dziewczynką uśmiezek. Spoważniał, zauważając, że go obserwuję. Zmrużyłam oczy, a on odchrząknął.

- Trzeba wysłać informację o tym, co się stało, do wszystkich z listy mailowej. I napisać, że Adam będzie zdrow za dzień lub dwa.

Istnienie listy mailowej było dla mnie nowiną. Nie znalazłam się na niej, pewnie po to, by mogli

o mnie plotkować, nie raniąc moich uczuć. Aurielle zaproponowała, że ze względu na stan dłoni Bena może go wyręczyć, ale Ben obruszył się, że komputer to jego działka i dopóki jeszcze ma dziesięć palców, może wykonywać swoje obowiązki.

Pochylił się i nie dotykając gorącego kubka, pociągnął łyk kakao.

- Rozpuszczalne - powiedziałam przepraszająco. - Zapasy prawdziwego kakao i przypraw poszły z dymem. - Natychmiast pożałowałam swoich słów. Czułam się całkiem nieźle, póki nie przypomniałam sobie, że gdzieś tam w ciemności, za oknem kuchennym, znajduje się kupa spalonego śmiecia, która kiedyś była moim domem.

- Smakuje kakaowo - stwierdził Ben. - W tej chwili to wystarczy.

Zapadło milczenie, a ja uświadomiłam sobie, że powinnam przejąć dowodzenie. Sytuacja przypominała mi, trochę groteskowo, prowadzenie spotkania zastępu mojej siostry, kiedy mama zachorowała. Czternaście prawie nastolatek czy kilka wilkołaków - jeden potwór.

Potarłam twarz.

- Czym jeszcze musimy się zająć, zanim pójdę spać?

Darryl splótł na blacie swoje wielkie dłonie.

- Komendant straży do tej pory tego nie potwierdził, ale strażacy są prawie pewni, że to awaria instalacji. Pożar zaczął się w korytarzu, przy skrzynce z bezpiecznikami. Podobno te stare składaki tak miewają, szczególnie na początku sezonu grzewcze-

go. - Przyjrzał mi się uważnie. - Zostawiamy to tak czy znów wkurzyłaś jakichś ludzi?

Może skórę oraz gabaryty odziedziczył po afrykańskim ojcu, ale sławetną enigmatycznością posługiwał się lepiej niż niejeden rodowity Chińczyk. Nie potrafiłam ocenić, czy ostatecznie zdanie było żartem, czy uzasadnioną krytyką.

- To Pradawni - przyznałam, wzdychając, i kopnęłam bez przekonania w nogę stołową.

- Wszyscy? - zapytał Ben żartobliwie. Zsunęłam się na krześle, żeby sięgnąć nogą, i kopnęłam Bena, co przyniosło mi większą satysfakcję. Jęknął, udając ból.

- Nie, nie wszyscy - powiedziałam.

- Ściągasz nam na głowę jedno nieszczęście za drugim, Mercy - stwierdziła Mary Jo, wpatrując się w okno.

- Suka - prychnął Ben. Najwyraźniej było to jego słówko dnia, co i tak wypadło dużo lepiej niż zazwyczaj. Właściwie mało dzisiaj przy mnie przeklinał, jeśli nie liczyć zabiegu w szpitalu. I jeśli brać pod uwagę tylko wulgaryzmy dopuszczone w filmach od lat szesnastu. Ciekawe, czy to przypadek, czy się zmienił, czy może nie spędziłam z nim zbyt wiele czasu.

- Odwal się - warknęła Mary Jo.

- Niezwykłe, że masz czelność kogokolwiek oskarżać po tym, kiedy patrzyłaś, jak podpalają dom Mercy - odciął się.

- Słucham? - wtrącił Darryl niezwykle łagodnie.

Mary Jo nie zwróciła na niego uwagi. Podniosła się i pochyliła nad stołem ku Benowi.

- A co? Uważasz, że powinnam się dla niej rzucić na bandę jakichś nie ludzi?

Auriele wstała i pchnęła mocno stół, przypierając Mary Jo do ściany. Sądząc z odgłosu, jaki wydała ściana uderzona plecami wikołaczycy, musiało to być bolesne. Komuś z zewnątrz łatwo było zlekceważyć Auriele. Delikatnej budowy jak niektóre Latynoski, wyglądała, jakby nigdy nie ubrudziła sobie wypiełgnowanych rąk.

Jednakże większość stada wolałaby rozsierdzić Darryla niż ją.

Głos towarzyszki Drugiego skrzył lodem, kiedy się odezwała:

- Patrzyłaś, jak nie ludzie podpalają dom członka naszego stada?

Zdażyłam uratować kubek swój i Jesse. Poza tym zablokowałam przesuwany stół biodrem, żeby skręcił nieco, nie robiąc jej krzywdy. Darrylowi udało się chwycić kubek Bena - swoje kakao już wypił. Dlatego tylko porcje Mary Jo i Auriele rozlały się po blacie i podłodze.

Tę pełną napięcia ciszę przerwał, w tym momencie najmilszy dla mego ucha, dzwonek komórki. Odstawiłam kubki na stół i wyjęłam telefon.

Nie rozpoznałam numeru, ani nawet kierunkowego. Zwykle kojarzę numery ludzi dzwoniących do mnie w środku nocy.

- Słucham?

- Mercedes Thompson? Masz coś, co należy do mnie. Ja mam coś, co należy do ciebie. Zagramy?

Przełączyłam w tryb głośnomówiący i położyłam aparat na środku blatu. Oczywiście wszyscy z wyjątkiem Jesse słyszeliby mojego rozmówcę, ale liczyłam, że jeśli wszyscy będziemy słuchać bezpośrednio, może ktoś wychwyci coś szczególnego. Aparat miałam dość nowy, specjalnie kupiłam taki z dobrym dźwiękiem.

Darryl wyjął swojego smartfona, jeden z tych skomplikowanych, bardziej miniaturowych komputerów, gadżetów znanych każdemu facetowi. Puknął kilka razy ekranik i położył aparat obok mojego.

- Nagrywanie - wyczytałam z ruchu jego warg.

- Wszystko, co miałam, poszło dzisiaj z dymem - rzuciłam i prawda ponownie uderzyła mnie boleśnie. Biedna Medea. Zacisnęłam szczęki zdeterminowana, że nieznajomy, a raczej nieznajoma o niskim głosie nałogowego palacza nie usłyszy, jaką krzywdę mi wyrządziła. Zakładając, że rozmawiałam z podpa-laczką.

- Tego tam nie było - powiedziała, a ja nabrałam jeszcze większego przekonania, że to kobieta. Kolejne jej słowa utwierdziły mnie, że należała do podpalaczy. - Objawiłoby się w ogniu lub śmierci. Obserwowaliśmy ogień, patrzyliśmy, jak płomienie pochłaniają twoje życie, ale tego, co zabrałaś Fineaszowi Brewsterowi, nie było w zgliszczach ani popiołach.

Nieludzie mówią czasami dość osobliwie. Zauważyłam, że kiedy pracując z Zee, przejęłam jego sposób mówienia, ludzie dziwnie mi się przyglądali.

- W ogniu lub śmierci... - powtórzyłam zdanie, które brzmiało jak jakiś cytat.

- Pokazuje się, kiedy ten, kto to posiada, umiera lub kiedy płonie - sprecyzowała moja rozmówczyni niecierpliwie.

- Ten twój łowca nagród wydawał się całkiem sprawny - powiedziałam. - Dlaczego nie kazałaś mu mnie zabić, tylko kombinowałaś na inne sposoby? - Dorastanie wśród wilkołaków nauczyło mnie kilku sposobów na kontrolowanie sytuacji bez uciekania się do agresji. Zadanie pytania pozornie niezwiązane z tematem jest jednym z nich. Jeśli w pytaniu kryje się inne, szanse na zdobycie informacji rosną.

- Kelly? - w jej tonie przebijało zdumienie, ale wiedziała, o kim mówię. Pewnie była tą Pradawną, która zaplanowała akcję, kiedy mogło się coś stać Mai. - Kelly w życiu nie skrzywdziłby kobiety. Ale policja w to by nie uwierzyła.

Jakaś nuta w głosie Pradawnej powiedziała mi, że zna Kelly'ego osobiście - i czuje do niego ukrytą pogardę za coś, co w jej mniemaniu jest słabością.

- Rozumiem, że rozmawiam z osobą mieniającą się Dafne Rondo? - Zapamiętałam imię producentki Hearta, bo tak samo nazywała się urocza laska z ekipy Scooby'ego Doo. Bardzo rozważnie sformułowałam pytanie, bo nieludzie nie mogą kłamać, a to prawdopodobnie nie było jej prawdziwe imię. Gene-

ralnie pradawne istoty nie wyjawiają nikomu swoich prawdziwych imion.

- Czasami - przyznała wyraźnie niezadowolona, że ją rozszyfrowałam. Oczywiście mogła w ogóle nie odpowiedzieć, lecz to także byłoby dla mnie znaczące. Istota niebędąca producentem Kelly'ego Hearta z ogromną satysfakcją poinformowałaby mnie, że się myłę.

- Heart się o ciebie martwi - rzekłam i natychmiast pożałowałam. Ta kobieta nie zasługiwała, by to wiedzieć. W końcu posłała go na pewną śmierć. Gdyby Adam uwierzył, że to Kelly mnie zabił, osobiście by go rozszarpał. Każdy, kto wiedział, że miejscowy Alfa jest moim facetem, miał tego świadomość. Zresztą to dlatego właśnie wystawiła łowcę. - Pewnie by się nie martwił, gdyby wiedział, co mu chciałaś zgotować.

- Gdyby wiedział, o co chodzi, podpisałby się pod tym obiema rękami - rzekła z pasją, która wskazywała, że dręczyły ją pewne wątpliwości. - Jest moim żołnierzem, wykonuje rozkazy.

Zacisnęłam zęby. Nie obchodził mnie zanadto los jakiegoś obcego, ale podobne słowa słyszałam kiedyś w odniesieniu do przyjaciela, Stefana, także żołnierza, którego naciskano tak mocno, że się złamał.

- Przecenisz swoje znaczenie, ale to typowe dla istot twego rodzaju. - Zmęczenie utrudniało mi takie balansowanie, żeby nie oddać jej przewagi, a przy okazji nie rozdrażnić. Kogo mogła przetrzymywać? Stefana? Dawno już nie miałam z nim kon-

taktu. Zee? Miałam do niego zadzwonić, ale okazało się, że dom mi się pali...

- A ty przeceniasz swoją inteligencję - odcięła się. Pewnie poruszyła ją moja uwaga o Hearcie. I to nie dlatego, że mogło mu się coś stać, ale dlatego, że mógł odmówić wykonania polecenia, wiedząc, o co jej chodzi. - Ale to typowe dla ludzi. Szczególnie dla tych, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy. - Zawiesiła głos, jakby coś rozważała. - Lepiej mnie nie drażnij, kiedy mam coś, na czym ci zależy.

W tle rozległy się dwa odgłosy. Uderzenie i stłumiony krzyk. Zamarliśmy, usiłując zidentyfikować krzyczącego.

- Mężczyzna - powiedział bezgłośnie Darryl.

Przytaknęłam. Doszłam do tego samego wniosku. Krzyk urwał się, a następnie usłyszeliśmy kolejny dźwięk, jakby ktoś zakneblowany usiłował mówić. Był wściekły. Wychwyciłam coś znajomego... Nie Stefan. Nie Zee.

Mary Jo złapała mnie za ramię. Była blada i spięta.

- Gabriel - powiedziała samymi ustami.

Miała rację. Mary Jo spędziła tego lata sporo czasu, pilnując mnie w warsztacie. Znała Gabriela, który mi pomagał.

Nie brałam pod uwagę Gabriela, bo sądziłam, że jest całkiem bezpieczny. Ogarnęła mnie taka rozpacz, że aż zamknęłam oczy. Stefan był wampirem, a Zee nieczłowiekiem, wobec którego inna pradawna istota zachowałaby dystans. Gabriel natomiast był zwykłym siedemnastolatkiem i nie posiadał

żadnych nadnaturalnych zdolności. Nie miał szans w starciu z nieczłowiekiem.

Z ust Jesse wyrwał się jęk. Dziewczynka szybko zatkała sobie buzię ręką, ale porywaczka usłyszała dźwięk.

- Czyżbyś była zła? - Najwyraźniej pomyślała, że to ja. - Wiesz, kogo złapałam? Podpowiem ci. Kradł twój samochód. Niemal się go pozbyliśmy, ale chłopak należy do ciebie, prawda? Postanowiliśmy go zabrać i zobaczyć, czy przyłączysz się do zabawy.

- Gabriel może jeździć każdym moim samochodem - powiedziałam głośno, licząc, że ludzkie uszy Gabriela usłyszą, co mówię. - Szarzy Panowie nie będą zachwyceni, że wciągasz ludzi w sprawy Pradawnych.

Roześmiała się. Jej śmiech mnie zaskoczył. Kobieta z tak niskim głosem powinna śmiać się nisko, z jej ust zaś dobyły się dźwięki perliste, delikatne, całkiem nieludzkie. Jak srebrzyste dzwoneczki. I ten dźwięk właśnie uświadomił mi, do jakiego rodzaju nieludzi należy moja rozmówczyni. Żołądek skurczył mi się boleśnie. Gabrielowi groziło niejedno niebezpieczeństwo.

Na ścianie obok telefonu wisiał notes. Pokazałam na migi Aurielle, żeby mi go podała.

-A więc domyśliłaś się, kim jest mój więzień - podjęła porywaczka. - Jego mamusia do ciebie zadzwoniła? Jest naprawdę bardzo śliczniutki, nieprawdaż? - w jej głosie zabrzmiały tęskne nuty. -W innych czasach zatrzymałabym go dla siebie. -

Oczekiwałam tyrady o wyższości starych czasów nad nowymi, których wariacji słyszałam całą masę, ale po drugiej stronie zapadła cisza.

„Królowa wróżek” - napisałam na kartce. „Posiada dwór składający się z pięciu do dwudziestu istot. Dawnymi czasy porывała ludzi, żeby zrobić z nich swoje sługi/kochanków. Zabierała ich do swojego królestwa, krainy takiej jak Podgórze, ale trochę innej. Czary: zmiana postrzegania czasu przez ludzi. Rip Van Winkle (sto lat), Rymujący Tomasz (siedem dni - siedem lat)”. Podkreśliłam Toma, bo jego przypadek był znany z historii, zaś opowieść o Ripie została napisana przez Irvinga i mogła zostać oparta na różnych legendach, w tym tej o Tomie. Jej śmiech brzmiał jak srebrzyste dzwonki. „Poza tym zaklęcia hipnotyzujące. Pozbawia ofiary wolnej woli - może tak samo robi z członkami swego dworu. Zasady krępują ją mocniej niż innych nie ludzi, ale w granicach tych zasad jest bardzo potężna”.

Dowiedziałam się z książki więcej, niż wiedziałam przed jej przeczytaniem. Miałam nadzieję, że moja wiedza pomoże nam uwolnić Gabriela, zanim królowa postanowi go sobie zatrzymać.

- Jesteś cierpliwa - zauważyła. - Nie pasuje to do tego, co o tobie słyszałam.

- Nie aż tak - zaznaczyłam. - I nie będę bawiła się z tobą sama. Myślę, że Szarzy Panowie chętnie się tym zajmą. - Oczywiście, że by tego nie zrobili, a ja nie byłam tak głupia, żeby ich w to wciągać. Chciałam jednak sprawdzić, jak na to zareaguje.

Roześmiała się.

- Och tak, idź do nich, Mercedes Thompson, idź. Kiedy dowiedzą się, co masz, i pomyślą, że istnieje choć cień szansy, że wiesz, co to jest, zabiją cię i żadne wilkołaki ci nie pomogą. Zabiją cię, żeby to zdobyć, a uwierz mi, łatwiej jest zabić człowieka, niż szukać miejsca, gdzie to schował.

Nie wątpiłam w jej słowa na temat Szarych Panów. Nieludzie mówią prawdę. Zwykle reagują też żywo na drwiny. Dlatego też użyłam lekceważącego tonu:

- Sama nie wiesz, co to jest.

- Zrodzony ze Srebra - powiedziała.

Nie chodziło jej o księgę. Nie miałam bladego pojęcia, co jest „zrodzone ze srebra”, ale książka miała skórzaną oprawę, tłoczoną złotymi literami. Nie było w niej grama srebra. Nie miałam nic na wymianę za Gabriela, dlatego należało znaleźć tych nieludzi, odbić chłopaka i zrobić to tak, aby królowa zostawiła nas raz na zawsze w spokoju. Wiele znanych mi baśni kończyło się słowami: „I już nigdy nie zobaczyli złej wróżki”.

- Ale nie wiesz, jak to wygląda - stwierdziłam z przekonaniem. - Myślisz, że to mam, bo Fin nie żyje, a nie ujawniło się jego zabójcom. A sama mówiłaś, że by się pojawiło, gdyby miał - powiedziałam w taki sposób, jakbym wiedziała na pewno.

- Masz to? - zapytała. - Może dał komuś innemu? Choć jeśli nie masz, wezmę młodzieńca na pocieszenie i ruszę w dalsze poszukiwania.

Zagryzłam wargi. Fin nie żył.

- Mam coś od Fina - rzekłam ostrożnie. Rano będę oplakiwała człowieka, który nadstawił głowę, żebym mogła sprzeciwić się Szarym Panom, który kochał książki i starocie i który miał babkę, kogoś bliskiego, kto go szukał oraz się zamartwiał. Teraz musiałam trzeźwo myśleć. Zmęczenie narastało, a do tego doszło echo bólu i osłabienia Adama, bo akurat ten moment nasza więź obrała, by się odnowić.

- Przede wszystkim nie powiesz nic wilkom - zastrzegła wróżka. - Dowiem się, jeśli złamiesz słowo. Potem wezmę chłopca i zdwoję wysiłki, by cię zabić.

Potoczyłam wzrokiem po skupionych wokół stołu wilkołakach.

- Wczoraj rano jakoś nie wydawałaś się aż tak chętna, by mnie zabić, ryzykując gniew mojego towarzysza - zauważyłam.

Syknęła ze złością.

- Mając Zrodzonego ze Srebra, nie będę się bała niczego. Ani wilków, ani Szarych Panów. Teraz ratuje cię tylko fakt, że może trzeba będzie poczekać, aż pojawi się po twojej śmierci. Jeśli będziesz mi przeszkadzała, zaryzykuję.

- Co mam robić?

- Daj słowo, że nie powiesz żadnemu wilkowi o mnie, o tym, co jest w twoim posiadaniu, ani o tym, że Gabrielowi grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

- Dobrze - zgodziłam się niechętnie. - Nie powiem żadnemu wilkowi o tobie, o rzeczy, którą posiadam, a która należała do Fina, ani że Gabriel znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Nie powiesz też żadnemu z nieludzi. Ani Szarym Panom, ani temu, który pracował z tobą wczoraj rano.

Zerknęłam na Darryla, który kiwnął głową, zobowiązując się przekazać wszystko Zee.

- Nie powiem żadnemu nieczłowiekowi, że wiem o tobie, o rzeczy, którą mam, a która była Fina, ani o tym, że Gabriel znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Nie mogę zmusić cię do dotrzymania słowa. Nie posiadam już tej magii. Ale będę wiedziała, jeśli je złamiesz, a wtedy nasza umowa będzie nieważna. Ten piękny młodzieniec będzie mój, a ty zginiesz.

Jesse złapała mnie lodowatą ręką. Od jakiegoś czasu spotykała się z Gabrielem. Tak jakby. Tak jakby, bo chłopak koncentrował się mocno na nauce, chciał zdobyć stypendium naukowe i iść na studia.

- Dobrze - powiedziałam.

- Po drugie, przyniesiesz tę rzecz do antykwariatu i oddasz mojemu rycerzowi wody.

Pan Ryba, pomyślałam. Ale rycerz wody z niczym mi się nie kojarzył. Możliwe, że to raczej tytuł, a nie gatunek istoty.

- Nie. Nie przyniosę tego do antykwariatu i nie dam twojemu rycerzowi. - Jej człowiek mógł nas zabić, nie łamiąc tym samym zawartej przez nas umowy. Musieliśmy trzymać się tylko królowej wróżek.

- Przy...

- Nie ufam ci. W grę wchodzi tylko pełna wymiana. Przeprowadzisz Gabriela, a kiedy będę go miała całego i zdrowego, dam ci tę rzecz.

- Nie mogę ci go przyprowadzić zdrowego - rzekła rozbawiona.

Mary Jo warknęła nisko. Kuksnęłam ją, żeby przestała. Miałam nadzieję, że królowa wróżek nie zwróciła na ten dźwięk uwagi. Wcześniej słyszała Jesse, ale jak Bran zwykł mawiać, można mieć najostrzejsze zmysły na świecie, jednak nic po nich, jeśli zapomni się ich używać.

- Ani odrobinę mniej zdrowego, niż jest w tej chwili - przystałam. - Jego, w jego własnej postaci, z jego umysłem, jego ciałem bez jednego sińca więcej niż teraz.

- To mogę uczynić - powiedziała nadal rozbawiona.

- Śmierć uznam za pozbawienie zdrowia - dodałam.

Zaśmiała się. Perliste dzwoneczki zaczynały działać mi na nerwy.

- Jesteś taka nieufna, Mercedes. Nie czytałaś baśni? To ludzie łamią umowy. Dobrej nocy ci życzę. Ach, za późno na to. W takim razie odpoczynku. Zadzwoń jutro na ten numer, gdy uda mi się znaleźć jakieś bezpieczne miejsce na spotkanie.

Zmusiłam umysł do pracy, bo nie podobała mi się jej wesołość. Zupełnie jakby wiedziała o czymś, o czym my nie wiedzieliśmy.

- Gabriel jest jedynym człowiekiem, którego masz? - zapytałam, bo naraz przyszło mi do głowy, że przetrzymuje jeszcze innych zakładników.

- Chyba nie sądzisz, że odpowiem na to pytanie. - Zaśmiała się znowu i rozłączyła.

- Co to za kierunkowy: trzysta trzydzieści trzy? -zapytałam natychmiast.

- Nie ma takiego - oświadczył Ben. - Telekomunikacja oficjalnie nie wierzy w przesady, ale niektórzy abonenci owszem.

- Mam od razu zadzwonić do Zee? - mruknął Darryl. - Czy może będzie zrzędził, że go budzę?

- Nie mogę odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie. A zrzędziwy jest zawsze, nie przejmuj się.

- Ja do niego zadzwonię - zdecydowała Auriele.

- Zanim... - zaczęłam i urwałam niepewna, co mogę mówić o telefonie do Zee, żeby nie uaktywnić zaklęcia wróżki. Auriele zrozumiała i usiadła.

- Czy któreś z was słyszało cokolwiek, co mogłoby nam pomóc zlokalizować miejsce, z którego dzwoniła? - zapytała Jesse, maniaczka seriali o technikach kryminalnych.

- Żadnych pociągów - rzekła Mary Jo i odepchnęła stół, który ją przygniatał. - Ani odgłosów wody. Autostrad, samochodów, samolotów. Szczególnych dzwonów kościelnych też. I rozbawionych delfinów.

- Czyli możemy wyeliminować wiele miejsc -podsumowała Auriele. - Myślę, że była w jakimś pomieszczeniu. Słyszałam ciche bzyczenie, jakby świetlówek fluorescencyjnych.

- A ja pogłos, jakby znajdowała się w pomieszczeniu o gołych ścianach - dorzucił Darryl. - Nie za duże to pomieszczenie, nie było słycać echa ogromnej przestrzeni.

- Kiedy... - Znowu się zacięłam. Nie mogłam powiedzieć „uderzyła go”, bo obiecałam nie wspominać wilkołakom o niej ani o Gabrielu. - Kiedy Mary Jo coś usłyszała, rozległo się też szuranie, jakby krzesła po betonowej posadzce. - Przymknęłam oczy, żeby wyraźniej przypomnieć sobie odgłosy w tle.

- Całkowity brak dźwięków z zewnątrz może oznaczać nie tyle pokój, co nawet piwnicę - zauważył Darryl. - Jeśli ona nie jest stąd, potrzebuje jakiegoś bezpiecznego miejsca i to nie może być hotel. Trudno teraz coś wynająć, wiem, bo współpracownik narzekał ostatnio. Skoro Fin nie żyje, może zainstalowała się w jego domu?

- Fin miał mieszkanie w bloku, jednym z tych nowszych w zachodnim Pasco. Miał też wścibskich sąsiadów. - Wstałam, znalazłam ścierkę i zamoczyłam ją, żeby zetrzeć kakao.

- W takim razie antykwariat. - Auriele zabrała mi ścierkę i rzuciła nią w Mary Jo. - Twój bajzel, ty sprzątasz.

Mary Jo zeszywniała, lecz zaczęła sprzątać bez słowa protestu.

- Byliśmy dzisiaj z Samem w tej piwnicy, tam jest normalne światło, nic nie byczy. Poza tym to był inny pogłos. Tam na dole zalegała masa książek, więc tłumili echo. Pomieszczenie, z którego dzwoniła, brzmiało puściej.

- Byliście w antykwariacie? Wyłapałaś zapach? - Myślałam, że Ben drzemie. Miał przymknięte oczy, a urazy, potem spadek adrenaliny i obfity posiłek

z tajemniczej lodówki Warrena musiały podzielać na niego jak narkotyk.

- Chcesz iść na dół i położyć się na trochę? - zapytałam.

- Nie, wszystko okej. Znaleźliście coś?

- Był tam zapach Fina i czwórki nie ludzi. Jeden z nich, jakiś leśny Pradawny, wrócił i Sam go zabił. Poza nim była jeszcze jedna leśna istota, tego samego rodzaju co zabity, tylko że kobieta, i kolejna, pachnąca bagnami oraz wilgocia. Mam nadzieję, że to ten jej rycerz wody. Im mniej ma pomocników, tym lepiej dla nas. Czwartą zastaliśmy przy pierwszej wizycie w antykwariacie, tej dzisiaj popołudniu. A raczej wczoraj... W typie zażywniej damy. Nie mam pojęcia, do jakiego rodzaju mogła należeć.

- To była ona? - Ben wskazał brodą telefon.

- Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie.

- Ale mnie możesz - wtrąciła Jesse. - Czy starsza kobieta ze sklepu to ta sama, która porwała Gabriela?

- Nie wiem - odrzekłam i przymknęłam oczy, przypominając sobie kolejność wydarzeń. - Nie. Przeglądała księgi Fina, starając się dowiedzieć, co i komu Fin pożyczył albo sprzedał. Ci źli już raz usiłowali mnie zabić. Jeśli jeszcze się nie połapaliście, to ja byłam celem w tej rozróbie w warsztacie. Oni wiedzieli, czego szukają. - Może gdyby udało mi się porozmawiać z kobietą z antykwariatu, dowiedzielibyśmy się czegoś więcej na temat tajemniczej rzeczy, której tak pragnęła królowa wróżek?

-Jakaś taka mało bystra ta królowa wróżek -stwierdził Ben. - Inaczej chyba wiedziałyby, że nie jesteś człowiekiem.

- Nie siedzę na świeczniku. Poza tym, co łączy mnie z Marrokiem i Adamem, nie jestem nikim ważnym. Nie ma powodu, żeby każdy wiedział, kim jestem. A szczególnie każdy w Kalifornii, gdzie produkuje się programy.

- Ale musi coś podejrzewać - zauważył Darryl. -Większość ludzi patrzy na ciebie i zastanawia się, czy jesteś nieczłowiekiem, czy też może wilkołaczycą i tylko to ukrywasz. W końcu pracujesz z nieczłowiekiem i jesteś towarzyszką wilkołaka. - Przerwał i uniósł z namysłem brew. - A może myśli, że jeśli będzie drwiła, że jesteś człowiekiem, wreszcie zaprzeczysz.

- To możliwe - zgodziłam się.

- Dajmy im po prostu to, czego chcą, i odzyskajmy Gabriela - rzuciła Mary Jo. - To i tak nie należy do ciebie, a wygląda na to, że prawowity właściciel nie żyje.

- Zwykle nie jesteś taką idiotką - ofuknął ją Ben. - Chcesz oddać Pradawnej artefakt, który jak sama twierdzi, może ją przed nami ochronić?

Darryl przekrzywił głowę, spoglądając na Mary Jo, która zaczerwieniła się, spuszczać oczy.

- Nie myśl, że zapomniałem o twoim nieposłuszeństwie wobec Adama - powiedział. - Jesteś tu nikim i nie opuścisz tego domu, póki nie zostaniesz ukarana. - Odczekał chwilę, a potem odpowiedział na jej pytanie: - Ben ma rację. Poza tym naprawdę

wierzysz, że pozostawi przy życiu kogokolwiek, kto wie, co ona posiada? Nie mam pojęcia, co to za rzecz, ale skoro Szarzy Panowie są skłonni zabić Mercy za to tylko, że o tym wie... I to Mercy, która wyświadczyła im przysługę i jest ukochaną naszego Alfya. Nie uważasz, że tym bardziej zabijają jednego ze swoich, który nie posiada takiej ochrony? Z tej rozmowy telefonicznej wywnioskowałem, że ta Dafne świetnie zdaje sobie z tego sprawę. I nie zamierza nikogo puszczać. Doprowadzi do wymiany, a potem zabije i Mercy, i chłopaka.

- Albo zabije Mercy i zatrzyma chłopaka - dorzuciła Jesse, która odziedziczyła po ojcu zmysł taktyczny. - Gabriel wolałby umrzeć. - Mimo wszystko była nastolatką z zapędami do melodramatyzowania. Ja osobiście nie miałam przekonania, że Gabriel wolałby śmierć od służby u królowej wróżek, która to służba z perspektywy pozbawionej woli ofiary była ze wszech miar przyjemna.

Ja wolałabym umrzeć. Może jednak nie myliła się co do Gabriela?

- Co do jednego miała rację, Mercy - powiedział Darryl. - Musisz się przespać. Idź do łóżka - jego głos złagodniał. - Ty też, Jesse. Lepiej pomożemy twojemu chłopakowi, gdy będziemy porządnie wyspani.

Miał rację. Oczy mi się same zamykały. Ziewając, wzięłam Jesse pod ramię.

- Okej.

Odprowadziwszy Jesse, otworzyłam cichutko drzwi do sypialni jej ojca. Adam leżał nagi na pościeli. Wyglądał strasznie. Nie tylko kończyny, ale większość całego ciała pokrywały ciemnoczerwone strupy.

Warren zdjął buty i położył się na drugim końcu łóżka, z twarzą zwróconą ku drzwiom. Sam zwinął się w kłębek pomiędzy nimi, w nogach łóżka.

Obawiałam się trochę zostawiać rannego Adama z nieprzewidywalnym wilkiem, ale ten ostatni najwyraźniej nadal zachowywał się nietypowo, jak na szalonego wilkołaka. Kiedy zamykałam drzwi, przetoczył się na bok i zerknął na mnie, potem machnął ogonem, sapnął i trącił nogi Warrena. Nie dotknął przy tym ani razu Adama.

Warren nie spał, mimo że wyglądał na pogrążonego w głębokim śnie. Kiedy przełaziłam nad nim, kąciki jego ust uniosły się lekko. Ułożyłam się pomiędzy nim a Adamem, podciągając nogi tak, żeby nie kopać Sama.

Nie chciałam dotykać Adama, ale on sam przekreślił się i przełożył rękę przez moje biodro. Poczułam ciepło, bezpieczeństwo, lecz jemu pewnie sprawiało to ból. Uniósł lekko powieki, zaraz je jednak przymknął.

Dziękowałam opatrzości, że przeżył. Drzwi uchyliły się, kiedy już zasypiałam.

- Znajdzie się jeszcze miejsce dla jednego? - zapytał Ben. Łypnęłam w jego stronę. Stał w drzwiach ubrany w luźny dres. Włosy miał zmierzwione po jednej stronie, jakby leżał już, zanim tu przyszedł. -Jeśli nie, pójdę...

- Chodź, chodź - mruknął Warren. - Przenieś się do gościnnego na górze.

Warren zszedł z łóżka, jego miejsce zajął Ben. Położył jedną nogę na mojej, westchnął i padł jak zmęczony szczeniak. Obecność stada poprawia samopoczucie, kiedy jest się rannym, pomyślałam, kładąc głowę na poduszkę. I po raz pierwszy od dawna, chyba w ogóle po raz pierwszy, poczułam szczęście, że do niego przynależę.

Ocknęłam się z uczuciem gorąca na głowie. A ponieważ nie było to nic nowego, gdy ostre szpikulce zaczęły drapać mnie lekko po czaszce, zaczęłam zapadać znowu w sen. Nagle przypomniałam sobie, dlaczego to niemożliwe, żeby na mojej głowie spał kot.

Usiadłam gwałtownie i znalazłam się oko w oko z oburzonym, lekko osmalonym manxem, który miauknięciem wyraził irytację moim wierceniem się. Medea pachniała lekko dymem, na grzbiecie miała ranę, ale poza tym wyglądała całkiem dobrze.

Adam nawet nie drgnął, ale Ben przekręcił się, otwierając oczy.

- Cześć, kocie - powiedziałam, robiąc miejsce zwierzakowi, który natychmiast zajął strategiczną do głaskania pozycję pomiędzy mną a Benem. - Myślałam, że się upiekłaś.

Kotka wcisnęła łebek pod moją rękę i przemieściła się, wykonując manewr samogłaskania. Ben wy-

ciągnął dłoń, żeby ją popieścić, ale powstrzymał się, kiedy poruszył palcami. Dłonie wyglądały trochę lepiej niż wczoraj, lecz i tak nadawały się na rekwizyt do horroru.

- Nie pomyślałem, że możesz nie wiedzieć. - Ben nadal trochę chrypiał. - Powiedziałbym ci. Adam pobiegł do twojego pokoju, a ja do Sama. Kot siedział pod jego łóżkiem.

Otarłam oczy i nos ramieniem, bo ręce miałam zajęte kotem i całe w sierści - a potem pochyliłam się i ucałowałam Bena w nos.

- Dziękuję. Bardzo by mi jej brakowało.

- Uhm. - Wyciągnął się na plecach, ostrożnie kładąc dłonie na brzuchu. - Nam też by jej brakowało. To jedyny kot, jakiego znam, który toleruje wilkołaki. - Ben sprawiał wrażenie zakłopotanego. Chyba nie przywykł do bycia bohaterem.

- Nie pochlebiaj sobie - wtrącił Adam. - Medea lubi także wampiry.

- Adam! - ucieszyłam się.

Ale Adam znów spał. A ja czułam go w umyśle, dokładnie tam, gdzie jego miejsce.

ROZDZIAŁ 10

Przebudziłam się zaskoczona bólem. Szybko przypomniałam sobie wielkiego nieczłowieka, który pozbawił mnie przytomności. Jednak w porównaniu ze spaleniem domu i obrażeniami Adama starcie w antykwariacie wydało mi się bagatelką. Na potylicy miałam guza wielkości gęsiego jaja, ledwo się ruszałam, a obie kostki bolały.

Sam chrapał, co rzadko mu się zdarzało. Leżał rozciągnięty na moich stopach, a pewnie nie było to dla niego zbyt wygodne, choć wyglądał na całkiem zadowolonego. Mój ruch musiał wybudzić go z najgłębszego snu, bo przekręcił się na grzbiet, po czym znów zachrapał.

Adam nadal spał jak zabity, przespał tak większość nocy z przerwami na ataki kaszlu, podczas których odkrztuszał jeszcze podbarwioną krwią sadzę. Musnęłam go pó łopatkę. Poruszył się, ale nie obudził.

- Hej - szepnęłam. - Kocham cię.

Nie odpowiedział, nie musiał - wiedziałam, jak się czuje. Przewróciwszy się ze stęknięciem na sam brzeg łóżka, zdałam sobie sprawę z nieobecności Bena. Zerknęłam w okno. Ranek nie był już bardzo wczesny, ale jeszcze nie tak późny, żebym czuła się jak śpioch.

Powlokłam się, kulejąc, do łazienki. Jeden gorący prysznic później mogłam się znowu ruszać. Mimo że założyłam wczorajsze ciuchy, przesiąknięte zapachem krwi i dymu, czułam, że mogę stawić czoła nowemu dniowi. Po chwili wahania wciągnęłam też szelki z kaburą.

Nie czułam palącej potrzeby posiadania przy sobie broni, ale nie miałam gdzie położyć siG-a, żeby był bezpieczny. Adam pewnie miał w domu sejf, ale nie wiedziałam, gdzie się znajduje. Koszulkę założyłam na wierzch, a ponieważ była dość obszerna, kabura się pod nią nie odznaczała. Co prawda w ten sposób nie byłabym w stanie szybko dobyć pistoletu, ale nie miało to znaczenia. Został naładowany zwykłymi pociskami, a gdyby zaszła potrzeba strzelania w domu pełnym wilkołaków, i tak prędzej będę martwa, niż go wyciągnę.

Z tą radosną myślą wyszłam z sypialni, zamykając delikatnie drzwi. Cudowny zapach kiełbasek i masła skierował mnie do kuchni.

Darryl gotował.

Auriele zaśmiała się na widok mojej miny.

- Niedziela - rzekła z zadowoleniem. - W niedziele on gotuje, a ja zmywam. Zwykle jesteśmy tu-

taj, a kiedy Darryl pichci, każdy przy okazji wpada. Wychodzi niezłe gotowanie.

Z pewnością, biorąc pod uwagę, ile jadły wilkołaki. To wielkie gotowanie należało do małych zwyczajów, które spajały stado - niedzielne śniadania w domu Adama.

- Skoro kiedy Darryl gotuje, ty zmywasz, to kiedy ty gotujesz, on zmywa? - zapytałam.

- Nie - zaprzeczył Darryl, serwując talerze z kiełbaskami, jajkami, racuchami ziemniaczanymi i francuskimi tostami na słodko z zawodową zręcznością, po czym odwrócił się z powrotem do kuchenki. - Nie jesteśmy aż tak postępowi.

Auriele uśmiechnęła się do jego pleców.

- Za to odkurza.

Darryl prychnął z irytacją.

- Widzieliście Bena? - wymamrotałam z pełnymi ustami, a potem musiałam dodać: - Przepyszne! - Tosty doprawił prawdziwą wanilią, cynamonem i mnóstwem innych przypraw, a na koniec poleił syropem klonowym.

- Uhm - przytaknęła Auriele, przełykając kęs ra-cucha. - Wygotował sobie magistra.

-1 przy okazji niezłe zarobiłem - przyznał Darryl. - Ben zszedł, zjadł i wyszedł. Ale niedługo wróci. Dzwoniłem do Zee.

Odłożyłam widelec.

-Ico?

-1 nic, jeśli dasz ostygnąć tej poezji.

Chwyciłam za sztucce.

Darryl wrócił do gotowania - i mówienia:

- Odtworzyłem mu nagranie z nocnej rozmowy z porywaczem, potem wydusił ze mnie wszystko, co nam powiedziałaś, a potem stwierdził, że zobaczy, co da się zrobić. Oddzwonił jakąś godzinkę temu i prosił, żeby ci przekazać, że przyjedzie najszybciej, jak się da. Może to jednak potrwać kilka godzin, a w tym czasie, jeśli szantażystka każe ci coś zrobić, mamy zwlekać, póki Zee tu nie dotrze.

-Jak brzmiał?

- Zrędlawie. Kawę czy sok pomarańczowy?

- Może być woda. Uniósł brwi.

- O-ho - mruknęła Auriele, ale z uśmiechem.

- Sugerujesz, że moja kawa nie jest najlepszą kawą w czterech hrabstwach? Tudzież że mój świeżo wyciśnięty sok nie jest idealnie perfekcyjny?

Do kuchni wpadła Jesse.

- O rany! Darryl gotuje! - zapiszczała. - Prawie zapomniałam, że dziś niedziela. Ja sok pomarańczowy proszę. - Popatrzyła na mnie i zaśmiała się. - Mercy nie pija kawy ani soku pomarańczowego - ogłosiła, porywając szklankę i nalewając sobie soku z dzbanka. - To straszne. Będzie więcej dla mnie!

Zachowywała się słodko i trzpiotowato, lecz miała pod oczami ciemne podkwy. Zabrała talerz, który podał jej Darryl, i usiadła obok Auriele.

- To jak? - kontynuowała wesołe przedstawienie, w czym wybitnie pomagały jej różowe włosy. Nawet jeśli oczy też miała trochę różowawe. - Jak uratujemy Gabriela?

- Zauważyliście, że każdy znajomy Mercy w końcu wymaga kiedyś ratowania? - rzuciła Mary Jo, wchodząc do kuchni.

Należało podjąć jakieś kroki w sprawie Mary Jo. Ugryzłam jeszcze kawałek tosta i odłożyłam widelec. Im prędzej, tym lepiej. Wstałam od stołu.

- Wybacz, Darryl. Jesse, masz coś przeciwko, żebym skorzystała z twojego pokoju?

Gapiała się na mnie przez chwilę.

- Nie...? - zaintonowała pytająco.

- Twój sprzęt całkiem nieźle stłumi rozmowę, na tyle, by nie słyszały jej wilkołaki. A sądząc z odgłosów na dole, jest tu ich dzisiaj sporo.

- No bo Darryl gotuje... - przypomniała Auriele odrobinę przepraszająco.

-1 nie dziwię się. Byłabym wdzięczna, gdybyście przypilnowali mi talerza, dopóki nie wrócę. Chodź ze mną - powiedziałam do Mary Jo.

Odwróciłam się i nie oglądając za siebie, ruszyłam na górę. Po wejściu do pokoju Jesse włączyłam odtwarzacz i podkręciłam głośność. Muzyka nie należała do moich ulubionych, ale było wystarczająco głośno, a o to mi chodziło.

- Zamknij za sobą drzwi - nakazałam Mary Jo, zaskoczona, że poszła za mną bez słowa sprzeciwu.

Zrobiła to, o co prosiłam, z kamienną miną.

- Dobrze. Teraz podejdź tutaj, do okna. Tu nikt nas nie będzie słyszał.

Wszystkie te środki ostrożności nie były konieczne. Przy takim zamieszaniu, jakie panowało dzisiaj w domu Adama, nikt, nieważne, jak świetny by miał

słuch, nie usłyszysz naszej rozmowy. Toczyło się ich zbyt wiele, by wyłapać tę jedną. A głośna muzyka dodatkowo zapewniała nam prywatność.

- Czego chcesz? - Mary Jo nie ruszyła się ze środka pokoju.

Oparłam się o ścianę przy oknie i splotłam ręce na brzuchu. Dziwnie czułam się w tej roli. Całe życie byłam samotnikiem. Nawet mieszkając w Aspen Creek ze stadem Marroka, byłam tak naprawdę sama jak palec. Kojot żyjący wśród wilków. Lecz Adam potrzebował bezwzględnego wsparcia swojego stada, a przeze mnie go nie miał. Skoro więc stanowiłam kłopot, czułam się zobowiązana do bycia częścią jego rozwiązania. Nadszedł zatem czas, aby sprawdzić, czy wszystkie te lata przyglądania się, jak Marrok nagina sobie ludzi niczym brzoźowe witki, pozwolą mi wykorzystać jego metody i osiągnąć ten sam rezultat.

Uśmiechnęłam się.

- Chciałabym się dowiedzieć, jaki masz problem, jeśli o mnie chodzi. Tu i teraz, bez świadków.

- Ty cała jesteś problemem, Mercedes - odwarknęła. - Kojot, padlinożerca pomiędzy wilkami. Nie należysz do nas.

- Och, daj spokój. Na pewno stać cię na więcej. Na razie mówisz jak nastolatka, a nawet Jesse się tak nie zachowuje.

Zmrużyła oczy, rozważając moje słowa.

- Masz rację - odezwała się po chwili. - Punkt dla ciebie. Przede wszystkim, kazałaś Adamowi czekać całe dwa lata po tym, gdy ogłosił cię swoją to-

warzyszką. Przez ten czas stado niemal się rozpadło, bo Adam ledwie się kontrolował i był prawie bezużyteczny, kiedy należało pomóc komuś zapanować nad wilkiem.

- Zgoda, choć na swoją obronę mogę powiedzieć, że Adam nie zapytał mnie, czy chcę być jego towarzyszką przez cały ten czas ani też przed ogłoszeniem tego faktu wobec stada. Nie byłam członkiem stada, a uczynił tak tylko po to, żeby inne wilki trzymały się ode mnie z daleka. W ogóle nie wiedziałam o niczym, aż było po wszystkim. Nawet wtedy nikt mi nie wytłumaczył, co to dokładnie oznacza. Dowiedziałam się dopiero kilka miesięcy temu i kiedy tylko zrozumiałam, jakie są konsekwencje dla stada oraz dla Adama, podjęłam decyzję.

-Jak miło z twojej strony! - prychnęła, a jej oczy pojaśniały z emocji. - Miło, że zgodziłaś się być towarzyszką Adama dla dobra stada.

- Znowu się mylisz - zauważyłam spokojnie. -Wybór nie miał nic wspólnego z kłopotami w stadzie. Adam potrzebował odpowiedzi, a „nie” wystarczyłoby tak samo, by przywołać wszystkich do porządku. Zgodziłam się, bo... Dla samego Adama. -„Moja”, usłyszałam szept w głowie, lecz przypuszczałam, że to mój własny głos.

- Drugi problem - wycodziła przez zaciśnięte zęby - to że zaprosiłaś tego kundla, a to doprowadziło nieomal do śmierci Adama i porwania Jesse.

- Nieprawda. Nie możesz zrzucić na mnie winy. Ta sprawa od początku do końca była sprawą wilkołaków, a ja zostałam wmieszana, bo w niewłaści-

wym czasie znalazłam się w niewłaściwym miejscu. Ni mniej, ni więcej. Kolejny punkt dla mnie.

- Nie zgadzam się. - Zauważyłam, że Mary Jo zachowuje klasyczną postawę „spocznij”, i przelotnie zastanowiłam się, czy to Adam nauczył swoje wilki musztry, bo z tego, co wiedziałam, Mary Jo nigdy nie służyła w wojsku.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyłam ramionami. - To wolny kraj. Możesz mieć własne zdanie.

- Nie zaprzeczysz, że to wampir omal nie zabił naszego Trzeciego podczas afery z demonem, a twoje powiązania z wampirami są powszechnie znane.

Mówiła całkiem spokojnie, serce biło jej równo. Mary Jo nie przepadała za Warrenem. Ben nie mylił się co do niej. Nie użyła nawet jego imienia, bo uważała, że pozycja Warrena znaczy więcej niż on sam.

- Kiedy obecność demona w mieście wyszła na jaw, wiadomo było, że wilki się na niego zasadzą. A ty nie udawaj, że ci zależy na Warrenie, bo to bzdura.

Mary Jo poderwała głowę, w jej oczach dostrzegłam stropienie. Naprawdę przykładała się, żeby nikt nie kojarzył jej z wilkami, które dręczyły Warrena.

- Warren jest wart dziesięć takich jak ty - wytknęłam. - Jest tu zawsze w razie potrzeby i nigdy nie podkopuje autorytetu Adama, sprzeciwiając się wykonaniu niewygodnych rozkazów. - Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymałam ją gestem, bo dyskusję o ostatnich wyczynach zostawiałam na później, kiedy już złamię ją na tyle, by odpowiadała na moje pytania. - Ale do rzeczy. Coś jeszcze?

- To twoja wina, że umarłam - zarzuciła mi. -Biedny Alec... Nawet nie wiedział, co się dzieje, kiedy rozdzierał mi tętnicę. Żadne z nas nie wiedziało. To przez ciebie wampiry wzięły nas na cel.

Wampiry zastawiły pułapkę u Wujka Mike'a, w tutejszym barze, gdzie nieładzie i inne nadnaturalne stworzenia przychodzili się zabawić. Rzuciły zaklęcie, które wywołało szal u wilków. Mary Jo pechowo wybrała się do lokalu akurat tej nocy wraz z dwoma innymi wilkołakami - Paulem i Alekiem. Kiedy dotarliśmy tam z Adamem, Mary Jo już nie żyła. Choć najwyraźniej, jeśli się umiera, a w okolicy jest przypadkiem jeden z Szarych Panów, a przynajmniej jeden konkretny, śmierć nie jest ostateczna, jak w innych wypadkach.

- Racja - przyznałam, celowo przyjmując swobodniejszą postawę, żeby widziała, iż absolutnie mnie to nie rusza. Nie mogę kłamać słowami, ale może to zrobić za mnie ciało. - Może branie na siebie czyjejs winy jest głupie, bo w zasadzie odpowiedzialność za to, co się stało, ponoszą wampiry, ale z drugiej strony, gdybym nie spotykała się z Adamem, nie wzięłyby na cel wilkołaków, więc w sumie można uznać, że masz prawo mnie to przypisywać. - Odczekałam, aż znów na mnie spojrzy, żeby zobaczyć jej minę.

Kiedy podniosła głowę, znów była całkiem opanowana. Nagłą niechęć wilkołaczycy do mnie dało się wyjaśnić na dwa sposoby. Mogło chodzić o incydent u Wujka Mike'a, ale nie o to była zła. Zosta-

wała więc druga opcja, którą rzucę jej w twarz, gdy będzie mi to na rękę.

- Ale - podjęłam - jeśli przyjmę na siebie winę, to również biorę zasługi. Gdyby nie ja, nie byłoby cię tu. Istota należąca do Szarych Panów przywróciła cię do życia tylko dlatego, że uznała, że ma wobec mnie dług wdzięczności i jest mi winna przysługę.

- Modłę się, żeby kiedyś i tobie ktoś wyświadczył podobną przysługę - warknęła. - To boli... To nadal boli. Czasami nie czuję różnych części ciała.

Wiedziałam o tym i martwiło mnie to, choć Pradawna dała słowo, że Mary Jo całkiem wróci do siebie. Przynajmniej pominęła słowa „w końcu”, bo cierpienia wilkołaczy nie miały dla niej znaczenia.

- Następnym razem nie będę zawracała sobie głowy przywracaniem cię do życia - obiecałam.

Uderzyłam nogą o podłogę, zastanawiając się, jak daleko chcę się posunąć. Zależało to od roli, jaką zamierzałam przyjąć w stadzie. Do tej pory używałam mojego wewnętrznego Brana, czyli wykorzystywałam techniki zaobserwowane u Marroka. Świadomość, że je stosuję, napawała mnie niepokojem. Nigdy nie postrzegałam siebie jako manipulantki. Na chwilę jednak odłożyłam rozterki i postanowiłam spróbować swoich sił. „Zastanów się, jaki jest twój cel, i zrób wszystko, żeby go osiągnąć” - lubił mawiać Bran. Hm, co konkretnie chciałam uzyskać?

Wszystko zależało od tego, w jakim stopniu ostatnie działania Mary Jo były wymierzone we mnie, a w jakim w Adama. Odkryłam, że grzechy wobec

mnie skłonna jestem jej darować, jednak nie zamierzałam być tak wyrozumiała, jeśli chodziło o Alfę.

Przypomniałam sobie, jak na mnie patrzyła, kiedy siedziałam na szpitalnej podłodze, trzymając w ramionach Adama - Adama, który niemal spłonął żywcem, usiłując ratować mnie, bo nie powiedziała mu, że nic mi nie jest. Spojrzenie to mówiło, że wolałaby widzieć Hauptmana martwym, niż widzieć go w moich objęciach.

Czy to było chwilowe, czyjej gniew, że Adam jest mój, zamienił się w siłę, która pchnęła ją na drogę bez powrotu?

- Mary Jo - zaczęłam łagodnie - obie wiemy, że to bzdura. Tak, może to prawda, chociaż częściowo, ale nie o to tak naprawdę jesteś na mnie wściekła.

Zadarła brodę.

- Adam jest mój - powiedziałam z mocą. - Musisz to przełknąć. Tak ci przeszkadza, że jestem kojotem? Że to mieszany związek, ba, nawet między-gatunkowy? Darryl jest Afrykańczykiem, a Auriele Latynoską, a nie widzę, żeby cię to szczególnie dręczyło. - Nie chodziło jej o to, że jestem zmiennokształtnym kojotem, wiedziałam o tym doskonale. Ciekawa byłam, czy ona zdaje sobie z tego sprawę. Owszem, stało to kością w gardle niektórym członkom stada. Może związek Darryla i Auriele też. Jeśli tak, byli na tyle mądrzy, by to ukrywać.

Mary Jo zacisnęła usta, ale milczała.

- Od jak dawna go pragnęłaś? - zapytałam cicho. - Miałaś wiele czasu, odkąd odeszła matka Jesse.

Metody Brana były paskudne. Patrzyłam w pociemniałe od cierpienia oczy Mary Jo i miałam ochotę się mocno kopnąć. Ale z drugiej strony wilkołaczycza była przynajmniej częściowo odpowiedzialna za rany, które Adam odniósł. Poza tym po zabiegach Samuela, których byłam świadkiem, w pełni zgadzałam się z Warrenem, jeśli chodzi o ogień. Mary Jo była głupia. Dałabym głowę, że nie skrzywdziła Adama specjalnie, ale musiałam wiedzieć to bez cienia wątpliwości.

W milczeniu patrzyłam, jak miejsce cierpienia w jej oczach zajmuje gniew.

- Jesteś niczym - warknęła z pogardą. - Ja też. Wiem to. Adam zasługuje na najlepsze. Na wilczycę, piękną i silną, na kobietę, która jest...

- Kimś więcej? - podsunęłam. - Jest bystrzejsza? Rasowa?

- Na pewno nie kojocim kundlem - prychnęła. Z jej oczu wychynał wilk, mówiła chrapliwie. - Na pewno nie głupim mechanikiem czy śmiesznym strażakiem. Strażakiem! Nawet nie ma określenia na to, czym jestem. On potrzebuje łagodnej kobiety, prawdziwie kobiecej.

- Masz rację, zasługuje na najlepsze - powiedziałam powoli. Zapędziłam Mary Jo w kozi róg, choć czułam się z tym okropnie. Kojoty nie bawią się swoimi ofiarami. - Przede wszystkim na stado, które stoi za nim murem.

- Jestem wobec Alfy lojalna - powiedziała Mary Jo. Nie widziałam jej dłoni. Cały czas stała na „spocznij”, z rękoma za plecami. Jednak z napięcia bi-

cepsów wywnioskowałam, że zaciska pięści, i nie mówiła aż tak pewnie i twardo, jak zamierzała. Na szczęście wszystko, co powiedziała, oznaczało, że nie chciała krzywdy Adama. Wobec tego reszta będzie dla niej i trudniejsza, i łatwiejsza. Trudniejsza, bo sprawi jej więcej bólu, a łatwiejsza, bo to przeżyje.

- Lojalna, tak? - mówiłam spokojnie i stałam swobodnie. - Zabawne, bo przysięgłabym, że wystawiłaś Adama na śmierć.

- Wyciągnęłam go. Pobiegnęłam za Darrylem i wyciągnęłam stamtąd.

- Za późno, Mary Jo. Był bliski śmierci. - Musiałam odetchnąć, żeby zachować spokój na myśl o tym, że mógł zginąć. Ale trzeba było iść za ciosem, zmusić, żeby mnie słuchała, skłonić, żeby posłuchała samej siebie. - Kto był z tobą? - zapytałam chłodno. - Ben mówił, że to ktoś silniejszy niż ty. I na pewno nie Warren albo Darryl.

Ben zauważyłby nieobecność Darryla na spotkaniu. Poza tym, gdyby Darryl tym wszystkim kręcił, zachowanie tego dla siebie byłoby zbyt niebezpieczne. Podobnie w przypadku Auriele.

- Kto tam jest dalej? - Obserwowałam, jak się poci. Ben miał rację, to musiał być ktoś z wierchuszki. Spodziewała się, że szybko wymienię jego imię, więc ktoś blisko Adama. - Auriele. Ale to nie ona, prawda? Auriele naprawdę lubi Adama i nigdy nie posłałaby go w ogień, żeby ratował kogoś, kogo tam nie ma.

Zesztywniała. Celny strzał.

- Potem jest Paul. - Zareagowała. Ciekawe. Lecz wiedziałam, że to nie to. - Nie, to nie on. Adam mu nie ufa. Na pewno trzymałby go tu przez całe spotkanie. - Zanim zrozumiałam, jaką niechęć żywi do mnie Mary Jo, to właśnie Paula obstawiałam jako osobę, która włamała się do mego umysłu podczas randki w kręgielni. Adam prawdopodobnie też. Paul nadal przeżywał głęboko przegraną z Warrenem i winił za nią Adama. Podobnie jak Bena, Paula przepęniała gorycz, nie przepadał za wieloma członkami stada i ogólnie był niemiły. Do tych niewielu, których darzył sympatią, należała właśnie Mary Jo. Oraz jej chłopak, Henry.

Przyglądałam się bacznie wilkołaczycy. Robiła się coraz bardziej nerwowa. Nie Paul, więc kto? W tym miejscu hierarchia nie była już tak wyraźna dla kogoś z zewnątrz, czyli tak naprawdę i dla mnie. Jeszcze raz przebiegłam myślami wszystkie wilki i nagle zatrzymałam się przy jednym. Henry? Wydawał się taki sympatyczny. Bystry, energiczny. Chyba był bankierem, ale nie miałam pewności. W każdym razie pracował w finansach. Ale on nigdy... Hm... „Nigdy” to mocne słowo.

Ciekawe, jak Henry traktował zauroczenie Mary Jo Adamem.

- Henry - spróbowałam i patrzyłam, jak blednie. Może nie zdawała sobie sprawy, że jej ciało mówi mi więcej niż usta. - Henry był tam z tobą. To on zakazał ci reagować, kiedy nieczłowiek podpalał mój dom.

Drzwi otworzyły się i do pokoju sztywno wszedł Adam. Po napięciu skóry wokół oczu i zaciśniętej szczęki było widać, że jest bardzo obolały. Skoro ja to dostrzegłam, musiał cierpieć katusze. Alfa nigdy nie okazuje słabości, jeśli jest w stanie ją ukryć.

Adam miał na sobie tylko spodnie gi do pół łydki, które odsłaniały poranione stopy. Reszta też była w kiepskim stanie, ale te stopy...

- Usłyszałem twój głos - powiedział, zmuszając mnie do oderwania wzroku od jego nóg i popatrzenia w twarz. - Przyłożyłem ucho do drzwi i mimo tego hałasu, który moja córka nazywa muzyką, słyszałem, co mówiłaś, Mercy. - Przeniósł spojrzenie na Mary Jo, która odwróciła się, rezygnując z wojskowej postawy. Stała tak po prostu, zagubiona i bezbronna.

Gdyby w sytuację zamieszany był Samuel, obawiałabym się, że będzie dla niej zbyt łagodny. Ale Adam nie postrzegał kobiet jako słabej płci, znał taktykę i potrafił dostrzec taktyczne posunięcia.

Zwrócił nieodgadnioną twarz ku Mary Jo.

- A więc Henry był jednak przy tym, gdy nieładzie podpalali dom Mercy. A ja myślałem, że poszłaś tam sama. Bo wiem, że Henry znajdował się tu w domu, choć kazałem mu iść z tobą. Gdybym go o to zapytał, wykręciłby się pewnie, mówiąc, że myślał, iż ma pilnować Mercy tylko na czas spotkania, albo znalazłby inne usprawiedliwienie.

- To Henry powiedział ci, że mój dom się pali, prawda? - zapytałam. Podobnie jak Adam, obserwowałam Mary Jo. Nie widziałam jej twarzy, ale

wyraźnie napięła mięśnie ramion. Przyjaciel ze studiów, specjalista od aktorstwa, powiedział mi, że ramiona to najbardziej ekspresyjna część ciała. Musiałam się z nim zgodzić. Wilkołaczyca chyba zaczynała dostrzegać całość obrazu, bo spodziewała się, że Adam przytaknie.

- Widzę, że doszłaś do logicznych wniosków, Mercy - powiedział, nie odrywając wzroku od Mary Jo. - Ciekawe, czy ona zaczyna rozumieć. Albo czy jest częścią tego... spisku.

- To Henry sprawił, że pobiegłeś tam pierwszy, zanim inni się zorientowali? - głos Mary Jo brzmiał surowo, ale nie protestowała.

- Owszem - przytaknął Adam. - Mniej więcej. Wszedł do kuchni i zanim zdążyłem zapytać, co tu robi, zamiast pilnować Mercy, wyjrzał przez okno i powiedział: „Co to? Ogień? O Boże, dom się pali!”.

- Przecież wiedział - rzekła Mary Jo niepewnie. - Widział, jak podpalają dom. Nie pozwolił mi iść do nich, bo się o mnie bał. Stwierdził, że Mercy i Sama nie ma, więc nic się nie stanie, kiedy spłonie rudera tej karierowiczki. Zasłużyła sobie na prztyczka za te wszystkie cierpienia, o które nas przyprawiła. - Popatrzyła na Adama. - Chodziło mu o mnie. Wściekł się o ten atak wampirów... O to, że oberwałam, bo chcieli dorwać Mercy. Chciał się jej odplacić.

- Henry'ego obchodzę tyle, co zeszłoroczny śnieg - stwierdziłam. - A on obchodzi własną dziewczynę tyleż samo. Celem Henry'ego był Adam. Dostrzegł okazję zemśczenia się na Alfie i wykorzystał ją. - Popatrzyłam na Adama. - Następnym razem,

zanim skoczysz do płonącego budynku, żeby mnie ratować, sprawdź, czy tam jestem. I załóż buty. -Zerknęłam na jego stopy. - Plamisz dywan.

- Też cię kocham. - Uśmiechnął się. - A dzięki temu, że zakrwawiłaś mi cały dom, znalazłem specja, który wywabi z dywanu każdą plamę.

- Henry chciał, żeby Adam został ranny - wyjaśniłam Mary Jo. - Ranny jest słaby, a Alfę można wyzwać w każdej chwili. Adam w tych okolicznościach może odsunąć wyzwanie w czasie i nikt nie zaprotestuje, szczególnie że Marrok nie pozwala na walki o przywództwo bez jego zgody. Ale ponieważ stado jest... Wybacz, Adamie, wiem, że to moja wina... Stado jest rozbite. Adam nie może opóźnić walki, kiedy w stadzie wrze. Odmowa byłaby jeszcze bardziej niebezpieczna niż walka w tym stanie. Rozgorzały bunt.

Dorastałam w stadzie. Znam zagrożenia. Nawet lęk przed Marrokiem nie tłumił rządzącej stadem natury. Dlatego właśnie Alfa zrobi wszystko, by ukryć swoją słabość.

- Henry rzucił ci wyzwanie? - jęknęła Mary Jo wstrząśnięta. - Marrok go zabije, jeśli ty pierwszy tego nie zrobisz.

- Blisko - odrzekł Adam. - Paul rzucił mi wyzwanie. Wspiął się i wszedł przez okno jakieś pięć minut temu. Wyzwał mnie na oczach Aleca i Henry'ego. Henry zaproponował, że pojedzie z Benem po jakieś rzeczy dla Mercy, bo Ben jeszcze nie może sam prowadzić, a po drodze zabrał Aleca. -

Zawiesił głos, a potem dokończył ostro: - Henry jest bardzo uczynny.

Mary Jo potaknęła skinieniem.

- Alec jest neutralny. Nie żaden twój wielbiciel, ale i nie przeciwnik.

- Musieli mieć umówiony sygnał - podjął Adam łagodniej - bo obaj, Alec i Paul, pojawili się u mnie w sypialni w tym samym momencie i wybrali go tak, żeby nie zastali przy tym ani Warrena, ani Darry-la, którzy mogliby się wtrącić. Świadcami są Alec i Henry. Henry zszokowany, że Paul rzucił mi wyzwanie teraz, kiedy jestem ranny.

- Wrobili cię - powiedziała Mary Jo oszołomiona. - Wykorzystali mnie, żeby cię wystawić.

- Właśnie to próbowałam ci powiedzieć - wyjaśniłam i rzuciłam obojętnie pytanie: - W kręgielni, to ty i Henry czy Paul też pomagał?

Kiwnęła głową, nawet nie zauważając, że było to tylko przypuszczenie, zbyt wstrząśnięta myślą, że nie wszystko wygląda tak, jak uważała.

- Paul, Henry i ja. To Paul powiedział, że w szanowanym stadzie kojot nie może być na drugim miejscu w hierarchii. I że - spojrzała na Adama - ona nie jest dla ciebie wystarczająco dobra. A ja się zgodziłam. Henry nie wydawał się tym zachwycony, musiałam go namawiać. Ale udawał, prawda? Wrobili mnie, obaj.

Zrobiło mi się żal Mary Jo. Lecz bardziej żałowałam jej, zanim dowiedziałam się, że wilkiem, który rzucił wyzwanie Adamowi, jest Paul. Henry umiał

świetnie walczyć - widziałam go raz czy dwa, kiedy trenował - ale Paul był dziesięć razy lepszy. Normalnie nie martwiłabym się walką także Paula i Adama, lecz normalnie Adam nie miał spalonych stóp, z których sączył się płyn surowiczy, ani opuchniętych, opalonych ze skóry dłoni.

To dlatego nie było mi żal wilkołaczycy na tyle, by odpuścić jej winę, mimo że wskazała dwóch innych odpowiedzialnych za ten stan rzeczy.

- W kręgielni to byłaś ty - rzekłam. - Och, Paul nie płakałby, gdybyśmy zerwali z Adamem, ale chce pozbyć się Adama bardziej niż mnie. Henry... Może to była kropla, która przepełniła czarę goryczy... Ty wiesz lepiej. Czy to był pierwszy raz, kiedy Henry zorientował się, jakie uczucia żywisz do Adama?

Adam spojrzał na mnie zaskoczony. Raczej nie wiedział, co czuje do niego Mary Jo.

- Paul... - zaczęła Mary Jo, ale urwała. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. - To nie Paul. - Uśmiechnęła się cierpko do Adama. - Paul to twardziel, nawet niegłupi, ale nie jest strategiem. Nigdy nie obmyśliłby sposobu na zmuszenie cię do przyjęcia wyzwania, zanim będziesz gotów. Mercy ma rację. To Henry. Co mogę zrobić?

- Nic - odparł. - Następnym razem bądź mądrzejsza.

- Kiedy ma odbyć się walka? - zapytałam, usiłując zachować spokój, usiłując być dobrym kojotem, który pozwala towarzyszowi iść i walczyć na śmierć i życie, podczas gdy ten ledwie chodzi. Musiałam to zrobić, bo płacz oraz zgrzytanie zębami nic by zmie-

niły, chyba że na gorsze. Jeśli Adam odmówi, Paul zostanie Alfą, a znając go, pierwszym jego działaniem będzie zabicie Adama. W każdym razie tak uważał Henry.

Powód, dla którego to Paul, a nie Henry wyzwiał Adama, też jest prosty. Marrok, dowiedziawszy się, co zaszło, zmiecie Paula z powierzchni ziemi, a wtedy przywództwo nad stadem obejmie Darryl, z Warrenem jako Drugim. Stado nie zniesie, by ich Drugim był gej, bo jeśli coś stałoby się Darrylowi, to Warren przejmie władzę. Dlatego Bran będzie musiał zabić bądź zabrać Warrena, a to oznacza, że Drugim zostanie Henry.

Oczywiście zanim to wszystko się stanie, Adam musi przegrać z Paulem. Zrobiło mi się niedobrze.

Adam zerknął na zegar Jesse, było piętnaście po dziewiątej.

- Za kwadrans w dojo - odpowiedział. - Możesz iść na dół i poprosić Darryla i Warrena, żeby byli świadkami? Chyba położę się jeszcze na dziesięć minut. - Stał już w korytarzu, kiedy odezwał się ponownie: -Jeśli przeżyję, Mary Jo, będziemy musieli wymyślić, jak możesz zadośćuczynić temu, co stało się w kręgielni. To był bardzo obiecujący wieczór i nie zapomnę, że go zrujnowałaś.

- Wystygło ci jedzenie - warknął Darryl, kiedy weszłam do kuchni. - Mam nadzieję, że ta sprawa była bardzo ważna.

Auriele zmywała, a Jesse wycierała naczynia. W żaden sposób nie da się tego oszczędzić Jesse. Paul wyznaczył na miejsce walki dom, a Jesse za nic w świecie nie zgodzi się przeczekać gdzieś w bezpiecznej kryjówce - była zbyt podobna do swego ojca.

- Paul rzucił Adamowi wyzwanie - powiedziałam. - Za kwadrans w dojo w garażu.

Darryl okręcił się, warcząc, a Auriele wstąpiła pomiędzy niego a Jesse, która pewnie nawet tego nie zauważyła, bo gapiała się na mnie.

-Jak się dostał do Adama? - zapytała Auriele. -Przecież ktoś miał go pilnować!

-Ja miałam go pilnować - powiedziałam zaskoczona. - To chyba ja.

- Nie - zaprzeczyła Auriele. - Samuel. Ben powiedział, że zostawił Adama z tobą i Samuelem.

- Samuel nie należy do stada - warknął Darryl. Złote oczy błyszczały jasno w jego ciemnej twarzy.

Sam nie jest Samuelem, pomyślałam. W normalnych okolicznościach Samuel nie dopuściłby do tego wyzwania. Ciekawe, czy Paul albo Henry zdawali sobie z tego sprawę. Chyba nie.

- To moja wina - powtórzyłam.

- Nie. - Zostawiłam Mary Jo w pokoju Jesse, ale musiała iść za mną. - Nie twoja. Może Warren lub Darryl mogliby powstrzymać Paula, ale Henry dopilnował, żeby ich tam nie było. - Rzuciła mi zagadkowe spojrzenie godne Darryła, zagadkowe, lecz nie jawnie wrogie. - Nie przyszłoby im do głowy, że Samuel może się wtrącić. Mają go za wilka samotnika, nie Adamowego przyjaciela.

Uświadomiłam sobie, że zagadkowe spojrzenie odnosiło się do Sama. Dawała mi do zrozumienia, że nie powie o nim, jeśli sama tego nie zrobię.

- Henry? - Darryl był tak zaskoczony, że zapomniał o gniewie.
- Henry?

Mary Jo zadarła brodę.

- Zaplanował to. - Zerknęła na mnie i szybko odwróciła wzrok. - Pragnie śmierci Adama, wykorzystał Paula... i mnie, żeby osiągnąć swój cel.

- Tak ci powiedzieli? - zapytał Henry, wchodząc do kuchni. Był krępy męczyzną, odrobinę wyższym ode mnie, skorym do uśmiechu, a jego orzechowe oczy miały odcień bardziej szarozłoty niż klasyczny brązowzielony. Miał krótkie włosy, dość konserwatywną fryzurę i golił się chyba żyletką, bo golarka nigdy nie daje wrażenia takiego zadbania. -Mary Jo...

- Cóż za niedogodność - mruknęłam. - Nie da się skłamać innemu wilkołakowi.

Mary Jo postąpiła krok, a cios przeznaczony dla mnie sprawił, że zatoczyła się na wyspę pośrodku kuchni. Pchnięty granitowy blat przemieścił się na skraj szafki. Jesse przytrzymała go i przesunęła na miejsce w ostatniej chwili, zanim spadł na podłogę. Gdyby to mnie Henry uderzył z taką siłą, nie wstałabym. Nawet Mary Jo podniosła się z trudem, trzymając za żebra.

Auriele przyskoczyła do Henry'ego, odsłaniając zęby.

- *Hijo de perra!* - wycodziła tonem kipiącym gniewem.

Henry poczerwieniał, więc obelga go zabolęła. Nazwanie wilkołaka synem psa jest wybitnie obelżywe.

- *Hijo de Chihuahua* - poprawiła Mary Jo. Auriele potrząsnęła głową.

- Darryl powtarzał, że to nie Paul stoi za tym chaosem, którego doświadcza stado od dwóch lat. Nikt by go nie posłuchał. Czuliśmy, że Darryl ma rację, lecz nikt inny nie pasował. Ja też prędzej podejrzewałabym Petera niż ciebie.

Peter był jedynym uległym wilkiem w stadzie. Trudno o mniej realny scenariusz niż uległy wilk knujący intrygi, żeby dojść do władzy. Jeśli Auriele miała rację, wszystko zaczęło się na długo przed tym koszmarnym incydem w kręgielni.

- Od jak dawna wiesz, że Mary Jo rzuciła cię jak gorącego ziemniaka dla Adama? - zapytałam.

Henry warknął coś pod nosem.

- Nie masz za grosz zdrowego rozsądku - stwierdziła Auriele. Uznałam, że mówi do mnie, więc odpowiedziałam:

- Nie zrobi nic, póki tu stoisz. Jest wystarczająco mądry, żeby się ciebie bać.

- Od momentu, kiedy zostałam zabita, to na pewno - rzekła Mary Jo, odpowiadając na pytanie, które zadałam Henry'emu. - Prawda? Kiedy odzyskałam po raz pierwszy przytomność. Pocałowałeś mnie w czoło, a ja nazwałam cię Adamem. Ale z tego wynika, że wiedziałeś już wcześniej.

- Wynoś się stąd - wycedził Darryl głosem stłumionym z gniewu. - Wynoś się z tego domu, Henry.

Kiedy wrócisz tu, żeby zobaczyć walkę, masz zapukać, zanim wejdiesz. I módl się, żeby Adam wygrał, inaczej zmiażdżę cię tak, że nie będzie trzeba trumny, żeby cię pochować. Wystarczy mop.

Henry spłoszył się, zbladł i znów poczerwieniał. Wyszedł bez słowa. Po chwili usłyszeliśmy trzask drzwi.

Do kuchni wszedł ponury Ben, zaraz za nim pojawił się Sam.
- Gdzie ten Henry tak pędzi? Darryl, dobrze, że jesteś, szukałem cię. Właśnie rozmawiałem z Warrenem. Słyszeliście...? - Urwał na widok Jesse, a potem potoczył po nas wzrokiem. - Widzę, że tak.

Darryl zeszywniał na widok Sama.

- Samuel? - powiedział cicho.

- To trwa od paru dni - wyjaśnił Ben. - Jak na razie wszystko w porządku. Długa historia, ale może poczekać. Za pięć minut mamy być w garażu.

ROZDZIAŁ 11

Jedynym powodem, dla którego garaż nie pękał w szwach, był brak czasu, żeby wszystkich poinformować. Zamiast trzydziestu wilkołaków było osiemnastu - plus Sam, który nie należał do stada. Musiałam jeszcze raz policzyć, bo widownia wydawała się znacznie szczuplejsza. Zwykle walki o dominację odbywają się wśród krzyków, wiwatów i zakładów, jak mecze bokserskie. W dojo panowała cisza, a ruszała się tylko jedna osoba.

Paul biegał w miejscu na skraju maty, zatrzymując się tylko chwilami, żeby porozciągać mięśnie lub wymienić kilka ciosów z cieniem. Paul był wysokim blondynem o krótkiej, rudawej brodzie i karnacji typowej dla rudych - jasnej i piegowatej. Teraz podniecenie nadchodzącą walką zaróżowiło mu policzki. Podobnie jak Adam, miał na sobie jedynie spodnie gi.

Nie ma zasady, która wymusza odbywanie walki w ludzkiej formie, ale zwykle tak się dzieje, gdyż w tej postaci o wyniku decydują siła i umiejętności. Uzbrojony w kły i pazury zawodnik mógłby wygrać ze sprawniejszym przeciwnikiem tylko dzięki przypadkowemu ciosowi.

Po przeciwnej stronie maty Adam stał w pozycji jeźdźca. Miał spuszczoną głowę, zamknięte oczy i rozluźnione barki. Z jego twarzy nie dało się wyczytać jakichkolwiek oznak bólu, ale nie potrafił ukryć sztywności ruchów, kiedy szedł na matę. Zresztą nawet gdyby potrafił, wystarczył jeden rzut oka na popękane strupy na dłoniach i stopach, żeby wiedzieć, w jakich jest tarapatach.

Jako Alfa, nawet tak poważnie ranny, powinien się leczyć szybciej. To prawda, że wilkołaki, również ten sam wilkołak, mogły leczyć się w różnym tempie - zależało to od wielu czynników. Stan Adama mógł być poważniejszy, niż nam się wydawało, albo samoleczenie spowolniły kłopoty w stadzie. Staralam się ukryć obawy.

Miałyśmy z Jesse miejsca w narożniku Adama -tradycyjne dla rodziny Alfy, choć nie najbezpieczniejsze, jeśli walka przeniesie się poza matę. Przy Jesse stanął Sam, a pomiędzy nami Warren, pewnie żeby w razie czego uchronić nas przed zranieniem. Adam nie miał zegarka, ale dokładnie pół do dziesiątej podniósł głowę, otworzył oczy i skinął na Darryla.

Wilkołaki nie przepadają za długimi przemowami. Darryl wszedł na środek maty i ogłosił:

- Paul postanowił dzisiaj wyzwać naszego Alfę na pojedynek
- rzekł wprost. Jego usta wykrzywiły się lekko przy wypowiedaniu kolejnego zdania: - Pominął formalność uzyskania zgody Marroka.

Nikt nie mruknął ani nie zrobił zaskoczonej miny. Wszyscy wiedzieli, co zrobił Paul.

Istniała niewielka szansa, że Marrok, zapoznawszy się z sytuacją w stadzie, uzna, iż Paul nie miał wyboru i musiał rzucić wyzwanie. Szansa na to, że Marrok nie zabije Paula byłaby większa, gdyby Adam nie był ranny. Ale Paul prawdopodobnie uważał, że racja jest po jego stronie i że uda mu się przekonać do tego Marroka.

Pewnie wszystko jest możliwe. Jednak Paul raczej nie brał pod uwagę, jak mało jest to prawdopodobne. Z tego, co wiedziałam, nigdy nie spotkał Brana. Henry natomiast, który owszem, poznał Marroka bezpośrednio, przypuszczalnie zapewnił go, że wszystko będzie dobrze. Ludzie pokroju Henry'ego posiadają umiejętność sprawiania, żeby inni im wierzyli.

Darryl rozejrzał się po obecnych.

- Moim zadaniem jest dopilnować, aby wszyscy poza walczącymi trzymali się z dala od maty. To będzie czysta walka i gwarantuję to waszymi głowami. Zrozumiano?

- Przepraszam - odezwała się Mary Jo. Nie była wysoka, więc zobaczyłam ją dopiero, gdy wystąpiła na matę i stanęła przed Darrylem. - Chcę walczyć z Paulem, wyzywam go na pojedynek.

Przez tłumek przetoczył się protestujący pomruk - wilkołaczyce nie walczyły w pojedynkach -uciszony gestem Darryla.

-Jestem trzecia po nim w hierarchii - stwierdziła. Choć trzymała głowę wysoko, zwracając się do Darryla, wzrok miała stosownie spuszczonej. - Mam prawo rzucić mu wyzwanie i walczyć o prawo pojedynku z Alfą.

Patrzyłam na nią zdumiona. Nie spodziewałam się czegoś takiego po kobiecie niereagującej na podpalenie domu, którego pilnowała.

- Nie jesteś trzecia po Paulu - warknął Darryl. Wyciągnęła rękę, odliczając na palcach.

- Paul. Henry. George. I ja.

Miała rację. Według mnie właśnie to miejsce zajmowała.

- Nie masz towarzysza - przypomniał Darryl. -A to stawia cię na samym dole. Po George'u jest Alec.

- Alec! - zawołała, nie odwracając uwagi od Darryla. - Kto jest bardziej dominujący, ty czy ja?

Alec wyszedł przed szereg, spoglądając to na Paula, to na Mary Jo. Widziałam, co chce powiedzieć. Darryl też się odprężył. Adam natomiast spoglądał na Mary Jo zaskoczony, ale z szacunkiem. Alec otworzył usta i zawahał się.

- Wiedzielibyście wszyscy, gdybym skłamał - powiedział wreszcie i podniósł ręce w geście poddania. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Mary Jo. -Spojrzał Darrylowi w oczy. - Mary Jo stoi wyżej ode mnie.

Wybuchło zamieszanie. Paul skoczył ku Darrylowi i zaczął się pieklić. Był jednym z tych niewielu wysokich mężczyzn w stadzie, którzy mogli stanąć z Darrylem twarzą w twarz. Gdyby nie panował taki zgiełk, mogłabym usłyszeć, co mówi. Ale i tak się domyślałam. Paul lubił Mary Jo i nie chciał jej zabijać.

Mary Jo stała tak jak Adam, niczym wyspa ciszy w morzu wrzawy. Była niska, ale umięśniona, twarda jak skóra cholewki, szybka i zwinna. Nie podzielałam pewności Paula, że przegra. Nie chciałam z nią walczyć. W razie wygranej mogła ustąpić Adamowi, ale nawet jeśli stanęłaby do walki z nim, w co nie wierzyłam, zmęczenie po poprzednim pojedynku tym bardziej zwiększało jej szanse na zranienie. I nagle przypomniałam sobie cios Henry'ego i uderzenie o szafki w kuchni. Po czymś takim musiała mieć złamane albo przynajmniej pęknięte żebro. Nie widać było po niej urazu, kiedy się ruszała, ale nie miała na tyle czasu, by się uleczyć. W takim tempie mógł dojść do siebie jedynie Alfa, i to podczas pełni.

- Dość tego! - zagrział Warren nagle. Jego głos zabrzmiał niczym wystrzał w tłum.

Darryl zwrócił się do Mary Jo. -Nie.

- Nie ty podejmujesz decyzję - stwierdziła. -Alfo?

-Jest pewien kłopot - odezwał się Adam. - Ponieważ jestem w tym wypadku stroną zainteresowaną, sprawiedliwość wymaga, bym zrzekł się pra-

wa do decyzji. Dlatego ceduję na trzy kolejne osoby w hierarchii, Mercy, Darryla i Auriele. Popatrzył na mnie.

Wiedział, co powiem. Auriele prawdopodobnie poprze Mary Jo, a zdanie Darryla już znaliśmy. Nawet jeśli Mary Jo przegra walkę, i tak pomoże to Adamowi. Spojrzałam po obecnych. Na wielu obliczach malowała się niechęć. Też umieli dodać dwa do dwóch i nie byli zachwyceni, że należę do grupy, która ma podjąć decyzję.

Nagle dojrzałam furtkę.

- Chyba jest jeszcze jedna kwestia - zaczęłam. -Jeśli nawet zgodzimy się, że Mary Jo może walczyć, bo dzieli ją od Paula trzech członków stada, to reguła ta nie ma zastosowania w przypadku Paula. -Podobnie jak Mary Jo zaczęłam liczyć na palcach: -Pomiędzy Adamem a Paulem jestem ja. Potem w kolejności Darryl, Auriele i Warren.

- A potem Honey - uśmiechnął się Warren lekko. -1 dopiero Paul.

Paul warknął wściekły.

- Adam zaakceptował moje wyzwanie. Założył, że mam do niego prawo.

Popatrzyłam na Adama.

- Nieźle - pochwalił mnie. - Ale zgadzam się z Paulem.

- Poza tym oficjalny kodeks postępowania - zaczął Ben ponuro - którego musiałem nauczyć się na pamięć, zanim przyjęto mnie do stada, mówi o pojedynkach w przedziale trzech, cytuję: „wilkołaków", koniec cytatu. Wilkołaków.

- A więc Mary Jo nie może walczyć - stwierdził Paul z uśmiechem. - Mary Jo nie jest wilkołakiem.

- A więc Mary Jo może walczyć - sprzeciwiłam się. - Czy w kodeksie jest jasno zaznaczone, że chodzi o wilkołaki rodzaju męskiego? - Kyle zdradził mi raz pewien sekret prawniczy. Nigdy nie należy zadawać świadkowi pytania, na które nie zna się odpowiedzi. Wiedziałam dokładnie, jak brzmi zapis, ale wolałam, żeby powiedział to ktoś inny.

- Nie - przyznał Ben.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Odczytując wymowne milczenie Adama, popatrzyłam na Mary Jo i powiedziałam:

- Podobnie jak Adam, jestem osobiście zaangażowana.

- Mercy! - szepnęła Jesse ze zgrozą. - Co ty wyprawiasz?

Poklepałam ją po ręce, którą zacisnęła na moim przegubie.

- W takim razie decydują Darryl, Auriele i Warren - ogłosił Adam.

Dzięki więzi, która w tej chwili działała, wiedziałam, że Adam uważał, iż mój udział w decyzji może być kolejnym punktem zapalnym. Jeszcze jedną głupotą, która spotkała stado, bo przyjęło na członka kojota - rzecz niesłychana, bo przyznało się Mary Jo, kobiecie, samicy, prawa do walki. I pewnie miał rację.

- W stadzie mamy trzy kobiety - powiedział Darryl. Nie sądzę, żeby o mnie zapomniał, więc raczej miał na myśli konkretnie wilkołaczyce, a nie kobiety

ogólnie. - Tak jest w stadach. Większość wilkołaków ginie, zanim przekroczy dekadę od Przeistoczenia, ale dla wilczyc czas życia jest dwa razy dłuższy, ponieważ nie muszą walczyć o dominację. I mimo to jest ich tak mało. Jesteście zbyt cenne, byśmy pozwolili wam tak ryzykować.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że nie mówi do całego stada, a do swojej towarzyszki.

Auriele skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Takie zasady mają sens w przypadku, kiedy kobiety są konieczne do przetrwania gatunku, a w naszym przypadku tak nie jest. My nie możemy mieć dzieci, więc nie jesteśmy ważniejsze dla stada od innych.

Brzmiało to jak stara sprzeczka. -Jestem przeciw - wycedził Darryl.

- Zgadzam się - oświadczyła spokojnie Auriele.

- Cholera - prychnął Warren. - Na to wszystko mam jeszcze wsadzić rękę między małżeński młot i kowadło?

-Jak chcesz - powiedziała Auriele ponuro.

- Do diabła! - zaklął Warren. - Jeśli to nie beczka prochu, to nie wiem. Mary Jo?

-Tak?

-Jesteś tego pewna, perło?

Czułam, że wszyscy wstrzymali oddech.

- To moja wina - przyznała. - To moja wina, że Adam został ranny i że w stadzie panuje ferment. Nie ja go zasiałam, ale też nie zrobiłam nic, by go powstrzymać. Czas na zadośćuczynienie, na naprawienie zła, nie uważasz?

Warren obserwował ją bacznie. Widziałam, jak w jego oczach na moment pojawił się wilk.

- Dobrze, już dobrze. Możesz z nim walczyć, Mary Jo. I lepiej, żebyś zwyciężyła. Słyszysz?

Kiwnęła głową.

- Postaram się.

-Ja myślę - mruknął ponuro.

- Mary Jo... - głos Paula brzmiał prosząco - nie chcę cię skrzywdzić, nie chcę skrzywdzić kobiety.

Zrzuciła buty i zabrała się do zdejmowania skarpetek.

- Wycofujesz się? - zapytała, stojąc na jednej nodze.

Zaskoczyła go, ale szybko wpadł w gniew.

- Nadstawiałem za ciebie karku!

- Tak. I żałuję, że cię o to prosiłam. - Rzuciła drugą skarpetkę i popatrzyła na Paula. - Ale Henry wykorzystał i mnie, i ciebie, żeby zniszczyć stado. Pozwolisz, żeby uszło mu to na sucho?

W garażu zawisła cisza. Wydawało się, że zebrani przestali oddychać. Imię Henry'ego było zaskoczeniem. Wszystkie głowy odwróciły się ku winowajcy, który stał oparty o ścianę pomiędzy drzwiami wjazdowymi, tak daleko od Adama, jak tylko się dało.

Paul też na niego spojrział i przez chwilę wydawało mi się, że to zadziała.

- Pozwolisz, żeby jakaś dziewczyna wodziła cię za nos, tak jak robiła to ze mną? - Henry uderzył w żalospną nutę. - Ona pragnie Adama i jest gotowa zniszczyć nas obu, by go dostać.

Mistrzowskie przedstawienie i Paul łyknął je niczym młody pelikan.

- Do diabła z tobą! - prychnął Paul do wilkołaczycy. - Do diabła, Mary Jo. Przyjmuję twoje wyzwanie. - Odwrócił się do Adama. - Będziesz musiał poczekać. Jak widzisz, zacznę od deseru.

Przeciął matę, stając obok Henry'ego. Mary Jo podeszła do rogu Adama.

- Przyjmuję twoje zadośćuczynienie - powiedział. - Pamiętaj, Paul walczy sercem, nie głową.

-1 porusza się wolniej w lewo niż w prawo - dodała.

Adam zszedł z maty, zostawiając za sobą krwawe ślady. Lepiej niż ta żółtawa ciecz, prawda?

- Dobra robota - mruknął, podchodząc do mnie. -Dziękuję. Nie wiedziałem, czy mnie słyszysz, czy nie.

Warren zrobił mu miejsce pomiędzy Jesse i mną, ale przeszedł pilnować dziewczynki z drugiej strony. Sam przytruchtał do mnie i z westchnieniem położył się na betonowej posadzce.

- Zobaczymy, czy mi pogratulujesz, jeśli Mary Jo zginie - powiedziałam bardzo, bardzo cicho. Chciałam mu powiedzieć o żebrach, ale bałam się, że ktoś podsłucha i Paul się dowie. Henry oczywiście wiedział, ale wątpiłam, by powiedział Paulowi, że połamał Mary Jo żebra. Paul by tego nie zrozumiał i Henry dobrze o tym wiedział.

Mary Jo także przyjęła pozycję jeźdźca, przodem do pleców Paula.

- Wyzwanie rzucone i przyjęte - ogłosił Darryl. -Walka na śmierć i życie, zwycięzca otrzymuje prawo do przyjęcia wycofania się.

- Tak - powiedziała Mary Jo.

- Tak - zgodził się Paul.

Mary Jo była szybsza i lepiej wyszkolona w walce, ale kiedy zaatakowała, uderzyła za słabo. Gdyby prawie dwumetrowy Paul był jej wzrostu, miałyby szanse. Jednak przerastał ją o dobre trzydzieści centymetrów, a to przekładało się na zasięg. Poza tym z walki pomiędzy nim a Warrenem zapamiętałam, że jak na tak potężnego faceta, był zaskakująco szybki.

Gdy uderzył Mary Jo pięścią w ramię, zmiotł ją, jakby grzotnął młotem.

- Poddaj się - powiedział.

Leżąc, kopnęła go w nogę, a kiedy ją przesunął, przetoczyła się pomiędzy jego nogami i podnosząc, wraziła łokieć w nerki. Kolejny kopniak w tył kolana omal Paula nie przewrócił, odzyskał równowagę w ostatniej chwili.

- Poddam się w twoich snach - wycedziła już poza jego zasięgiem.

- Przestań ją oszczędzać - pouczył Darryl ostro. -To walka na śmierć i życie, Paul. Ona cię zabije, jeśli zdoła. Skoro przyjąłeś wyzwanie, winien jesteś jej szacunek, walcz, jak należy.

- Racja - przyznał Adam.

Paul warknął bezgłośnie, odsunął się na skraj maty i uniósł ramiona do wysokiego bloku, a stopy

ustawił prostopadle jedna do drugiej, pięści luźno, celowo odsłaniając tors.

Problem był taki, że jeśli Mary Jo rozegrałaby to odpowiednio, mogła zamienić jego sprytną pułapkę w wielki błąd. Złapałam Adama za ramię i ścisnęłam delikatnie, pilnując, żeby nie wbić mu w skórę paznokci. Adam też był spięty.

- Uważaj, uważaj, jest szybszy, niż się wydaje -mruczał pod nosem.

Mary Jo przesunęła się wolno w lewo, a potem w prawo. Paul odwrócił się do niej. Mary Jo przeniosła ciężar ciała na prawą nogę, lecz zaraz z szybkością błyskawicy przerzuciła na lewą i zaatakowała długim wypadem, niczym szermierz, wyprowadzając niski cios pięścią, która wraz z ramieniem przypominała oszczep lecący z nieziemską prędkością. Paul okręcił się i jej pięść przecięła powietrze, muskając ledwie brzuch przeciwnika. Paul opuścił obie dłonie niczym maczugi na jej nieosłonięty grzbiet. Mary Jo uderzyła płasko o matę z głuchym łupnięciem. Adam jęknął, jakby sam poczuł uderzenie Paula.

Mary Jo leżała oszołomiona na brzuchu, mrugając, jakby chwilowo straciła wzrok. Łapała gwałtownie powietrze, jak wyjęta z wody ryba. Po chwili udało jej się zaczerpnąć nierównego oddechu, a oczy wróciły do normy. Po wcześniejszym urazie żeber ten cios musiał być śmiertelnie bolesny.

Każda osoba przy zdrowych zmysłach wiedziałaby, że już jest po walce, i poddała się, błagając o łaskę, jednak Mary Jo powoli wsunęła pod siebie

łokcie i z ich pomocą zaczęła wstawać. Paul obserwował jej wysiłki ze smutnym uśmiechem.

- Nie podnoś się - poprosił. - Leż. Poddaj się, do cholery! Nie chcę ci więcej robić krzywdy.

Udało jej się podeprzeć łokciami i podciągnąć kolana, kiedy Paul podskoczył i uderzył kantem stopy w tył uda, powalając ponownie na matę. Z ust wilkołaczycy wyrwał się krótki okrzyk, ale natychmiast podciągnęła kolana i poderwała się do pionu.

Jej garda była za niska, a prawy łokieć przyciśnięty mocno do żeber. Poniżej pojawiła się niewielka czerwona plamka, która powoli się powiększała. Każdy wilkołak w pomieszczeniu poczuł zapach krwi, podobnie jak ja. Obawiałam się, czy złamane żebro nie przebiło jej płuca. Lewą nogę miała nie w pełni sprawną, więc przyjęła pozycję podstawową, opierając ciężar na drugiej. Stała na skraju maty, co oznaczało brak miejsca do cofania się, ale z drugiej strony też uniemożliwiała Paulowi zajście z tyłu.

Paul zbliżył się powoli, ostrożnie, jak drapieżnik podchodzący ranną ofiarę. Zauważyłam jednak, że przygląda się żebrom Mary Jo spod zmarszczonych brwi. Zastanawiał się pewnie, kiedy spowodował takie obrażenia.

Przemieścił się w lewo, a potem w prawo, zmuszając Mary Jo do stawania na zranionej nodze, a potem przekrzywił głowę. Musiał usłyszeć to, co ja - cichy bulgot zapadającego się płuca. Mary Jo ciężko dyszała, łapiąc jak największe hausty powietrza.

Paul wyprowadził pozbawione finezji, ale potężne kopnięcie frontalne. Mary Jo zbiła je obiema ręk-

kami, spowalniając cios wymierzony w niesprawną nogę, ale i tak zatoczyła się pod wpływem jego siły, cofając poza matę.

Ledwie utrzymała równowagę, a noga najwyraźniej była już prawie całkiem bezużyteczna. Wzburzone morze rąk popchnęło wilkołaczycę, choć nie brutalnie, z powrotem na matę, gdzie czekał Paul.

-Już dobrze, Mary Jo - powiedział Adam. - Już dobrze. Poddaj się.

Mary Jo wyglądała na zmaltretowaną, ale kiedy wróciła na matę, jej zraniona noga o wyprostowanych niczym u baletnicy palcach wystrzeliła do góry. Kopnięcie było tak proste jak Paula, wymierzone prosto między jego uda.

Usiłował je zablokować, ale za późno. Rozległo się stłumione łupnięcie, a potem z ust Paula eksplodował jęk. Wilkołak cofnął się gwałtownie, łapiąc za genitalia i składając w pół. Każdy mięsień jego grzbietu napiął się do granic możliwości w reakcji na nieoczekiwany ból. Mary Jo podążyła za nim, choć widać było, że każdy ruch okupuje cierpieniem, i wykorzystała chwilową niemoc Paula, grzmocąc go pięścią w potylicę.

Idealny cios w skupienie nerwów, pomyślałam. Brawo, Mary Jo.

Gdyby nie był wilkołakiem, tygodniami widziałaby błyski i słyszała dzwonki. Oczy pojaśniały mu wilczo, a kości poruszyły się pod skórą. Paul potrząsnął głową, usiłując pozbyć się efektów uderzenia. Gdyby Mary Jo była w lepszym stanie, mogłaby go w tej chwili wykończyć.

Teraz jednak poruszała się zbyt wolno. Wyprostował się i z wyraźnym wysiłkiem uniósł ręce do gardy. A potem ruszył za nią powoli, nieustępliwie, krok za krokiem skracając dystans. Kiedy jej pięść pofrunęła ku gardłu Paula, zablokował prawą ręką i pchnął lewym łokciem, obracając Mary Jo, a potem uderzył kolanem w żebra. Padła na matę twarzą w dół, krztusząc się krwią. Paul usiadł na niej okrakiem, złapał za nogę i zaczął przyciągać ją do siebie, wyginając grzbiet wilkołaczycy w łuk. Rozległo się głośniejsze bulgotanie, a Mary Jo zaczęła drapać rozpaczliwie matę. Powoli traciła panowanie nad sobą, jej wilk walczył o przejęcie kontroli.

- Do cholery, Mary Jo! - wydyszał Paul. - Poddaj się! Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił!

W tym momencie popatrzyłam na Henry'ego. Obserwował walkę z kamienną twarzą.

- Poddaj się! - ryknął Adam. - Mary Jo! Poddaj się!

Wilkołaczycy uderzyła dłonią w matę, dwukrotnie.

- Poddaje się - odetchnął Paul i popatrzył na Darryla.

- Paul wygrywa - ogłosił Darryl. - Przyjmujesz jej kapitulację?

-Tak, tak!

- Koniec walki! - oznajmił Darryl.

Paul zeskoczył z Mary Jo i przekręcił ją na plecy.

- Lekarza! - zawołał nerwowo. - Lekarza! Kilka głów odwróciło się ku Samowi. Nie ruszył się z miejsca, ale aż drżał pragnieniem pomo-

cy. W końcu zamknął oczy i odwrócił łeb. Na matę wpadł Warren, który natychmiast zadarł leżącą koszulkę do góry. Zaraz za nim wkuśtykał Adam z apteczką.

Przytrzymałam Jesse. Obie zostałyśmy na miejscu. Kilka sekund później nic już nie widziałam przez tłoczący się na macie tłum.

- Trzeba odsunąć żebro od płuca - powiedział Adam ostro i dodał: - Te kawałki wyjmij i wyrzuć, odrosną. - Medycyna wilkołacza jest pod wieloma względami prostsza, nawet jeśli brutalniejsza, niż ta stosowana w przypadku ludzi. - Przytrzymaj ją, Paul. Im bardziej się miota, tym większy ból dla niej. - A potem łagodnym tonem zagruchał: - Współpracuj trochę, maleńka, zaraz będziesz mogła oddychać.

- Nie uderzyłem jej aż tak mocno - zdziwił się Paul.

- Henry grzmotnął Mary Jo tak, że przeleciała przez pół kuchni - wyjaśniła Auriele. - Masz. Tylko nie upapraj jej tą wazeliną całej. Nałóż na brzegi rany, opatrunek teflonowy lepiej przyłgnie, ale musisz go przykleić plastrem z trzech stron, a taśma nie będzie się trzymała na wazelinie.

Powiało ulgą, kiedy zabiegi przyniosły spodziewany efekt i Mary Jo mogła nabrać tchu. Tłumek, uspokoiony, że bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, wycofał się, dając rannej więcej przestrzeni.

W dojo znajdowały się proste nosze - kawałek płótna rozciągnięty na metalowej ramie z uchwy-

tami. Alec i Auriele przenieśli na nie Mary Jo i zabrali do domu. Człowiek po przebicciu płuca leżałby bardzo długo. Mary Jo wystarczy kilka kilogramów surowego mięsa i za parę godzin płuco się zagoi. Zrastanie się żebra potrwa dłużej, ale nie więcej niż tydzień. Poza tym nie groziły jej żadne infekcje czy wtórne zakażenia, a brakujące kawałki żeber lub płuca odrosną.

Henry nie ruszył się z miejsca, lecz obecne wilkołaki zaczęły rzucać w jego stronę nieprzyjazne spojrzenia, a kiedy wróciły na miejsce wokół maty, przygotowując się na oglądanie ostatecznej walki, wokół Henry'ego zrobiła się pusta przestrzeń, której wcześniej nie było.

Podczas gdy dwa wilki zmywały matę, Paul podszedł do swojego narożnika, a Adam ustawił się w swoim.

Obserwowałam bacznie Paula. Ten cios Mary Jo w potylicę...

W pierwszej chwili otrząsnął się po nim, po macie przeszedł pewnie. Ale zanim sprzątanie dobiegło końca, Paul potrząsnął głową, uniósł rękę i poma-sował się za uchem, omijając jednak miejsce uderzenia. Zamrugał kilkakrotnie, jakby miał kłopoty z koncentracją.

Potem odetchnął głęboko i rozluźnił się. Znieruchomiał, a jego oddech pogłębił się i wyrównał. Stał niczym posąg o nagim torsie lśniącym od potu. Nie miał na sobie krzty tłuszczu, wyglądał jak połączenie reklamy Cahdna Kleina z wojskowym plakatem rekrutacyjnym.

Kiedy mokre plamy na macie zostały mniej więcej wytarte, na środek ponownie wystąpił Darryl.

- Czy nadal podtrzymujesz swoje wyzwanie, Paul?

Paul popatrzył na Henry'ego.

- Uderzyłeś Mary Jo?

Czyżby nadal odczuwał skutki ciosu? Trudno było ocenić.

- Przypadkowo - odparł Henry. - Mercy powiedziała... - Spojrzał na mnie. - Ktoś tak słaby jak ty powinien nauczyć się trzymać buzię na kłódkę, żeby inni za niego nie obrywali.

- Ktoś, kto ma tyle do stracenia co ty, powinien trzymać na wodzy swoje nerwy - odpaliłam. Jak na obelgę, brakowało temu soczystości, ale chodziło bardziej o szybkość riposty, a nie ciętość. - Mary Jo zasłoniła mnie przed Henrym - wyjaśniłam Paulowi.

- I mimo to pozwoliłaś jej walczyć? - oburzył się. - Nie pomyślałaś, że to się może dla niej źle skończyć?

- Każda walka na śmierć i życie może się źle skończyć. Zdawała sobie sprawę ze swojego stanu, a ja wiedziałam, że nie chcesz jej zabić.

Przyjrzał mi się, zerknął na Henry'ego, po czym powiedział do Darryla:

- Tak. Miejmy to już za sobą. Darryl uklonił się i zszedł z maty.

- Panowie, możecie zaczynać - ogłosił. Nie spieszyli się.

Paul rozpoczął od wymyślnego powitania, którego nie znałam, a które wymagało większej przestrze-

ni pomiędzy przeciwnikami. Najpierw zatrzepotał dłońmi, zafalował przedramionami, potem uczynił krok naprzód, a następnie do tyłu. Na koniec wydał z siebie dychawiczny, syczący dźwięk, który brzmiał obco i potwornie.

Adam przyłożył pięści do piersi, a potem opuścił je powoli, rozwierając palce i przechodząc płynnie w gardę - mniej skomplikowane powitanie, proste i bezpośrednie. Wyglądało podobnie do tego, którego nauczył mnie sensei. Strupy na dłoniach Adama popękały, kiedy poruszył palcami.

Paul ruszył naprzód szybkim zygzakiem, który uniemożliwiał przewidzenie, gdzie zrobi kolejny krok. Lewe ramię trzymał wysoko, prawie pionowo, a prawe nisko, podświadomie osłaniając krocze.

Adam obserwował go, obracając się lekko, żeby cały czas stać twarzą do przeciwnika. Widział to, co ja? Że Paul mruga, jakby kiepsko widział?

Adam uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie. Do mnie? Postanowiłam, że lepiej zrobię, dając mu spokój - o ile znajdę na to sposób - i pozwalając skoncentrować się na walce.

Paul wyprowadził niskie, koszące kopnięcie w kolano Adama, a ten przesunął się i uniósł stopę, by zablokować cios. Uderzenie Paula zmieniło gwałtownie kierunek, przechodząc w okrężne kopnięcie wycelowane w policzek przeciwnika. Paul był na tyle silny, by mimo krótkiego dystansu nadać kopniakowi mocy. Adam ledwie zdążył z blokiem, a impet zmusił go do cofnięcia się o pół kroku. Paul odskoczył poza zasięg Adama.

Adam ruszył powoli naprzód, pewnym krokiem, patrząc przeciwnikowi w oczy. Paul ustąpił Alfie machinalnie, choć szybko zmitygował się, podniósł gniewne spojrzenie na Adama i nie odwracał go. W przypadku wilkołaków starcie odbywa się na wielu płaszczyznach.

Aby uciec od wzroku Adama, Paul wykonał kolejne okrężne kopnięcie, lecz stał zbyt daleko, by było efektywne. Strata energii, pomyślałam, jednak ruch pozwolił mu przynajmniej zerwać kontakt wzrokowy bez utraty godności. Zauważyłam, że Paul używa głównie nóg, i zaczęłam się zastanawiać, czy poranił sobie ręce w walce z Mary Jo. Jeśli tak, to zbyt lekko, żeby miało to znaczenie.

Paul wykorzystał rozpęd z bezużytecznego ruchu, żeby się okręcić i kopnąć prostą nogą w tył, trafiając piętą w brzuch Adama. Może był draniem, ale umiał walczyć i miał niesamowitą szybkość.

Adam zablokował cios tylko o tyle, że wytłumił siłę. Resztę energii wykorzystał, żeby upaść na matę, robiąc przewrót w tył. Paul zaszedł go od tyłu, podnosząc ręce jak do wysokiej gardy, którą zastosował podczas walki z Mary Jo. Adam zdążył się poderwać, zanim Paul się do niego zbliżył. Okręcił się na lewej nodze, prawą wyprowadzając kopnięcie boczne. Wyprost był tak gwałtowny i daleki, że usłyszałam trzask materiału, ale stopa minęła Paula o długość dłoni.

Paul zacisnął pięści i opuścił je z mocą, jak poprzednio, na odsłonięty grzbiet przeciwnika, ale Adam, zgięty w pół po poprzednim ruchu, jeszcze

z wyprostowaną nogą, zrobił jeden z tych filmowych ruchów kung-fu, obracając się w poziomie. Nie tylko ja jęknęłam ze zdumienia i podziwu.

Okazało się, że nie spudłował, wcześniejsze kopnięcie było wstępem do czegoś pięknego i groźnego. Noga Adama uderzyła ramię Paula z taką mocą, że cios Paula zmienił tor, trafiając w pustkę, a sam wilkołak pociągnięty jego siłą grzmotnął o matę.

Ciało Paula runęło niczym kłoda z głuchym łupnięciem, a odgłos łamanego ramienia usłyszeli wszyscy. Adam wylądował na brzuchu przeciwnika z jedną nogą uwięzioną pod nim. Jednak w przeciwieństwie do upadku Paula ten Adama był celowy i kontrolowany. Nim tamten zdążył zareagować, Alfa obrócił się i uderzył gołenią wolnej nogi pierś przeciwnika.

W filmach karate dźwięk gruchotanych kości uzyskuje się, przełamując selery naciowe, ale możecie zaufać mojemu słuchowi - dźwięk miażdżonych żeber Paula w niczym nie przypominał selera. Dla człowieka taki cios byłby śmiertelny, a jeśli nawet nie, wymagałby **RKO**. Wilkołaki są odporniejsze.

Paul uderzył dłonią o matę.

- Poddaje się - rzekł Adam.

- Adam wygrywa - ogłosił Darryl. - Czy przyjmujesz kapitulację, Alfo?

- Przyjmuję.

- Walka skończona - oznajmił Darryl. Adam pochylił się nad Paulem.

- W trakcie walki z Mary Jo straciłeś swój polot, dzięki czemu zyskałem czas na obmyślenie sposo-

bu, jak cię zranić, a nie zabić. Zawdzięczasz Mary Jo życie. Podziękuj jej.

Paul odchylił głowę, odsłaniając gardło.

- Tak zrobię, Alfo.

- Pomógłbym ci wstać - uśmiechnął się Adam - ale niech lepiej Warren obejrzy twoje żebra. Wystarczy na dzisiaj przebitych płuc.

Podczas walki popatrywałam na Henry'ego, więc zauważyłam, jak wstępuje na matę.

- Alfo! - zawołał. - Wyzy...

Nie dokończył. Dobyłam mojego siG-a i strzeliłam mu w gardło.

Przez ułamek sekundy wszyscy gapili się na Henry'ego, jakby nie mogli zrozumieć, skąd ta krew.

- Zatańczę krwawienie - rzuciłam, sama jednak nawet nie drgnęłam. Jak dla mnie szczer mógł zdechnąć na miejscu. - To ołów, więc nic mu nie będzie. - Choć na jakiś czas odbierze mu możliwość mówienia. A także rzucania wyzwania. - Kiedy trochę do siebie dojdzie, zamknijcie go gdzieś, żeby nie narobił więcej bajzlu.

Adam popatrzył na mnie z wyraźnym zachwytem.

- Wiedziałem, że weźmiesz broń na walkę - powiedział i zwrócił się do swojego stada. Naszego stada. - Słyszeliście, co macie robić.

ROZDZIAŁ 12

Stado odprowadziło Adama do domu w tryumfalnym pochodzie, ja zostałam z tyłu z Jesse i Samem. Oboje wyglądali na wykończonych.

Paul opuścił dojo tak jak Mary Jo - na noszach, prosto do jednego z pokoi na dole. Tamte pomieszczenia uznawano bardziej za wspólną własność niż Adamową. Każdy członek stada mógł się tam zaszyć, zdrzemnąć, poczytać książkę albo wykorzystać w inny sposób. Poza tym bliskość Adama gwarantowała utrzymanie wilków Mary Jo i Paula pod kontrolą i bezproblemowe leczenie. Wilki uspokajała obecność Alfego, który potrafił je obronić.

Z wilkołactwem wiązało się wiele okropnych rzeczy. Bardzo wiele. Ale były także i lepsze strony, niektóre nawet bardzo przyjemne. Do tych ostatnich należała świadomość, że jeśli Alfa jest w pobliżu, można czuć się całkiem bezpiecznie.

Z tego, co wiedziałam, Henry nie umrze od utraty krwi, a rana pewnie zagoi się błyskawicznie. Kula była mała i jeśli nie natrafiła po drodze na kość, zostanie po niej czysty otworek. Na pewno wróci do siebie szybciej niż Mary Jo czy Paul. Natomiast to, co stanie się z nim później, to inna bajka. Pewnie zdecyduje o tym Adam.

Warren odczekał, aż garaż opuszczą wszyscy poza mną, Jesse i Samem. Potem zamknął drzwi.

- Adam zacznie za tobą tęsknić za pięć minut - powiedział. - Za sześć będziesz musiała zabrać go na górę, do łóżka, żeby stado nie dowiedziało się, że ich Alfa dziesięć minut po walce stracił przytomność.

- Wiem.

Kowboj uśmiechnął się ze znużeniem, choć podobnie jak ja tylko obserwował starcie.

- Niezła walka - podsumował. - Myślę, że pokonałby Paula i bez pomocy Mary Jo.

Przytaknęłam.

- Ale dzięki temu Paul znów należy do stada i jest szczęśliwy z tego powodu. I raczej nie sądzę, żeby stało się tak, gdyby nie Mary Jo.

- Nie cierpię tego momentu - poskarżyła się Jesse.

- Tego, kiedy wszyscy są bezpieczni, a ty marzysz, żeby zaszyć się w kącie i popłakać sobie jak niemowlak?

Warren popatrzył na mnie. - Ja lubię świadomość, że wszyscy są bezpieczni, ale masz rację, za tym momentem też nie przepa-

dam. - Objął Jesse, która przytuliła się do niego. -No już, już. Popłacz sobie, skarbie. Nikt nie powie, że nie masz do tego prawa. Popłacz też trochę za mnie, bo jak Kyle przyłapie mnie na szlochaniu, pomyśli, że zamieniłem się w maminsynka. - Jesse roześmiała się, ale nie podniosła głowy. - A ty już idź - zwrócił się do mnie. - Masz swoje ramię do płakania. Idź i powiedz Adamowi, że zajmę się Jesse. Ty, Samuelu, też zostań ze mną. Nie potrzeba nam więcej zamieszania, a wątpię, by Adam był gotów, żeby okazać słabość przy kimś, kto może mu zagrozić. Poczekajmy, aż adrenalina trochę opadnie. Sam przeciągnął się, ziewnął i położył na ziemi.

- Dzięki, Warren.

Uśmiechnął się i pstryknął rondo niewidzialnego kapelusza.

- E tam, paniusiu, to moja robota. Darryl karmi stado, a ja pilnuję maruderów.

Jesse oderwała się od Warrena, osuszyła łzy i uśmiechnęła się dzielnie.

- Mówiłam ci już, że jesteś moim ulubionym kowbojem?

- A kto inny miałby nim być - napuszył się.

- Zna tylko jednego kowboja - zauważyłam. Warren zerknął na zegarek.

- Masz dwie minuty.

- Mercy? - zatrzymała mnie Jesse. - A co z Gabrielem?

- Odnajdziemy go - wyręczył mnie Warren z uśmiechem. - Mam świetny słuch, a w kuchni było mnóstwo wilkołaków podczas tego telefonu. -

Pochylił się, żeby spojrzeć Jesse prosto w oczy. - Bieganie w kółko bez konkretnych informacji w niczym Gabrielowi nie pomoże. Zee już się tym zajmuje, a my najlepsze, co możemy teraz zrobić, to czekać na wiadomość od niego.

-Jeśli Zee nie potrafiłby nam pomóc, już byśmy o tym wiedzieli - powiedziałam tylko i wyłącznie do Jesse, więc nie łamałam słowa. - Wyciągniemy z tego Gabriela.

- W ostateczności napuścimy na nich Sylwię -zażartował Warren.

- Słyszałeś?

No jasne. W stadzie wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

- O czym? - zainteresowała się Jesse. Pomyślałam, że dziewczynka wraca do siebie. Bliskość Warrena dobrze jej zrobiła.

- Sylwia zagroziła, że jeśli zobaczy mnie na swoim progu, wezwie policję. Gabriel już u mnie nie pracuje. - Sposepniałam. Nie pomyślałam, że to może odbić się także na Jesse. - Nie wiem, czy ty też należysz do grona wyklętych, ale skoro poszło o to, że nie powiedziałam jej, iż Sam jest wilkołakiem, zanim Maja zrobiła sobie z niego konika, to pewnie przez jakiś czas będzie reagowała nerwowo na wspomnienie wszystkiego, co wiąże się z wilkołakami. Jak Gabriel wróci, będziesz musiała z nim o tym porozmawiać.

Pokiwała głową.

-Jeśli wróci cały i zdrowy, z radością stoczę bój z Sylwią, żebyśmy mogli się spotykać.

- I tak ma być - podsumował Warren. Odsuwając się od niego, niemal potknęła się o Sama.

- Hej, czemu tata i Warren musieli zajmować się Mary Jo, skoro tu byłeś?

- Nie jest sobą - wyjaśniłam krótko. - To byłby kiepski pomysł.

Sam popatrzył na mnie wzrokiem pełnym poczucia winy i odwrócił łeb.

Wspomnienie tego spojrzenia towarzyszyło mi przez całą drogę do salonu, gdzie wszystkie możliwe meble i podłogę obsiadło stado. Wilków było coraz więcej. Nowo przybyli natychmiast dostawali szczegółową relację z walki. Nie widziałam Adamowego stada tak spokojnego od... nigdy. Nie przebywałam z gromadą zbyt dużo wcześniej, dopiero od roku moje kontakty z nimi stały się częstsze, a nie był to spokojny rok dla stada.

Zanim dotarłam do siedzącego na kanapie Adama, zatrzymała mnie Honey. Nie zauważyłam jej w garażu, a to niemożliwe, gdyby tam była. Honey nie należała do osób, które można przeoczyć, po pierwsze dlatego, że była bardzo dominująca, a po drugie dlatego, że była bardzo piękna. Czyli musiała należeć do tych, którzy przyszli dopiero co.

- Mary Jo została uznana za bardziej dominującą od Aleca? - zapytała. Nie była zachwycona. Dziwne. Przez związek z Peterem, uległym wilkiem, Honey stała w hierarchii bardzo nisko. Niżej znajdowała się już tylko Mary Jo. Jednak ze względu na osobowość i umiejętności walki Honey plasowała się bli-

sko szczytu. Czyżby możliwość zmiany pozycji na tę, na którą zasługiwała, uchylała jej podejściu do tego, co wypada damie? A może obawiała się zamieszania w stadzie albo niesnasek pomiędzy nią i jej partnerem? Mogła się też bać, że zostanie wciągnięta w walki o dominację. W tej chwili jednak kłopoty Honey nie były dla mnie istotne. Adam zaczynał przechylać się na bok. Jeszcze moment i nie będę jedyną, która to zauważy.

- Tak - odparłam, wymijając Honey i przekraczając leżącego na podłodze jakiegoś wilkołaka. -1 nie pytaj, co to oznacza na dłuższą metę, bo nie wiem. Zresztą nikt chyba nie wie. Adam?

Popatrzył na mnie, a ja zaczęłam mieć wątpliwości, czy Warren dobrze obliczył czas pozostały do katastrofy. Wyglądał fatalnie.

- Musimy iść na górę i zadzwonić do Brana. -Wspomnienie Marroka powinno uchronić nas przed niechcianym towarzystwem. Na wszelki wypadek dodałam: - Nie będzie zadowolony, że wszystko to stało się poza nim. Im szybciej się dowie, tym lepiej.

W oczach Adama mignęły wesołe iskierki, ale poza tym zachował stoicką postawę.

- Skoro ma mi się oberwać, lepiej niech to się stanie w sypialni. Pomożesz? Paul nieźle mi przyłożył.

Wyciągnął biedne, poranione ręce, a ja powstrzymałam się od skrzywienia na myśl, jaki ból musi sprawiać mu mój dotyk. To przedstawienie dla stada miało pokazać, że Adam jest silny jak zwykle. Skierki zgasły w jego oczach, lecz kąciki ust uniosły, kiedy stanął swobodnie, nie opierając się na mnie.

Kiedy dotarliśmy do bałwana siedzącego na schodach i blokującego jedyną drogę na górę, Adam chwycił mnie na rękę, postawił wyżej i dopiero sam przekroczył delikwenta.

- Scott? - zawołał, idąc do góry. - Tak?

- Jeśli ktoś cię nie zastrzeli, oskóruje i nie rzuci resztek na podłogę, nie chcę cię widzieć leżącego w przejściu.

- Tajest!

Na samej górze schodów Adam wspierał się już na moim ramieniu, a na ostatniej prostej do pokoju oparł się jeszcze mocniej.

Ktoś - pewnie Darryl - zostawił na szafce nocnej trzy gigantyczne kanapki z wołowiną, kubek parującej kawy i szklankę zimnej wody. Medea spała na poduszce pośrodku łóżka. Podniosła łebek, a upewniwszy się, że nie zamierzam jej zgonić, wróciła do drzemki.

- Okruchy na prześcieradle - wyburczał Adam, wpatrując się jak zahipnotyzowany w kanapki, podczas gdy układałam go na łóżku.

- Założę się, że w tym muzeum jest pełno czystych prześcieradeł - zbyłam jego wątpliwości. - Najwyżej wieczorem prześcielimy łóżko. Szast-prast i żadnych okruszków. - Wzięłam połowę kanapki i podsunęłam mu pod nos. - Jedz.

Uśmiechnął się i ugryzł mnie delikatnie w palec z filuternością, o którą nie podejrzewałam go w tym stanie.

-Jedz - powtórzyłam surowo. - Jedzenie, a potem spanie. Ratowanie... - Adam był wilkiem. Nie mogłam rozmawiać z nim o Gabrielu, bez względu na to, jak fatalnie się czuł. - Jedzenie, a potem spanie. Reszta potem.

Ale już było za późno. Takiego słowa nie przepuściłby bez podjęcia wyzwania. Wziął kanapkę, ugryzł i przełknął.

- Ratowanie?

- Nie mogę o tym mówić. Porozmawiasz później z Darrylem albo Jesse.

- Mercy?

Jego głos otulił mój umysł niczym zimowa bryza, rześka i słodka. Był sposób, żeby komunikować się bez słów, musiałam tylko się tego nauczyć. Zaczęłam wpatrywać się w Adama intensywnie.

Po chwili rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Nie możesz o tym mówić. Dałaś słowo... komuś. Tyle zrozumiałem. Mam w szafce notes. Napisz do mnie list o tym, o czym nie możesz powiedzieć.

Ucałowałam go w nos.

- Znowu zadawałeś się z nieлюдźmi tak? Wilki zwykle postępują nie tylko w duchu, ale także zgodnie z literą prawa.

- W takim razie dobrze, że nie jesteś wilkiem. -Jego chrypka była wynikiem zmęczenia i zatrucia dymem.

-Naprawdę? - Kiedy dorastałam, marzyłam, żeby być wilkołakiem i naprawdę należeć do stada Marroka. Zawsze zastanawiałam się, czy gdybym

była wilkiem, a nie kojotem, mój przybrany ojciec nie podjąłby decyzji, by odejść za swoją towarzyszką. Ale skoro Adam twierdził, że lepiej, że jestem kojotem, to pewnie tak było.

- Nie zmieniałbym nawet jednego włoska na twojej głowie - zapewnił mnie. - A teraz idź po ten notes, bo umieram z ciekawości.

- Pójdę, ale masz zjeść wszystko.

Posłusznie odgryzł kęs, więc ruszyłam przeszukiwać szafkę. Kiedy znalazłam jego teczkę, przesunął się, wywołując tym głośny protest Medei. Uspokoila się dopiero, gdy wziął ją na kolana. Usiadłam na brzegu łóżka i spisałam wszystko, co pamiętałam. W tym czasie Adam skończył jeść, wskazał talerzyk, na którym zostało jeszcze pół kanapki, zachęcając mnie do skosztowania, po czym zasnął, nim skończyłam pisać.

- Adam? - zawołałam go cicho, kiedy naskrobałam ostatnie zdanie.

Nie poruszył się, ale zauważyłam, że jego ręce wyglądały lepiej. Stado znów go wspierało, przynajmniej teraz. A może tym razem tak zadziałała jego magia? Ludzie, którzy usiłują pojąć działanie magii, kończą w wariatkowie.

Dopisałam pod notatkami: „Kolorowych snów” i zostawiłam notes na szafce obok łóżka. Na palcach wyszłam z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie zdążyłam zrobić dwóch kroków, kiedy zadzwonił Zee.

- Znajdź miejsce, gdzie nie będzie nas słyszał - rzekł bez wstępów.

Pokój Jesse był otwarty i jak się okazało, pusty. Zamknęłam za sobą drzwi i włączyłam muzykę. Adam spał jak zabity. Mógł tak spać następne pięć minut albo kilka godzin. Nikt inny nie mógł niczego usłyszeć.

-Już.

- Wiem, że nie możesz rozmawiać ze mną o kobiecie, która porwała Gabriela - rzekł Zee. - Dlatego tylko mnie słuchaj.

-Tak?

-Jest tu ze mną babka Fina. Musimy porozmawiać, ale bez wilkołaków.

- Czemu? - Nie chodziło o porwanie, więc uznałam, że to bezpieczne pytanie.

- Bo ona się ich boi, prawie ją zabiły. Widok wilków wywołuje u niej ataki paniki. A nie chciałabyś być w pobliżu tej damy, kiedy panikuje.

Ciekawe, czy współczułabym jej tak samo, gdybym sama nie miewała ataków paniki.

- Dobrze. Gdzie?

- Dobrze pytanie. Twój dom nie istnieje. Ona tutaj nie mieszka, więc nie ma mieszkania. Mój dom odpada, bo ona nie pójdzie tam, gdzie jest tylu ludzi.

- A może warsztat?

- Za kwadrans. Masz cokolwiek, co należy do Gabriela?

Otworzyłam usta, ale zamknęłam je z powrotem. Jak dokładnie może być zaklęcie królowej wróżek? Lepiej zachować daleko idącą ostrożność.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Przynieś coś.

- Coś, co jest jego własnością - odezwał się kobiecy głos. - Coś, co jest z nim związane, na czym mu zależy albo co posiada od dawna.

- Słyszałaś? - upewnił się Zee. Nie odezwałam się.

- Dobrze. Rozłączył się.

Nie miałam nic takiego, co mogłabym zabrać. Gabriel był niezwykle porządny - nigdy nie zostawiał żadnych swoich rzeczy.

Rozejrzałam się po pokoju. Wiedziałam, że albo znajdę coś u Jesse, albo będę musiała zmierzyć się z Sylwią.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że powinnam powiadomić ją zaraz, kiedy tylko dowiedziałam się o porwaniu. A wołałabym paradować nago przybrana różowym boa po centrum handlowym. Albo smażyć się w oleju. Zjełczałym.

Postanowiłam zadzwonić do Sylwii w drodze do warsztatu. Teraz musiałam znaleźć Jesse. Liczyłam, że miała coś, co należało do Gabriela.

Jak na zawołanie, Jesse weszła do pokoju.

- Szukam Samuela - powiedziała trochę zaskoczona. - Poszedł się przejść, a Ben powiedział, że musi coś zjeść, bo nie jadł nic od rana. Strasznie się upierał najedzenie. Co prawda nie spodziewam się znaleźć Samuela tutaj, ale przyznam, że ciebie też nie.

- Właśnie szłam, żeby cię poszukać. Popatrzyła na mnie, a potem na sprzęt grający.

- Przyszłaś posłuchać Bullet for My Valentine? Tak jak wcześniej Eyes Set to Kill z Mary Jo?

- Daruj sobie sarkazm. Równie dobrze mogłabyś powiedzieć to normalnie, też bym zrozumiała. Musiałam porozmawiać bez świadków.

Skrzywiła się z przekąsem.

- Niech zgadnę, sprawy, o których nie powinnam wiedzieć, bo jestem dziewczyną. I tylko człowiekiem. Nie można mnie narażać.

- Umiesz strzelać? - Nie zamierzałam jej o to pytać. Chciałam poprosić tylko o jakiś drobiazg Gabriela. Wiedziałam jednak, jak to jest siedzieć z założonymi rękami, kiedy ktoś bliski znajduje się w niebezpieczeństwie.

Zamarła na chwilę - dokładnie tak jak jej ojciec, kiedy działo się coś ważnego.

- Mam śliczną tysiąc dziewięćset jedenastkę, kaliber czterdzieści, dostałam ją od taty w zeszłym roku na urodziny. Znalazłaś Gabriela?

Natarczywość w głosie Jesse pomogła mi podjąć decyzję. Byli młodzi - on próbował się nie angażować mocno, bo myślał o studiach, ona też, bo znała jego plany. Możliwe, że nic z tego nie będzie, ale zależało jej na Gabrielu, i to bardzo. Dlatego dla niej była to sprawa bardzo osobista, a skoro potrafiła strzelać, potrafiła się bronić.

Jesse była nieodrodną córką swojego ojca. Mądra, błyskotliwa i twarda. Jednakże jak mogłam rozważyć wciągnięcie w to jeszcze jednego człowieka, skoro jeden już został w to zamieszany?

Problem w tym, że nie mogłam rozmawiać z nieczłowiekiem ani wilkołakiem o Gabrielu, natomiast pisanie, jak pokazała moja próba przelania wszystkiego na papier dla Adama, było czasochłonne. Potrzebowałam Jesse.

Wciągnęłam ją do pokoju i zamknęłam drzwi.

- Dzwonił Zee. Mam się z nim spotkać w warsztacie za kwadrans. Jest z nim Pradawna, która może nam pomóc, ale panicznie boi się wilkołaków. Musimy mieć coś, co należy do Gabriela, coś, do czego jest mocno przywiązany. Nie sądzę, żeby zamierzała śledzić go po zapachu, więc może to być coś twardego, jak pierścionek, a nie ubranie, które jest przesiąknięte zapachem.

- Zabierzesz mnie?

- Zabiorę. Jesteś mi potrzebna. Ale pamiętaj, nie zamierzam wymieniać cię na Gabriela ani narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. - Uśmiechnęłam się niepewnie, bo na samą myśl o Pradawnej trzęsłam portkami. - Potrzebuję cię, lecz musisz mnie posłuchać, jeśli każę ci wracać do domu.

Przyglądała mi się oczyma ojca. Dostrzegłam moment, kiedy podjęła decyzję.

- Zgoda. Może powiemy, że idziemy kupić ci parę rzeczy? W końcu wczoraj spłonął twój dom.

- Uhm, babskie sprawy. Pamiętaj, że nie można kłamać wilkołakom. Więc po wszystkim zamierzam jechać do sklepu i kupić wiadro miętowych lodów z kawałkami czekolady.

- Babskie sprawy - powtórzyła. - A jeśli będą chcieli wysłać z nami Warrena? Oni myślą, że lubi

takie babskie cosie, choć to bez sensu, bo przecież Kyle lubi facetów i im bardziej są mężczy, tym lepiej. To co wtedy zrobimy?

- Manewr uprzedzający. Znajdziemy teraz Warrena i wyślemy go do pilnowania twojego taty, który śpi.

W tej chwili spod łóżka wyczołgał się Sam.

Udało się. W drodze do samochodu towarzyszył nam tylko Sam. Wilkołaki nie miały nic przeciwko naszemu wyjściu - przecież szedł z nami Sam.

- Musisz tu zostać - powiedziałam do wilka. A potem przystanąłam. I popatrzyłam na niego. Naprawdę popatrzyłam.

Sam wilk nie musiał odwracać się, podczas gdy inni ratowali Mary Jo, i na pewno nie miałyby z tego powodu wyrzutów sumienia. Po prostu dlatego, że Sam wilk nie jest lekarzem, jest wilkiem. Rano Darryl szybko dostrzegł, że Samuel ma kłopoty. Ale w garażu ani jeden wilkołak nie popatrzył na Sama dziwnie. To dlatego, że nie był to Sam, a Samuel.

- O, witaj. - Staralam się zachowywać, jakby nic się nie stało. Nie miałam pojęcia, dlaczego postanowił przejąć kontrolę ani czy to dobrze, czy źle, lecz uznałam, że im mniej będziemy robić wokół tego zamieszania, tym lepiej dla Samuela. Jednak... - Musisz tu zostać - powtórzyłam. - Słyszałeś Zee. Idziemy na spotkanie z kimś, kto... - Urwałam. - Jak ci nieładnie tak kłamią, nie kłamiąc? Męczące to jak

diabli. Słuchaj, Samuelu, idziemy na spotkanie z kobietą, która boi się wilków. Musisz tu zostać. Nie możesz iść jako wilk, a nie masz żadnych ubrań. Stał, patrząc na mnie wymownie.

- Uparciuch.

- Chodź, spóźnimy się - ponagliła mnie Jesse. -Poza tym Darryl wygląda przez okno i ma coraz dziwniejszą minę.

Wyjęłam torebkę z Królika i przytrzymałam drzwi pikapa Adama, żeby Samuel mógł wskoczyć.

- Z tyłu w torbie powinny być dzinsy, jakieś koszulki, dresy. Możesz się ubrać, jeśli chcesz. Ale gdy dojedziemy do warsztatu, nie wejdiesz z nami. Mam nadzieję, że dowiemy się... czego dowiedzieć się chcemy... I wtedy pewnie będziemy się cieszyć, że z nami jesteś.

Z drogi zadzwoniłam do Sylwii. Obawiałam się, że będzie chciała włączyć w to policję, ale liczyłam też, że uda mi się jej to wyperswadować. Sygnał powtarzał się aż do przełączenia na automatyczną sekretarkę.

- Sylwia? Tu Mercy. Muszę powiedzieć ci coś o Gabrielu. Zadzwoń natychmiast, kiedy...

- Uprzedzałam cię - odezwała się Sylwia, podniósłszy słuchawkę. - Moja rodzina nie chce z tobą rozmawiać. A jeśli Gabriel przedłożył nad rodzinę...

- Został porwany - przerwałam, zanim powiedziała coś, co później mogłoby złamać jej serce. Nie

była tak twarda, jak udawała; wiedziałam o tym, bo sama tak robiłam. - Wygląda na to - przerwałam ciszę, która zapadła po moim oświadczeniu - że wieczorem przyszedł do warsztatu i wziął jeden z samochodów, na co miał moje przyzwolenie. Pewnie lepiej wiesz, po co brał samochód i gdzie się wybierał. Pewien mój przyjaciel ma kłopoty i to one odbiły się rykoszetem w Gabriela.

- Kłopoty z rodzaju tych twoich, tak? Niech zgadnę. Kłopoty wilkołaków.

- Nie, nie wilkołaków. - Zirytowałam się, że wrzucała wszystkie wilkołaki do jednego, złego worka. Na mnie mogła sobie być wściekła, ale jeśli chodzi o wilki, będzie musiała w mojej obecności gryźć się w język. - Możesz powiedzieć Mai, że jej konik będzie nadstawiał głowę, żeby uratować jej starszego brata, którego porwali źli ludzie. - Powiedziałam tak z pełnym przekonaniem, wiedząc, że Samuel nie może patrzeć na ludzką krzywdę. Był jedynym wilkołakiem, jakiego znałam, któremu tak bardzo leżało na sercu dobro śmiertelników, właśnie dlatego, że byli śmiertelnikami. Większość wilkołaków, nawet te, które były zadowolone ze swojego wilkołactwa, żywiła niechęć, jeśli nie nienawiść wobec ludzi, za to, że ci byli tym, czym wilkołaki już być nie mogły.

Sylwia milczała. Prawdopodobnie dopiero teraz zaczynała do niej docierać wieść o porwaniu syna.

- Gabriel żyje - podjęłam. - Uświadomiliśmy też porywaczom, że ważne jest, jeśli chcą osiągnąć swój cel, aby pozostał cały i zdrowy. Policja nic tu nie pomoże, Sylwio. Po prostu nie posiada odpowiednich

środków, żeby postawić się tym ludziom. Udział policji może co najwyżej pogorszyć sytuację, a nawet sprowadzić na kogoś śmierć. - Na przykład Fina. -Mój przyjaciel, wilkołak, lepiej sobie z tym wszystkim poradzi. Przyrzekam, że jak czegoś się dowiem, zaraz dam ci znać. I zadzwonię, gdybyś mogła pomóc, ty albo policja. - Rozłączyłam się.

- Łał! - Jesse była pod wrażeniem. - Nie słyszałam nigdy, żeby ktokolwiek mówił tak do Sylwii. Nawet Gabriel chyba się jej trochę boi. - A potem dodała, sadowiąc się obok mnie: - Dobrze zrobiłaś. Może to da jej do myślenia. Znaczący wiesz, wilkołaki są straszne, niebezpieczne i tak dalej, ale...

- To nasze kochane, niebezpieczne i straszne wilkołaki i pożerają tylko złych ludzi.

- No, coś w tym stylu - uśmiechnęła się dziewczynka. - W sumie, jak tak na to spojrzeć, to ma prawo się denerwować. Ale wydaje mi się, że zakazując Gabrielowi pracować u ciebie, pokazała, że nie ufa jego osądowi. Całkiem jakby był głupi i upierał się pracować w niebezpiecznym miejscu.

- Na przykład takim, gdzie można stać się ofiarą pradawnych porywaczy? - rzuciłam. - Całkiem jakby był synkiem, któremu tak niedawno zmieniała pieluchy. Musisz wybaczyć rodzicom, że zachowują się jak rodzice nawet wobec dzieci, które nie mają już czterech lat. A przy okazji: jeśli twój ojciec dowie się, że zabrałam cię na spotkanie z obcym nieczłowiekiem, obedrze mnie ze skóry.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Nie martw się, wystarczy, że pozwolisz mu na siebie pokrzyknąć, a potem pójdziesz z nim do łóżka. Faceci zrobią wszystko dla seksu.

- Jessico Tamarindo Hauptman, kto cię nauczył takich rzeczy?
- Udałam zgrozę. Dziwne, lecz rozmowa z Jesse poprawiła mi nastrój po tym, jak na-krzyczałam na matkę, której syna właśnie porwała królowa wrózek... To wszystko przypominało „Królową Śniegu”. Miałam nadzieję, że w przeciwieństwie do Kaja Gabriel nie będzie miał w sercu okruchu lodu.

Furgonetka Zee już stygła na placyku. Garbus, którego pożyczyłam Sylwii, stał zaparkowany tam, gdzie ostatnio, ale jego stan wołał o pomstę do nieba. Ktoś wyrwał drzwiczki od strony kierowcy, zbił przednią szybę, a na siedzeniach czerwieniła się krew. Samuel nie skończył przemiany.

- Zostań tu - powiedziałam.
- On nie jest psem - zaprotestowała Jesse.
- Wiem - westchnęłam. - I wiem, że mnie nie posłucha. Chodź, załatwmy to szybko.

Zee przygotował biuro, ustawiając trzy krzesła naprzeciw siebie. Brakowało tylko okrągłego stolika. Na widok Jesse zrobił zdziwioną minę, ale bez słowa dostawił jeszcze jedno.

- Jestem pomocnikiem - wyjaśniła dziewczynka. - Może mówić do mnie zamiast do ciebie.

Nie zaskoczyło mnie, że towarzyszką Zee okazała się kobieta, którą spotkałam w antykwariacie Fina, choć nie zaskoczyłoby mnie również, gdyby przyprowadził kogoś zupełnie obcego. Pradawna wyglądała trochę inaczej, odrobinę mniej babciowo. Różnica polegała na czymś nieuchwytnym, a co można było podsumować Kapturkowym: „Babciu, ale ty masz wielkie zęby”.

- Mercy - zaczął Zee - to, powiedzmy, Alicja Brewster. Alicjo, to Mercedes Thompson oraz... -zawiesił głos - Jesse. - Spojrzał na mnie. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

-Jej obecność przyspieszy sprawy. Kiedy tylko skończymy, wraca do domu.

- No dobrze - ustąpił, siadając obok Alicji.

- Szukałaś w antykwariacie mojego wnuka - powiedziała Pradawna bez wstępów. - Chciałaś zwrócić to, co pożyczyłaś.

Odwróciłam twarz do Jesse.

- Spotkałam Alicję w sklepie Fina, kiedy usiłowałam zwrócić mu książkę. Fin dzwonił do Tada, syna Zee, z prośbą, abym się nią zaopiekowała. Telefon wydał mi się dziwny, a nieczłowiek mieszkający z Finem po sąsiedzku jeszcze dziwniejszy. Zanim dotarłam do antykwariatu, gotowa już byłam uwierzyć, że coś jest nie w porządku. Kiedy Alicja nie mogła powiedzieć mi ani gdzie jest Fin, ani kiedy wróci, postanowiłam nie zostawiać jej książki. Stwierdziłam też, że trzeba sprawdzić, co się dzieje z Finem.

- Wróciłaś więc wieczorem, żeby go poszukać?

- Myślałam, że jesteśmy tu, by odnaleźć Gabriela - zauważyłam, nadal zwracając się do Jesse.

-Ja zadaję pytania, a na podstawie odpowiedzi zdecyduję, ile chcę ci powiedzieć - oświadczyła Pradawna.

Sugerowała, że jeśli odpowiedzi jej nie zadowolą, nic nam nie powie. Jeśli w ogóle cokolwiek wiedziała. Popatrzyłam na Zee, który wzruszył ramionami i rozłożył lekko ręce, dając mi do zrozumienia, że nie ma na Pradawną wpływu.

Miałam do wyboru albo to, albo czekać na telefon od królowej wróżek.

- No dobrze. Wiesz już więc, Jesse, że wróciliśmy z Samem do antykwariatu sprawdzić, czy nie dowiemy się czegoś o Finie. Odkryliśmy, że sklep został zdemolowany przez nie ludzi, jakąś wodną i leśną istotę.

- Na sklep rzucono bardzo silną iluzję - zauważyła Alicja. - Nawet ja nie potrafiłam jej przejrzeć, choć wiedziałam o jej istnieniu. Bałam się, że tuż obok leży ciało mojego wnuka, a ja nic o tym nie wiem.

- Za magię się płaci - rzekł Zee, splatając palce ze starości dłonie na małym brzuszku. - Iluzje nie wymagają aż tylu nakładów mocy, ale osłabiają widzenie i słyszenie, kosztem są zmysły fizyczne. Niewielu Pradawnych ma dobry węch, więc nie wkłada się tyle wysiłku w część dotyczącą zapachu. Na Mercedes magia działa... - Zerknął w moją stronę.

- Dziwacznie, jak zwykle mówię - dokończyłam.
- Dziwacznie. Czasem całkiem zwyczajnie, a czasem prawie wcale. Ale Mercy posiada doskonały nos, który pozwala jej przenikać iluzje. Widziałem, jak przełamywała te nałożone przez Szarych Panów. A osoba, której szukamy, do nich nie należy.
- Na podłodze znaleźliśmy krew Fina, Jesse. Marne szanse, że przeżył, lecz nie znaleźliśmy jego ciała. Zeszliśmy do piwnicy, też była zdemolowana, i wtedy zaatakował nas jeden z nie ludzi, ten, który brał udział w niszczeniu sklepu.
- To ten, który leżał w piwnicy - powiedziała Alicja dziwnym tonem. - Ten, którego ktoś częściowo zjadł...
- Sam ostatnio nie jest sobą, Jesse. Ta istota napadła na mnie, pozbawiła przytomności, a kiedy się ocknęłam, nieczłowiek już nie żył, a Sam...
- Sam - powtórzyła Pradawna miękko i zacisnęła dłonie. - Zee wspominał, że masz przyjaciół wśród wilkołaków. Czy Sam też jest wilkołakiem?
- Sam jest wilkołakiem i moim przyjacielem - powiedziałam, może nieco ostro, ale miałam dość atakowania Samuela - który uratował mi życie, zabijając tego jarzynowego potwora. Nie mam mu absolutnie za złe, że go sobie trochę uszczknął. - Jeśli nawet poruszało to we mnie strunę tabu kanibalistycznego, to odzywała się spuścizna po mojej matce, niemająca nic wspólnego z wilkołakami. Sam nie złamał żadnej wilkołaczej zasady. Zjedzenie ofiary jest lepsze niż zostawienie jej ot tak.

Alicja jednak nie wydawała się urażona moim tonem.

- Samuel Cornick - powiedziała, patrząc na mnie bystro. - Samuel Marrokson, Samuel Branson, Samuel Biały Wilk, Samuel Szybka Stopa, Samuel Mściciel. - Nie pamiętałam, jaki miała wcześniej kolor oczu, ale na pewno nie zielony jak teraz. I nie była to zieleń piwna, w żadnym razie nie była ludzka. Przypominała barwą soczystą zieleń trawy, która ciemniała do granatu i jaśniała.

- To ja - w drzwiach stanął Samuel. Miał na sobie szarą koszulkę i tylko trochę za luźne spodnie. - Witaj, Ari. Wieki minęły - mówił cicho, łagodnie. - Nie wiedziałem, że tak lubisz prawdziwe imiona.

Kiedy na niego popatrzyła, jej źrenice rozszerzyły się, zasłaniając mieniające się barwami tęczę, aż całe jej oczy stały się czarne niczym bezgwiazdne niebo. I wtedy zrzuciła iluzję wyglądu.

Widziałam już pradawne istoty, które zdejmowały z siebie czar pozornego wyglądu. Czasami wyglądało to pięknie, jak wirujące, mieszające się kolory, czasem, podobnie jak u zmiennokształtnych - mgnienie oka i stał przed tobą stwór z czułkami i długimi włosami na rękach.

Tym razem odbyło się to całkiem inaczej. Przypominało krótkie spięcie w urządzeniu elektrycznym. Towarzyszyły temu też podobne odgłosy - ciche trzaski. Na ramieniu, gdzie wcześniej widziałam sweter, pojawiła się naga skóra z niewielką blizną. Potem iluzja swetra wróciła na miejsce, ale zniknął

kawałek, mniej więcej dziesięć na piętnaście centymetrów, ubrania na udzie. To miejsce prawie w całości zajmowała okropna szrama, tak głęboka i sztywna, że źle zagojona tkanka musiała utrudniać Pradawnej chodzenie. Alicja zamaskowała ją i pokazała inne blizny, na twarzy, ręce i szyi. Skóra wokół szram była ciemniejsza niż ta iluzoryczna. Nieszczerólnie osobliwa - kilka tonów ciemniejsza od mojej i jaśniejsza od Darrylowej, za to wydawała się niezwykle miękka. Wszystko to wyglądało tak, jakby rany pokazywały się nam, a raczej Samuelowi, z którego Alicja nie spuszczała oczu.

Jesse ścisnęła mnie za kolano, lecz zachowała spokój, gdy Pradawna podniosła się powoli i zaczęła szybko oddychać, a potem cofała się, póki krzesło nie uderzyło o szafkę za jej plecami. Otworzyła usta, dysząc już ciężko. Uświadomiłam sobie, że jesteśmy właśnie świadkami ataku paniki w wykonaniu pradawnej istoty.

Zee wspominał, że to może być niebezpieczne.

- Ariano - rzekł Samuel głosem przypominającym mruczenie Medei. Nie ruszył się spod drzwi, żeby nie wystraszyć jej bardziej. - Ari, twój ojciec nie żyje, jego bestie też. Jesteś bezpieczna.

- Nie ruszajcie się - ostrzegł nas Zee, nie odrywając wzroku od Pradawnej. - To się może fatalnie skończyć. Mówiłem: żadnych wilków!

- Sam przyszedłem - sprostował Samuel. - Mówiłem kiedyś Arianie, że przyjdę, jeśli kiedykolwiek będzie mnie potrzebowała. To była obietnica i groźba, choć nie chciałem, żeby tak to wtedy zabrzmiało.

Alicja Brewster, którą Samuel znał jako Arianę, zanuciła trzy nuty i zaczęła mówić.

- Dawno, dawno temu, w dalekiej krainie... -snuła opowieść - żyła sobie córka nieczłowieka, która potrafiła zaklinać magię w srebrze i od tego też wzięło się jej imię. W czasach, kiedy Pradawni ginęli od żelaza, a ich magia słabła, bo bezmyślni wyznawcy Jedyne Boga budowali kościoły w ich świętych miejscach, dziewczynę metal kochał, a jej moc kwitła. W ojcu narastała zawiść.

-Jej ojciec był prawdziwym draniem - dodał Samuel, patrząc na pokrytą zmarszczkami twarz kobiety, na której ciele co jakiś czas w różnych miejscach pojawiały się blizny. - Mercy nazwałaby go szczurzym synem. Należał do leśnych istot, posiadał władzę nad bestiami. Gdy ostatni olbrzym, bestia kierowana magią, umarł, pan lasu nie miał już kim władać, stracił swoją moc i z nienawiścią patrzył, jak magia Ariany staje się coraz potężniejsza. Kiedy pradawne istoty straciły ostatecznie możliwość zaklinania magii w przedmiotach, tworzenia takich artefaktów jak twój kostur, Mercy, ona nadal mogła to robić. Nieludzie dowiedzieli się o tym.

- Przyszedł do niej potężny pan - ciągnęła Ariana. Zdawała się nie słuchać Samuela, jednak podjęła w miejscu, gdzie on skończył. - Zażądał, żeby stworzyła dla niego ohydny rzecz, przedmiot, który pochłonie magię jego wrogów i przekaże ją jemu. Odmówiła, lecz jej ojciec przyjął zlecenie i przypieczętował umowę krwią.

Zamilkła i po chwili Samuel przejął opowieść.

- Bił ją, a ona nadal się sprzeciwiała. Jego moc była podobna do tej, którą posiadają królowe wróżek, mógł wpływać na innych. Użyteczna, ale on mógł tylko rządzić bestiami.

- Przemienił więc ją w bestię - głos Ariany odbijał się echem, mimo że moje biuro było tak zagrożone, że nawet wystrzał nie wywołałby echa. Brzmiało to tak niesamowicie, że Jesse przysunęła się do mnie.

Ariana nie patrzyła już na Samuela, ale też trudno powiedzieć, gdzie w ogóle patrzyła. Na pewno nie były to miłe obrazy.

- W tamtym czasie nie ludzie posiadali jeszcze moc na tyle silną, że bez żelaza i stali trudno ich było zabić. - Samuel nie wydawał się zmartwiony stanem Ariany, natomiast Zee bardzo. Powolotku przesunął się z krzesłem, aż znalazł się pomiędzy nami a przerażoną Pradawną. - Wykorzystał swoją moc, by zgotować jej męki. Miał dwa ogary, zaczarowane ogary. Słyszac ich wycie, padały jelenie, a pod ich wzrokiem umierali wystraszeni na śmierć ludzie. Szczęśliwie córka co rano przez godzinę, gdyż wiedział, że jeśli nie przekroczy tego czasu, ona nie umrze. To była część magii psów.

- Złamała się w końcu - powiedziała Ariana chrapliwie. - Złamała się i uległa woli ojca tak, jak ulegały jej jego psy. Spełniała tylko jego rozkazy, tworzyła to, czego pragnął, zaklinając w srebro czary i krew.

- Nie złamałaś się - rzekł Samuel z mocą. - Walczyłaś z nim każdego dnia.

Głos Ariany zmienił się.

- Nie mogła z nim walczyć - warknęła.
- Walczyłaś - powtórzył Samuel. - Walczyłaś, a on wzywał ogary, aż jego magia wyczerpała się, bo robił to zbyt często. Znam tę opowieść z ust kogoś, kto przy tym był, Ariano. Walczyłaś i przerwałaś pracę, zanim przedmiot był gotowy.
- To moja opowieść! - sprzeciwiła się ostro, zwracając czarne oczy na Samuela. - Poddada się. Stworzyła artefakt.
- Prawda jest rzeczą niczyją - powiedział Samuel. - Ojciec Ariany udał się do wiedźmy, bo jego moc przestała mu służyć.
- Jakaś nuta w głosie Samuela kazała mi myśleć, że znał tę wiedźmę i darzył nienawiścią. - Otrzymał zaklęcie, które łączyło czary wiedźmy i jego moc, a zapłacił cenę, jakiej żądała.
- Prawą dłoń - dorzuciła Ariana.
- Samuel odczekał chwilę, lecz kiedy tylko się w niego wpatrywała, kontynuował opowieść.
- Myślę, że chciał znowu wezwać swoje ogary. Ale te, puszczone tak długo samopas, wyzwoliły się spod jego wpływu. Udało mu się przyzwać coś innego.
- Wilkołaki - powiedziawszy to, Ariana odwróciła się od nas i skuliła. Na plecach też miała blizny.
- Zaatakowaliśmy, bo musieliśmy - powiedział Samuel łagodnie. - Jednak mój ojciec był silniejszy, oparł się magii i zabił jej ojca. Przestaliśmy gryźć, ale była ciężko ranna. Człowiek umarłby lub odrodził się jako jeden z nas. Arianie pozostało cierpienie.
- Wyleczyłeś ją - odezwałam się. - Pomogłeś jej wyzdrowieć. Ocaliłeś ją.

Pradawna zachwiała się, Samuel skoczył ku niej i złapał, zanim osunęła się na ziemię. Jej ciało było bezwładne, oczy zamknięte, a blizny znowu ukryte pod iluzoryczną skórą.

- Ocaliłem? - zapytał Samuel, patrząc z uczuciem w jej zamknięte oczy. - Tę bliznę na ramieniu zostawiły moje kły.

Do diaska, pomyślałam. Do diaska, Charles. Znalazłam to. Znalazłam coś, dla czego Samuel będzie chciał żyć.

Samuel przebywał na górze z Adamem, kiedy zadzwoniła do mnie królowa wróżek i powiedziała, czego chce. Zakłęcie Srebra. Samo wspomnienie artefaktu wystarczyło, by oparł się swemu wilkowi, ale to telefon Zee i głos Ariany sprawiły, że do nas wrócił.

- Ocaliłeś ją - powtórzyłam. - I pokochałeś.

- Ale ona nie wiedziała, prawda? - zapytała Jesse, która słuchała historii z wypiekami na twarzy. - Wyleczyłeś ją, zakochała się w tobie, a ty nie mogłeś zdradzić, czym jesteś. Och, to taka romantyczna opowieść!

- Z tragicznym zakończeniem - skrzywił się Zee.

- Czemu tragicznym? - oburzyła się Jesse. Stary nieczłowiek wskazał ręką Samuela.

- A widzisz, żeby żyli długo i szczęśliwie? Samuel przygarnął do siebie Ariane. Dziwny był

to widok, młody mężczyzna tulący kobietę, która mogła być jego babką. Ale Pradawni się nie starzeją. Jej babciny wygląd to tylko iluzja. Blizny były prawdziwe, lecz widziałam, jak na nie patrzył - my-

ślał wtedy jedynie o cierpieniu, którego były pozostałością.

- Nie mówiłabym o zakończeniu - mruknęłam, a Samuel poderwał głowę. - No, póki wszyscy żyją, zawsze można zmienić zakończenie, prawda? Powiem ci coś, Samuelu, czas potrafi leczyć najgorsze rany.
- Czy Ariana wygląda ci na uleczoną? - Jego oczy pobieleły.
- Wszyscy żyjemy - podsumował Zee. - A Ariana jeszcze nie zniknęła, co nadal potrafi. Rzekłbym, że masz szansę.

ROZDZIAŁ 13

Samuel otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej właśnie chwili powieki Ariany uniosły się, ukazując zielone tęczę. Popatrzyła na nas oszołomiona, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Znałam to uczucie.

Samuel, widząc, że się ocknęła, natychmiast postawił ją bardzo, bardzo ostrożnie.

- Wybacz, Ari. Zemdląłeś... Inaczej bym się nie odważył...

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Samuel, syn walijskiego barda, który odziedziczył złote usta po ojcu, jąkał się jak nastolatek.

Ariana chwyciła go za gors i spojrzała zdumiona.

- Samuel?

Cofnął się, lecz tylko tyle, by nie wyszarpnąć jej z rąk swojej koszulki.

- Nie mogę się odsunąć, kiedy mnie trzymasz - powiedział.
- Samuel? - powtórzyła. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że głos Ariany zmienił się w którymś momencie opowiadania. Brzmiał zbyt młodo, jak na kobietę w średnio późnym wieku, której twarz miała. Słysząc też było w nim lekki akcent, jakby brytyjsko-walijskiego bądź pokrewnego języka. - Myślałam... Szukałam cię, ale nie mogłam znaleźć. Zniknąłeś, zostawiłeś mnie bez słowa. Nie wiedziałam nawet, jak się nazywasz.

Odsunął się znowu, tym razem go puściła. Wolny, stanął przy drzwiach prowadzących do warsztatu.

- Jestem wilkołakiem.

Ariana kiwnęła głową i postąpiła ku niemu dwa kroki.

- Zauważyłam to, kiedy zabiłeś ogary, które po mnie przyszły - w jej tonie znalazła się nutka humoru. Dobrze, pomyślałam. Kobieta, której pozwolę mieć Samuela, musi posiadać poczucie humoru. - Zdradziły cię kły... albo ogon. Ponownie mnie ocaliłeś... A potem odszedłeś, a ja znałam tylko twoje pierwsze imię.

- Przestraszyłem cię - rzucił sucho. Uśmiechnęła się lekko, ale zacisnęła dłonie.

- Tak, lecz wygląda na to, że ja ciebie bardziej, bo uciekłeś... Uciekałeś bardzo, bardzo długo, Samuelu.

Odwrócił wzrok... Najbardziej dominujący wilk w Tri-Cities nie mógł spojrzeć Arianie w oczy. Nie

rozumiał, że nawet jeśli ją przestraszył, to nie przestała go pragnąć?

Spróbowała podejść bliżej, ale się zatrzymała. Czułam jej przerażenie, zapach był kwaśny i ostry. Cofnęła się z westchnieniem.

- Dobrze cię znowu zobaczyć, Samuelu. To dzięki tobie jestem cała i żyłam przez te wszystkie wieki po tym, jak ojciec usiłował mnie zniszczyć. To jego ciałem nakarmiły się zwierzęta i rośliny w jego własnym lesie.

Samuel spuścił głowę i rzekł do podłogi:

- Cieszę się, że jest ci lepiej... I przepraszam, że stałem się powodem twojego dzisiejszego ataku paniki. Powinienem był trzymać się z daleka...

- Tak. Te ataki paniki bywają... - Popatrzyła na Zee, który siedział rozparty na krześle ze znużoną miną, jakby ostatnie dziesięć minut oglądał mydlaną operę. - Zraniłam kogoś, Sieboldzie?

- Nie - odrzekł, krzyżując ramiona na piersi. - Wyjawiałaś tylko prawdziwe imiona naszego wilka i opowiedziałaś Mercy oraz Jesse historię Zrodzonego ze Srebra.

Popatrzyła na mnie, potem na Jesse, jakby sprawdzała, czy jesteśmy bardzo przestraszone. Cokolwiek ujrzała, uspokoiła się, bo uśmiechnęła się nieśmiało.

- Och, to dobrze. Dobrze. - Rozluźniła się i znów przeniosła uwagę na Samuela. - Nie miewam ich już tak często. Nie w obecności zwykłych psowatych. Teraz tylko przy pradawnych istotach, czarnych psach i ogarach, wtedy przychodzą. I tylko jeśli poddam się...

- Lękowi? - dokończył Samuel, ale nie potwierdziła. Nie wspomniała także o wilkołakach. - Cieszę się, że twoja moc powróciła. Myślałaś, że ją straciłaś.

Odetchnęła głęboko.

- Tak. I przez jakiś czas byłam zadowolona. - Popatrzyła na mnie. - I to właśnie ma konsekwencje w aktualnej sytuacji. Jesteś przyjaciółką Samuela, Mercedes?

- Tak, oraz partnerką tutejszego Alfya, wilkołaka i ojca tej tu Jesse - nie mogłam powiedzieć jaśniej, że nie należę do Samuela. I tak wyszło zbyt ewidentnie. Widziałam, że informacja o mnie i Samuelu była dla Ariany ważna. - Mieliście... - Tak się zaangażowałam w swatanie, że omal wszystkiego nie popsułam. Ugryzłam się w język i chwyciłam Jesse za rękę.

- Pomóc nam znaleźć Gabriela - dokończyła dziewczynka.

Ariana nie poruszała się już jak człowiek, kiedy złapała krzesło i przyniosła je na miejsce. Jej ruchy przypominały wilcze - pewne, silne i pełne gracji. Nie spojrzawszy na Samuela, usiadła.

- Zapytaj ją o przedmiot, który chce królowa wróżek - poleciłam Jesse.

- Zee mówił, że pragnie Zrodzonego ze Srebra - zaczęła Ariana. - To ten artefakt, który tworzyłam dla ojca, choć nigdy nie działał tak, jak chciał zamawiający. Przez wiele lat myślałam, że tworząc go, zniszczyłam swoją moc. - Przymknęła oczy z uśmiechem. - Żyłam jak śmiertelnik, z tym że bez widma śmierci. Wyszłam za mąż, miałam dzieci... - Zerknęła na Samuela, który patrzył ponad naszymi gło-

wami w okno. Miał kamienną twarz, ale żyłka na szyi pulsowała szybko.

- Niemal wiek minął, zanim połączyłam mój brak magii ze Zrodzonym ze Srebra. - Skrzywiła się ironicznie. - Tak, wiem. Nie posiadałam już mocy, a ostatni przedmiot, który stworzyłam, ją pożerał. Skojarzenie nasuwało się samo, choć wiedziałam tylko, że nie dokończyłam pracy, a nie mogłam przypomnieć sobie, ile zrobiłam, zanim ojciec przyzwał wilkołaki. Po jakimś czasie przestało to mieć dla mnie znaczenie. Stało się tylko niedziałającym przedmiotem. Ktoś go ukradł. I dobrze, pomyślałam. Zostawiłam to tak, a po kilku miesiącach moja moc wróciła. Wtedy dopiero pojęłam, że częściowo mi się udało. Artefakt odbiera nieлюдziom magię, moc tego, kto go posiada.

- To po co królowej wróżek coś takiego? - zapytałam zdumiona i dodałam pospiesznie: - Jak myślisz, Jesse?

- Skoro odbiera moc nieлюдziom, z jego pomocą łatwo zmienić przeciwnika w istotę mniej nawet groźną od człowieka - wyjaśnił Zee. - Człowiek przynajmniej wie, że nie posiada magii. A pojedynki wśród pradawnych istot nadal mają miejsce.

- Albo może po prostu nie rozumie zasady jego działania - podsunęła Ariana. - Może myśli, że jest taki, jak miał być. Że kradnie moc jednemu nieczłowiekowi i oddaje ją innemu. Sama słyszałam legendy o tym artefakcie, ale nigdy ich nie prostowałam. A teraz, skoro odpowiedziałam na twoje py-

tania, mam jedno do ciebie, Mercy. Czy Fin dał ci tę księgę? Już otwierałam buzię, kiedy Jesse drgnęła, zasłaniając mi usta dłonią.

- Lepiej, jeśli mnie będziesz pytała. Mniejsze szanse, że Mercy przypadkiem złamie słowo. - Odsunęła rękę. - Czy Fin dał ci tę księgę?

- Ale co ma z tym wszystkim wspólnego księga?

- Iluzja - rzekł nagle Samuel. - Na wszystkie świętości, Ari, jak zdołałaś tego dokonać? Przemieniłaś artefakt w książkę i dałaś ją wnukowi?

- Jest prawie całkiem człowiekiem - odpowiedziała, nie uciekając spojrzeniem. - Kazałam mu ją trzymać w zamknięciu, żeby nie zabrała jego mocy.

- A jeśliby ją sprzedał? Jesse?

- Został zrodzony z mojej krwi - rzekła Ariana. - Zawsze w końcu znajduje do mnie drogę. Jesse, zapytaj proszę, czy Fin dał Mercy tę książkę?

- Nie. Kupiłabym ją, gdyby było mnie stać... -Przerwałam, bo przygarbiła się i ukryła twarz w dłoniach.

- Przepraszam... Przepraszam... - Ariana łkała i ocierała twarz rękoma. Samuel ruszył ku niej, ale zatrzymał się gwałtownie. Drgnęła lekko. - To wszystko jest... Byłam pewna, że Fin nie żyje, że zabito go z powodu tej książki i że to moja wina. -Otarła oczy. - Zwykle tak nie reaguję, ale Fin jest... Kocham go. Jest taki podobny do mojego syna, którego straciłam dawno, dawno temu. Myślałam, że Fin nie żyje...

- A teraz uważasz, że żyje? - zdziwił się Samuel.
- W ogniu lub śmierci - przypomniała Jesse, łapiąc wszystko w lot jako pierwsza. - Tak mówiła królowa wróżek. Że jeśli zabije Mercy albo jeśli to spala, pokaże się. Ale skoro należy wciąż do Fina...
- Gdyby go zabili, Zrodzony ze Srebra ujawniłby się im - potwierdziła Ariana. - Nie szukaliby dalej.
- Czemu stworzyłaś artefakt w ten sposób? - zaintrygowała się Jesse.
- Nie zrobiłam tego. Jednak magiczne przedmioty... ewoluują, z czasem nabierają nowych mocy. To dlatego, chociaż uważałam, że nie działa, zostawiłam go sobie. Ponieważ, mimo że nie został dokończony, był artefaktem mocy.
- A jak odkryłaś, że... Ach! - domyśliła się Jesse.
- Właśnie. To bardzo stara rzecz i wielu jej właścicieli zakończyło życie na różne sposoby. Ta właściwość dotycząca ognia pojawiła się później. Bardzo spektakularnie - dokończyła Ariana w zamyśleniu.
- Nie jesteś właścicielem artefaktu? - zapytała Jesse.
- Nie mogę nim być, chcąc zachować moc. Jestem tylko jego twórcą. Dlatego nazywa się Zrodzony ze Srebra.
- Ariana to po walijsku srebro. - Samuel usiadł na podłodze i oparł głowę o metalowy regał. Miał za sobą parę ciężkich dni, lecz miała nadzieję, że świadomość, iż budzi w Arianie taki lęk, nie pociągnie go znów na dno morza rozpacz.
- Jesse, zapytaj Arianę, jak możemy znaleźć Gabriela.

- Przynieśliście coś, co należy do tego młodego człowieka?
Jesse wręczyła jej plastikową siatkę.

- To sweter, którym okrył mnie, kiedy zmarłam.

- Fin powiedział, że jego moc polega na wyczuwaniu różnych rzeczy z przedmiotów - przypomniałam sobie. - Na przykład ze starych artefaktów. Psy-chometria.

- Odziedziczył to mnie - kiwnęła głową Ariana. Wyciągnęła sweter i przyłożyła go do twarzy. - Och, to nie zadziała.

- Dlaczego? - zdziwił się Samuel. - To jego, nawet stąd czuję zapach Gabriela.

- Ja nie posługuję się nosem - wyjaśniła Ariana, wpatrując się w ciuch. - Szukam więzi, tych nitek, którymi przywiązujemy się do przedmiotów. -Zwróciła się do Jesse. - Ten sweter więcej znaczy dla ciebie, jest darem miłości, dla Gabriela był zwykłym ubraniem. Z jego pomocą mogłabym odnaleźć ciebie, ale jego nie. - Zawahała się. - Czy on czuje do ciebie to samo?

Jesse zarumieniła się i potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

- Podaj mi rękę.

Ujawszy dłoń dziewczynki, Ariana uśmiechnęła się niczym wilk wietrzący ofiarę.

- O tak, jesteś jak kompas. - Zwróciła się do Zee: - Z nią możemy go znaleźć. Jest tam. - Wskazała na tył warsztatu.

Wsiadliśmy do pikapa Adama, bo samochód Zee nie pomieściłby nas wszystkich. Ariana usiadła z przodu, a Samuel za Zee, po przekątnej, tak daleko od niej, jak się dało w dużym aucie.

Pomruk silnika wywołał na twarzy Zee uśmiech; stary mechanik bardziej niż ja ceniał nowe technologie.

- Adam ma dobry gust - pochwalił.

Poszukiwania Gabriela były frustrujące. Dopiero po dłuższej chwili zorientowaliśmy się, że musimy przedostać się na drugi brzeg rzeki, a drogi nie zawsze prowadziły w kierunku, który wskazywała Ariana. Na szczęście Adam miał w schowku mapę, więc Samuel znajdował objazdy, którymi dojeżdżaliśmy na wyznaczone miejsca.

Wreszcie dotarliśmy na łąkę, do której wiódł bity trakt, nieoznaczony na mapie Adama. Znajdowała się jakąś godzinę drogi od Tri-Cities, jeśli wiedzielibyśmy z wyprzedzeniem, gdzie mamy dojechać. Wokół rozciągało się ogrodzenie, które musieliśmy pokonać. Jakieś dziesięć lat temu w zagrodzie trzymano pewnie bydło, ale teraz słupy były przewrócone, a siatka leżała na ziemi. Samochód zaparkowaliśmy nieopodal ruin chaty.

Ariana zatrzymała się na środku łąki, pomiędzy kępą wiechlin a kilkoma bylicami. Jej strój, spodnie ze streczu i kardigan, nie pasował na włóczenie się po wysokich trawach.

- Tutaj - rzekła zmartwiona.

- Tutaj? - zdumiała się Jesse.

Wykorzystałam postój, żeby powyciągać rzepy ze skarpetek. Gdybym wiedziała, że idziemy na wycieczkę terenową, założyłabym porządne buty i grubszą kurtkę.

- Królowa stworzyła swoją Alfheim - stwierdził Zee trzeźwo.

- To źle? - zapytałam.

- Nawet bardzo. Skoro jest w stanie zbudować dom, to znaczy, że jest silniejsza, niż zakładałem, i ma pewnie większy dwór.

-Jak to możliwe? - zdziwiła się Ariana. - Żeby stworzyć własną krainę, musiałyby mieć dostęp do Podgórza, a wrota do sekretnej krainy już dawno zaginęły. Poza tym Podgórza nigdy nie było tutaj.

Zerknęłam na Zee. Nie mogłam się powstrzymać - byłam w Podgórzu, a potem poprzysięgam milczenie na ten temat.

- Podgórze nie ma konkretnego miejsca - zauważył Zee. - Rezerwat jest rzut beretem stąd. Co prawda większość mieszkających tam ludzi nie należy do tych najpotężniejszych, ale jest nas wielu, więcej niż w spisach rządowych. Takie skupisko to sporo mocy.

Bardzo uważał, żeby nie zdradzić, iż w rezerwacie znajduje się jedna czy dwie drogi do Podgórza.

Ariana wyciągnęła rękę, skierowała ją dłonią w dół i przymknęła oczy.

- Masz rację, Sieboldzie, czuję tu moc podobną do tej z pradawnego miejsca. Zastanawiałam się, czemu nie zabiła Fina, przecież to najprostsze wyj-

ście. Przechytrzyła samą siebie, zabierając go do Alfheim.

- Działa zgodnie z zasadami - wyjaśnił Zee. - Śmiertelnicy zabrani do Alfheim nie mogą zostać zabici bądź silnie zranieni. To część magii, z której zbudowane jest to miejsce.

- Widać Fin jest dla niej zbyt ludzki, by go skrzywdzić - uśmiechnęła się Ariana. - Ciekawe, czy wiedziała o tym, zabierając go do swojej siedziby? A jeśli jest człowiekiem, to nie może, nawet gdyby chciała, wypuścić go wcześniej niż za rok i jeden dzień.

- Czy to oznacza, że nie może też zabić Gabriela? - zapytała Jesse, obejmując się ramionami dla rozgrzewki. - I że jego też nie będziemy mogli uwolnić, zanim minie rok i jeden dzień?

- Owszem, Gabriela również nie może zabić - odpowiedział Samuel. - Ale to nie znaczy, że nie może ich skrzywdzić albo rzucić na nich uroku. Więźniów wróżek można wykraść, odbić siłą lub wymienić.

- Wymienić? Jak w tej piosence, „The devil went down to Georgia”, tylko zamiast diabła jest wróżka? - Wydawało mi się, że słyszałam gdzieś podobną opowieść z wróżką w roli głównej.

- Tak - potwierdził Samuel. - To może być konkurs, zwykle muzyczny, bo wróżki są bardzo muzykalne. Ale słyszałem też historie o zawodach w bieganiu lub pływaniu. Mój ojciec zna wspaniałą, starą pieśń o młodzieńcu, który wyzwiał wróżkę na pojedynek w jedzeniu i wygrał.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytała Jesse.

- Wejść do Alfheim można tylko z królową - odparła Ariana.
- Może uda mi się otworzyć drogę - rzekł Zee. -I chyba dam radę zrobić tak, żeby nie wiedziała. Ale będę musiał tutaj zostać, żeby utrzymać otwarte przejście, i ostrzegam, nie dam rady robić tego bez końca. Będziecie mieć najwyżej godzinę na wyjście. Jeśli przejście się zamknie... Tak jak Podgórzu, w Alfheim czas płynie inaczej. Jeśli przejście się zamknie, a wy nawet zdołacie się wydostać, trudno powiedzieć, ile czasu minie tu do waszego powrotu.

- Dobra - wyrwała się Jesse.

- O nie! - zaprotestowałam. - Ty nie idziesz. -Ja akurat będę tam najbezpieczniejsza z was.

Tylko ja jestem w stu procentach człowiekiem, więc nie mogą mnie zabić.

- Ale mogą sprawić, żebyś zapragnęła śmierci -powiedział Samuel.

- Potrzebujecie mnie, żeby odnaleźć Gabriela. -Zadarła stanowczo brodę. - Idę.

Popatrzyłam pytająco na Arianę, która przyznała Jesse rację.

- Kraina znajduje się pod kontrolą jej twórczyni. Jeśli chcemy szybko odnaleźć i uwolnić tego młodego człowieka, potrzebujemy Jesse.

- W takim razie zadzwonię do Adama i sprowadzę wilki. - Powinnam była wstąpić po drodze do Sylwii i wziąć jakiś przedmiot, żeby Ariana mogła odnaleźć Gabriela. Nie chciałam ściągać na stado Adama więcej kłopotów, ale jeszcze bardziej nie chciałam narażać na niebezpieczeństwo Jesse.

Ariana gwałtownie nabrała powietrza do płuc.

- Przepraszam... Już Samuel... Nie dam rady z obcymi wilkołakami. Gdyby to był tylko lęk, poradziłabym sobie z nim, ale moje ataki paniki mogą być niebezpieczne dla postronnych. Może udałoby im się znaleźć ich beze mnie? - zwróciła się do Zee.

- Nie. Ja muszę zostać tutaj, a oni potrzebują przewodnika. Co więcej, uważam, że sprowadzenie wilków może być błędem. Samuel jest stary i silny, da radę oprzeć się woli królowej, ale reszta... Istnieje zbyt duże ryzyko, że obróci ich przeciwko nam. Jeśli wy, ty lub Jesse, znajdziecie się pod jej wpływem, Ariana lub Samuel mogą was wyprowadzić. Ale nawet jeden wilkołak w takim wypadku oznaczać będzie śmierć.

- Nie martw się, Mercy - uspokajała mnie Jesse. - Umiem się bronić i... Zostałabyś tu, gdyby chodziło o tatę?

-Nie.

- Gotowi? - ponaglił nas Zee.

- Tak - powiedziałam świadoma, że Adam będzie na mnie zły. Jednak Jesse miała rację. Jej groziło najmniejsze niebezpieczeństwo. - Wyciągnijmy ich stamtąd.

- Dobrze - rzekł Zee i bez fanfar oraz teatralnych zagrań zdjął iluzję.

W jednym momencie był żyłastym starcem o okrągłym brzuszku i skórze pokrytej plamami wątrobowymi, a w następnym wysokim, smukłym wojownikiem o skórze ciemnej niczym wilgotna kora. Słońce wydobywało z jego włosów złote re-

fleksy. Jasny, gruby warkocz zwieszał się przez ramię, sięgając poniżej pasa. Kiedy widziałam Zee ostatnio, miał w szpiczastych uszach masę kolczyków i przybrań z kości. Tym razem nie nosił żadnych ozdób.

Dżinsy i kraciasta, flanelowa koszula kłóciły się z tym ciałem, ale leżały dobrze. To oczywiście miało sens, bo przecież to tamten Zee był iluzją, a ten prawdziwy, podobnie jak ubrania.

Prawdziwe oblicze Zee wyglądało niezwykle -piękne, dumne i okrutne. Przypomniałam sobie opowieści o Mrocznym Kowalu z Drontheim. Zee nie należał do tych istot, które sprzątały domy albo ratowały zagubione dzieci. Był jedną z tych, których unikało się za wszelką cenę, a w razie niepowodzenia traktowało z niezwykłym szacunkiem. Posunął się trochę w latach i nie wyrywał już wnętrzości tym, którzy go rozzłoszcili. W każdym razie nic takiego nie widziałam.

- O rany! - zareagowała Jesse. - Jaki ty jesteś piękny! Straszny. Ale piękny.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym powiedział:

- Gabriel mówił o tobie to samo, Jesse Adamstochter. Był to komplement, jak mniemam. - A potem odwrócił się do Ariany. - Będziesz musiała zrzucić iluzję wyglądu. Jedyna, która działa w Alfheim, to ta należąca do królowej. Jeśli ktoś zdejmie z ciebie czar, podniesie się larum, że w krainie są intruzi.

Zacisnęła pięści, popatrzyła na Samuela i odwróciła wzrok.

- Widziałem twoje blizny, Ari. Jestem lekarzem i wilkołakiem. Widziałem je, kiedy jeszcze były świeżymi ranami, blizny mi nie przeszkadzają. Są świadectwem przetrwania.

Podobnie jak Zee nie zawracała sobie głowy efektami specjalnymi. Pozbawiona czaru iluzji skóra miała cieplejszy i nieco jaśniejszy odcień od karnacji Zee. Kontrastowała precudnie z srebrnolawen-dowymi włosami, które w całości były długie na palec i przypominały sterczące pióra. Jesse nosiła taką fryzurkę. Ubranie Ariany też zmieniło się po zrzućeniu złudnej powłoki - na prostą sukienkę do kolan, koloru złamanej bieli, z ogonowym dołem.

Ariana nie odznaczała się klasyczną urodą - jej twarz była na to za bardzo nieludzka. Miała zbyt wielkie oczy i za mały nos. Blizny nie wyglądały tak źle, jak wtedy, gdy widziałam je po raz pierwszy. Wydawały się starsze i mniej wyraźne, choć było ich bardzo dużo.

-Jesteśmy gotowi - rzekł Samuel, patrząc na Ariane niczym wygłodniały wilk, choć spojrzenie to nie miało nic wspólnego z pustym żołądkiem.

Zee sięgnął za głowę i wyjął z za kołnierzyka sztylet z ciemnego metalu, elegancki w zabójczej prostocie. Czy nosił go tam w pochwie, czy też był to rodzaj posiadanej przez niego mocy, w wypadku Zee mogło być tak albo tak. Jednym ruchem naciął przedramię. Przez moment nic się nie działo, a potem na skórze pojawiła się ciemnoczerwona krew. Ukląkł, pozwalając krwi zrosić ziemię.

- Matko - rzekł - wysłuchaj mnie, swojego dziecka.

Przyłożył dłoń zranionej ręki do ziemi i wymieszał krew z pylistą glebą. Potem wyszeptał po niemiecku:

- *Erde, geliebte Mutter, dein Kind ruft. Schmecke mein Blut. Erkenne deine Schöpfung, gewähre Einlass!*

Od magii zakreśliło mnie w nosie, ale poza tym nic się nie stało. Zee podniósł się, przeszedł cztery kroki i przeciął drugie przedramię. Klękawszy, skłonił głowę, a tym razem jego głos pobrzmiwał mocą.

- *Erde mein, lass mich ein.* - Krew spłynęła po skórze przyłożonej do ziemi dłoni. - *Gibst mir Mut!* - krzyknął, przekręcając dłoń i wcierając krew w glebę. - *Trinkst mein Blut. Erkenne mich.* - Oparł się na rękach, które powoli zanurzyły się w ziemi, aż po rany, które sobie zadał. Pochylił się i niemal dotykając ustami ziemi, wyszeptał: - *Öffne Dich.*²

Ziemia pod moimi stopami zadrżała, a pomiędzy miejscem pierwszego upuszczenia krwi a tym, gdzie znajdował się teraz Zee, pojawiła się szczelina.

- *Erde mein* - zawołał. Ziemia zatrzęsała się wzbudzona wibracją jego głosu, który był głębszy i niż-

¹Ziemia, matko ukochana, twoje dziecko zwraca się do ciebie. Skosztuj mojej krwi, rozpoznaj mnie, otwórz przejście, (przyp. red.)

²To mój świat, pozwól mi wejść. Dodaj mi otuchy! Wypij moją krew. Poznaj mnie. Otwórz się. (przyp. red.)

szy, jakby dobywał się z głębokiej pieczary. - *Lass mich ein. Gibst mir Glut.* - Przyłożył czoło do ziemi. - *Trinke mein Blut. Es quillt für Dich hervor. Öffne mir ein Tor!*³

W błysku światła kawał gruntu po prostu zniknął, a w jego miejscu pojawiła dziura i prowadzące w głąb kamienne schody, osiem prosto w dół, a następne skręcały już wzdłuż wewnętrznej ściany. Kilka metrów niżej skrywała je dobywająca się z jamy gęsta mgła.

Zee wyrwał ręce z ziemi. Aż do ramion pokrywała je warstewka gleby, ale nie było już ani ran, ani krwi. W jednej trzymał za to rozjarzony kamień, który podał Arianie.

- Utrzymam przejście około godziny - powiedział. - Ariana za pomocą tego kamienia znajdzie drogę powrotną. Jeśli kamień zacznie gasnąć, oznacza to, że moje siły są na wyczerpaniu i musicie wracać jak najprędzej. Póki przejście pozostaje otwarte, czas w tamtej krainie biegnie równoległe do tego tutaj. Po zamknięciu również będziecie mogli wyjść, ale nie wiem, w jakim momencie się pojawicie.

Samuel zaczął schodzić pierwszy, za nim Ariana. Wskazałam Jesse, żeby szła za nimi, a sama za-

³ To mój świat. Pozwól mi wejść. Daj mi płomień. Wypij moją krew. Ona płynie dla ciebie. Otwórz dla mnie bramę!
(przyp. red.)

mknęłam pochód. Światło dochodzące z góry bledło, aż pogrążyliśmy się w całkowitych ciemnościach. Jesse potknęła się, złapałam ją w ostatniej chwili.

- Połóż rękę na moim ramieniu, Jesse - zaproponowała Ariana.

- A ja poprowadzę cię z drugiej strony - dodałam, kładąc dłoń na barku dziewczynki. - Widzisz coś, Samuelu?

- Teraz już tak, zmierzamy w stronę światła.

„Światło” było określeniem relatywnym, ale rzeczywiście, zaczęłam dostrzegać otoczenie na trzy metry przed sobą. Schody doprowadziły nas do ziemnego tunelu, którego dno pobłyskiwało wielkimi jak pięść kryształami, a niskie sklepienie, sporo za niskie dla Samuela, a także ściany pokrywała masa korzeni.

- Na górze nie było żadnych drzew - zauważyłam. - A nawet jeśli jakieś by rosły, jesteśmy za głęboko, żeby sięgały tu ich korzenie.

-Widocznie do jej dworu należy jakiś leśny pan - wyjaśniła Ariana i sięgnęła ręką ku płatawisku. Korzenie wyciągnęły się, przez chwilę muskając pieszczotliwie palce Pradawnej, a potem wróciły na miejsce.

- A ty do jakich istot należysz, Ariano? - zapytała Jesse. - Też do leśnych? Czy jesteś raczej grem-linem, jak Zee, bo pracujesz z metalem?

- Nie ma takich istot jak Siebold. Jest wyjątkowy, jedyny. Prawie wszyscy Pradawni mogą posługiwać się srebrem w większym lub mniejszym stopniu. Srebro chętnie chłonie naszą magię. Ale masz rację,

mam zaklinaczy żelaza wśród przodków i stal nie stanowi dla mnie zagrożenia.

Mówiliśmy cicho, ale nie z obawy przed odkryciem. W tunelu panowała atmosfera pustki, braku jakiegokolwiek życia poza korzeniami, które szarpały mnie za włosy i przez które się potykałam.

- Nie... - Urwałam, przypominając sobie, że nie mogę mówić o królowej. Czy złamałam już słowo? Czy miało to znaczenie w chwili, gdy szturmowaliśmy fortecę? - Jesse? - Postanowiłam jednak zachować ostrożność. - Nie zaplanowałyśmy w ogóle, jak go uratujemy.

- W Alfheim nie da się niczego zaplanować -stwierdził Samuel. Szedł pochylony, z ręką wyciągniętą do góry, by chronić głowę przed korzeniami. -Taka już specyfika tego miejsca. Ariana doprowadzi nas do swego wnuka i Gabriela, a potem po prostu wyjdziemy, licząc, że nic po drodze nas nie zatrzyma.

- To brzmi tak... prosto - zdziwiłam się.

- Bo może być proste - powiedziała Ariana. -Nie spodziewa się gości, ponieważ niewielu nie ludzi potrafi otworzyć przejście do krainy wrózek. Brańcy nie zwrócą na nas uwagi, są jak automaty wykonujące tylko rozkazy królowej. Możliwe, że uda nam się dotrzeć do Fina i Gabriela, a potem wyjść z nimi, zanim ktokolwiek zda sobie sprawę, że coś jest nie tak.

- A może powinniśmy zabrać... Ariana przyłożyła palce do ust.

- Lepiej nie rozmawiajmy tu o pragnieniach. Przypuszczam, że to mogłaby usłyszeć. I nie. Jest

potężny i nawet jeśli nie działa tak, jak chciałaby królowa, może być bardzo groźny w nieodpowiednich rękach.

- Rozumiem.

- Najlepiej w ogóle na razie nie mówić - rzekł Samuel. - Wyczuwam zapach ludzi.

Gdy o tym wspomniał, również ich poczułam. Zbliżaliśmy się do bardziej uczęszczanych szlaków. Pod nogami było coraz mniej korzeni, aż w końcu zamiast nich pojawiły się kostki brukowe, a sklepienie podniosło tak, że Samuel mógł już iść wyprostowany. Po bokach dostrzegałam otwory innych tuneli.

Zapach wyczułam wcześniej niż Samuel, pewnie dlatego, że kobieta zbliżająca się do nas zjawiała się z tyłu. Zresztą nie miało to znaczenia, bo ledwie zdążyłam się obrócić, a już była przy nas.

Miała na sobie zniszczoną kurtkę i brudne dżinsy, w rękach trzymała wielką deskę do krojenia. Szła prosto na nas, a kiedy usiłowała przejść, odbiła się ode mnie. Potem próbowała obejść, ale też jej się nie udało.

- Trzeba to zabrać do kuchni - wymamrotała, nie podnosząc wzroku. Przeszła z nogi na nogę, nie przestając wpatrywać się w deskę. Jej włosy zwisały w strąkach, a dłonie były brudne. Wokół szyi miała cienką srebrną obrożę. - Do kuchni, dziecko. Do kuchni. Zabierz to do kuchni.

Kiedy się odsunęłam, ruszyła biegiem.

- Nie dba o swoich brańców - obruszyła się Ariana.

- Brańców? - powtórzyła Jesse.

- Niewolników - odpowiedziałam. - Tych, których zabrała wbrew ich woli. Od słowa „brać”.

- Idziemy za nią - popędziła nas Ariana. - Kuchnia musi znajdować się w sercu Alfheim.

Pobiegliśmy za kobietą, mijając po drodze młodego mężczyznę w mundurze policjanta, kobietę w stroju do joggingu i staruszkę niosącą dzbanek parującej herbaty. Wszyscy mieli takie same srebrne obroże i wszyscy poruszali się w niezwykłym skupieniu. Na ziemi zamiast bruku pojawiły się kamienne płyty, a sklepienie znów się podniosło, na kilka metrów ponad nasze głowy.

Kryształy, które oświetlały tunel, znajdowały się teraz w ścianach i zwisały z sufitu na srebrnych linkach, które równie dobrze mogły być pajęczymi niciami. Czymkolwiek były, wystarczały, by utrzymać kryształy. Samuel zahaczał głową o te wiszące niżej, wprawiając je w kołysanie.

Dotarliśmy do kuchni, która wyglądała jak żywcem wyjęta z programu telewizyjnego z lat pięćdziesiątych. Dwie sześciopalnikowe kuchenki w pomieszczeniu większym od mojego spalonego bungalowu. Rozejrzałam się, ale w kuchni nie dostrzegałam ani Donny Reed, ani June Cleaver, ani też Gabriela Sandovala. Lśniące, białe szafki miały dziwaczne, obłe kształty, trzy lodówki ze srebrnymi klamkami były też opatrzone srebrnym napisem marki Frigidaire. Zajęci przygotowywaniem napojów i potraw ludzie w ogóle nie zwrócili na nas uwagi. Kobieta, za którą przyszliśmy, odłożyła deskę na blat i zaczęła napełniać zlew wodą z ręcznej pompy.

- Przepraszam... - Ariana podeszła do mężczyzny mieszającego w garnku coś, co przypominało owsiankę.

- Zamieszaj siedemdziesiąt siedem razy - odezwał się.

- Gdzie trzymani są więźniowie? - zapytał Samuel tonem, jakim potrafią mówić tylko najbardziej dominujące wilki. Jego głos odbił się dziwnym echem od ścian.

Wszelka aktywność w kuchni powoli ustała. Ludzie z obrożami odwracali się jeden po drugim w stronę Samuela. Ostatni oderwał się od swojej czynności człowiek mieszający owsiankę. Wyciągnął łyżkę z garnka i wskazał nią jedno z siedmiu owalnych wyjść. Reszta kolejno wskazała to samo.

- Czterdzieści siedem kroków - rzekł owsiany mieszacz.

- Tunel na prawo - dodał siekacz warzyw.

- Osiemnaście kroków i obrót - powiedziała dziewczyna, która kroїła chleb. - Klucz na haku. Żółte drzwi.

- Nie wolno ich wypuścić - dorzucił chłopiec, może trzynastoletni, który napełniał szklanki wodą z dzbanka.

- Możecie wrócić do pracy - ogłosił Samuel i wszyscy tak właśnie zrobili.

- Brr, to chyba najstraszniejsza rzecz, jaką widziałam - podsumowała Jesse. - Zostawimy ich tu?

- Zabierzemy Fina i Gabriela - powiedziała Ariana. - A potem zgłosimy to Szarym Panom. Już dawno zakazali branek. Jedynie królowa może uwolnić

brańców, a tylko Szarzy Panowie mogą ją do tego zmusić. Tu rządzi niepodzielnie.

- A co, jeśli zaczarowała też Gabriela?

- Nie zrobiła tego - uspokoiła Jesse Ariana. - Obiecała Mercy, a złamanie obietnicy miałyby poważne konsekwencje. Mój Fin posiada ochronę przed takim czarem.

Droga do miejsca, gdzie przetrzymywano więźniów nie była tak okazała jak ta, która biegła do kuchni. Została wyłożona białą ośmiokątną mozaiką, z czarnymi pasami wzdłuż ścian. Po czterdziestu siedmiu krokach tunel rozszerzał się w niewielkie pomieszczenie, na podłodze którego ułożono z płytek skomplikowany ornament celtyckiej plecionki. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się odnogi, w tym jedna prowadząca na prawo.

Tym razem szliśmy po ręcznie heblowanych deskach. Podłoga ugiwała się odrobinę pod najcięższym z nas Samuelem.

- Osiemnaście - oznajmił, stając przed złotymi drzwiami, obok których na haku wisiał stary klucz. Było to pierwsze zamknięte przejście, jakie napotkaliśmy w Alfheim.

Samuel zdjął klucz i przekręcił w zamku.

- Pan doktor? - odezwał się Gabriel. - Co pan tu robi?

- Gabriel! - zawołała Jesse, przepychając się przed Samuelem.

Wilkołak podążył za nią z kluczem w ręku, a my z Arianą za nimi.

Gabriel obejmował Jesse.

- Co wy tu robicie? Was też porwała? Pomieszczenie tonęło w bieli. Białe kamienne

ściany, biały sufit z bezbarwnymi kryształami, które rozjaśniały wnętrze. Biała posadzka była jednym ogromnym blokiem polerowanego marmuru. W celi znajdowały się dwa łóżka zasłane białą pościelą.

Z bieli wyłamywali się jedynie Gabriel i leżący na jednym z łóżek mężczyzna. Wyglądał strasznie, nie poznałabym go, gdyby Ariana nie szepnęła imienia antykwariusza.

Fin usiadł powoli, jakby miał obolałe zębra, a Ariana przypadła do niego, klękając przy łóżku.

- Kim jesteś? - Zmarszczył brwi.

- To ja, babcia Alicja.

Szybko otrząsnął się z zaskoczenia i uśmiechnął.

- Czy ktoś już ci mówił, że w żadnym razie nie wyglądasz na niczyją babkę? Czyli przybyliście nam na ratunek? Jak w starych opowieściach?

- Nie - odezwał się Samuel, stojąc twarzą do drzwi. - To pułapka.

- Witajcie w moim domu - rozległ się znajomy niski głos. - Tak się cieszę, że stawiliście się na wezwanie.

Stojąca w progu celi kobieta była śliczna. Jej włosy barwy ciemnego dymu splecione zostały w skomplikowany warkocz składający się z wielu mniejszych warkoczyków. Spływał aż na podłogę niczym ogon rasowego araba i odcinał się od porcelanowej cery tak samo mocno, jak pąsowe usta.

Królowa wróżek patrzyła na mnie.

- Miło mi gościć cię w moich progach, Mercedes Thompson. Właśnie próbowałam złapać cię na komórkę, więc wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy odkryłam, że już tu jesteś. Ale nie przyniosłaś tego ze sobą.

Królowa wróżek łapiąca mnie na komórkę - obraz niemal mnie rozbawił. Niemal.

Uniosłam brodę. Wykraść, odbić siłą lub wymienić.

- Potrafię się trochę targować. Gdybym to tu przyniosła, zabawa by się skończyła.

Uśmiechnęła się, a jej srebrnoszare oczy pocieplały.

- Ależ jak najbardziej, zabawmy się.

ROZDZIAŁ 14

Ale to nieodpowiednie miejsce do targów. Chodźcie za mną.

Ariana wzięła na ręce Fina, Samuel spojrział na Gabriela.

- Nic mi nie jest, doktorze - odparł chłopak. Zerknął na Ariane, potem na mnie. - Wilkołaczyca? - zapytał bezgłośnie.

- Nie - zaprzeczył Samuel. - Tylko ja. Ariana jest Pradawną.

Gabriel gwałtownie obrócił głowę.

- Pan jest... - I zaraz jego twarz się rozjaśniła. - Ach, to wiele wyjaśnia... Śnieżek?

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy? - uśmiechnął się Samuel.

- To z Finem jest kiepsko. Lepiej niż tydzień temu, ale i tak fatalnie.

Już otwierałam usta, lecz uznałam, że dla Gabriela nie ma znaczenia, iż na świecie minął dopie-

ro jeden dzień, a jeśli nie uda nam się dotrzeć do przejścia, zanim Zee pozwoli mu się zamknąć, tym bardziej nie będzie się to dla nikogo liczyło.

- Idziecie? - dobiegł nas zza progu głos królowej wróżek.

Ariana kiwnęła na Samuela, który ruszył do drzwi. Potem pomieszczenie opuściła ona, a następnie ponaglieni moim gestem Jesse i Gabriel. Nabrałam powietrza głęboko do płuc, jak zwykle robi się to przed dużym wysiłkiem i... poczułam w tym kamiennym pomieszczeniu zapach ziemi i roślin.

W Alfheim działają jedynie iluzje królowej, powiedział Zee. Idąc tunelami w ślad za nią, słuchałam pilnie swojego nosa.

Pytanie tylko, myślałam, niuchając intensywnie i usiłując oddzielić wonie prawdziwe od tych należących do ułudy, czy odkrycie, że coś, co wygląda jak korytarz, zachowuje się jak korytarz, jest postrzegane jak korytarz, korytarzem nie jest, w ogóle jest istotne?

Ciekawość to mój grzech prawie główny. Stopniowo zapachy gleby, soków z uszkodzonego drzewa i coś, co przypominało smutek, stawały się wyraźniejsze. Spojrzałam do góry na wiszące światelka -teraz zamiast kryształów zobaczyłam rozjarzone kamienie, podobne do tego, który dał nam Zee, i wisiały nie na srebrnych nitkach, a korzeniach drzew. Zamrugałam i kryształy powróciły, ale nie wierzyłam już, że tam są, więc zniknęły.

Potknęłam się. Pod stopami ujrzałam na moment korzeń sterczący z miękkiej ziemi, a potem obraz

znów zastąpiła biała mozaika, płaska, równa, na której nie było o co się potknąć.

- Wszystko okej, Mercy? - zaniepokoiła się Jesse. Królowa odwróciła się, a jej twarz, choć nadal

piękna, wyglądała inaczej niż kilka minut temu. Wydłużona, a takich rzes nie mógł mieć żaden człowiek, jeśli ich sobie nie dokleił. Z ramion sterczały przejrzyste, wąskie skrzydełka, jak u ważki. Były zbyt małe, by unieść ciało królowej bez pomocy magii.

- Tak, tak - pospieszyłam z odpowiedzią. Długa, srebrna szata pozostała, z tą różnicą, że

teraz na obrzeżach dołu oraz rękawów widniały brązowe plamy, jak od zakrzepłej krwi. Naszyjnik, wcześniej lśniący, srebrzysty, wysadzany brylantami, okazał się ciemnym metalem, w którym osadzono nieoszlifowane kamienie.

Widok sali, do której nas zaprowadziła, wywoływał ogromne wrażenie, nawet jeśli tylko ostentacją dekoracji. Na białej marmurowej posadzce, poznaczonej srebrzystymi żyłkami, wznosiły się zielone jadeitowe kolumny wspierające sklepienie godne katedry Notre Dame. Z białego marmuru wyrastały srebrne drzewa o jadeitowych listkach, które drżały dotykane nieistniejącym wietrzykiem. Stykając się, dźwięczały perliście. Wokół rozstawiono wspaniałe ławy, rzeźbione jak szachy w ciemnym i jasnym drewnie. Siedzieli na nich piękne kobiety i piękni mężczyźni, którzy odwrócili głowy, kiedy weszliśmy.

Na samym końcu pomieszczenia znajdowało się podwyższenie ze srebrnym, filigranowym tronem wysadzonym zielonymi i czerwonymi klejno-

tami wielkimi jak pomarańcze. Przy tronie zwinięty w kłębek leżał kot, który przypominał geparda, dopóki nie uniósł łba i nie pokazał wielkich uszu. Serwał, pomyślałam, albo jakiś średni afrykański drapieżnik. Dziwne, bo nie czułam zapachu kota -pomieszczenie wypełniał zapach próchniejącego drewna i śmierci.

I nagle sala, do której wchodziłam, przestała być salą.

Nie sądziłam, że w tej części kraju znajdują się jakieś jaskinie. Było kilka pieczar wykutych w bazalcie przez winiarzy, którzy potrzebowali dojrze-walni win.

Większość kontynentu leży na skałach magmowych, w których występują tunele lawowe, ale nie jaskinie krasowe, takie jak w Carlsbad. Pewnie magia, w każdym razie ta silna, nie zwraca uwagi na geologię, bo znajdowaliśmy się w pieczarze, z tym że nie skalnej, a ziemnej.

Alfheim tworzone są przy pomocy magii, lecz ciekawa byłam, czy to królowa wydrążyła pieczarę. Ariana na widok korzeni w tunelu wspomniała, że jednym z członków dworu musi być leśny pan. Rozglądając się, stwierdziłam, że chyba ma rację.

Podłoga została upleciona z korzeni drzew - musiałam uważnie patrzeć pod nogi, żeby nie potknąć się i znów nie przyciągnąć uwagi. Tron pozostał jedyną rzeczą w pomieszczeniu, która nie zmieniła się, gdy przejrzałam iluzję. Kolumny okazały się grubymi korzeniami, wiszącymi z sufitu lub sterczącymi z ziemi jak żywe stalaktyty i stalagmity. Ławki ufor-

mowano z żywego drzewa, nie były tak gładkie jak przykryte ułudą królowej, a dużo piękniejsze.

Większości istot nie dało się nazwać pięknymi, choć jeśli nie było się przywiązaniem do ludzkiego kanonu piękna, kilka mogło przyciągać wzrok. Nie wyglądali na damy i wielkich panów - Ariana i królowa miały najbardziej człowieczy wygląd, a i tak żadna z nich nie weszłaby do sklepu, nie zwracając na siebie uwagi.

Nie traciłam jednak więcej czasu na przyglądanie się dworowi. Moją uwagę przykuło stworzenie leżące za tronem. Ogromne, spoczywało nieruchomo, niczym pień wielkiej sekwoi powalony toporem drwala. Miało też korę oraz zielone igły, ale poza tym czworo oczu wielkich niczym talerze i świecących jak czerwone latarnie. Stwór był skuty okowami skrzącymi się magią. Nie miałam pojęcia, jak wygląda władca lasu, ale stawiałabym na tę istotę.

Obok tronu stała kobieta w średnim wieku o rysach i karnacji wskazujących na pochodzenie śródziemnomorskie - mogła być Greczynką, Włoszką lub Turczynką. Miała srebrną obrozę, podobnie jak brańcy, oprócz tego przykuto ją do tronu. Nos powiedział mi, że poza ludźmi, pradawnymi stworzeniami i umierającym panem lasu znajduje się tu też wiedźma. Stało się jasne, że w przypadku tak groźnej osoby królowa zastosowała dodatkowe środki bezpieczeństwa poza obrozą.

Określenie „wiedźma” jest pojemne, zalicza się do tej grupy różne istoty. Najspokojniejsze z nich to ludzie-wikanie. Niektórzy posiadają nawet iskrę ma-

gii, która wzbogaca ich wiarę, ale nie na tyle silną, by przyciągnąć większe, groźniejsze stwory.

Są także białe wiedźmy, urodzone w wiedźmich rodach istoty, które nie chcą krzywdzić innych. Podobnie jak wikanie, białe wiedźmy nie są tak potężne, bo wiedźmy czerpią moc ze śmierci, cierpienia i składania ofiar.

Większość wiedźm o liczącej się mocy to czarne wiedźmy. Otacza je zapach ich mocy, u niektórych silniejszy, u niektórych słabszy. Są wśród nich czarownice, które unikają czynienia prawdziwego zła. Należy do nich Elizawieta Arkadiwna, świadcząca usługi dla stada. Jest bardzo potężna nawet w porównaniu do czarnych wiedźm. Z tego, co wiedziałam, unikanie czynienia zła jest trudne, czasochłonne i wymaga od czarownicy dużo większego doświadczenia niż używanie czarnej magii od wiedźmy. Łatwiej jest wykorzystywać do magii cierpienie innych, a rezultaty są łatwiejsze do przewidzenia.

Wiedźmę - a coraz silniejszy zapach upewniał mnie, że dobrze zgadłam jej przynależność - otaczała woń najczarniejszej magii. W okolicy, gdzie mieszkała, dochodziło z pewnością do częstych zaginięć zwierząt, dzieci, a czasem nawet bezdomnych dorosłych. Gotowa byłam się założyć, że żelazne okowy więżące władcę lasu należą do niej.

Sala, taka, jaką widzieli inni, mimo że wysoka, nie była strasznie wielka. Pieczara pozbawiona iluzji przewyższała ją rozmiarami, lecz większość zajmował leśny pan. Szybko dotarliśmy do podwyższenia.

Królowa wróżek usiadła na tronie i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać swoją wiedźmę, którą ten gest nieszczególnie zachwyił. Skrzydełka królowej złożyły się, umożliwiając oparcie.

Zamachała rzesami, aż zafurkotało. Teraz, widząc ją twarzą w twarz, zauważyłam, jak dziwne miała oczy. Patrzyła, patrzyła bez mrugania, a potem nagle mrugała kilka razy szybko. Trudno było się temu przyglądać.

-Jesse, powiedz mi, jak się nazywasz - zwróciła się do dziewczynki.

-Jessica Tamarinda Hauptman - odparła Jesse zmienionym głosem.

-Jessica - powtórzyła królowa wróżek. - Piękne imię. Usiądź przy mnie, Jessico, tu, u mych stóp. -Kiedy Jesse wypełniła prośbę, Pradawna spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i pogładziła dziewczynkę po głowie. Jesse podobało się to chyba bardziej niż wiedźmie.

-Już jest w połowie moja - rzekła. - Ten twój chłopak, Gabriel, też. Prawda?

- Tak, moja królowo - mruknął napiętym głosem.

- Nie założyłam mu obroży ze względu na nasz układ, Mercedes Thompson, lecz ludzie w mojej obecności, jeśli nie wytłumię magii, należą do mnie. Niemądrze z twojej strony, że przyprowadziłaś mi jeszcze jednego. - Pogłaskała Jesse jeszcze raz i rozsiadła się wygodniej. - Ale nie tylko człowieka przyprowadziłaś do Alfheim. Powiedz mi, Mercedes, jakim cudem zdołałaś zabrać nie tylko nieczłowieka, ale też wilkołaka, skoro miałaś nic im nie mówić?

- Nagrałam naszą rozmowę na dyktafon - podałam skróconą wersję.

- Ach tak... - Skrzywiła się, jakby zjadła cytrynę, ale nie pociągnęła tematu. - A więc, Mercedes Thompson, chcesz dobić targu. - Uśmiechnęła się zimno. - Chcesz wymienić Zrodzonego ze Srebra na swoje życie?

Ariana rzuciła mi ostre spojrzenie, ale wiedziałam, jak słuchać. Jeszcze zanim przeczytałam książkę Fina, zdawałam sobie sprawę, że układów z nieлюдźmi zwykle żałuje się już tego samego dnia. Gdybym nie była ostrożna, mogłabym wymienić księgę za moje życie i niemal natychmiast zapragnąć śmierci. Na przykład zostawiając towarzyszy w tej krainie.

- No, nie wiem... - rzekłam, kręcąc się niespokojnie pod ciężarem wzroku królowej wrózek.

Zagryzłam zęby na wnętrzu wargi, aż zaczęła krwawić. Bolało, bo ludzkie zęby są zbyt tępe, żeby łatwo przeciąć skórę.

- Samuelu - powiedziałam - przydałby mi się pocałunek dla dodania odwagi i jasności umysłu, co ty na to, ukochany?

Samuel odwrócił się do mnie zaskoczony - pocałunek to pewnie ostatnia rzecz, która przyszlaby mu w tej chwili do głowy. Musiałam wspiąć się na palce i niemal wspiąć na niego, żeby dostać się do jego ust. Przycisnęłam swoje, półotwarte, starając się uzbierać w nich tyle krwi, ile się dało. Prawie natychmiast zorientował się, o co mi chodzi, i zaczął brać czynny udział w moim planie. Na koniec

po raz ostatni oblizał moją wargę i odstawił mnie delikatnie na ziemię.

Liczyłam, że krew zadziała tak jak w antykwariacie. Trudno było ocenić to po reakcji Samuela, uznałam jednak, że się udało. Może nie miało to znaczenia, ale poza moim pistoletem i tym, który Jesse trzymała na plecach, Samuel był naszym najlepszym orężem w walce z Pradawnymi. Może nawet lepszym od gnatów, bo trudniej go powstrzymać. Nie zaszkodziło, żeby wiedział, kim tak naprawdę są nasi przeciwnicy.

- Cóż za czułości! - podsumowała królowa, znudzona. - Już? Nabrałaś odwagi i rozjaśniło ci się w głowie na tyle, byś mi dała Zrodzonego ze Srebra?

- Tak, ale nie będziemy zawierać żadnych układów - starałam się mówić tak, żeby nie zauważyła krwi w moich ustach. - To będzie zwykła wymiana. I jeśli w ogóle, to pod warunkiem że pozwolisz odejść moim towarzyszom. Tylko gwarancja ich bezpiecznego odejścia interesuje mnie jako część targu.

-Targu, mówisz? Grasz na jakimś instrumencie?

Z pianinem żywiliśmy do siebie obopólną nienawiść. Moich działań przy użyciu klawiszy nigdy nie nazwałabym graniem, podobnie zresztą jak mój nauczyciel.

-Nie.

- W takim razie coś innego. Utrzymasz coś, co wybiorę, a co będzie się zmieniało. Za każdą zmianą wypuszczę jednego z twoich towarzyszy.

Pstryknęła palcami i wiedźma wymruczała coś do siebie, a wróżka najbliżej nas - niska, filigranowa

istota o brzoskwiowej skórze i zielono-różowych włosach, stanęła w płomieniach. Nie była to ułuda, bo pomieszczenie się nie zmieniło. Płomienie okazały się prawdziwe, choć nie wyrządzały Pradawnej krzywdy.

- Mercedes nie może dotykać płomieni i przeżyć - rzekła Ariana. Nie patrzyła na Samuela i na mnie od naszego pocałunku. Nie wiedziałam: podejrzewa, że coś jest na rzeczy, a może raczej zastanawia się, czy jesteśmy kochankami? - To łamię podstawowe zasady umowy. Musisz wybrać coś, co jest możliwe, choć mało prawdopodobne do wykonania przez rywala.

- Dobrze. Skoro jesteś tak dokładna, Srebro, ty możesz stawać do zawodów. - Królowa roześmiała się, a korzenie na stropie skrzyły się, gdy srebrzyste nuty odbiły się echem po pieczarze.

- Od początku wiedziałam, kim jesteś, droga Srebro, jak mogłoby być inaczej? Czy poza tobą jest jeszcze ktoś, kto postanowił żyć, mimo że został tak oszpecony przez kły ogarów i wilkołaków? Nie. Jedynie Srebro. Możesz zająć miejsce Mercedes, prawie-człowieka, inaczej ją zabiję. Jest w niej mniej ludzkiej krwi niż w twoim Finie i dlatego nie podlega prawu gościnności w Alfheim.

Ariana zdawała się być głucha na drwiny królowej. Kiedy ta skończyła swoją tyradę, Ariana rzekła wyraźnie:

- Utrzymam tę istotę, która będzie się zmieniała. Pierwsza forma to ogień, po każdej jednej zmianie jeden z moich towarzyszy zostanie uwolniony.

Zmieni się jeszcze pięć razy, co trzy minuty, a jeśli mi się uda, wyjdziemy stąd wszyscy. Jeśli nie, odejdzie jedno na każdą formę, którą utrzymam - mówiąc, postawiła Fina obok Gabriela, który mimo że znajdował się pod wpływem uroku królowej, położył dłoń na ramieniu antykwariusza, żeby go podtrzymać.

- Cztery razy - poprawiła królowa. - Pięć zmian. Nie wypuszczę Mercedes Thompson, która przetrzymuje Zrodzonego ze Srebra.

- W porządku - upewniłam Arianę. - Poradzę sobie. Możesz zapytać, kogo chcesz. Lepiej będzie mi się układać z królową, gdy będziecie już bezpieczni.

- Sześć form - upierała się Ariana. - Jedna za jedną osobę. Tak mówią zasady. Umowa wymaga próby na każdego więźnia ratowanego od zguby.

Rym taki sobie, ale pewnie w zasadach wróżek nie chodziło o poezję.

Oczy królowej pociemniały z irytacji. Trudno było mi na nią patrzeć i nie mrugać tak szybko, jak ona.

- Zgoda - syknęła. - Ale próba o Mercedes będzie ostatnia, twój wnuk wcześniej.

- W takim razie w kolejności Fin, Jesse, Gabriel, Ariana, ja i Mercedes - zdecydował Samuel.

- Fin, Ariana, potem reszta, na końcu Mercedes - sprzeciwiła się królowa.

Zaproponowała taką kolejność, sądząc, że uwolniwszy wnuka i siebie, Ariana straci motywację do dalszych zadań, które będą coraz trudniejsze.

Samuel nie ustąpił.

- Fin, Jesse, Gabriel, Ariana, ja i Mercedes.

- Zaczynam się nudzić - prychnęła królowa. -Dobrze. Umowa przypieczętowana.

Ariana rzuciła Samuelowi krzywe spojrzenie, pewnie dlatego, że umieścił ją przed sobą. Zgadzałam się z nim w pełnej rozciągłości. Najpierw najslabsi, potem ci, którzy potrafią się sami obronić. A to stawiało Arianę przed Samuelem.

- Umowa przyjęta - potwierdziła Ariana. Podeszła do płonącej istoty i wzięła ją w objęcia. Natychmiast w płomieniach stanęły jej włosy i ubranie, a wszystko, co nie było palące, spadło na ziemię, łącznie z kamieniem od Zee, którego poświęcała nieomal nie odznaczała się od blasku ognia.

- Ma władzę nad żywiołami ziemi, powietrza, ognia i wody - wyjaśnił Samuel. Gdybym go nie znała, mogłabym pomyśleć, że to, co się dzieje, jest mu całkiem obojętne. - To dlatego ma tak potężną moc, mimo że Podgórze jest poza zasięgiem. Magia ognia nie wyrządzi Arianie krzywdy.

Królowa zaczęła szeptać coś do wiedźmy, a gdy skończyła, wiedźma wstała, trzymając w ręku sztylet. Uniosła swoje łańcuchy, przeszła tak daleko, na ile jej pozwalały, czyli do władcy lasu. Wbiła sztylet w korowatą skórę stworzenia, które ryknęło i zatrzęsło się. Po ostrzu spłynął bursztynowy sok. Podłoga zadrżała pod moimi stopami, a korzenie na suficie skurczyły się i skręciły.

Samuel złapał mnie za łokieć, żebym nie straciła równowagi, stąd wiedziałam, że sztuczka z krwią

zadziałała. Przejrzał iluzję, widział wszystko, z czym naprawdę mieliśmy do czynienia.

Wiedźma oblizła sztylet, zanurzyła palec w ranie drzewnej istoty, a potem nakreśliła nim w powietrzu znaki, które zawisły rozjarzone ohydną żółcią. Wtedy podniosła koszulę, odsłaniając brzuch, złapała znaki i przyłożyła je do nagiej skóry. Skończywszy, wróciła na miejsce, usiadła i zabrała się do dokładnego czyszczenia ostrza językiem. Podchwyciwszy moje spojrzenie, uśmiechnęła się.

Może nie wiedziała o iluzji albo myślała, że boję się kotów. Jedno było pewne, zdawała sobie sprawę, że się jej boję. A ja żałowałam, że nie wiem, co zrobiła.

Cokolwiek uczyniła, raczej nie zrobiła tego, by nam pomóc. A potrzebowaliśmy pomocy. Trzy minuty razy sześć to osiemnaście, a Zee i tak już dość długo utrzymywał portal. Plus te osiemnaście minut może spowodować, że przekroczymy godzinę, którą nam obiecał. Królowa nie musiała mieć przejścia, by wypuszczać swoich więźniów, ale gwarantowało ono zachowanie równoległego czasu.

Wreszcie czas pierwszej próby się skończył i istota, którą trzymała Ariana, zmieniła się w lód. Trzy minuty to sporo, żeby utrzymać wielki kawał lodu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Ariana przyciska go do siebie, zamiast starać się odsunąć. Szczególnie że jej ubranie spłonęło i lód przywierał do nagiej skóry.

- Ciało przy ciele, pamiętaj - przypomniała królowa zrzędlawie, wyraźnie licząc, że Ariana się cofnie.

Wśród pozostałych Pradawnych podnosiły się ciche komentarze na temat blizn Ariany. Jakie to są ohydne i jak nie wstydy się ich pokazywać. Pomyślałam, że drwiny są celową zagrywką, wywołaną podszeptem królowej, ale jeśli tak, nie zrobiły na Arianie wrażenia.

Po trzech minutach Jesse odzyskała wolność, a istota w objęciach Ariany przemieniła się w dym. Ariana jednak zdawała się być na to gotowa, bo zanim dym zaczął się rozwiewać, zdarła płaszcz z najbliższego nieczłowieka i zarzuciła go na siebie i dymną wróżkę. Potem dotknęła płaszcz zimną dłonią, powlekając go warstwą lodu, więżąc dym wewnątrz.

Ukradkiem potoczyłam wzrokiem po obecnych członkach dworu. Gdy wchodziliśmy, było ich kilku, natomiast później dołączyło do nich więcej istot, najwyraźniej przyzwanych przez królową. Wszystkich ich naliczyłam teraz dwadzieścia osiem bez leśnego pana, który raczej nie zaliczał się do popleczników królowej.

Przyjrzałam się ich twarzom. Były mniej... puste niż te brańców, ale podejrzewałam, że dwór także nie składa się z całkiem wolnych istot. Może to dlatego, że wszystkie dwadzieścia osiem par oczu wpatrywało się we wróżkę z takim głodem, jakby wyczekiwali na jakiekolwiek zadanie, rozkaz, cokolwiek, co mogliby zrobić dla ukochanej królowej, którą tak czcili. Bywałam wśród nie ludzi. Nie widywało się nawet trójki wpatrzonych w kogoś naraz, a co dopiero dwudziestki ósemki.

- Spójrz na blizny, które zostawił jej ojciec - rzekła jedna z istot.

- Jak ona może tak żyć. Wygląda, jakby przeżyła ją bestie - przytaknęła druga.

- Nie znasz tej historii? - zdziwiła się trzecia. Wszystkie przeniosły wzrok na Arianę i trzecia z istot podjęła: - Ojciec przez trzy lata co rano szczuł ją swoimi ogarami.

Ariana zacisnęła usta na wspomnienie tamtych chwil. Trzy minuty minęły i wykupiła wolność Gabrielowi.

Postać pod płaszczem zaczęła rosnać i Ariana rzuciła okrycie na ziemię. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co jest próbą. Istota zmieniła się w inną, wielkiego mężczyznę o niemal ludzkiej twarzy. Jego skóra miała kolor i fakturę kory brzozy, gdzieś gładkiej i białej, miejscami ciemnej, chropowatej. Twarz otaczały włosy przypominające strzępy kory. Nie był wyjątkowo straszny czy obrzydliwy, a jednak Ariana zaczęła się trząść.

Samuel zeszywniał, a w jego gardle narodził się warkot.

- Witaj, moja córko - rzekła istota o korowej skórze. Nagle przeszła na walijski. Akcent był tak silny, że nie rozumiałam, co mówi. Uniósł ramię pozbawione dłoni i pogładził Arianę po głowie.

Ojciec Ariany był władcą lasu, lecz wyglądał inaczej niż ten więziony przez królową.

Wróżka wykorzystała swój dwór, by osłabić ducha Ariany, przypominając, co uczynił jej ojciec. Ale nie doceniła Ariany, która nie zamierzała poddać się

tak łatwo. Pradawna tylko wzmocniła uścisk, przyciągając mężczyznę do siebie.

Walijski w wykonaniu Samuela mogłam zrozumieć - nie mówił przez telefon, słowa wypowiadał powoli, a treść była prosta.

- Nie może przyzwać ogarów, Ari, moja maleńka. Nie bój się. One nie żyją. Zająłem się tym. On nie jest prawdziwy, to ułuda. Królowa wróżek nie posiada takiej mocy, by go sprowadzić. Mój ojciec go zabił. Ja zabiłem ogary, nigdy już nie wrócą.

W ten sposób, powtarzając cierpliwie zdania niczym refren, dał Arianie możliwość skupienia się na innym głosie niż wstrętnym głosie jej ojca.

Spoglądałam w oblicze wiedźmy i nie byłam tak pewna, jak Samuel, że ojciec Ariany nie jest prawdziwy. Wiedźmy potrafiły robić straszne rzeczy. Pierwsze trzy przemiany - ogień, lód i dym - pachniały mi magią Pradawnych. Ta jednak, poza zapachem samego leśnego pana, niosła ze sobą odór czarnej magii, wiedźmiej magii, a wiedźmy potrafią wskrzeszać umarłych.

Przez trzy minuty Ariana tuliła w objęciach ojca, który zadawał jej cierpienia przyprawiające o utratę zmysłów. Wreszcie czwarta tura skończyła się i Ariana mogła odejść wolna z Alfheim, zostawiając mnie i Samuela. Była jednak silniejsza. Gdy więc jej ojciec zmienił się w warczącego wilkołaka, bardziej niż trochę podobnego do Samuela, opadła na kolana, przygarniając bestię do siebie, i zapatrzyła się na Samuela. Jej oczy poczerniały, twarz zmieniła się

w kamienną maskę, ale nie puszczała, wypowiadając bezgłośnie jedno słowo i powtarzając je w kółko - imię Samuela.

Samuel także uklęknął, jego oczy pojaśniały i zapłonęła w nich dzikość.

- Nie tutaj! - teraz ja musiałam mówić do niego. -Nie możesz się tutaj zmienić, Samuelu. Musisz ją stąd wyprowadzić razem z Finem i dzieciakami. Ty musisz to zrobić, bo po czymś takim ona nie będzie w stanie zrobić czegokolwiek. Trzymaj się.

Nie da rady mnie uwolnić... Najpierw ojciec, potem wilkołak, podejrzewałam, jaką postać królowa przygotowała na próbę za mnie, aby nie dopuścić do wygranej.

Ta, która przyjęła postać Dafne, uważała mnie za prawowitą właścicielkę Zrodzonego ze Srebra. Zakładała, że wraz z wypuszczeniem Gabriela nasz układ przestaje obowiązywać. Najwyraźniej nie byłam na tyle człowiekiem, by odnosiły się do mnie zasady wróżkowej krainy zabraniające królowej zabijania ludzi. Jej plan polegał na zabiciu mnie i zdobyciu księgi.

Plan całkiem dobry, gdyby nie jedno - Zrodzony ze Srebra nie należał do mnie, tylko do Fina. Zabijając mnie, ściągnie sobie na głowę morze kłopotów, a ja musiałam ją o tym przekonać, gdy tylko wypuści pozostałych. Będę musiała wytrzymać, aż Adam po mnie przyjdzie.

Oczywiście, jeśli Arianie uda się utrzymać kolejny kształt, będzie mi dużo łatwiej.

Ariana obejmowała wilkołaka całe trzy minuty, po których ten się przemienił. Ogar wyglądał jak gigantyczny beagle, biały w brązowe łaty, zwisające okrągłe uszy, z tą różnicą, że nie miał tak przyjaznej mordki, jak zwykle beagle.

Ariana spojrzała na ogara, jej ręce oplatały szyję psa, którego trzymała na kolanach. Przez moment nic się nie działo i już rozblęśla we mnie iskierka nadziei. Nie chciałam zostać sam na sam z królową wrózek, która pragnęła mnie zabić.

Nagle Ariana odtoczyła się od ogara, który prawdopodobnie wyglądał jak te z jej koszmaru, i zwinęła się na podłodze w pozycji embrionalnej. Otworzyła usta do krzyku, lecz z jej ściśniętego przerażeniem gardła nie dobył się żaden dźwięk. Samuel podniósł ją, gruchając uspokajająco, choć nie mówił niczego konkretnego. Nie zapomniał jednak o prawdziwym zagrożeniu i nie spuszczał oczu z królowej.

- Pięcioro - rzekła ta nieco kwaśno. - Myślałam, że uda mi się zatrzymać także i ciebie, wilku, ale jest silniejsza, niż podejrzewałam.

Samuel wyszczerzył groźnie zęby.

Dostrzegłam, że kamień Zee, leżący prawie pod brzuchem wpatzonego w Arianę ogara, zaczyna migotać.

- Samuelu, Zee czeka. Zabierz dzieci i Fina do... -A szczególnie Fina. Wróżka, która ma na swoje rozkazy wiedźmę czerpiącą magię z cierpienia żywych istot, jest groźna i bez kolejnego artefaktu mocy. Najważniejsze teraz było zabrać stąd Fina, żeby kró-

Iowa wróżek nie miała możliwości zdobycia Zrodzonego ze Srebra. - Zabierz ich i wynoś się.

- Możesz mi pomóc? - zapytał Fin Gabriela. Wiedział, co jest dla nas ważne.

Przez moment nic się nie działo, lecz gdy królowa nie zaprotestowała, chłopiec wykonał prośbę antykwariusza.

- Ty - wróżka wskazała jednego z członków dworu - zabierz ich na Zewnątrz i puść wolno. Będziesz niósł ludzkiego mężczyznę. - Popatrzyła na Jesse i Gabriela. - Idźcie, dzieci, a gdy opuścicie Alfheim, bądźcie tacy, jak byliście.

Nieczłowiek, któremu wydała polecenie, skłonił się głęboko i wziął na ręce Fina z taką samą łatwością jak przedtem Ariana. Nie wszyscy nieładzie są tak silni. Jesse i Gabriel podążyli za nim w milczeniu do wyjścia.

Samuel przystanął i ucałował mnie w policzek, obejmując drżącą Arianę.

- Trzymaj się, żyj - powiedział.

- Tak właśnie zamierzam zrobić. - Popatrzyłam niepewnie na Arianę, przypominając sobie jej obawy, kiedy ostatnio wróciła do siebie po ataku paniki. - Ty też, Samuelu - dodałam. - A teraz zabieraj ich stąd, póki się da.

- *Semper fi* - rzekł, spoglądając na kamień Zee, i pospieszył za pozostałymi.

Z tego, co pamiętałam, Samuel nie należał nigdy do piechoty morskiej, ale wiedział, że zrozumie aluzję. Żołnierze piechoty morskiej nigdy nie zosta-

wiają swoich. Zamierzał wrócić. Adam pewnie też przyjdzie. A ja musiałam tylko przetrwać.

Czekaliśmy, aż wysłany z więźniami nieczłowiek wróci. Skłonił się królowej i rzekł:

- Są na Zewnątrz, moja królowo, cali i żywi. Odetchnęłam głęboko, a kilka sekund później

kamień Zee pociemniał, zniknął pomiędzy korzeniami na dnie pieczary. Udało im się na jakieś dwie minuty przed czasem, choć Zee pewnie podtrzymałby przejście, póki by nie wyszli.

-Ja dotzymałam słowa - powiedziała królowa.

- Dobrze.

- Teraz wymienisz księgę na swoje życie.

- Nie. - Potrząsnęłam przecząco głową. - Przemyślałam twoją propozycję i zmieniłam zdanie. Nie zrobię tego.

Nie było już kogo chronić. Zostałam tylko ja. Strach przed tym, co uwolniona wiedźma może mi zrobić, kazał mi się zawahać. Trwało to o jedną sekundę za długo. Nim wyjęłam **siG**-a, dwóch dworzan złapało mnie za ręce. Broń upadła, a królowa szybko kopnęła ją poza zasięg wiedźmy.

- Źle mnie zrozumiałaś - wycedziła. - Ja wezmę twoje życie, a ty, umierając, dasz mi księgę.

- Myślałam, że muszę być jej właścicielem, żeby to zadziałało... - zdziwiłam się niepomiernie.

Królowa wrózek spojrzała na mnie zaskoczona.

- Chcesz powiedzieć, że dałaś komuś księgę, zanim tu przyszedłaś?

- Nie w sposób, który masz na myśli - odparłam.

- To znaczy?

- Czemu miałabym ci mówić?

Królowa skinęła gwałtownie, a wiedźma mnie dotknęła.

Ocknęłam się na łóżku Fina w celi, w której trzymano więźniów. W każdym razie nos podpowiadał mi, że to łóżko Fina, bo cela okazała się oplecioną korzeniami dziurą w ziemi, a nie marmurową komnatą. Przez chwilę leżałam skołowana, ale szybko przypomniałam sobie, że przecież nie widziałam wcześniej tego pomieszczenia bez iluzji, poznałam je tylko węchem.

Byłam cała obolała, choć nie zauważyłam żadnych dodatkowych siniaków. Postanowiłam wytrzymać, jak długo się da, żeby podarować Samuelowi i Adamowi czas na zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa. Liczyłam, że to wystarczy. Przypuszczałam, że i tak skończę martwa. Na razie jednak musiałam uporać się z nieoczekiwaną i niecierpiącą zwłoki sprawą, i to przy użyciu nocnika. Bo chyba tym właśnie było białe ceramiczne naczynie pod drugim łóżkiem. Dziwne, że królowa, która ma w kuchni lodówki, nie posiada ubikacji. Po chwili doszłam do wniosku, że może po prostu nie ma jej dla więźniów.

Całe wieki po moim przebudzeniu, czyli jakąś godzinę, drzwi do celi otworzyły się i do środka

weszła królowa ze świtą złożoną z dwóch kobiet i dwóch mężczyzn.

Jeden z nich był tym samym, który wyprowadzał Samuela i resztę. Wysoki, wyższy od Samuela, o oczach barwy piany morskiej. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że to on właśnie włamał się do antykwariatu. Jego towarzysz z kolei był bardzo niski, jak na kanony ludzkie, jego zielonkawą skórę pokrywały zmarszczki przypominające fale oceanu. Podobnie jak królowa miał skrzydła, choć mniej owadzie - szarawe, skórzaste.

Jedna z kobiet przyniosła krzesło. Wyglądała prawie ludzko, jeśli pominąć pomarańczowe oczy i jasnoblękitną skórę. Druga, okryta od stóp do głów, miała lśniące brązowe krótkie włosy, a jej ramiona były o jedną trzecią dłuższe, niż powinny. Trzymała w rękach srebrną obrożę w rozmiarze pasującym na moją szyję.

Na widok obroży rzuciłam się do ucieczki, ale wysoki mężczyzna złapał mnie i posadził na krześle, zaś kobieta, która je przyniosła, przywiązała mnie doń za łokcie, przeguby i kostki.

Następnie zapięli mi obrożę na szyi.

Gdy ich zniewoli, tylko ona może ich uwolnić...

- Dużo czasu zajęło mi odkrycie twoich tajemnic, Mercedes - rzekła królowa. - Od początku to Fin był właścicielem, ale teraz Ariana pilnie wnuka strzeże w rezerwacie, gdzie nie mogę go dopaść. Przekazałaś to przyjacielowi, lecz on oddał przedmiot wilkołakom, a tam też się nie dostaniemy.

Jak długo tu siedziałam i co jej powiedziałam? Niczego nie pamiętałam.

Królowa miała na sobie inną suknię niż wcześniej, niebiesko-złotą. Czyli to już kolejny dzień? A może po prostu zmieniła tamtą, ubrudzoną?

- Na razie została mi tylko zemsta. - Zamrugła dziwnie. - W końcu kiedyś przestaną strzec Zrodzonego ze Srebra tak pilnie i uda mi się go wykraść. A póki co, wezmę, co mogę. Mam nadzieję, że cieszysz się swoim zwycięstwem? Mercedes Athe-no Thompson - powiedziała, kładąc mi dłoń na czole - spójrz na mnie.

Ostatnie słowa rozbrzmiały mi w głowie. Przypomniała mi się chwila, kiedy w kręgielni usłyszałam w ten sposób głos Mary Jo. Może gdyby nie to doświadczenie, nie zidentyfikowałabym tak szybko głosu królowej jako czegoś obcego.

- Pragniesz mi służyć. Nic ponadto nie jest dla ciebie ważne. Adam jest dla mnie ważny.

Jeśli nie uda mi się tego przeżyć, będzie uważał, że to jego wina, że jeśli czułby się lepiej, przyszedłby ze mną i uratował Gabriela. Wziąłby na swoje barki odpowiedzialność za całe zło tego świata, gdyby ktoś taki jak ja nie wybijał mu tego co chwilę z głowy. Musiałam przetrwać ze względu na Adama.

Królowa kontynuowała swój monolog, ale nie zwracałam na nią uwagi.

- Komu służysz? - zapytała głośno, odejmując rękę z moich skroni. Nie żeby wydawała się zainteresowana odpowiedzią.

- „Rozstrzygnijcie dziś, komu służyć chcecie” -mruknąłam. - „Ja sam i mój dom chcemy służyć Panu” - cytat z Księgi Jozuego wydał mi się stosowny na tę okazję.

- Słucham?! - krzyknęła z niedowierzaniem.

- A jak miałam odpowiedzieć? - Poczułam się nieco zawiedzona. Niektórzy bardzo starzy nieładnie reagowali fatalnie na wersety z Biblii, na królową wróżek jednak to nie działało. W każdym razie nie Biblia.

- Sprowadźcie ją do sali! - rozkazała, trzepocząc wściekle rękami.

Mężczyzna podniósł mnie wraz z krzesłem i zaniósł do pieczary. Po ostatnim razie zostały mi tylko zamglone wspomnienia dotyczących mnie dłoni wiedźmy. Moja matka wspominała kiedyś, że tak wygląda poród. Ból, a potem nic. Ale co zablokował umysł, zapamiętało ciało. Im bliżej, tym boleśniej kurczył mi się żołądek i tym silniej się pociałam. Nie zdziwiłabym się, gdyby na progu sali nawet niosący mnie mężczyzna mógł wyczuć mój strach.

Postawili krzesło ze mną obok tronu.

- Coś ty zrobiła? - syknęła królowa do wiedźmy, a ta aż skuliła się ze strachu. - Co jej zrobiłaś, że może mi się oprzeć?

- Nic, moja królowo. Nic takiego, co pozwoliłoby jej opierać się twej woli. Może chodzi o to, że jest tylko półczłowiekiem?

Królowa zostawiła wiedźmę w spokoju i wróciła do mnie. Wyjęła nóż i zrobiła mi nacięcie na ramie-

niu, dokładnie tam, gdzie ugryzł mnie Sam. Ślad był świeży, więc poszło szybko.

Umaczała palce w mojej krwi i wzięła je do ust. Następnie skaleczyła siebie i do mojej rany upuściła trzy krople własnej krwi.

Zamierzała wykorzystać pradawną magię, aby połączyć nas więzią. Tak samo czynią wilkołaki, przyjmując kogoś do stada.

Naraz w mojej głowie pojawiła się przerażająca myśl. Czy jeśli to zrobi, będzie mogła dosięgnąć poprzez mnie stada? Zee martwił się, że mogłaby rzucić urok na wilkołaki.

- Moja krew jest twoją - oznajmiła i było już za późno, żeby ją powstrzymać. - Moje srebro, moja magia, nasza krew, należysz do mnie.

Po wszystkim.

Mój umysł zasnęła gęsta mgła.

Walczyłam, sprzeciwiałam się, ale nie było przeciwko czemu walczyć. Istniała jedynie mgła, która okrywała wszystko i tłumiała myśli.

ROZDZIAŁ 15

Po jakimś czasie zmagania nagle odkryłam, że stoję sama na śnieżnym pustkowiu. Było tak zimno, że powietrze mroziło mi nos, kiedy je wdychałam, ale mimo że byłam naga, nie czułam się źle.

- Mercedes! - rozległ się zdyszany głos Brana. -Tu jesteś! Nareszcie.

Odwróciłam się, ale nic nie dostrzegłam.

- Mercedes, mogę się z tobą porozumiewać, bo należysz do stada Adama, a jego stado jest również moim. Słuchaj mnie tylko, bo ja ciebie nie słyszę. Mogę ci jedynie pokazać, czego, jak sądzę, teraz potrzebujesz.

- Dobrze. - Czułam się samotna z myślą, że mnie nie słyszy. Samotna, bo to nie Adam znalazł mnie na tej śnieżnej pustyni. Zadrżałam, choć nie z zimna.

- Najpotężniejszą bronią, jaką dysponuje królowa wróżek, jest zauroczenie. Jako członek stada powinnaś być na to odporna. Ale jesteś szczególnym

przypadkiem, a powiedziano mi, że nikt nie nauczył cię, jak powinna działać stadna więź. Najwyraźniej mój syn i Adam niesłusznie założyli, że poznasz ją instynktownie, bo tak dzieje się w przypadku wilków. Gdy Adam się dowiedział, że tak nie jest, zamiast zadbać o twoje bezpieczeństwo, postanowił odłożyć to na później, chcąc dowiedzieć się najpierw, kto tobą manipuluje.

- Pojawiły się komplikacje - zaprotestowałam ostro. Nie znosiłam, gdy krytykowało się przy mnie Adama. Wiedziałam dokładnie, co i dlaczego robi, i uznawałam jego tok myślenia za słuszny.

Nastąpiła chwila milczenia, nacechowanego nutami zaskoczenia.

- Wybacz, że cię uraziłem - odezwał się Bran. - Najciekawsze jest to, że wiem, iż cię uraziłem. - Odniosłam wrażenie, że wzrusza ramionami, a potem podjął: - Urok królowej działa podobnie do więzów stadnych, Mercedes. Z tą różnicą, że połączenie ze stadem nie ma na celu stłumienia indywidualizmu członków i wymuszenia uległości wobec Alfy, ani też wymuszenia jakichkolwiek innych zachowań. Stado potrzebuje zróżnicowania, w tym właśnie tkwi jego siła, dużo potężniejsza niż ta pochodząca od głupiej królowej, istoty, która kradnie magię i wysługuje się wiedźmą. Rozumiesz? - Jego wściekłość wstrząsnęła całym moim jestestwem.

Nie był jednak wściekły na mnie, więc się nie przejęłam.

- Rozumiem - powiedziałam, mimo że mnie nie słyszał. Albo prawie nie słyszał.

- Pokażę ci coś. - Nagle na tle bieli pojawiła się srebrna girlanda. - To twoja więź ze stadem - wyjaśnił Bran. Nie widziałam go, ale czułam, jakby szedł przy mnie, pokazując girlandę. Zatrzymaliśmy się u jej końca, do którego przywiązana była skała... spowita siatką srebrnego drutu. Skała emanowała żółtym ciepłem, tak przyjaznym tu, na zimnej pustyni.

- Łańcuch choinkowy i kamień? - zdumiał się, rozbawiony. - Czemu nie bibelot?

- Wilki nie są delikatne - odparłam. - Są twarde, uparte i trudno je ruszyć.

- Myślę, że to wyobrażenie może być tak dobre, jak inne - zgodził się. - Wiesz, kto to? Czujesz, jak się o ciebie martwi?

- Mary Jo. - Kiedy o tym wspomniał, natychmiast poczułam troskę, wiedziałam, że mnie szuka, biegając w formie wilka z nosem przy ziemi. Nie złapała śladu, a odnosiłam wrażenie, że droga, którą przebiegła, i ta, którą miała przed sobą, ciągnęły się w obie strony w nieskończoność.

- Zwykle nie wygląda to tak wyraźnie - rzekł Bran, odciągając moją uwagę od Mary Jo. - Częściowo dzieje się tak, bo jestem tu z tobą ja, Mar-rok. Częściowo dlatego, że królowa zatrasnęła cię w twoim własnym umyśle. Widzę to po jakości połączenia. A jej uczynek jest niewybaczalny... - Jeszcze raz dał się ponieść gniewowi i potrzebował chwili, by go opanować. - Ale to także daje ci siłę, której inaczej byś nie miała. - Zawiesił głos. - Połączy-

nie pomiędzy nami jest także mocniejsze, niż być powinno. Nie zamierzam cofać słowa, ale jest coś... Nie ma teraz sensu rozpraszać się, skoro przed nami inne zadania.

Zaprowadził mnie do innej srebrnej girlandy i kazał powiedzieć, do kogo należy. Po trzecim razie sama zaczęłam je rozpoznawać. Czwarta należała do Paula. Biegł razem z Mary Jo i pragnął mnie znaleźć tak samo mocno jak ona. Nadal nie lubił jednak Warrena. Zauważyłam, że zarówno jego łańcuch, jak i Mary Jo, rozgałęziały się i łączyły z innymi. Podchodziliśmy kolejno do wszystkich kamieni, które symbolizowały poszczególnych członków stada.

Bran przystanął przy Darrylowej skale i zatrzymał mnie, wrywającą się naprzód, by odnaleźć Adama.

- Nie. Chcę, żebyś przyjrzała się uważnie tej. Widzisz więź Darryla i Auriele? Różni się od pozostałych, stadnych.

Rozejrzałam się i zauważyłam nieopodal skałę Auriele, ale nic poza tym. Wreszcie zrozpaczona podniosłam skałę Darryla, a ta Auriele uniosła się tak samo, całkiem jakby były połączone... I nagle zdumiałam się, jak mogłam nie dostrzec grubej złocistej liny pomiędzy nimi. Może dlatego, że skupiałam się na szukaniu srebrnej girlandy, a ich więź była zupełnie inna - bardziej miękka, silniejsza i głębsza. W przeciwieństwie do połączenia z gromadą nie była owinięta wokół skały, ale wyrastała z jednej i wnikała w drugą.

Bran złapał mnie za łokieć.

- No już, przestań się nimi bawić, bo Darryl źle to znosi. Chodź, pokażę ci inną.

Poprowadził mnie do środka srebrzystej sieci.

Znajdowała się tam pogrążona całkiem w magii stada czarna skała. Emanowała gniewem, strachem i żalem tak mocno, że trudno było mi się do niej zbliżyć.

- Nie bój się - uspokoił mnie Bran z nutą czułości w głosie. - Adam przeraził ostatnio już dość ludzi. Spójrz i powiedz mi, co widzisz.

- To był Adam? - Podbiegłam do skały, kładąc na niej obie dłonie. - Jest ranny - powiedziałam, a potem poprawiłam się: - Cierpi.

- Gdzie twoja więź partnerska?

Leżała na śniegu krucha, zniszczona. W wielu miejscach została związana supłami, żeby się nie rozerwała.

- Stworzona pośpiesznie w potrzebie, co nie musi być złe - stwierdził Marrok. - Ale została utkana na chybcika przez bandę idiotów. Po większości z nich nie spodziewałbym się czegoś takiego.

Widziałam powiązane miejsca, lina była przetarta, jakby pies - albo wilk - żuł ją, póki ktoś nie po-motał jej w tym miejscu, żeby się nie rozpadła.

- Henry nie należy już do stada. To tak na wypadek, gdybyś nie zauważyła. Zabrałem go do siebie na małe tête-à-tête. Może wypuszczę za kilka miesięcy, zobaczymy. Większość tego bałaganu to jego sprawa.

Ale ja nie martwiłam się już o przeżute miejsca.

-Jest przerwana - powiedziałam, klękając na śniegu. Lina kończyła się nagle, jak przecięta ostrym nożem. Myślałam, że nie czuję Adama, bo więź jeszcze nie odnowiła się od ostatniego razu, kiedy przeciążył połączenie, myśląc, że nie żyję. Ale przecież po tamtym wypadku mieliśmy kontakt.

Kiedy więc go straciłam?

Świadomość, że więź nie istnieje, okazała się niezwykle bolesna.

- To - warknął Bran groźnie - zostało przecięte przy pomocy czarnej magii.

Jego głos, potężny, zadźwięczał mi w prawym uchu. Odwróciłam głowę i kątem oka uchwyciłam kontur czegoś wielkiego, straszliwego, niepodobnego do żadnej z form, w jakiej widziałam Brana.

- Nie rozumiałem, jak to możliwe, póki Samuel nie powiedział mi, że w sprawę zamieszana jest wiedźma. Pomiędzy wiedźmą a królową istnieje słaby punkt, który odnaleźli i dzięki temu przełamali czar - wyjaśnił, a potem dodał z zaciekawionym rozbawieniem: - Nie przerażam cię wcale, prawda?

- Czemu miałabym się ciebie bać? - odpowiedziałam pytaniem, lecz całą uwagę skupiałam na linie. Czy bolałoby Adama, gdybym jej dotknęła?

- Śmiało - zachęcił mnie Bran. - Oddałby wszystko, żebyś jej dotknęła.

- Mój - powiedziałam. - Mój. Ale nadal nie dotykałam liny.

Z tym charakterystycznym poczuciem humoru, które zawsze wywoływało we mnie przemożne pragnienie pobicia go, Bran zauważył:

- Och, na pewno ktoś inny chętnie ją podniesie. Złapałam linę obiema rękami, nie dlatego, że

obawiałam się rywalki, bez względu na to, co myślał sobie Bran. Uczyniłam tak dlatego, że należeliśmy do siebie, Adam do mnie, ja do niego. Uwielbiałam, gdy pozwalał mi się rozśmieszać - zwykle był poważny, dźwigający na barkach ciężar odpowiedzialności. Wiedziałam, że nigdy by mnie nie opuścił, nie zawiódł, bo nigdy nie zarzucił niczego w całym swoim długim życiu. Wiedziałam, że jeśli sama nie podniosę tej liny, Adam złapie mnie i skrepuje nią jak tuczniaka. Podobało mi się. Bardzo.

- Mercy! - ten głos nie należał już do Brana. Był oszalały, przesycony żarem. Po krótkiej chwili już trochę opanowany Adam podjął: - W sam czas! Znalazłem cię. Mercy, idziemy po ciebie. Nic nie rób.

Otulona tym głosem ściszałam łączącą nas linę, aż ta przeniknęła w moje ciało i kości i już nie musiałam jej trzymać.

- Adam! - zawołałam ucieszona, po czym dodałam, pewna, że zrozumie żart: - Co tak długo? Czekaliście, aż sama się odbiję?

Rozejrzałam się po śnieżnej pustyni, teraz usianej rozjarzonymi skałkami i siecią lśniących girland. Przymknęłam powieki i okryłam się poczuciem obecności stada jak ciepłym płaszczem. Poczułam też, jak magia królowej wróżek dotyka mojej i Adamowej złotej więzi, ale tym razem to jej magia poległa.

Mój wzrok napotkał spojrzenie uwięzionego władcy lasu. Mrugnął, a ja spuściłam głowę, zauważając przy okazji, że z rany na moim ramieniu nadal kapie krew. Po ilości oceniłam, że wizja nie mogła trwać dłużej niż kilka sekund.

- No, teraz jesteś moja - stwierdziła królowa i zaczęła przecinać liny, którymi byłam skrepowana. Zamrużałam, usiłując przybrać głupawy wyraz twarzy, który widziałam u brańców. - Idź do kuchni i przynieś jakąś ścierkę, a potem wytrzyj z podłogi tę krew - rozkazała mi.

Wstałam i ruszyłam w stronę wyjścia. Królowa przestała zwracać na mnie uwagę, bo nie byłam już interesująca. Na widok pistoletu leżącego pod jedną z ławek przyspieszyłam kroku. Ktoś musiał go tam kopnąć, co miało sens, bo mało który nieczłowiek mógłby dotknąć stali, nie robiąc sobie przy tym krzywdy. Brańcom nawet nie przyszłoby do głowy, żeby z niego skorzystać, ale widać nie ludzie woleli zachować ostrożność i nie polecili nikomu go usunąć.

Podniosłam siG-a i odwróciłam się powoli, żeby nie zwrócić uwagi żadnego z obecnych w pieczarze Pradawnych, którzy i tak byli wpatrzni w królową, nie poświęcając spojrzenia nowej brance. Królowa wrózek siedziała przechylona przez podłokietnik tronu i rozmawiała z wiedźmą. Strzeliłam jej trzykrotnie prosto w serce. Obserwująca mnie spod oka wiedźma uśmiechała się, kiedy pociągałam za spust.

- Heh - odezwał się głos blisko mnie. Odwróciłam głowę, ale musiałam spojrzeć w dół, żeby zobaczyć osobę, która się odezwała. Obok mnie sta-

ło ludzkie z wyglądu dziecko, na oko ośmio-, może dziewięcioletnie.

Dziewczynka uśmiechnęła się do mnie.

- A oni się bali, że coś ci się stanie, jeśli poczekamy, aż wszyscy się zbiorą. A ty, jak to kojot, zawsze popsujesz wszystkim zabawę.

Ostatnim razem, gdy widziałam tę Pradawną, bawiła się jo-jo na podwórku domu, w którym popełniono morderstwo. Nie znałam jej imienia, wiedziałam tylko, że jest bardzo potężna, budzi lęk i jest dużo starsza niż jej iluzoryczna powłoka.

Przez mgnienie oka prawie że ujrzałam kogoś całkiem innego, stojącego obok mnie, a potem Pradawna uśmiechnęła się, mówiąc:

- O nie, moja droga, nie moją iluzję, Mercedes. Inni nie ludzie nie poruszali się jeszcze, zamarli w chwili śmierci królowej.

Dziewczynka od jo-jo podeszła do martwej królowej, ruszyłam za nią. Wiedźma przypadła do ciała i pełnymi garściami czerpała krew wróżki, po czym wcierała ją sobie w srebrną obręcz.

- O nie, nie - powiedziała dziewczynka od jo-jo, dotknęła trupa i wypowiedziała coś w rodzaju słowa. Ciało królowej obróciło się w proch.

Dziewczynka cofnęła się i nagle ujrzała skutego władcę lasu. Nie widziała go wcześniej, zanim królowa nie zmieniła się w proch.

Srebrna obręcz spadła z szyi wiedźmy, ale natychmiast w jej miejsce pojawiły się małe palce. Dotarło do mnie tylko echo szeptu i wiedźma również

obróciła się w pył. Dziewczynka nabrała garści szarego prochu i zlizwała go jak lody.

- Pycha - powiedziała do mnie cała umorusana. -Uwielbiam wiedźmy.

- Wolę czekoladę, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Mercy! - ryknął Adam gdzieś w tunelu.

- O-ho! - uśmiechnęła się dziewczynka. - Ktoś tu przegapił całe zabijanie.

- Tutaj! - zawołałam. - Wszystko w porządku!

I to była prawda. Dlatego że Adam już przy mnie był, obejmował i tulił, i już wszystko było w porządku.

Rozgarnęłam nogą śnieg, uderzając się palcem o zlewozmywak. Trwał wieczór po wielkiej akcji ratunkowej i świętowano w domu Adama. Wszyscy mnie obejmowali i rozpływali się, aż w końcu, mając tego dość, postanowiłam zobaczyć, co z resztkami mojego domu.

Stado zrobiło na miejscu porządek, a resztę przykrył śnieg. Pracowali tu przez cały miesiąc podczas mojej nieobecności. I tak dobrze, że nie rok lub stulecie.

Po tym, kiedy Zee musiał zamknąć przejście, długo nie mogli odnaleźć Alfheim. Najwyraźniej, jak wyjaśniał mi Zee, Alfheim przesunęło się w stosunku do lokalizacji rezerwatu, a Ariana nie potrafiła mnie odnaleźć.

Dopiero kiedy odnowiła się moja więź z Adamem, dali radę mnie namierzyć. W czasie, gdy Zee działał, aby otworzyć ponownie przejście, wysłali przodem dziewczynkę od jo-jo, żeby sprawdziła, czy nic mi nie jest. Dziewczynka nie potrzebowała niczego tak prymitywnego jak przejście, aby wejść do Alfheim. Pewnie też miała jakieś imię, ale Nieludzie dziwnie traktują tę kwestię i nikt go nie używał.

Dworzan królowej umieszczono czasowo w rezerwacie. Niektórzy z nich nie pamiętali, jak przyłączyli się do królowej, inni byli wściekli, że ją zabiłam, ale nie na tyle, by mi zagrozić. Zee powiedział, że Szarzy Panowie są rozdarci pomiędzy gniewem na to, jak królowa wykorzystwała władcę lasu i wiedźmę, a radością, bo to dowodziło, iż Podgórze przywróciło Nieludziom częściowo moc.

Z prefabrykowanego bungalowu niewiele zostało poza małą stertą rzeczy, które da się ponownie wykorzystać. Na szczęście pożar nie tknął blaszaka, w którym trzymałam vanagona. Nie straciłam też Medei ani Samuela.

Gdy pierwszy raz ujrzałam to miejsce, pod gankiem kulił się kojot. Uznałam to za znak. Kiedy kupiłam bungalow, poczułam się tak, jakbym pierwszy raz w życiu miała prawdziwy dom. Dom, którego nikt nie mógł mi odebrać.

- Żegnasz się?

Nie słyszałam nadchodzącego Marroka - normalne w przypadku Brana.

- Tak. - Uśmiechnęłam się na znak, że nie przeszkadza mi jego obecność.

- Chciałem podziękować ci za Samuela. Pokręciłam głową.
- Nie mnie dziękuj, tylko Arianie. Widziałeś ich razem?
Cudni są, prawda?

Ariany brakowało na imprezie, Samuel przyszedł sam. Jego ukochana nie była gotowa na towarzystwo stada świętujących dziko wilkołaków. Ale Samuel mówił o niej nieprzerwanie przez dwadzieścia minut.

Ariana nie potrafiła dotknąć go jeszcze w wilczej postaci, za to z ludzką nie miała problemów. Nie miewała już też ataków paniki w obecności wilkołaków, jeśli te zachowywały się spokojnie i podchodziły do niej pojedynczo i w ludzkiej formie. Potrzebowała tylko motywacji, żeby popracować nad swoją fobią, oświadczył Samuel z wielką dumą. Bran uśmiechał się, gdy jego syn to mówił, więc mógł mieć coś wspólnego z tym jej uleczeniem. A może tylko chciał, bym tak myślała? Odkryłam, że radzę sobie lepiej, kiedy nie przejmuję się tym, co Bran może, a czego nie.

- Ariana to dar dla niego - rzekł Bran. - Ale gdyby nie ty, Samuela nie byłoby tu, aby mógł go otrzymać.

- Od tego są właśnie przyjaciele. Podnoszą cię, kiedy upadasz, i w razie potrzeby kopią w zadek. Adam też bardzo pomógł. A mówiąc o przyjaciółach, dzięki za „Magię stada dla początkujących”, która uchroniła mnie przed zmianą w Mercy zombiaka.

Uśmiechnął się. Jak zwykle z uśmiechem na twarzy, nikt nie dałby mu więcej niż szesnaście lat.

Trudno uwierzyć, że ten nieśmiały chłopak to Mar-rok.

- Odebrałaś wszystko? Nie byłem pewien, ile do ciebie dotrze. Spojrzałam na jego niewinną twarz.

- A do ciebie ile dotarło z powrotem? Zrobił wielkie oczy, a potem się rozpromienił.

- Chyba oboje dostaliśmy nieco wsparcia od osoby zainteresowanej.

- Od kogo?

Zee nie miał żadnego kłopotu z uwolnieniem władcy lasu z oków. Okazał się czarującym gościem, tak swoją drogą, równie wielkodusznym, co potężnym. Królowa porwała leśnego pana z jego domu w północnej Kalifornii około roku, półtora temu. Jego żona i dzieci byli szczęśliwi na wieść, że niedługo wraca. Dafne, królowa wróżek, odwiedziła rezerwat i uznała, że uwije sobie w tym miejscu gniazdko. Zauroczyła paskudną wiedźmę i ponieważ sama nie posiadała wystarczającej mocy, wykorzystywała ją do porwania leśnego władcy.

- Myślisz, że nam pomógł?

- Ktoś na pewno. Prawie się poddałem. - Rozejrzał się wokół po resztkach pozostałych z mojego domu. - Mam też bardziej prawdopodobną odpowiedź, ale również i kłopot z jej ogarnięciem. Postanowiłaś już, co z tym zrobisz?

- Byłam ubezpieczona, mogę to odbudować. - Gabriel może potrzebować miejsca do zamieszkania.

Razem z Zee prowadzili warsztat pod moją nieobecność. Sylwia była o to zła, więc pomieszkiwał w domu Adama. Adam umieścił Gabriela w piwnicy - tak daleko, jak się dało od sypialni Jesse.

- Spójrz, twój dąb nie spłonął.

- Tak - ucieszyłam się. - Trochę osmalony, ale chyba nic mu nie będzie. - Chciałam podejść do drzewa i nadepnęłam na coś. W pierwszej chwili pomyślałam, że to trzonek od miotły, ale kiedy się schyliłam, przedmiot okazał się moim dobrym znajomym kosturem.

- Ach, zastanawiałem się, gdzież on się mógł podziać.

- Widziałeś go? - Popatrzyłam na kostur w zamyśleniu.

- Siedziałem na kanapie w piwnicy Adama i kiedy go podniosłem, nagle, po tak długich i bezowocnych próbach, znalazłem cię wśród więzi stada, jakbyś cały czas tam była.

- Ten kostur pojawia się w ciekawych momentach. - Uśmiechnęłam się krzywo.

- To jak, myślałaś już, żeby hodować owce?

- Na razie nie - odparłam sucho. Przeszliśmy kawałek w przyjacielskim milczeniu.

- Mam parę fotografii - odezwał się nagle Bran. - Bryana i Evelyn. - Czyli mojej zastępczej wilkołaczej rodziny. - I trochę twoich zdjęć ze szkoły. Chcesz?

- Bardzo.

Popatrzył w stronę domu Adama. Ktoś zmierzał stamtąd w naszą stronę.

- Chyba się za tobą stęsknił. Zostawię was samych. - Bran ucałował mnie w czoło i pobiegł naprzód. Z Adamem spotkał się przy ogrodzeniu. Alfa powiedział coś, czego nie dosłyszałam, a co bardzo rozbawiło Brana.

- Hej - powiedziałam do Adama na powitanie. Jego odpowiedź była jak uderzenie gorąca, które wywołało na moich policzkach rumieniec.

- Masz kluczyki do swojego vana? - zapytał niskim głosem, od którego dostałam gęziej skórki. Pachniał pożądaniem i niecierpliwością.

- Są w vanie.

- To dobrze. - Wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę blaszanego garażu, który przetrwał pożar bez szwanku. - Gdybyśmy musieli wrócić po mój samochód, ktoś mógłby nas zauważyć. Mam klucze do mieszkania Warrena. Pościel w pokoju gościnnym jest świeżo przebrana.

Zatrzymał się przy samochodzie.

- Muszę poprowadzić.

Normalnie zaczęłabym się sprzeczać, tak dla zasady, ale czasami, szczególnie w takich chwilach jak ta, z Adamem napiętym do granic możliwości, lepiej ustąpić samcowi Alfa. Bez słowa wsiadłam od strony pasażera.

Nie przyspieszał ani nie rozmawiał. Dotarliśmy do Richland bez przejechania na czerwonym, tam opuściło nas szczęście.

- Adam - zaczęłam łagodnie - jeśli złamiesz teraz kierownicę, będziemy musieli iść do Warrena na piechotę.

Rozluźnił uchwyt, ale nie spojrział na mnie. Położyłam mu dłoń na udzie - aż wibrowało.

-Jeśli chcesz dotrzeć do Warrena, trzymaj ręce przy sobie - powiedział gardłowo.

Myśl o tym, że budzi się takie pożądanie, jest niesamowicie podniecająca. Zabrałam rękę i odetchnęłam głęboko.

- Adam?

Wreszcie zapłonęło zielone światło. Pomyślałam niefrasobliwie, że pobyt w Alfheim popsuł moje poczucie czasu, bo wydawało mi się, że trwało to godziny, a nie sekundy.

Warren mieszkał w domu A, jednym z grupy „domów alfabetycznych” zbudowanych podczas drugiej wojny światowej, by pomieścić napływających do Richland robotników znajdujących pracę w przemyśle atomowym. Ten, który zajmował, był bliźniakiem. Okna obu części ciemniły się, a na sąsiadującej posesji widniał napis: „Do wynajęcia”.

Adam zaparkował i wysiadł, nie patrząc na mnie. Zamknął drzwiczki z wyjątkową delikatnością, która wiele mówiła o stanie jego umysłu. Ja wyskoczyłam, nie przejmując się, czy mój ukochany vanagon syncro jest zamknięty - co też świadczyło o stanie mojego umysłu.

Adam otworzył drzwi i przytrzymał mi je, a po wejściu przekręcił klucz. Kiedy się odwrócił, jego oczy lśniły jasnożłoto, a policzki krasiał rumieniec.

-Jeśli tego nie chcesz - powiedział tak, jak po... incydencie z Timem - zawsze możesz odmówić.

- Kto pierwszy do sypialni! - zawołałam, biegnąc ku schodom.

Zdołał mnie złapać, bardzo ostrożnie, zanim zdążyłam zrobić dwa kroki.

- Bieganie... nie jest w tej chwili najlepszym pomysłem. - Adama krępował jego brak opanowania. Może kto inny nie wychwyciłby tego w jego głosie. Może ja także, gdyby nie nasza więź.

Poklepałam Adama lekko po ręce.

- W porządku. W takim razie zabierz mnie do łóżka.

Nie przygotowałam się na to, że chwyci mnie w ramiona i podniesie. Pisnęłam, a on zamarł.

- Przepraszam, wszystko w porządku. Zawierzywszy moim zapewnieniom, wszedł

na schody. Spodziewałam się, że wbiegnie, ale nie, szedł krok za krokiem, niemal ciężko. Schody były wąskie i strome, uważał bardzo, żebym nie zawadziła o coś stopą lub głową.

Postawił mnie w sypialni, po czym zamknął drzwi. Stał tak plecami do mnie, ciężko dysząc.

- Miesiąc - zaczął. - Przez miesiąc ani Zee, ani żaden inny znajomy nieczłowiek nie był w stanie powiedzieć nam, czy kiedykolwiek cię odzyskamy. Kobieta Samuela nie potrafiła cię zlokalizować, wszystkie twoje rzeczy spłonęły. Ani van, ani Królik nie wystarczyły. Próbowła się do mnie zbliżyć, żeby sprawdzić, czy dałoby się wykorzystać mnie, ale nie mogła nawet wejść do mojego pokoju, byłam na wpół oszalała. Dotykanie mnie nie wchodziło w grę. Myślałem, że cię straciłem.

Przypomniałam sobie wrażenie, że biegną za mną Mary Jo i Paul.

- Szukaliście mnie.

- Szukaliśmy - zgodził się. Nagle odwrócił się do mnie i przyciągnął do siebie. Trzęsąc się, ukrył twarz w moich włosach. Na nic się to zdało, jakżeby mógł ukryć przede mną swoje uczucia. Miałam widok na naszą więź, i to w 3D.

Przytuliłam Adama najmocniej jak potrafiłam, żeby upewnić go, że jestem prawdziwa i że nie przeszkadza mi silny uścisk.

-Jestem tutaj.

-Ja też nie mogłem cię odnaleźć. Nasza więź została przerwana i nie wiedziałem, czy zrobiłaś to celowo, czy to sprawka królowej, czy nie żyjesz. Czuliśmy cię w stadzie, ale tak czasem bywa, kiedy jedno z nas umiera. Przyjechał Bran, lecz i on nie mógł cię odszukać. I nagle wczoraj Darryl właśnie nas karmił w kuchni, i upuścił patelnię na podłogę.

Słyszałam o tym nie raz już poprzedniego dnia od wielu osób, ale nie przerywałam.

- Darryl był przekonany, że ktoś robi coś Auriele, i popędził na górę, ale w pół drogi natknął się na Auriele, która zbiegała na parter z tego samego powodu. Wtedy z piwnicy wyszedł Bran i powiedział... -Adam urwał.

- Powiedział: „Odwałem najtrudniejszą część, Alfo, teraz ty musisz wiedzieć, gdzie twoja towarzyszka" - dokończyłam. - A w ręku trzymał kostur.

-I nagle rzeczywiście byłaś we mnie, tam, gdzie twoje miejsce.

Odsunął się i ujął moją twarz w dłonie. Żar jego skóry grał tak cudownie, a płonące bursztynowe oczy podsycaly ogień w moim sercu - i ciele.

Poruszał nozdrzami jak ogier wietrzący klacz. Zsunął ręce niżej, na moją kurtkę, i rozerwał ją, zrzucając na ziemię. A potem się cofnął.

- Cholera... - jęknął szorstko, przyciskając głowę do drzwi. - Cholera.. Nie mogę...

Zdjęłam koszulkę, potem dzinsy i bieliznę. Warren nie utrzymywał w domu ludzkiej temperatury, i tak ostatnio głównie sypiał u Kyle'a. Jednak nie czułam chłodu, nie mogłam go czuć, bo żądza Adama płonęła niczym palnik acetylenowy.

- Czego nie możesz? - zapytałam łagodnie, odrzucając kołdrę i kładąc się do łóżka.

- Nie mogę być delikatny. Wiem... Wiem, że potrzebujesz troski, a ja nie mogę ci jej teraz zapewnić. - Otworzył drzwi. - Muszę iść. Przyślę...

-Jeśli zostawisz mnie tu nagą, spragnioną, w łóżku, i nie będziesz się ze mną kochał, to...

Nie dokończyłam groźby. Chyba słowo „naga”, a może „łóżko” podziałały jak wyzwalacz, ale zanim skończyłam, leżał już na mnie.

Miał rację, nie był łagodny. Do tego momentu tłumiliśmy naszą namiętność humorem i delikatnością. Skrzywdzono mnie, a Adam był zawsze bardzo troskliwy.

W mroku Warrenowego pokoju gościnnego nie znalazło się miejsce na słodkości i żarty, a choć Adam troszczył się o mnie, w jego pieśczołach brakowało łagodności. Nie sprawiał mi jednak bólu,

wprost przeciwnie. Był czystym pożądaniem, ogniem, które wykraczały tak dalece poza zwykłe pragnienie, że doznania te pochłonęły mnie w całości i, niczym Feniks, odrodziłam się w ich tyglu.

Dorównałam Adamowi niecierpliwością, pasją, wczepiając palce w jego twarde, obleczone jedwabistą skórą ramiona, poddając się jego ustom, które smakowały każdy kawałek mojego ciała, na jaki natrafiły. Był gorący i twardy, a jego pożądanie uniosło mnie na spotkanie z jego płomieniem. Krople potu kapały na moją skórę, a pachniały jak afrodyzjak, ponieważ były kwintesencją Adama. Pragnął mnie, a ja pragnęłam jego tak samo mocno.

Uniósł się i przymknąwszy złote oczy, wszedł we mnie, jednym mocnym pchnięciem stając się częścią mojego jestestwa. Dopiero gdy wsunął się do końca, spojrzał tryumfalnie i ogłosił swoje prawo z mocą, która powinna mnie przerazić.

- Moja - powiedział, kołysząc biodrami w rytmie, w którym bardziej od namiętności przebijała zaborczość.

Podniosłam oczy i podtrzymałam spojrzenie Adama, wyzwanie, na które tylko ja mogłam sobie pozwolić bez konsekwencji. Napięłam brzuch, wbiłam pięty w materac i szarpnęłam biodrami, wsuwając go w siebie.

- Mój - powiedziałam.

Wilk Adama uśmiechnął się do mnie i skubnął mnie w ramię.

- Mogę z tym żyć - rzekł, a potem zademonstrował, co to posiadanie oznacza, gdy dotyczy Alfy wil-

kołaków, który wie, co to cierpliwość i skrupulatność, kiedy poluje na kojota.

Śniło mi się, że chodzę po śniegu, ale się nie bałam. Byłam przywiązana do grubej, złotej liny. Gładka, bez przetarć i węzłów, prowadziła mnie prosto do lasu, oświetlając drogę ciepłym jasnym blaskiem. Szłam z lekkim sercem, podekscytowana świadomością, że lada moment znajdę coś wspaniałego. I wreszcie, na samym końcu, znalazłam błękitno-szarego wilka o złotych oczach.

- Witaj, Adamie - powiedziałam.

- Ciii - zaszemrał Adam sennie, przytulając się mocno i nakrywając sobą, jakby w ten sposób chciał mnie uciszyć. - Śpij.

Czułam fizyczne zmęczenie, było mi ciepło i dobrze, więc zaśnięcie powinno przyjść łatwo, szczególnie że obudziłam się z tak dobrego snu. A jednak ten sen przypomniał mi, jak się czułam, kiedy byłam zagubiona.

-Ja też nie mogłam cię znaleźć - powiedziałam, wtulając się w Adama. Zeszczuplał wyraźnie od ostatniego razu, kiedy leżałam z nim w łóżku. Ogień nie pozostawił blizn, a włosy i tak zawsze przycinał bardzo krótko, ale wystające żebra najlepiej

świadczyły o tym, ile przeszedł. - Przestałam próbować - przyznałam. - Bardzo się bałam, że wykorzysta więź, by rzucić urok na stado. Nie wiedziałam, że nie może tego zrobić, że nie posiada takiej mocy.

Przymknęłam oczy i pozwoliłam, aby powrócił tamten strach. Otworzyłam je prawie natychmiast, musiałam zobaczyć Adama, żeby poczuć się bezpiecznie.

- W tamtym miejscu wydawało się, że może wszystko.

Leżał nieruchomo, myślałam więc, że zasnął, dopóki się nie odezwał.

- Skrzywdziła cię. - To nie było pytanie.

- Tak. - Nie mogłam go okłamywać. - Ale to był tylko ból, nie fizyczna krzywda. Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz, że muszę tylko wytrzymać - pozwoliłam, by usłyszał w moim głosie tę pewność.

Przewrócił się, pociągając mnie na siebie. Jego dłonie przesunęły się po moich barkach, potrząsnął mną lekko.

- Nigdy więcej nie każ mi przechodzić tego jeszcze raz. Nie zniosę tego.

- Nigdy - obiecałam chrapliwie. - Nigdy więcej. Adam roześmiał się i przytulił mocno.

- Czy Bran nie nauczył cię, żebyś nie składała obietnic, których nie możesz dotrzymać? - Westchnął. - Pewnie nie przestaniesz gadać, a skoro nie dane mi będzie już pospać, równie dobrze mogę zrobić coś pożytecznego.

Po wszystkim oboje zapadliśmy w sen.

Rano, na godzinę przed otwarciem sklepów, Adam pojechał ze mną oddać Finowi książkę. Księga nadal była owinięta ręcznikiem Kyle'a i w tym też stanie została bez zbędnego zamieszania przeniesiona do komody Adama. Darryl i Auriele przynieśli nam ją wraz z nowym płaszczem dla mnie i ciuchami dla Adama, bo wczorajsze nie przeżyły wieczoru. Darryl nawet się nie uśmiechnął znacząco, choć nasze nocne zajęcia nie byłyby dla niego tajemnicą, nawet gdyby był człowiekiem i nie miał wilkołaczego nosa. Oboje z Auriele obserwowali nas z satysfakcją, która wprawiła mnie w zakłopotanie. Ucieszyłam się, kiedy w końcu sobie poszli.

Fin stał za ladą i wyglądał mniej więcej tak jak za pierwszym razem, gdy go odwiedziłam. Stracił co prawda trochę na wadze, ale nadal był tym samym mężczyzną w nieokreślonym wieku, o płowiejących złotych włosach i roześmianych oczach. W antykwariacie znajdowało się kilka nowych regałów, ale poza tym nic się nie zmieniło.

- Cześć, Mercy. Cześć, Adam - powitał nas od progu z przyjaznym uśmiechem.

- Cześć. Mam coś dla ciebie. - Rozwinęłam ostrożnie ręcznik i położyłam książkę na ladzie.

Skóra pod moimi palcami była niezwykle miękka.

- Ariana ma niezwykle poczucie ironii - zauważył Adam, po raz pierwszy odczytując tytuł. Na

okładce złotymi literami wytłoczono: „Zrodzone z magii”. -
Trudno uwierzyć, że to iluzja.

- Bo nie do końca nią jest - powiedziała Ariana, wychodząc zza regału.

Zmieniła swoją iluzoryczną powłokę. Nie wyglądała już jak kobieta w średnim wieku, tylko jak ona, tyle że całkiem ludzka.

Jej opalona skóra miała zwyczajną fakturę, oczy szarą barwę, a włosy jasnozłoty odcień, prawdopodobnie taki, jak Fina za młodu.

Przez moment przyglądała się Adamowi, który stał nieruchomo, tak cicho, jak człowiek niechący przestraszyć dzikiego stworzenia.

- Zmieniłeś się - zauważyła, uspokajając się. - Twój wilk jest bardzo z niej zadowolony.

- Wybacz, że cię przeraziłem - rzekł Adam niezwykle łagodnie, a ja przypomniałam sobie, że opowiadał, jak to nie mogła przebywać z nim w jednym pokoju.

Potrząsnęła głową.

- To nie twoja wina. Nie ma już starych lęków, ani też nowych. Ale już nie jesteś taki straszny. - Zadarła dziarsko brodę i podeszła do nas. Popatrzyła na księgę, kręcąc głową. - Była przyczyną tylu kłopotów... - szepnęła, a potem zwróciła się do nas nieśmiało: - Chcecie zobaczyć, jak wygląda naprawdę?

- Tak, bardzo.

Położyła dłonie na okładce, a ja poczułam falę magii. Podniosła księgę, a na ladzie w jej miejscu

znajdowała się mała srebrna figurka ptaka. Skowronek, pomyślałam, choć żaden ze mnie znawca ptaków. Figurka była nie większa od mojej dłoni i niezwykle realistyczna. Popatrzyłam na leżącą obok książkę.

- Najlepsze iluzje to te rzeczywiste - rzekła Ariana. - Wykorzystałam księgę, aby ukryć artefakt.

Adam położył mi rękę na ramieniu, pochylił się i powiedział:
- Taka mała rzecz, a tyle przez nią kłopotów. I pocałował mnie w czubek ucha.